



Wchodzi do mrocznego  
Dziewu Nocy i poznaj tajemnice  
Latała wampirów



# Spalona

P.C. CAST + KRISTIN CAST

-Klipinika-

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## *Kolona*

Uniósł ręce. Nie zawahał się. Nawet przez moment nie miał wątpliwości, co musi zrobić. Nie mógł pozwolić, by cokolwiek stanęło mu na drodze, a ten ludzki chłopak odgradzał go od czegoś upragnionego. Kalona nie pałał szczególną żądzą zabicia go, ale też niespecjalnie mu zależało na tym, by chłopak żył. Był po prostu problemem do rozwiązania. Nieśmiertelny nie czuł żalu ani wyrzutów sumienia. W ciągu stuleci, które minęły od jego upadku, w ogóle czuł bardzo niewiele. Zupełnie obojętnie skręcił więc chłopakowi kark i zakończył jego żywot.

- Nie!!!

Uderka zawarta w tym słowie zmroziła mu serce. Upuścił bezwładne ciało chłopaka, obrócił się gwałtownie i zobaczył pędzącą ku niemu Zoey. Ich spojrzenia się skrzyżowały. W jej wzroku była rozpacz i nienawiść, w jego oczach - niewiarygodne wyparcie. Próbował znaleźć słowa, które pozwolą jej zrozumieć, może nawet wybaczyć, lecz nic nie mogło zmienić tego, co przed chwilą zobaczyła, a jeśli coś takiego było możliwe, zabrakło mu czasu.

Zoey cisnęła w niego całą mocą żywiołu.

Kula ducha trafiła nieśmiertelnego z siłą przewyższającą fizyczną. Duch był jego esencją, jego rdzeniem; był żywiołem, który od wieków dawał mu moc i przy którym czuł się zawsze najwygodniej. Rzucona przez Zoey kula uderzyła w niego z takim impetem, że zajął się ogniem, wzbił w powietrze, przeleciał ponad wysokim murem oddzielającym wampirską wysepkę od Zatoki Weneckiej i wpadł do lodowatej wody, która go ugasiła. Przez chwilę czuł tak dojmujący ból, że nawet nie próbował z nim walczyć. Może powinien pozwolić, by ta potworna walka o życie, ze wszystkimi swymi pułapkami, dobiegła końca. Może powinien pozwolić, by dziewczyna znów go pokonała. Ale już sekundę po tym jak to pomyślał, poczuł, że dusza Zoey rozpryskuje się na kawałki i przenosi do innego świata równie dosłownie jak on w chwili swego upadku.

Ta świadomość zraniła go bardziej niż samo uderzenie.

Tylko nie Zoey! Nigdy nie planował jej skrzywdzić. Mimo wszystkich machinacji i knowań Tsi Sgili ani na chwilę nie stracił pewności, że będzie się troszczył o bezpieczeństwo dziewczyny, wykorzystując w tym celu potężne moce przynależne nieśmiertelnemu, bo właśnie Zoey była najbliższą Nyks osobą, którą mógł spotkać w tej krainie - w jedynej krainie, jaka mu pozostała.

Próbując dojść do siebie po jej ataku, podźwignął ogromne cielsko ponad fale trzymające je kurczowo i dopiero wtedy uświadomił sobie całą prawdę: sprawił, że duch opuścił ciało Zoey, a to oznaczało śmierć dziewczyny. Wciągnął w płuca powietrze i wydał z siebie rozdzierający krzyk rozpacz, powtarzając ostatnie słowo kapłanki:

- Nie!!!

Czy naprawdę od momentu swego upadku wierzył, że nie posiada uczuć? Był okropnym głupcem. Mylił się całkowicie: teraz, gdy chwiejnie leciał nisko nad taflą wody, emocje targwały nim, rozdzierały i tak już poranionego ducha, osłabiały go i wykrwawiały mu serce. Przyćmionym wzrokiem usiłował dostrzec po drugiej stronie laguny światła lądu. Nie doleci. Musi zawrócić do pałacu, to jedyne wyjście. Krzesząc z siebie ostatnie rezerwy sił, rozgarnął skrzydłami zimne powietrze, przeleciał nad murem i opadł bezwładnie na zmarzniętą ziemię.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał w ciemnościach zimowej nocy z rozedrganą od emocji duszą. Gdzieś na obrzeżach umysłu kołatała świadomość, że to co przeżywa, już kiedyś mu się przydarzyło. Znow upadł, tyle że tym razem bardziej duchem niż ciałem, choć i ciało nie wydawało mu się już posłuszne.

Poczuł jej obecność, nim jeszcze się odezwała. Od samego początku tak między nimi było, czy tego pragnął czy nie - bo prostu wyczuwali się nawzajem.

- Pozwoliłeś Starkowi patrzeć, jak zabijasz chłopaka! - Głos Neferet był bardziej lodowaty niż zimowe morze.

Odwrócił głowę, by zobaczyć coś więcej niż tylko czubek jej szpilki. Spojrzał na nią, mrugając, by rozjaśnić wzrok.

- Wypadek przy pracy - wychrypiał z trudem. - Zoey nie powinno tam być. - Wypadki przy pracy są niedopuszczalne, a to, że ona tam była, zupełnie mnie nie obchodzi. Szczerze mówiąc, następstwa tego, co zobaczyła, całkiem mnie zadowolają.

- Wiesz, że jej dusza się rozpadła? - Nienawidził nienaturalnej słabości swego głosu i odrętwienia ciała niemal równie mocno jak swojej podatności na lodowatą urodę Neferet.

- Chyba większość wampirów na wyspie już o tym wie. Zoey zawsze musi narobić wokół siebie mnóstwo hałasu i jej duch też nie zamierzał odlatywać po cichu. Zastanawiam się jednak, ile z nich poczuło także uderzenie, które ta smarkuła ci wymierzyła, nim opuściła ten padół. - Neferet w zamyśleniu postukała się długim ostrym paznokciem w brodę.

Kalona milczał, usiłując się skupić i połatać poszarpane strzępy swojej duszy, ale ziemia pod jego ciałem była zbyt rzeczywista, a jemu brakło sił, by sięgnąć w górę i nakarmić duszę krążącymi tam widmowymi smużkami Zaświatów.

- Nie, nie sędzę, by któryś to poczuł - kontynuowała Neferet swoim najzimniejszym, najbardziej wyrachowanym tonem. - Żaden wampir nie jest związany z ciemnością ani z tobą tak jak ja. Nieprawdaż, mój drogi?

- Jesteśmy związani w wyjątkowy sposób - zdołał wycharczeć Kalona, pragnąc nagle, by okazało się to nieprawdą.

- Istotnie... - przyznała wciąż zamyślona. Potem nagle oczy jej się rozszerzyły, jakby coś sobie uświadomiła. - Od dawna się zastanawiałam, jak to

możliwe, że ciebie, tak silnego fizycznie nieśmiertelnego, A-ya zdołała zranić dość mocno, by te idiotyczne czirokeskie wiedźmy mogły cię uwięzić. Zdaje się, że mała Zoey dała odpowiedź, którą ty tak skrętnie przede mną ukrywałeś. Twoje ciało można zniszczyć, lecz jedynie poprzez ducha. Czyż to nie fascynujące?

- Wyleczę się - wyrzekł z całą mocą, na jaką tylko było go stać. - Zawieź mnie do zamku na Capri i zabierz na dach, bym był jak najbliżej nieba, a wtedy odzyskam siły.

- Pewnie tak by się stało. Pod warunkiem, że chciałabym to zrobić. Ale mam wobec ciebie inne plany, mój drogi. - Neferet uniosła ramiona i rozłożyła je ponad nim. Mówiąc kolejne słowa, kreśliła rękoma w powietrzu złożone wzory niczym pająk tkający sieć. - Nie pozwolę, by Zoey znów nam przeszkodziła.

- Strzaskana dusza to wyrok śmierci. Zoey już nam nie zagraża - odrzekł Kalona, bacznie obserwując partnerkę, która przywołała do siebie tak dobrze mu znaną kleistą ciemność. Walczył z nią przez stulecia, nim wreszcie poddał się jej zimnej mocy. Teraz ciemność falowała i pulsowała poufale pod palcami Tsi Sgili. „Jakim cudem ona tak łatwo manipuluje ciemnością? - przemknęło mu przez głowę niczym echo żałobnego dzwonu. - Najwyższa kapłanka nie powinna mieć takiej mocy”.

Ale ona nie była już zwykłą kapłanką. Dawno przekroczyła granice tej funkcji i dziś bez problemu władała przywoływaną przez siebie skłębioną pomroką.

Ona staje się nieśmiertelna! Wraz z tą świadomością do żalu, rozpacz i gniewu, które już buzowały w duszy upadłego wojownika Nyks, dołączył strach.

- Można by sądzić, że to wyrok śmierci - przyznała spokojnie Neferet, ściągając do siebie coraz więcej atramentowych smużek - ale Zoey ma denerwujący zwyczaj pozostawiania przy życiu. Tym razem zamierzam dopilnować, by zginęła.

- Dusza Zoey także ma zwyczaj się odradzać - zauważył, celowo próbując zdekoncentrować kapłankę.

- W takim razie będę ją niszczyć, ilekroć się odrodzi! - zapowiedziała rozwścieczona jego słowami, skupiając się jeszcze bardziej. Tkana przez nią ciemność zgęstniała, kłębiąc się wokół ze zdwojoną mocą.

- Neferet. - Próbował do niej dotrzeć poprzez wymówienie jej imienia. - Czy naprawdę pojmujesz, czym próbujesz władać?

Spojrzała mu w oczy i Kalona po raz pierwszy dostrzegł szkarłatną plamę pośrodku jej ciemnych źrenic.

- Naturalnie. Tym, co pomniejsze istoty nazywają złem.

- Nie należę do pomniejszych istot, lecz ja także nazywam to złem.

- Kiedyś może tak było. - Zaśmiała się zjadliwie.

- Ale nie przez ostatnie stulecia. Wygląda jednak na to, że ostatnio za bardzo żyjesz cieniami przeszłości, zamiast się rozkoszować cudowną mroczną potęgą teraźniejszości. I wiem, kto jest tego winny.

Kalona z olbrzymim wysiłkiem podniósł się do pozycji siedzącej.

- Nie. Nie chcę, żebyś się ruszał. - Wycelowwała w niego palec i smużka ciemności owinęła mu się na szyi, zacisnęła, po czym ściągnęła go w dół i przyszpiliła do ziemi.

- Czego ode mnie chcesz? - wychrypiał.

- Chcę, żebyś się udał w Zaświaty za duchem Zoey i dopilnował, by nikt z jej przyjaciół - wyrzekła to słowo szyderczym tonem - nie znalazł sposobu, jak ściągnąć go z powrotem do ciała.

Szok wstrząsnął nieśmiertelnym.

- Nyks wygnała mnie ze swego królestwa. Nie mogę podążyć tam za Zoey.

- Ależ mylisz się, mój drogi. Widzisz, twój problem polega na tym, że myślisz zbyt dosłownie. Nyks cię wygnała, upadłeś, więc nie możesz wrócić. Od wieków w to wierzysz. Owszem, w sensie dosłownym nie możesz tam wrócić. - Westchnęła dramatycznie na widok jego nierozumiejącego spojrzenia.

- Twoje urocze ciało istotnie nie może wrócić, ale czy Nyks mówiła cokolwiek o twojej nieśmiertelnej duszyczce?

- Nie musiała nic mówić. Jeśli dusza zbyt długo przebywa poza ciałem, ciało umiera.

- Przecież twoje ciało nie jest śmiertelne, a to oznacza, że może być oddzielone od duszy nieskończenie długo i nie umrzeć - zauważyła Neferet.

Kalona ze wszystkich sił starał się nie okazać przerażenia, jakim napełniały go jej słowa.

- To prawda, nie mogę umrzeć. Nie oznacza to jednak, że pozostanę bez szwanku, gdy mój duch na zbyt długo opuści ciało.

„Mogę się postarzyć... oszaleć... zmienić w wegetującą skorupę...” - przemykało mu przez głowę. Kapłanka wzruszyła ramionami.

- W takim razie musisz zadbać o to, by szybko wypełnić zadanie i wrócić do swego cudownego ciała, nim szkody staną się nieodwracalne. - Uśmiechnęła się uwodzicielsko. - Bardzo bym nie chciała, żeby cokolwiek się przydarzyło temu ciału, mój drogi.

- Neferet, nie rób tego. Siły, które wykorzystujesz, będą żądały odwzięczenia się w sposób, którego konsekwencji nie chcesz poznać.

- Przestań mi grozić! Wybawiłam cię z niewoli, w którą sam się wpakowałeś. Kochałam cię. A potem musiałam patrzeć, jak latasz za tą mizdrzącą się smarkulą! Chcę ją usunąć ze swego życia! Konsekwencje? Poniosę je z rozkoszą! Nie jestem już słabą, bezradną kapłanką praworządnej bogini! Nie rozumiesz? Gdybyś nie był tak zajęty tą małolată, nie musiałabym ci o tym mówić. Jestem równie nieśmiertelna jak ty, Kalono! - Jej głos był cudownie wzmocniony nadprzyrodzoną mocą. - Idealnie do siebie pasujemy.

Kiedyś ty też tak uważałeś i znów w to uwierzysz, gdy tylko Zoey Redbird przepadnie na zawsze.

Kalona wpatrywał się w nią, rozumiejąc, że ta kobieta doszczętnie oszalała, i zastanawiając się, dlaczego szaleństwo tylko wzmacnia jej potęgę i dodaje urody.

- Oto co postanowiłam - kontynuowała beznamiętnie. - Ukryję twoje seksowne nieśmiertelne ciało bezpiecznie pod ziemią na czas, w którym twoja dusza będzie podróżować po Zaświatach, by na zawsze uniemożliwić Zoey powrót.

- Nyks nigdy na to nie pozwoli! - wybuchnął, nim zdążył się powstrzymać.

- Nyks zawsze każdemu daje wolną wolę. Jako jej była kapłanka nie mam najmniejszych wątpliwości, że pozwoli, byś udał się duchem do jej królestwa - odparła chytrze Neferet. - Pamiętaj, Kalono, moja prawdziwa miłość, że jeśli dopilnujesz, by Zoey umarła, usuniesz ostatnią przeszkodę stojącą na drodze do odzyskania przez nas władzy. Będziemy niepodzielnie panować w tym świecie nowoczesnych cudów. Pomyśl, ujarzmimy ludzi i przywrócimy rządy wampirów z całym ich pięknem, całą pasją i nieograniczoną potęgą. Ziemia będzie nasza! Można powiedzieć, że tchniemy w chwalebny przeszłość nowe życie!

Kalona wiedział, że kobieta celowo wykorzystuje jego słabości. Przeklinał się w duchu za to, że pozwolił, by tyle się dowiedziała o jego najgłębszych pragnieniach. Kiedyś jej zaufał, ona zaś wiedziała, że ponieważ nie jest Erebem, nigdy nie będzie mógł zasiąść u boku Nyks w Zaświatach, a jedyne co może zrobić, to jak najwierniej odtworzyć je we współczesnym świecie.

- Widzisz, mój drogi, myśląc logicznie, twoja wyprawa w Zaświaty po to, by zerwać więzi pomiędzy duszą a ciałem Zoey, jest absolutnie słuszną. Przysłuży się realizacji twoich najwyższych celów - zauważyła Neferet lekkim tonem, jakby rozmawiali o wyborze materiału na nową suknię.

- Jak mam w ogóle odnaleźć tę duszę? - Usiłował się dostroić do jej stylu. - Zaświaty są tak wielkie, że tylko bogowie i boginie potrafią przemierzyć je całe.

Na twarz Neferet powróciła surowość, przy której jej okrutne piękno wręcz napawało grozą.

- Nie udawaj, że nie masz więzi z jej duszą! - Nieśmiertelna Tsi Sgili wzięła głęboki oddech, po czym kontynuowała spokojniej: - Nie ukrywaj przede mną, kochany, że mógłbyś ją odnaleźć, nawet gdyby nikt inny tego nie potrafił. Co wybierasz, Kalono? Rządy na ziemi u mego boku czy pozostanie niewolnikiem przeszłości?

- Chcę rządzić. Zawsze wybiorę władzę - odparł bez wahania.

Ledwie to powiedział, jej twarz się zmieniła. Zielone tęczęwki całkowicie pochłonął szkarłat. Neferet skierowała ku niemu rozjarzone oczy, hipnotyzując go i nie pozwalając mu odwrócić wzroku.

- W takim razie wysłuchaj mnie, Kalono, upadły wojownik Nyks. Przysięgam, że bezpiecznie przechowam twoje ciało. Kiedy Zoey Redbird, adeptka pełniąca funkcję najwyższej kapłanki Nyks, zginie na zawsze, obiecuję uwolnić cię z łańcuchów ciemności i pozwolić twemu duchowi na powrót. Wtedy zabiorę cię na dach naszego zamku na Capri i pozwolę niebu tchnąć w ciebie życie i siłę, byś mógł rządzić tą krainą jako mój małżonek, mój strażnik, mój Ereb. - Patrzył bezradnie, jak kobieta ostrym paznokciem przecina jego prawą dłoń, nabiera krwi i unosi ją w górę. - Z krwi czerpię tę moc, krwią pieczętuję przysięgę!

Ciemność wokół niej zakłębiła się i opadła na jej dłoń, wijąc się, drżąc, spijając krew. Kalona czuł zew tej ciemności, która przemawiała do jego duszy uwodzicielskim, przepełnionym mocą szeptem.

- Tak! - Tym słowem, które samo wydarło się z głębi jego gardła, nieśmiertelny oddał się we władanie zachłannego mroku.

- To był twój wybór - kontynuowała Neferet wzmocnionym magicznie głosem - żeby przypieczętować przysięgę krwią przed obliczem ciemności, ale jeśli mnie zawiedziesz i złamiesz ją...

- Nie zawiodę.

Jej uśmiech był zbyt piękny, by pochodził z tego świata. W oczach wciąż kłębiła się krew.

- Jeśli ty, Kalona, upadły wojownik Nyks, złamiesz przysięgę i nie zrealizujesz zadania polegającego na zniszczeniu Zoey Redbird, młodocianej najwyższej kapłanki Nyks, zachowam władzę nad twoim duchem tak długo, jak długo będziesz nieśmiertelny.

Jego odpowiedź była mimowolna, wymuszona przez kuszącą ciemność, którą przez tyle wieków przedkładał nad światło.

- Jeśli zawiodę, zachowasz władzę nad moim duchem tak długo, jak długo będę nieśmiertelny.

- Przysięgam! - Neferet przecięła sobie dłoń, rysując ostrym paznokciem literę „X”. Miedziany zapach przyplął do Kalony niczym unoszący się z ognia dym, a Neferet znów uniosła dłoń ku ciemności. - Niech się stanie! - Skrzywiła się z bólu, gdy ciemność spijała jej krew, ale nie cofnęła dłoni, póki otaczając ją powietrze nie zaczęło pulsować, nabrzmiałe krwią i przysięgą.

Dopiero wtedy opuściła rękę. Jej język wysunął się jak wąż, by zlizać szkarłatną kreskę i powstrzymać krwawienie. Podeszła do Kalony, pochyliła się i łagodnie przyłożyła dłonie po obu stronach jego twarzy, mniej więcej tak samo jak on na moment przed uśmierceniem ludzkiego chłopaka. Czuł ciemność krążącą w niej i wokół niej niczym rozszalały byk czekający niecierpliwie na rozkaz swojej pani.

Krwistoczerwone wargi kapłanki zatrzymały się o centymetry od jego ust.

- W imię mocy krążącej w moich żyłach i wszystkich śmierci, które zadałam, rozkazuję wam, moje cudowne nici ciemności, wyrwać duszę tego związanego przysięgą nieśmiertelnego z jego ciała i przenieść ją w Zaświaty. Róbcie, co wam każę, a obiecuję, że poświęcę wam życie niewinnej osoby, której nie zdołałyście splamić. Na moje żądanie niechaj tak się stanie!

Wzięła głęboki oddech. Kalona ujrzał, jak przyzwane przez nią ciemne nici prześlizgują się między jej pełnymi czerwonymi wargami. Wdychała ciemność, aż nabrzmiała, a potem przykryła wargami jego usta i wpuściła ciemność w jego ciało z taką siłą, że wyrwała z wnętrza ranną duszę. Krzycząc w bezgłośnej udreće, nieśmiertelny wzniósł się daleko w górę, do królestwa, z którego wygnała go bogini, a jego pozbawione życia ciało, skute spojona przez zło przysięgą, pozostało na ziemi zdane na łaskę Neferet.



## ROZDZIAŁ DRUGI

### *Rephaim*

Dźwięczny werbel brzmiał jak bicie serca nieśmiertelnego: niekończący się, porywający, wszechogarniający. Wibrował w duszy Rephaima zsynchronizowany z biciem serca. Potem zabrzmiały starożytne słowa, owijając się wokół ciała kruka tak, że choć spał, jego puls się dostroił do pradawnej melodii. Kobięce głosy śpiewały:

*Przedwieczny śpi, czekając chwili swej  
Gdy ziemi moc czerwienią świętą łśni  
Zapłonie znak; królowa zbudzi go  
Tsi Sgili z łoża strząśnie deszczem krwi.*

Kusząca pieśń wiła się niczym labirynt.

*Swobodę wróci mu śmiertelna dłoń  
Straszliwe piękno, widok jak ze snu  
By nimi rządzić znów jak czarna moc  
Zastępy dam hołd będą składać mu.*

Pieśń była szeptaną pokusą. Obietnicą. Błogosławieństwem. Klątwą. Wspomnienie tego, o czym opowiadała, zaniepokoiło śpiącego Rephaima, który wzdrygnął się i niczym porzucone dziecko wymamrotał pytająco jedno słowo:

- Ojczy?

Pieśń kończyła się dwuwierszem, którego kruk nauczył się na pamięć przed wiekami.

*Kalony pieśń ach jakże słodko brzmi  
Zimnego żaru rzeź i morze krwi.*

- ...i morze krwi - wyrecytował przez sen. Nie zbudził się, lecz jego puls przyspieszył, dłonie zacisnęły się w pięści, ciało napreżyło. Gdzieś na granicy snu i jawy werbel umilkł, a łagodne kobiece głosy zastąpił jeden męski, głęboki i aż nazbyt znajomy głos.

*Zdrajca... tchórz... kłamca!* - wyliczał z pogardą. Gniewna litania przeniknęła do snu Rephaima i rozbudziła go.

- Ojczy! - siadł gwałtownie, rozrzucając stare gazety i kawałki kartonu, z których uwił sobie gniazdo. - Ojczy, jesteś tu?

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i rzucił się naprzód, skrzypiąc złamanym skrzydłem i próbując coś dostrzec w mroku obitej cedrowym drewnem wnęki.

- Ojczy?

Jego serce zrozumiało, że to nie Kalona, jeszcze zanim widmo ze światła i ruchu ułożyło się w kształt dziecka.

- *Kimże ty jesteś?*

Rephaim wbił w dziewczynkę płonące spojrzenie.

- Znikaj, widziadło!

Zamiast jednak zniknąć, dziewczynka zmrużyła oczy i przyglądała mu się. Wyglądała na zaintrygowaną.

- *Nie jesteś ptakiem, ale masz skrzydła. Nie jesteś chłopcem, ale masz ręce i nogi. Oczy też masz chłopięce, lecz czerwone. Więc kim jesteś?*

Zalała go fala gniewu. Gwałtownym ruchem, który wywołał w jego ciele potworny ból, wyskoczył z wnęki, lądując o kilka stóp od ducha niczym niebezpieczny rozjuszony drapieżca.

- Jestem koszmarem, w który tchnięto życie, zjawo! Odejdź i zostaw mnie w spokoju, nim pokażę ci rzeczy o wiele straszniejsze od śmierci.

Jego gwałtowny ruch sprawił, że dziewczynka cofnęła się o krok, zatrzymując się przy niskim oknie i wciąż obserwując go z zaciekawionym inteligentnym spojrzeniem.

- *Wolałeś ojca przez sen. Słyszałam. Nie oszukasz mnie. Jestem sprytna i mam dobrą pamięć. Poza tym nie możesz mnie przestraszyć, bo jesteś zraniony i samotny.*

I duch dziewczynki obrażonym gestem skrzyżował ręce na chudej piersi, odrzucił do tyłu długie blond włosy, po czym zniknął, pozostawiając go, zgodnie z wypowiedzianymi przed chwilą słowami, zranionego i samotnego-

Rozprostował palce. Jego serce się uspokoiło. Ciężkim chwiejnym krokiem wrócił do prowizorycznego legowiska i oparł głowę o drewnianą ścianę.

- *Żałosne* - mruknął do siebie. - Ulubiony syn pradawnego nieśmiertelnego zmuszony do ucieczki, ukrywania się i rozmawiania z duchem ludzkiego dziecka.

Próbował się roześmiać, ale mu nie wyszło. Echo muzyki ze snu - z przeszłości - wciąż głośno rozbrzmiewało wśród otaczających go ścian. Podobnie jak drugi głos - ten, który niemal na pewno należał do jego ojca.

Nie potrafił dłużej siedzieć. Wstał, ignorując ból ramienia i potworne tortury zadawane mu przez strzaskane skrzydło. Nienawidził słabości, która zawładnęła jego ciałem. Jak długo już tu przebywał, ranny, wyczerpany ucieczką z dworca, skulony w tej wnęcie? Nie pamiętał. Dzień, dwa?

Gdzie ona się podziewa? Mówiła, że przyjdzie w nocy. Czekał w miejscu, gdzie go posłała, była noc, lecz Stevie Rae nie przyszła.

Z prychnięciem pogardy dla samego siebie opuścił wnękę i mijając okno, przy którym zmaterializowała się dziewczynka, przeszedł do drzwi prowadzących na balkon. Kiedy przybył do domu krótko po świcie, instynktownie ukrył się na górnym piętrze. Wielkie skądinąd rezerwy sił kruka

były wówczas na wyczerpaniu i potrafił myśleć jedynie o bezpiecznym schronieniu i śnie.

Teraz jednak był aż nazbyt rozbudzony.

Wpatrywał się w wyludniony teren muzeum. Kilkudniowe opady marznącego deszczu ustały, ale ogromne drzewa na okolicznych wzgórzach miały poskręcane, a często i połamane konary. Rephaim dobrze widział w ciemnościach, jednakże nie dostrzegł na zewnątrz żadnego ruchu. Domy pomiędzy muzeum a centrum Tulsy były niemal równie ciemne jak podczas jego porannej wędrówki. Krajobraz tylko gdzieś tam znaczyły niewielkie światełka, w niczym nie przypominające wielkiej oślepiającej jasności, której nauczył się oczekiwać od nowoczesnych miast. To były zaledwie słabe migoczące świeczki nieporównywalne z majestatem mocy, jaką potrafił wyczarować ten świat.

Oczywiście kruk doskonale wiedział, co się stało. Przewody doprowadzające prąd do domów współczesnych ludzi zostały uszkodzone przez tę samą nawałnicę, która zniszczyła konary drzew. Dla niego było to korzystne. Nie licząc rozsianych tu i ówdzie gałęzi i innych naniesionych śmieci, drogi wydawały się w miarę przejezdne. Gdyby elektryczność nie wysiadła, wraz z nastaniem dnia wokół muzeum i w jego wnętrzu kręciłoby się mnóstwo osób.

- Brak prądu powstrzymuje ludzi - mruknął do siebie Rephaim - Ale co powstrzymuje ją?

Prychnął gniewnie, po czym szarpnięciem otworzył zniszczone drzwi balkonu, instynktownie chcąc się zbliżyć do otwartego nieba, by ukoić jego nerwy. Powietrze było chłodne ciężkie od wilgoci. Nisko nad poszarzałą zimową trawą wisiały ciężkie kłęby mgły, jak gdyby ziemia usiłowała się zasłonić przed jego wzrokiem.

Podniósł oczy i wziął głęboki spazmatyczny oddech. Oddychał niebem, które zdawało mu się nienaturalnie jasne w porównaniu z pograżonym w ciemnościach miastem. Gwiazdy i cienki rogalik znikającego księżyca przyzywały go-

Całe jego jestestwo tęskniło za niebem. Chciał je czuć pod skrzydłami, przenikające przez jego ciemne opierzone ciało, głaszczące go jak matka, której nigdy nie poznał.

Rozłożył zdrowe skrzydło, szerokością przewyższające wzrost dorosłego człowieka. Drugie, chore, zatrzepotało leciutko, wywołując bolesny jęk, z którym Rephaim wypuścił z płuc nocne powietrze.

„Połamane!” - wibrowało mu w głowie.

- Nie. Nie ma pewności - rzekł na głos. Potrząsnął głową, usiłując się pozbyć niezwykłego znużenia, przez które czuł się coraz bardziej bezradny i niesprawny. - Skup się! - zganił siebie. - Czas odnaleźć ojca!

Wciąż był słaby, ale jego umysł nabrał ostrości, jakiej nie miał od chwili upadku. Powinien wykryć jakiś ślad ojca. Choćby nie wiadomo jak bardzo

oddalili się od siebie w przestrzeni i czasie, byli złączeni krwią, duchem, a w szczególności darem nieśmiertelności, który Rephaim odziedziczył po ojcu.

Spojrzał w niebo, myśląc o prądach powietrza, na których od dzieciństwa szybował. Wziął kolejny głęboki oddech, uniósł zdrowe ramię i wyciągnął dłoń, usiłując dotknąć tych ulotnych prądów i ech czekającej tam ciemnej magii z Zaświatów.

- Przynieś mi jego ślad! - zaklinał noc.

Przez chwilę zdawało mu się, że z dalekiego, bardzo dalekiego wschodu nadeszło jakieś wątłe tchnienie. Potem wróciła apatia.

- Dlaczego cię nie znajduję, ojcze? - Sfrustrowany i niezwykle znużony opuścił bezwładnie rękę.

Niezwykle znużony?

- Na wszystkich bogów! - Nagle uświadomił sobie, co wyszło z niego siły, pozostawiając strzaskaną skorupę. Wiedział już, co uniemożliwia mu odnalezienie ścieżki do ojca. - To jej sprawka! - rzucił gniewnie, a oczy zapłonęły mu czerwienią.

Owszem, był ciężko ranny, ale jako syn nieśmiertelnego powinien już zacząć wracać do zdrowia. Odkąd wojownik zestrzelił go z nieba, dwukrotnie spał. Jego umysł się oczyścił, a sen powinien mu pomagać w odzyskiwaniu sił. Nawet jeśli, jak przypuszczał, strzaskane skrzydło było nie do naprawienia, reszta ciała powinna być w znacznie lepszym stanie. Powinien odzyskać siły.

Czerwona piła jego krew. Skojarzyła się z nim! A robiąc to, zakłóciła równowagę obecnej w nim nieśmiertelnej mocy.

Do odczuwanej od dawna frustracji dołączyła furia.

Wykorzystany i porzucony!

Przez nią, tak jak wcześniej przez ojca...

- Nie! - poprawił się natychmiast. Jego ojca wyгнаła młodociana kapłanka. Wróci, kiedy będzie mógł, a wtedy Rephaim znów stanie u jego boku. Jedynie Czerwona wykorzystała go, a potem się go pozbyła.

Dlaczego sama myśl o tym zrodziła w nim ten dziwny ból? Ignorując go, Rephaim uniósł wzrok ku znajomemu niebu. Nie pragnął tego Skojarzenia. Uratował ją tylko dlatego, że zawdzięczał jej życie, a doskonale wiedział, że jednym z prawdziwych niebezpieczeństw tego świata, podobnie jak i tamtego w górze, są niespłacone zobowiązania.

Cóż, ona go uratowała - znalazła, ukryła, a potem uwolniła - lecz na dworcowym dachu Rephaim spłacił dług, pomógł jej uniknąć pewnej śmierci. Nie miał już zobowiązań wobec niej. Był synem nieśmiertelnego, a nie słabym człowiekiem. Nie wątpił, że potrafi się pozbyć Skojarzenia, tego żalosego produktu ubocznego ratowania życia dziewczyny. Wykorzysta pozostałości swojej siły, by je zlikwidować, po czym zacznie naprawę zdrowieć.

Wciągnął w płuca kolejny haust nocnego nieba i nie zważając na fizyczną słabość, wyteżył całą swoją wolę.

- Przynależnym mi z urodzenia prawem przywołuję moc ducha pradawnych nieśmiertelnych, by zerwała...

Zalała go fala rozpacz. Zachwiał się i wsparł o barierę balkonu. Smutek przenikał całe jego ciało z siłą, która rzuciła go na kolana. Z trudem łapał oddech, próbując się przedrzeć przez ból i szok.

Co się dzieje?

Zaraz potem wypełnił go dziwny obcy lęk. Wtedy Rephaim zrozumiał.

- To nie moje!... - rzekł do siebie, szukając równowagi wśród kłębiącej się w nim cudzej rozpacz. - To jej uczucia!

W ślad za lękiem przysła bezradność. Broniąc się przed nieprzerwanym szturmem, z trudem wstał i usiłował oddalić od siebie emocje Stevie Rae. Uparcie ignorując ciągły atak i własne znużenie, skoncentrował się na szukaniu siedliska mocy, które u większości ludzi było niedostępne i uszione - miejsca, do którego klucz dzierżyła jego krew.

Znow rozpoczął inwokację, tyle że teraz z zupełnie innym zamiarem.

Później miał sobie tłumaczyć, że zareagował instynktownie; że działał pod wpływem Skojarzenia, które okazało się silniejsze, niż sądził. To ta przeklęta więź kazała mu wierzyć, że najpewniejszym, najszybszym sposobem na przerwanie tego potwornego naporu emocji Czerwonej będzie sprowadzenie jej do siebie i tym samym odciążenie od tego, co sprawia jej ból - cokolwiek to było.

Na pewno nie wchodziła tu w grę jego troska o nią. To było absolutnie niemożliwe.

- Przynależnym mi z urodzenia prawem przywołuję moc ducha pradawnych nieśmiertelnych - mówił szybko, lekceważąc targający udreżonym ciałem ból i przyciągając do siebie energię z najgłębszej ciemności nocy, wpuszczając ją w siebie i wzmacniając nieśmiertelnością. - W imię mojego ojca Kalony, który tchnął moc w moją krew i mego ducha, posyłam cię do mojej... - Urwał. „Mojej”? Ona nie jest żadną „moją”. Jest... jest... - Posyłam cię do Czerwonej! Do najwyższej kapłanki zagubionych wampirów - wykrztusił wreszcie. - Jest ze mną związana Skojarzeniem i obustronnym długiem życia. Idź do niej. Wzmocnij ją. Przeprowadź ją do mnie. Rozkazuję ci w imię nieśmiertelnej części mego jestestwa!

Czerwona mgiełka natychmiast się rozproszyła i odleciała na południe - w kierunku, z którego przybył. Poleciała po nią.

Spojrzał w tamtą stronę i czekał.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### *Stevie Rae*

Zaraz po przebudzeniu czuła się jak jeden wielki stos łąjna. Gorzej: jak jeden wielki stos zestresowanego łąjna.

Skojarzyła się z Rephaimem!

Omal nie spłonęła na dachu!

Przez głowę przemknął jej doskonały odcinek z drugiego sezonu *Czystej krwi*, w którym Godrick spalił się na fikcyjnym dachu. Parsknęła śmiechem.

- W telewizji to się wydawało znacznie łatwiejsze.

- Co?

- Dallas, do licha ciężkiego! Chcesz, żebym zawału dostała? - Zaciśnęła palce na białym prześcieradle, którym była przykryta. - Co ty tu robisz, do jasnej ciasnej?

Chłopak zmarszczył brwi.

- O rany, weź się opanuj. Przyszedłem zaraz po zmroku, żeby zobaczyć, jak się czujesz, a Lenobia powiedziała, że mogę poczekać, aż się zbudzisz. Coś taka nerwowa?

- Omal nie umarłam! Chyba mam prawo być trochę zdenerwowana.

Spłoszony Dallas przysunął krzeselko bliżej łóżka i wziął ją za rękę.

- Wybacz. Masz rację. Przepraszam. Naprawdę się przestraszyłem, jak Erik opowiedział wszystkim, co się stało.

- Co konkretnie powiedział?

Jego miłe brązowe oczy pociemniały.

- Że omal nie spłonęłaś na dachu.

- No właśnie. To było potwornie głupie. Potknęłam się, przewróciłam i uderzyłam w głowę. - Musiała odwrócić wzrok. - Jak się obudziłam, byłam już prawie grzanką.

- Jasne. Bzdury.

- Co?

- Zachowaj te brednie dla Erika, Lenobii i całej reszty. Ci gnoje chcieli cię zabić, co?

- Dallas, o czym ty gadasz? - Próbowała wyrwać dłoń z jego uścisku, lecz trzymał mocno.

- Hej - powiedział łagodnie, dotykając jej twarzy i zmuszając ją, by znów na niego spojrzała. - To ja. Wiesz, że możesz powiedzieć mi prawdę, a ja nikomu nie wygadam.

Westchnęła przeciągle.

- Nie chcę, żeby Lenobia i inni się dowiedzieli. Zwłaszcza niebiescy adepci.

Dallas długo się w nią wpatrywał.

- Nic nikomu nie powiem, ale musisz wiedzieć, że moim zdaniem popełniasz wielki błąd. Nie możesz ich dalej chronić.

- Nie chronię ich! - zaprotestowała. Tym razem to ona mocno trzymała dodając otuchy ciepłą dłoń Dallasa, usiłując zakomunikować mu poprzez dotyk coś, czego nigdy nie mogłaby powiedzieć. - Po prostu chcę to rozwiązać po swojemu. Jeśli ktoś się dowie, będzie próbował mnie tu zatrzymać i sprawa wymknie mi się z rąk.

„Co będzie, jeśli Lenobia złapie Nicole i jej bandę, a oni powiedzą jej o Rephaimie?” - szeptało jej sumienie.

- I co chcesz z nimi zrobić? Nie możesz puścić im tego płazem.

- Nie puszczę. Ale to ja za nich odpowiadam, więc sama się z nimi rozprawię.

Dallas uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Skopiesz im tyłki, co?

- Coś w tym stylu - odpowiedziała, w rzeczywistości nie mając pojęcia, co w tej sprawie robi. Szybko zmieniła temat. - Słuchaj no, która godzina? Umieram z głodu.

Roześmiał się i wstał.

- Wreszcie mówisz jak moja dziewczyna! - Ucałował ją w czoło i odwrócił się do małej lodówki wciśniętej w metalowy regał na drugim końcu pokoju. - Lenobia mówiła, że znajdziemy tam parę woreczków krwi. Stwierdziła, że sądząc po twoim mocnym śnie, zdrowiejesz w ekspresowym tempie i pewnie po przebudzeniu będziesz głodna jak wilk.

Kiedy Dallas poszedł po krew, Stevie wstała i ostrożnie zerknęła pod szpitalną koszulę, niemile zaskoczona sztywnością własnych ruchów. Spodziewała się najgorszego. Kiedy Lenobia i Erik wyciągnęli ją z norki wykopanej w ziemi, miała plecy jak spalony hamburger.

Odciągnęli ją od Rephaima...

„Przestań teraz o tym myśleć! - ofuknęła się. - Skup się na...”

- O cholera! - szepnęła z zachwytem, patrząc na tę część własnych pleców, którą była w stanie dostrzec. Już nie wyglądały jak hamburger. Były jasnoróżowe jak od poparzenia słonecznego, lecz gładkie niczym skóra niemowlęcia.

- Niesamowite - przyznał cicho Dallas. - To prawdziwy cud.

Podniosła na niego wzrok. Długo patrzeli sobie w oczy.

- Nieźle mnie wystraszyłaś, dziewczyno - rzekł Dallas. - Nie rób tego więcej, zgoda?

- Postaram się - odparła łagodnie.

Chłopak pochylił się i ostrożnie musnął czubkami palców zaróżowioną skórę na ramieniu Stevie.

- Boli jeszcze?

- Niespecjalnie. Tylko czuję się strasznie sztywna.

- Niesamowite - powtórzył. - Wiem, że sen pomaga odzyskać zdrowie, ale byłaś naprawdę ciężko ranna i nie spodziewałem się, że tak...

- Jak długo spałam? - przerwała mu, zastanawiając się, co będzie, jeśli się okaże, że była nieprzytomna przez wiele dni. Co pomyślał Rephaim, kiedy się nie zjawiała? Gorzej: co zrobił?

- Tylko dzień.

Zalała ją fala ulgi.

- Jeden dzień? Serio?

- No, trochę dłużej, bo jest już parę godzin po zmierzchu. Przynieśli cię wczoraj po wschodzie słońca. Wyglądało to dramatycznie. Erik przejechał hummerem przez teren szkoły, rozwalił płot i wjechał prosto do stajni. Wszyscy miotaliśmy się jak wariaci, żeby czym prędzej zanieść cię do szpitala.

- Tak, z hummera nawet zadzwoniłam do Zo i czułam się prawie dobrze, ale potem jakby ktoś zgasił światła. Chyba zemdlałam.

- Na sto procent.

- Trochę szkoda. - Pozwoliła sobie na uśmiech. - Chętnie obejrzałabym całe to przedstawienie.

- Fakt. - Wyszczrzył się. - O tym właśnie sobie pomyślałem, jak już przestałem się zamartwiać, że wykitujesz.

- Nie wykituję - stwierdziła stanowczo.

- Miło mi to słyszeć. - Pochylił się, chwycił Stevie delikatnie za brodę i ucałował leciutko w usta.

Cofnęła się instynktownie.

- Co z tą krwią? - zapytała szybko.

- Właśnie. - Dallas wzruszył ramionami w odpowiedzi na odtrącenie, lecz gdy podawał jej woreczek, miał nienaturalnie zaróżowione policzki. - Przepraszam, nie zastanowiłem się. Wiem, że jesteś ranna i nie masz ochoty na... no wiesz... - Umilkł, wyglądając, jakby chciał się zapaść pod ziemię.

Stevie Rae wiedziała, że powinna jakoś to załagodzić. W końcu coś ją z tym chłopakiem łączyło. Był słodki i pomysłowy, a do tego dowiódł, że ją rozumie, stojąc ze skruszoną miną i głową opuszczoną w ten specyficzny sposób, który upodabniał go do małego chłopca. W dodatku był przystojny - wysoki i szczupły, z odpowiednio wyrobionymi muskularni i piaskowymi włosami. Naprawdę lubiła się z nim całować. Przynajmniej kiedyś.

A teraz?

Jakiś nowy rodzaj niepokoju powstrzymał ją przed wypowiedzeniem słów pocieszenia. Zamiast się odezwać, wzięła z rąk Dallasa woreczek, oderwała róg i wychłęptała zawartość, czując, jak krew spływa jej do gardła i żołądka, by stamtąd promieniować do reszty ciała niczym supermocny red buli.

Choć tego nie chciała, gdzieś w głębi duszy dokonała porównania tej zwykłej, pochodzącej od śmiertelnika krwi z krwią Rephaima, która poraziła ją niczym energetyzujący, rozgrzewający piorun.



Nieznacznie drżącą ręką otarła usta i w końcu podniosła wzrok na Dallasa.

- Lepiej? - zapytał, najwyraźniej niezrażony jej dziwnym zachowaniem. Znów był znajomym słodkim Dallasem.

- Mogę jeszcze?

Uśmiechnął się i podał jej kolejny woreczek.

- Przewidziałem to, mała.

- Dzięki. - Odczekała chwilę, nim wychleptała drugą porcję. - Nie czuję się jeszcze idealnie, wiesz?

Skinął głową.

- Wiem.

- Między nami wszystko gra?

- Jasne - powiedział. - Jeśli u ciebie gra, to i u mnie.

- To pomoże. - Przechyliła woreczek do ust. W tym momencie do sali weszła Lenobia.

- Śpiąca Królowna w końcu się zbudziła - rzekł do niej Dallas.

Stevie Rae szybko przełknęła ostatnią kroplę krwi i obróciła się w stronę drzwi, ale gdy tylko ujrzała twarz Lenobii, powitalny uśmiech natychmiast zamarł jej na ustach.

Nauczycielka miała opuchnięte od płaczu oczy.

- Na boginię, co się stało? - Stevie była tak wstrząśnięta rozpaczą tej opanowanej zwykle kobiety, że instynktownie poklepała brzeg łóżka, zapraszając ją, by usiadła, tak jak niegdyś robiła jej mama, gdy córeczka się skaleczyła i przybiegała do niej zapłakana.

Lenobia zrobiła kilka sztywnych kroków, lecz zamiast usiąść, stanęła przy łóżku i wzięła głęboki oddech, jakby się szykowała do zrobienia czegoś strasznego.

- Mam wyjść? - zapytał z wahaniem Dallas.

- Nie. Zostań. Możesz być jej potrzebny - powiedziała zachrypniętym, łamiącym się głosem, po czym spojrzała dziewczynie w oczy. - Chodzi o Zoey. Coś jej się stało.

Stevie poczuła natychmiastowy ucisk w żołądku i nim zdążyła się powstrzymać, wykrzyknęła:

- Niemożliwe! Dzwoniłam do niej, pamiętasz? Kiedy wyjeżdżaliśmy z dworca, zanim straciłam przytomność. To było zaledwie wczoraj!

- Moja przyjaciółka Erce, która asystuje Najwyższej Radzie, od paru godzin usiłowała się ze mną skontaktować. Byłam tak nierozważna, że zostawiłam telefon w hummerze, więc dopiero przed chwilą do niej oddzwoniłam. Kalona zabił Heatha.

Cholera! - wyrwało się Dallasowi.

Stevie zignorowała go, wbijając wzrok w Lenobię. Ojciec Rephaima zabił Heatha! Ucisk w żołądku z każdą sekundą narastał.

- Zoey żyje. Czułabym, gdyby umarła.

- Żyje, ale widziała śmierć chłopaka. Usiłowała powstrzymać Kalonę, lecz nie zdołała. To ją rozbiło, Stevie Rae! - Łzy znów pociekły po alabastrowych policzkach nauczycielki.

- Rozbiło? Co to znaczy?

- Choć jej ciało wciąż oddycha, opuściła je dusza. Kiedy dusza najwyższej kapłanki ulega rozbiciu, ciało wkrótce musi za nią podążyć.

- Podążyć? Nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że Zoey zniknie?

- Nie - odparła urywanym głosem Lenobia. - Umrze.

Stevie poruszała głową w przód i w tył, w przód i w tył.

- Nie. Nie. Nie! Musimy ją tu sprowadzić i wyleczyć.

- Nawet jeśli sprowadzimy jej ciało, Zoey nie wróci. Musisz się na to przygotować, Stevie Rae.

- Nigdy! - wrzasnęła Stevie. - To niemożliwe! Dallas, podaj mi dzinsy i resztę ciuchów. Muszę się natychmiast dowiedzieć, jak jej pomóc. Ona nie położyła na mnie krzyżyka, to i ja na niej nie położę.

- Nie chodzi o ciebie - odezwał się od strony otwartych drzwi Smok Lankford. Twarz wciąż miał ściągniętą i zrozpaczoną z powodu niedawnej śmierci żony, ale mówił spokojnie i pewnie. - Chodzi o to, że Zoey przeżyła stratę, której nie była w stanie znieść. Wiem, co to strata. Gdy dusza ulega rozbiciu, nie może odnaleźć drogi powrotnej do ciała, a ciało pozbawione ducha umiera.

- Nie, to niemożliwe. To jakiś sen - jęknęła Stevie.

- Jesteś pierwszą najwyższą kapłanką wśród czerwonych wampirów. Musisz znaleźć w sobie siłę, by znieść tę stratę. Będiesz potrzebna swoim ludziom - rzekł Smok.

- Nie wiemy, dokąd uciekł Kalona ani jaką rolę w tych wydarzeniach odgrywa Neferet - dodała Lenobia.

- Wiemy jedynie, że śmierć Zoey byłaby dla nich idealnym momentem do uderzenia na nas - dokończył Smok.

„Śmierć Zoey”... Te dwa słowa zawibrowały w głowie Stevie Rae, pozostawiając po sobie szok, strach i rozpacz.

- Dysponujesz potężną mocą. Dowodzi tego szybkość, z jaką zdrowiejesz - zauważyła Lenobia. - A my będziemy potrzebowali wszelkiej dostępnej mocy, by okiełznać ciemność, która z całą pewnością wkrótce w nas uderzy.

- Zapanuj nad rozpaczą i przejmij obowiązki Zoey - powiedział Smok.

- Nikt nie może jej zastąpić! - krzyknęła Stevie.

- Nie mówimy, że masz ją zastąpić. Prosimy jedynie, byś pomogła pozostałym wypełnić pustkę, którą ona po sobie zostawiła - wyjaśniła Lenobia.

- Muszę... muszę się zastanowić - zawahała się Stevie. - Zostawicie mnie na chwilę samą? Chcę się ubrać i pomyśleć.

- Oczywiście - rzekła Lenobia. - Idziemy do sali zebrań. Przyjdź tam, kiedy będziesz gotowa.

Szermierz i mistrzyni jeździectwa zdecydowanym mimo rozpaczliwym krokiem opuścili szpitalną salkę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Dallas, podchodząc do dziewczyny i biorąc ją za rękę.

Uścisnęła jego dłoń, po czym zaraz ją puściła.

- Gdzie moje ubranie?

- Znalazłem je w tej szafce. - Wskazał głową jedną z części segmentu ustawionego wzdłuż przeciwległej ściany.

- Świetnie, dzięki - rzuciła szybko. - Musisz wyjść, żebym mogła się ubrać.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - zauważył, przyglądając się jej bacznie.

- Nie, nie czuję się dobrze. I na pewno się tak nie poczuje, jeśli nie przestanę mi mówić, że Zoey umrze.

- Stevie Rae, ja też słyszałem, co się dzieje, kiedy dusza opuszcza ciało. Człowiek umiera - powiedział, starając się, by to zabrzmiało jak najłagodniej.

- Nie tym razem - odparła Stevie. - A teraz znikaj stąd, chcę się ubrać.

Westchnął.

- Zaczekam za drzwiami.

- Doskonale. Zaraz będę gotowa.

- Spokojnie, mała - rzekł łagodnie chłopak. - Ja zaczekam.

Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, Stevie bynajmniej nie zerwała się z łóżka i nie zaczęła gorączkowo ubierać. Zamiast tego równie gorączkowo wertowała w myślach *Va-demecum adepta*, zatrzymując się na niesamowicie smutnej opowieści o starożytnej kapłance, której dusza uległa zniszczeniu. Nie pamiętała wiele. Tylko to, że kapłanka umarła, choć wszyscy stawali na głowie, by ją uratować.

- Najwyższa kapłanka umarła - szepnęła do siebie Stevie. A Zoey nie była nawet prawdziwą dorosłą kapłanką. Wciąż była tylko adeptką. Jak zdoła odnaleźć powrotną drogę do swego ciała po czymś, co zabiło nawet pełnoprawną najwyższą kapłankę?

To było absolutnie niewykonalne.

Ale dlaczego? Przeżyły razem tyle trudnych chwil, a teraz Zoey tak po prostu ma umrzeć? Stevie Rae nie chciała w to uwierzyć. Miała ochotę walczyć, krzyczeć, pragnęła szukać sposobu na uratowanie przyjaciółki. Tylko jak to zrobić? Zo była we Włoszech, a ona w Tulsie. Do diabła! Nie potrafiła uratować denerwującej bandy czerwonych adeptów, więc jak może myśleć, że zdoła coś zrobić w sprawie duszy Zoey, roztrzaskanej i wyrzuconej z ciała?

Nie mogła nawet ujawnić nikomu prawdy o tym, że skojarzyła się z synem istoty, która spowodowała tę tragedię.

Ogarnął ją potworny smutek. Skuliła się, przycisnęła poduszkę do piersi i nawijając jasny loczek na palec, jak wtedy gdy była mała, rozplakała się. Wstrząsana szlochom ukryła twarz w poduszce, by Dallas niczego nie usłyszał, i

do reszty pograżyła się w szoku, przerażeniu i bezbrzeżnej, wszechogarniającej rozpacz.

Gdy wydawało jej się, że nie ma już żadnej nadziei, powietrze wokół niej zawirowało, niemal jakby ktoś zbił szybę i wpuścił chłodny wiatr. Początkowo nie zwracała na to uwagi, zbyt pochłonięta swoim cierpieniem, ale wietrzyk był uparty - łagodnie i zdumiewająco przyjemnie głąskał świeżą różową skórę odkrytych pleców, aż wreszcie Stevie się rozluźniła i z ulgą przyjmowała ten niespodziewany dotyk.

Dotyk?... Przecież kazała Dallasowi czekać na zewnątrz!

Poderwała głowę, obnażając zęby, by warknąć na chłopaka, lecz pokój był pusty.

Była sama. Zupełnie sama.

Ukryła twarz w dłoniach. Czyżby przez ten wstrząs kompletnie zwariowała? Nie ma na to czasu! Musi wstać, ubrać się i wyjść stąd, by stawić czoło prawdzie o tym, co się stało z Zoey, a także zająć się czerwonymi adeptami, Kaloną i wreszcie - na samym końcu - Rephaimem.

Rephaim...

Jego imię zadźwięczało w powietrzu niczym kolejna pieśczoćta, głąszcząc jej skórę, owijając się wokół ciała. Nie tylko dotykając jej pleców, lecz zsuwając się po ramionach, oplatając talię i nogi. Chłód tego dotyku natychmiast pomniejszał ból. Tym razem spokojniej podniosła głowę. Otarła oczy i spojrzała w dół na swoje ciało.

Otoczająca ją mgiełka składała się z maleńkich połyskujących kropelek o barwie identycznej z barwą jego oczu.

- Rephaim... - wyszeptała wbrew sobie.

*On cię wzywa...*

- Co się tu, u diabła, dzieje? - wymamrotała z gniewem.

*Idź do niego...*

- Iść do niego? - zapytała z narastającą wściekłością. - Po tym, co zrobił jego ojciec?

*Idź do niego...*

W ogniu bitwy między chłodną pieśczoćtą a rozpaloną furią ubierała się szybko. Pójdzie do Rephaima, ale tylko po to, aby się dowiedzieć czegoś, co pomoże uratować Zoey. Jako syn niebezpiecznego, potężnego nieśmiertelnego kruk z pewnością posiada zdolności, o których ona nie ma pojęcia. Krążąca wokół niej czerwona mgiełka niewątpliwie pochodziła od niego i musiała się składać z jakiegoś rodzaju ducha.

- Świetnie - rzekła do niej Stevie. - Pójdę.

Ledwie wypowiedziała te słowa, mgiełka wyparowała, pozostawiając jedynie chłód na skórze i dziwne, jakby pochodzące z innego świata poczucie spokoju.

Pójdzie do niego, a jeśli Rephaim nie zdoła jej pomóc, zabije go, nie bacząc na Skojarzenie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### *Afrodyta*

- Erce, powtórzę to jeszcze tylko raz. Mam gdzieś wasze durne zasady. Tam - wskazała wypielegnowanym palcem zamknięte kamienne drzwi - jest Zoey. A to oznacza, że ja muszę tam wejść.

- Afrodyto, jesteś człowiekiem. Nie jesteś nawet partnerką wampira. Nie możesz tak po prostu wpaść do sali obrad Najwyższej Rady z całą swoją młodzieńczą histerią śmiertelniczką, zwłaszcza w tak kryzysowym momencie. - Zmierzyła chłodnym spojrzeniem jej potargane włosy, mokrą od łez twarz i zaczerwienione oczy. - Rada sama zaprosi cię do środka. Prawdopodobnie. Ale na razie musisz czekać.

- Nie ma mowy o żadnej histerii - wycedziła Afrodyta z przesadnym spokojem, jakby w ten sposób mogła przekłamać fakt, że gdy Stark niosący bezwładne ciało Zoey wszedł do sali w towarzystwie Dariusa, Damiana, Bliźniaczków, a nawet Jacka, ją pozostawiono na zewnątrz właśnie z powodu jej „młodzieńczej histerii śmiertelniczką”. Nie potrafiła dotrzymać kroku pozostałym między innymi dlatego, że była zapłakana i zasmarkana w stopniu niemal uniemożliwiającym widzenie i oddychanie. Nim zdążyła się opanować, zatrzęsnięto jej drzwi przed nosem i postawiono na straży te durną Erce.

Ta jednak była w wielkim błędzie, jeśli sądziła, że Afrodyta nie potrafi sobie poradzić z zadzierającą nosa dorosłą babą. Kto jak kto, ale ona została wychowana przez kobietę, przy której Erce nie była groźniejsza niż jakaś pieprzona Mary Poppins.

- A więc uważasz, że jestem tylko człowiekiem? - zapytała, podchodząc tak blisko, że wampirka instynktownie się cofnęła. - Wielkie dzięki. Jestem wieszczką Nyks. Pamiętasz ją? Nyks, twoja bogini i szefowa. Nie muszę robić za lodówkę jakiegoś wampirskiego palanta, żeby stanąć przed obliczem Najwyższej Rady. Bogini dała mi do tego prawo. Więc zejź mi z drogi, do cholery!

- Choć dziewczyna mogłaby to wyrazić bardziej uprzejmie, zasadniczo ma rację. Wpuść ją, Erce. Jeśli rada będzie niezadowolona, wezmę odpowiedzialność na siebie.

Na dźwięk gładkiego głosu Neferet Afrodyta poczuła, jak włoski na rękach stają jej dęba.

- To nie jest w zwyczaju - zauważyła Erce, choć było jasne, że nie będzie się opierać.

- Roztrzaskiwanie dusz adeptów też nie jest w zwyczaju - skontrowała kapłanka.

- Muszę się z tobą zgodzić - przyznała Erce i otworzyła grube kamienne drzwi. - Ale od teraz to ty odpowiadasz za obecność tej ludzkiej dziewczyny w sali obrad.

- Dziękuję, Erce. Bardzo to miłe z twojej strony. Przy okazji: poprosiłam kilku wojowników rady, by dostarczyli coś na salę. Nie utrudniaj im wejścia, dobrze?

Afrodyta nawet nie zerknęła na wampirkę mamroczącą pod nosem „Oczywiście, kapłanko”, tylko od razu wmaszerowała do środka starożytnej budowli.

- Czy to nie dziwne, że kiedyś byliśmy sprzymierzeńcami, moje dziecko? - usłyszała za sobą głos Neferet.

- Nigdy nimi nie będziemy. I nie jestem dzieckiem - odpowiedziała, nie odwracając się ani nie zwalniając kroku.

Z holu kolejne drzwi prowadziły do wielkiego kamiennego amfiteatru otoczonego rzędami siedzeń. Wzrok Afrodyty natychmiast pobiegł ku znajdującemu się dokładnie naprzeciw mej witrażowi, który przedstawiał otoczoną precudnym pentagramem Nyks z uniesionymi rękoma obejmującymi półksiężyc.

- Prawda, że piękny? - zapytała lekkim tonem Neferet. - Wszystkie wielkie dzieła sztuki na świecie są tworzone przez wampiry.

Nadal nie zaszczycając kapłanki spojrzeniem, Afrodyta wzruszyła ramionami.

- Wampiry mają pieniądze, a za nie można kupić wszelkie błyskotki, zarówno ludzkie, jak i nieludzkie. Skąd wiesz że ten witraż zrobiły wampiry? Owszem, jesteś stara, ale nie aż tak. - Po czym ignorując protekcyjny śmiech Neferet spojrzała w stronę środka sali. W pierwszej chwili niezupełnie zrozumiała, na co patrzy, a gdy już to do niej dotarło poczuła się, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch

Pośrodku sali stało siedem rzeźbionych marmurowych tronów na ogromnej trybunie. Jednakże nie siedzące na nich wampirki przykuły jej uwagę. Nie mogła odwrócić wzroku od Zoey leżącej na podwyższeniu przed tronami niczym zwłok, na katafalku. Obok niej klęczał Stark zwrócony do Afrodyty profilem. Nie wydawał najlżejszego dźwięku lecz łzy strumieniami spływały mu po twarzy i wsiąkały w koszulę. Darius stał przy nim, mówiąc coś do siedzącej na Pierwszym tronie brunetki z przetykanymi siwizną gęstymi włosami. Damien, Jack, Bliźniaczki siedzieli stłoczeni jak stado baranków na krzesłach w pobliskim rzędzie, rycząc wniebogłosy. Ich głośna rozpacz różniła się od milczącego cierpienia Starka jak ocean od szemrzącego potoku

Afrodyta instynktownie ruszyła naprzód, ale Neferet schwyciła ją za nadgarstek, w końcu zmuszając, aby się odwróciła i spojrzała jej w oczy?

- Naprawdę powinnaś mnie puścić - powiedziała cicho dziewczyna.

Kapłanka uniosła brwi.

- Czyżbyś się nauczyła odmawiać zastępczej matce?

Gniew płonął cicho w sercu Afrodyty.

- Nie jesteś niczyją zastępczą matką. A sprzeciwiać się sukrom umiem od dawna.

Neferet zmarszczyła brwi i puściła ją.

- Nigdy nie podobał mi się twój rynsztokowy język.

- Nie jest rynsztokowy. Oddaje istotę rzeczy, a to co innego. Poza tym mam w dupie, czy ci się coś podoba czy nie. - Neferet wzięła oddech, by odpowiedzieć, Afrodyta jednak nie dopuściła jej do głosu. - I co ty tu w ogóle, kurwa, robisz?

Kapłanka zamrugła ze zdumienia.

- Przyszłam, żeby się zająć ranną adeptką.

- Daj spokój! Komu chcesz wcisnąć ten kit? Przyszłaś tu, bo skusiło cię coś, czego pragniesz. Zawsze tak postępujesz, Neferet, nawet jeśli one o tym nie wiedzą. - Wskazała brodą członkinie Najwyższej Rady.

- Lepiej uważaj, Afrodyto. W najbliższej przyszłości mogą ci być potrzebna.

Spokojnie wytrzymała spojrzenie Neferet, ze zdumieniem zauważając, że oczy kapłanki się zmieniły. Nie miały już wyrazistej szmaragdowozielonej barwy. Pociemniały i... czy tylko jej się zdawało, czy w samym ich środku jarzyły się czerwone ogniki? Ledwo ta myśl zrodziła się w głowie Afrodyty, kobieta mrugnęła i jej oczy ponownie przybrały kolor drogich klejnotów.

Dziewczyna spazmatycznie wciągnęła powietrze, czując, jak włoski na rękach znów jej się podnoszą, ale odezwała się beznamiętnym drwiącym tonem:

- Trudno. Spróbuję sobie poradzić bez twojej pomocy. - Przy ostatnim słowie narysowała w powietrzu znak cudzysłowu.

- Neferet, rada pozwala ci wejść!

Kapłanka zwróciła się twarzą do rady, lecz nim zeszła po schodkach, by się do niej zbliżyć, wskazała wdzięcznym gestem Afrodytę.

- Proszę radę o zezwolenie na obecność tej ludzkiej istoty. To Afrodyta, dziewczyna, która twierdzi, że jest wieszczką Nyks.

Afrodyta minęła ją i po kolei spoglądała w oczy każdej członkini rady.

- Nie twierdę, że jestem wieszczką Nyks. Jestem nią, bo bogini sobie tego życzy. Gdybym miała wybór, nie przyjąłabym tej pracy. - Nie przerwała, choć kilka spośród zasiadających w radzie kapłanek wydało zdumione okrzyki. - Nawiasem mówiąc, nie powiem wam niczego, o czym Nyks by jeszcze nie wiedziała.

- Bogini wierzy w Afrodytę, nawet jeśli Afrodyta niezupełnie wierzy w siebie - dodał Darius.

Uśmiechnęła się do niego. Był kimś więcej niż tylko jej potężnym, przystojnym i niezłomnym wojownikiem. Mogła na niego liczyć. Zawsze dostrzegał w niej to co najlepsze.

- Dariusie - zwróciła się do niego brunetka - dlaczego wstawiasz się za tą ludzką dziewczyną?

- Duantio, wstawiam się za tą wieszczką - bardzo wyraźnie wymówił ostatnie słowo - ponieważ złożyłem jej ślubowanie wojownika.

- Ślubowanie wojownika? - Neferet nie zdołała ukryć zdumienia. - Ale to oznacza...

- Oznacza, że nie mogę być w stu procentach człowiekiem, bo wampirski wojownik nie może się związać takim ślubowaniem z istotą ludzką - dokończyła za nią Afrodyta.

- Możesz wejść do sali, Afrodyto, wieszczko Nyks. Rada uznaje twoje prawo - oznajmiła Duantia.

Afrodyta pospiesznie zeszła po schodkach, pozostawiając Neferet w tyle. Chciała natychmiast podejść do Zoey, intuicja jednak kazała jej się zatrzymać przed brunetką, którą nazywano Duantią. Uroczyście przyłożyła pięść do serca i pokłoniła się z szacunkiem.

- Dziękuję za zgodę na wejście.

- Wyjątkowe czasy wymagają od nas wyjątkowych praktyk - odparła wysoka szczupła wampirka o oczach barwy nocy.

Afrodyta nie bardzo wiedziała, jak na to zareagować, więc tylko skinęła głową i podeszła do Zoey. Ujęła Dariusza za rękę i ścisnęła mocno, pragnąc się wesprzeć odrobiną jego niesamowitej siły. Potem opuściła wzrok na przyjaciółkę.

To nie było złudzenie! Tatuże Zoey naprawdę zniknęły. Pozostał jedynie zwyczajnie wyglądający kontur półksiężyca pośrodku czoła. I do tego była taka blada! „Wygląda na martwą” - pomyślała Afrodyta i natychmiast skarciła się za tę myśl. Zoey nie była martwa. Oddychała. Jej serce wciąż biło. Nie była martwa. Nie była martwa.

- Czy bogini coś ci objawia, gdy na nią patrzysz, wieszczko? - zapytała chuda kobieta, która już wcześniej się do niej zwróciła.

Afrodyta puściła dłoń Dariusza i powoli przyklękła obok Zoey. Zerknęła na klęczącego naprzeciwko Starka, ale nawet się nie poruszył. Ledwie mrugnął. Wciąż tylko płakał cicho i wpatrywał się w Zoey. „Czy tak samo wyglądałby Darius, gdyby to przytrafiło się mnie?” - przemknęło jej przez głowę, lecz szybko odpędziła od siebie tę makabryczną myśl, wyciągnęła powoli dłoń i położyła ją na ramieniu przyjaciółki.

Skóra Zoey była chłodna, jakby dziewczyna naprawdę już nie żyła. Afrodyta czekała, aż coś się stanie, ale nie doznała nawet przebłysku wizji, przecucia czy czegokolwiek innego.

Z westchnieniem frustracji potrząsnęła głową.

- Nie. Nic nie czuję. Nie mam kontroli nad swoimi wizjami. Po prostu mnie atakują, czy tego chcę czy nie, a szczerze mówiąc, zwykle prawdą jest to drugie.

- Nie wykorzystujesz wszystkich darów, jakie otrzymałaś od bogini, wieszczko.



Zdumiona podniosła wzrok znad ciała Zoey. Ciemnooka wampirka wstała i zbliżała się do niej płynnym krokiem.

- Jesteś prawdziwą wieszczką Nyks, zgadza się? - zapytała.

- Tak - odparła dziewczyna bez wahania, lecz z konsternacją.

Szeleszcząc jedwabną szatą koloru nocnego nieba, kobieta przyklęła obok niej.

- Nazywam się Tanatos. Wiesz, co oznacza moje imię?

Afrodyta pokręciła głową, żałując, że Damien nie siedzi bliżej i nie może jej podpowiedzieć.

- „Tanatos” oznacza śmierć. Nie jestem przewodniczącą rady. Ten zaszczyt przypada Duantii, aleja mam przywilej nadzwyczajnej bliskości z naszą boginią, jako że dawno temu obdarzyła mnie darem wspierania dusz przechodzących z tego świata do następnego.

- Potrafisz rozmawiać z duchami?

Uśmiech przeobraził surową twarz Tanatos, czyniąc ją niemal piękną.

- W pewnym sensie. A dzięki temu darowi wiem co nieco o wizjach.

- Naprawdę? Wizje to coś innego niż rozmowa z duchami.

- Czyżby? A z jakiej krainy pochodzą twoje wizje? Czy też, konkretniej rzecz ujmując, w jakiej krainie przebywasz, gdy je odbierasz?

Afrodyta pomyślała o tym, jak wielu przeklętych wizji śmierci doświadczyła i jak w pewnym momencie zaczęła obserwować to, co się w nich działo, z punktu widzenia umarłych. Wzięła gwałtowny oddech.

- Odbieram wizje z Zaświatów! - wykrztusiła zdumiona.

Tanatos przytaknęła.

- Odwiedzasz Zaświaty i krainę duchów częściej niż ja, wieszczko. Ja jedynie przeprowadzam umarłych na drugą stronę i poprzez nich dostrzegam przebłyski innego świata.

Afrodyta szybko przeniosła wzrok z powrotem na Zoey.

- Ona nie umarła.

- Jeszcze nie. Ale jej ciało pozbawione duszy nie przetrwa dłużej niż siedem dni, więc jest bardzo bliska śmierci. Tak bliska, że Zaświaty dzierżą ją w żelaznym uścisku, być może silniejszym niż ten, którym oplatają świeżo zmarłych. Dotknij jej raz jeszcze, wieszczko. Tym razem skoncentruj się i wykorzystaj więcej otrzymanych darów.

- Przecież ja...

Tanatos przerwała jej bezceremonialnie.

- Wieszczko, zrób to, czego życzyłaby sobie Nyks.

- Nie wiem, czego by sobie życzyła!

Surowa twarz Tanatos znów złagodniała i rozjaśniła się w uśmiechu.

- W takim razie po prostu poproś ją o pomoc, dziecinko.

- Tak po prostu? - Afrodyta zamrugła zdumiona.

- Owszem, wieszczko, tak po prostu.

Afrodyta powoli położyła dłoń na zimnym ramieniu Zoey, zamykając oczy i biorąc trzy długie głębokie wdechy, tak jak czyniła Zoey przed każdorazowym utworzeniem kręgu. Potem posłała do Nyks milczącą, lecz żarliwą modlitwę: *Nie prosiłabym, gdyby to nie było takie ważne, ale przecież ty i tak już wiesz, że nie mam zwyczaju prosić o przysługi. Nikogo. Poza tym nie jestem dobra w zanoszeniu modłów, o czym także wiesz.* - Westchnęła w duchu. - *No więc potrzebuję twojej pomocy, Nyks. Tanatos chyba myśli, że mam jakąś więź z Zaświatami. Jeśli to prawda, czy mogłabyś mi pokazać, co się dzieje z Zoey?* - Urwała, westchnęła i otworzyła się przed boginią. - *Nyks, błagam. Nie tylko dlatego, że Zoey jest dla mnie jak siostra, której nie dała mi moja wygodnicka matka. Potrzebuję twojej pomocy, bo tyle osób pokłada w Zoey nadzieję, a to, niestety, jest ważniejsze od mojej osoby.*

Poczuła ciepło gromadzące się jej pod palcami, a zaraz potem odniosła wrażenie, że wyslizguje się ze swego ciała i wnika w ciało Zoey. Była tam tylko przez króciutką chwilę, nie dłuższą niż jedno uderzenie serca, ale to, co poczuła i zobaczyła, to, czego się dowiedziała, tak nią wstrząsnęło, że od razu powróciła do własnego ciała, przycisnęła do piersi dłoń, którą wcześniej dotykała Zoey, jęknęła z przerażenia, po czym zgięła się w pół, wymiotując bez treści, śliniąc się i lejąc łzy.

- Co się stało, wieszczko? Co zobaczyłaś? - zapytała spokojnie Tanatos, wycierając dziewczynie policzki i podtrzymując ją w pasie silną ręką.

- Jej tam nie ma! - Afrodyta stłumiła szloch i próbowała wziąć się w garść. - Przez sekundę widziałam, co się z nią stało. Zoey rzuciła w Kalonę pełną mocą swojego ducha. Włożyła wszystkie siły, próbując go powstrzymać, ale jej się nie udało. Heath zgiął na jej oczach. To roztrzaskało duszę Zoey na kawałki. - Dziwnie oszołomiona spojrzała na Tanatos przez łzy. - Wiesz, gdzie ona jest, prawda?

- Sądzę, że tak, muszę to jednak zweryfikować.

- Fragmenty jej ducha znajdują się wśród umarłych w Zaświatach - kontynuowała Afrodyta, mrugając gorączkowo, by zredukować szczypanie zaczerwienionych oczu. - Całkowicie stąd odeszła. Nie potrafiła znieść tego, co się tam stało. I wciąż nie potrafi.

- Nic więcej nie widziałaś? Nic, co mogłoby jej pomóc?

Afrodyta przełknęła gromadzącą się jej w gardle żołąć i uniosła drżącą dłoń.

- Nie, ale spróbuję jeszcze raz i...

Dariusz powstrzymał ją przed dotknięciem Zoey, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Nie. Wciąż jesteś zbyt osłabiona zerwaniem Skojarzenia ze Stevie Rae.

- To nie ma znaczenia. Zoey umiera!

- Ma znaczenie. Chcesz, żeby z twoją duszą stało się to samo? - zapytała cicho Tanatos.

Afrodyta poczuła kolejne ukłucie przerażenia.

- Nie - wyszeptwała, przykrywając dłoń Dariusa własną.

- Właśnie dlatego często źle się dzieje, gdy nasza kochająca bogini obdarowuje młodych ludzi, nie dość dojrzałych, by mądrze wykorzystywać swe dary - wtrąciła Neferet.

Na dźwięk jej chłodnego protekcyjnego tonu ciałem Starka wstrząsnął widoczny dreszcz i chłopak w końcu uniósł głowę znad ciała Zoey.

- Tej kreatury nie powinno się tu wpuszczać! To jej sprawka! To ona zabiła Heatha i zniszczyła Zoey! - wychrypiął, jakby musiał przepychać każde słowo przez warstwę żwiru.

Neferet zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

- Rozumiem, że jesteś pod presją, ale nie wolno ci przemawiać w ten sposób do najwyższej kapłanki, wojownika.

Stark zerwał się na równe nogi. Szybki jak błyskawica Darius zdążył go złapać i Afrodyta usłyszała, jak szepcze chłopakowi do ucha:

- Pomyśl, zanim coś zrobisz!

- Wojownika - zwróciła się Duantia do Starka - byłeś obecny przy tym, jak zginął chłopiec, a dusza Zoey uległa rozbiciu. Przysięgałeś, że uczynił to skrzydlaty nieśmiertelny. O Neferet nie wspomniałeś.

- Zapytaj przyjaciół Zoey. Zadzwoń do Lenobii i Smoka Lankforda z Domu Nocy w Tulsie. Wszyscy ci powiedzą, że Neferet nie musi być fizycznie obecna, by spowodować czyjąś śmierć - rzekł Stark, strącając dłoń Dariusa i gniewnie ocierając Iwarz, jakby dopiero teraz się zorientował, że płacze.

- O...ona potrafi robić straszne rzeczy, nawet kiedy nie ma jej w pobliżu - odezwał się z wahaniem z drugiego końca sali Damien, a Bliźniaczki i Jack, choć zapłakani, pokiwali energicznie głowami.

- Nie ma dowodu, że Neferet maczała w tym palce - powiedziała łagodnie Duantia.

- Nie możesz się dowiedzieć, co spotkało Heatha? Nie mogłabyś porozmawiać z jego duchem i zapytać go o to? - zwróciła się Afrodyta do Tanatos, która wróciła na swój tron, gdy Neferet zabrała głos.

- Ludzki duch nie ociągał się z opuszczeniem tego świata, a przed odejściem z całą pewnością nie szukał mojego wsparcia - odparła kapłanka.

- Gdzie Kalona? - krzyknął do Neferet Stark, ignorując wszystkich pozostałych. - Gdzie ukryłaś swojego kochanka, który to zrobił?

- Jeśli masz na myśli mojego nieśmiertelnego małżonka Ereba, to właśnie w tej sprawie tu przybyłam. - Odwróciła się tyłem do niego i przemawiała wyłącznie do siedmiu kapłanek. - Ja także poczułam rozpad duszy Zoey. Szłam wówczas przez labirynt, przygotowując się duchowo do opuszczenia wyspy San Clemente prawdopodobnie na bardzo długi czas.

Musiała przerwać, bo Stark prychnął sarkastycznie.

- Ty i Kalona zamierzacie osiedlić się na Capri i stamtąd rządzić światem, więc jasne, że w najbliższym czasie tu nie wrócisz, chyba że po to, żeby rzucić bomby.

Darius ponownie schwycił go ostrzegawczo za ramię, ale Stark gniewnie odtrącił jego rękę.

- Nie przeczę, że Ereb i ja pragniemy przywrócić dawny porządek z czasów, kiedy wampiry zarządzały światem ze swojej siedziby na Capri, a ludzie darzyli je zasłużonym poważaniem i czcią - zwróciła się do chłopaka Neferet. - Nie mam jednak najmniejszego zamiaru niszczyć tej wyspy ani Najwyższej Rady. Przeciwnie, przychodzę tu po wsparcie.

- Raczej po władzę - zadrwił. - Teraz, gdy zabrakło Zoey, będzie ci łatwiej ją zdobyć.

- Naprawdę? Czyżbym źle rozumiała, co zaszło dzisiaj w tej sali pomiędzy twoją Zoey a moim Erebem? Zoey sama przyznała, że mój towarzysz jest nieśmiertelnym poszukującym bogini, której mógłby służyć.

- Nigdy nie nazwała go Erebem! - krzyknął Stark.

- A mój nieśmiertelny Ereb w swojej uprzejmości nazwał ją omylną zamiast kłamczuchą.

- Gadaj więc, co takiego zrobiłaś, Neferet! Zmusiłaś go do zabicia Heatha i roztraskania duszy Zoey, bo byłaś zazdrosna o łączącą ich więź? - zapytał Stark, choć Afrodyta nie miała wątpliwości, że przyznanie, iż tak wiele łączyło Zo z Kaloną, dużo go kosztuje.

- Zwariowałaś? Myśl głową, a nie tym żalonym złamanym serduszkim! Czy Zoey potrafiłaby cię zmusić do zabicia niewinnej osoby? Z całą pewnością nie. Jesteś jej wojownikiem, ale nie pozbawia cię to wolnej woli. Poza tym wciąż jesteś związany z Nyks, więc w ostatecznym rozrachunku musisz robić to, czego sobie życzy bogini. - Nie dopuszczając go do głosu, Neferet odwróciła się do rady i kontynuowała: - Jak już mówiłam, poczułam, że dusza Zoey się rozpada, i wracałam właśnie do pałacu, gdy natknęłam się na Ereba. Był ciężko ranny i ledwo przytomny. Zdążył jedynie wyszeptać: „Chroniłem swoją boginię” i wyzionął ducha.

- Kalona nie żyje? - wyrwało się Afrodycie.

Zamiast jej odpowiedzieć, Neferet odwróciła się w stronę wejścia do sali, w którym stało czterech wojowników rady trzymających lektykę uginającą się pod ciężarem spoczywającego na niej ciała. Jedno z czarnych skrzydeł osunęło się i ciągnęło po podłodze.

- Wnieście go! - rozkazała kapłanka.

Wojownicy zeszli powoli po schodkach i złożyli lektykę obok podestu, na którym spoczywała Zoey. Stark i Darius odruchowo odgradzili ciało dziewczyny od ciała Kalony.

- Kalona nie może nie żyć. Jest Erebem, a więc nieśmiertelnym - rozpoczęła Neferet z typową dla niej wyższością, lecz potem głos jej się załamał. - Nie jest martwy ale jak widzicie, duch opuścił jego ciało!

Nie mogąc się powstrzymać, Afrodyta wstała i podeszła do Kalony. Darius natychmiast znalazł się obok niej.

- Nie - ostrzegł. - Nie dotykaj go.

- Obojętne jak go nazwiemy, Erebem czy inaczej, oczywiste jest, że spoczywa przed nami przedwieczny nieśmiertelny. Jego krew ma zbyt wielką moc, by wieszczka mogła wnikać w jego ciało, nawet jeśli uleciała z niego dusza. Nie stanowi więc dla mej takiego zagrożenia jak Zoey, wojownik - wyjaśniła Tanatos.

- Wszystko w porządku - rzekła do Dariusa Afrodyta. - Chcę tylko spróbować. Może się czegoś dowiem.

- Jestem przy tobie. Nie puszcze cię - odparł, ujmując ją za rękę.

Razem podeszli do ciała Kalony. Afrodyta czuła napięcie Danusa, mimo to wzięła trzy głębokie oddechy i skoncentrowała się na nieśmiertelnym. Po krótkiej chwili wahania wyciągnęła rękę, położyła ją na jego ramieniu, podobnie jak zrobiła w przypadku Zoey. Miał tak zimną skórę że z trudem się powstrzymała, by nie cofnąć dłoni. Zamknęła oczy.

*Nyks, proszę cię raz jeszcze, abyś ujawniła mi cokolwiek, co nam pomoże.*

- Urwała, po czym dokończyła modlitwę myślą, która zacieśniła jej więź z boginią i uczyniła z niej prawdziwą wieszczkę: - *Proszę, wykorzystaj mnie jako narzędzie do pomocy w walce z ciemnością i pozostania na twojej ścieżce.*

Jej dłoń się rozgrzała, lecz dusza nie musiała nurkować w głąb ciała Kalony, by wiedzieć, że go tam nie ma. Powiedziała jej to ciemność, którą ze zdumieniem ujrzała jako żywą istotę, tak potężną i wielką, że powinno się ją pisać przez duże „C”. Ta ciemność była wszędzie. Otaczała nieśmiertelnego niczym atramentowa pajęczyna tkana przez pękatego niewidzialnego pajaka. Kleiste czarne nici szczelnie oplatały całe ciało, tuląc je, głaszcząc i dzierżąc w żelaznym uścisku niczym karykaturalna bariera ochronna będąca w rzeczywistości więzieniem. Afrodyta nie miała jednak wątpliwości, że wewnątrz tej skorupy, która kiedyś była Kaloną, nie ma zupełnie nic.

Krzyknęła cicho i szybko cofnęła rękę, pocierając ją o udo, jak gdyby czarna sieć ją zbrukała. Kolana ugięły się pod nią i osunęła się w ramiona Dariusa.

- Jest tak samo jak z Zoey - powiedziała, gdy wojownik ją podniósł. - Nie ma go tam.

Celowo ukryła fakt, że ciało Kalony stało się czymś w rodzaju zakładnika.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## *Zoey*

- Zo, musisz się obudzić. Błagam! Obudź się i porozmawiaj ze mną.

Jego głos był miły. Wiedziałam, że mam do czynienia z fajnym facetem, nim jeszcze otworzyłam oczy. W końcu jednak je otworzyłam i uśmiechnęłam się, bo oczywiście moje przewidywania się sprawdziły. Jak by to powiedziała moja kumpela Kayla, był „superciachem w słodziutkiej polewie”. Mniem! Choć wciąż miałam lekki mętlik w głowie, czułam się bezpieczna i szczęśliwa. Uśmiechnęłam się więc jeszcze szerzej.

- Obudziłam się. Kim jesteś?

- Zoey, przestań się wygłupiać. To nie jest śmieszne.

Chłopak zmarszczył brwi, a ja uświadomiłam sobie nagle, że leżę na jego kolanach, a on mnie obejmuje. Szybko usiadłam i odsunęłam się nieco. Owszem, był ciachem i tak dalej, ale nie miałam w zwyczaju leżeć na kolanach nieznajomych.

- Wcale nie próbuję się wygłupiać.

Jego ładna twarz była ściągnięta i zszokowana.

- Zo, chcesz powiedzieć, że naprawdę nie wiesz, kim jestem?

- Słuchaj, przecież doskonale wiesz, że cię nie znam, chociaż ty sprawiaasz wrażenie, jakbyś znał mnie. - Umilkłam zdezorientowana.

- A czy wiesz, kim ty jesteś, Zoey?

Zamrugałam.

- Głupie pytanie. Pewnie, że wiem. Jestem Zoey. - Dobrze, że przynajmniej był taki przystojny, choć najwyraźniej brakowało mu piątej klepki.

- A czy wiesz, gdzie się znajdujesz? - zapytał łagodnie, jakby z wahaniem.

Rozejrzałam się. Siedzieliśmy na bujnej miękkiej trawie obok pomostu wrzynającego się w jezioro, które w cudownym porannym słońcu przypominało szybę.

Chwileczkę... w słońcu?

Coś tu było nie tak.

Przełknęłam ciężko ślinę i spojrzałam w łagodne brązowe oczy chłopaka.

- Jak masz na imię?

- Heath. Znasz mnie, Zo. Nigdy mnie nie zapomnisz.

Owszem. Znałam go.

Przebłyski wspomnień migotały w mojej pamięci niczym film oglądany w przyspieszonym tempie: Heath w trzeciej klasie mówiący mi, że moje ostrzyżone włosy są ładne; Heath ratujący mnie przed ogromnym pajakiem, który spadł na mnie na oczach całej szóstej klasy; Heath całujący mnie po raz pierwszy po meczu piłkarskim w ósmej klasie; Heath pijący zbyt wiele alkoholu

i wkurzający mnie; moje Skojarzenie z nim... i ponowne Skojarzenie... a potem patrzenie, jak on...

- Na boginię! - Przebłycki połączyły się w jedną całość i przypomniałam sobie wszystko. Dokładnie wszystko.

- Zo - przygarnął mnie do siebie - nie martw się. Będzie dobrze.

- Niby jakim cudem? - wyszlochałam. - Ty nie żyjesz!

- Zo, kochanie, takie rzeczy się zdarzają. Nawet się nie bałam. I wcale tak bardzo nie bolało. - Kołysał mnie powoli, poklepując po plecach i przemawiając swoim spokojnym znajomym głosem.

- Ale ja pamiętam! Pamiętam! - Łkałam rozdierająco, choć wiedziałam, że jestem cała zasmarkana i wyglądam ohydnie. - Kalona cię zabił. Widziałam to! Heath, ja próbowałam go powstrzymać. Naprawdę próbowałam!

- Ciii, kochanie, ciii... Wiem o tym. Nie mogłaś nic zrobić. Przywołałem cię, a ty przybiegłaś. Dobrze się spisałaś, Zo. Bardzo dobrze. A teraz musisz wrócić, by stawić czoło jemu i Neferet. To ona zabiła tych dwoje wampirów z twojej szkoły, nauczycielkę dramatu i tamtego faceta.

- Lorena Blake'a? - Byłam tak wstrząśnięta, że natychmiast przestałam płakać i zaczęłam wycierać twarz. Heath jak zwykle wyjął z kieszeni dzinsów zwitek chusteczek higienicznych. Przez chwilę wpatrywałam się w nie, a potem zaskoczyłam nas oboje, wybuchając niepohamowanym śmiechem. - Zabrałeś do nieba ohydne zużyte chusteczki? Ja nie mogę! - chichotałam.

Wyglądał na urażonego.

- Wcale nie są używane, Zo. A jeśli już, to niewiele.

Potrząsnęłam głową, ostrożnie wzięłam chusteczki i otarłam łzy.

- Nos też wytrzyj. Smarki ci wiszą. Zawsze smarkasz, jak płaczesz. Dlatego nigdzie się nie ruszam bez chusteczek.

- Och, zamknij się! Wcale tyle nie płaczę - oburzyłam się, zapominając na chwilę, że Heath nie żyje i tak dalej.

- Fakt. Ale jak już płaczesz, to smarkasz, więc muszę być przygotowany.

Wbiłam w niego wzrok znów przytłoczona rzeczywistością.

- W takim razie co się stanie, kiedy nie będzie cię obok, żeby mnie poratować chusteczką? - Z głębi gardła wydarł mi się szloch. - I żeby mi przypomnieć, co to jest dom, co to jest miłość? Co to znaczy być człowiekiem? - Znów rozryczałam się na dobre.

- Daj spokój, Zo. Sama to wykombinujesz. Masz mnóstwo czasu. Jesteś wielką wampirską kapłanką, pamiętasz?

- Nie chcę nią być - wyznałam szczerze. - Chcę być Zoey i zostać tu z tobą.

- Tylko część ciebie tego chce. Może ta część po prostu musi dorosnąć? - zapytał łagodnym głosem, który wydawał się za stary i za mądry jak na mojego Heatha.

- Nie - Gdy wypowiadałam to słowo, zobaczyłam prześlizgującą się na skraju pola widzenia atramentową ciemność i poczułam ucisk w żołądku. Zdawało mi się, że dostrzegłam kształt ostrych rogów.

- Zo, nie możesz zmienić przeszłości.

- Nie - powtórzyłam, odwracając głowę od Heatha i patrząc na to, co jeszcze niedawno było piękną jasną łąką otaczającą idealne jezioro. Tym razem ujrzałam wyraźne cienie i jakieś postacie w miejscach, gdzie przedtem było tylko światło słoneczne i motyle.

Ciemność kłębiąca się w cieniach przerażała, ale obecne w nich postacie przyciągały mnie, tak jak jaskrawe przedmioty przyciągają niemowlęta. W głębi gęstniejącego mroku błyszcząły oczy. Spojrzałam w jedną ich parę i doznałam olśnienia. Te oczy należały do...

- Znam tam kogoś.

Heath ujął mnie pod brodę i zmusił, bym odwróciła się od cieni i spojrzała na niego.

- Zo nie sądzę, żeby rozglądanie się po tym miejscu było dobrym pomysłem. Musisz podjąć decyzję o powrocie do domu, a potem stuknąć pantofelkami albo zrobić jakąś inną niezwykłą sztuczkę najwyższej kapłanki i wrócić do prawdziwego świata, gdzie twoje miejsce.

- Bez ciebie?

- Beze mnie. Ja nie żyję - powiedział łagodnie, głaszcząc mnie po policzku palcami, które zdawały mi się aż nazbyt żywe. - Muszę tu zostać. Szczerze mówiąc, sądzę, że to dopiero przedsmak świata, do którego mam pójść. Ale ty wciąż żyjesz, Zo. Nie powinnaś tu być.

Wyrwałam mu się i odsunęłam, wstając i potrząsając głową, aż włosy latały mi w tę i w tam, jakbym była stuknięta.

- Nie! Nie wracam bez ciebie!

Moją uwagę przyciągnął kolejny cień pośród otaczającej nas skłębionej mgły, w którą zamieniła się łąka. Tym razem nie miałam wątpliwości, że widzę połyskujące ostro zakończone rogi. Potem mgła znów zawirowała i cień przybrał bardziej ludzką formę. Jego oczy spoglądały na mnie z ciemności.

- Znam was - szepnęłam do nich. Bardzo przypominały moje oczy, tylko wyglądały starzej i smutniej. Znacznie smutniej.

Potem miejsce tej istoty zajęła inna. Ona też na mnie patrzyła, tyle że jej oczy nie były smutne, lecz niebieskie i kpiące, choć równie znajome.

- Ty... - szepnęłam, usiłując się wyrwać z ramion Heatha, który mocno przyciskał mnie do siebie.

- Nie patrz. Weź się w garść i wracaj do domu, Zo.

Ale ja nie mogłam oderwać wzroku. Coś w środku kazało mi patrzeć. Zobaczyłam kolejne oczy, tym razem tak dobrze znajome, że ich rozpoznanie użyczyło mi siły, by wyrwać się Heathowi i odwrócić go tak, że i on mógł zajrzeć w mrok.

- Do diabła, Heath! Spójrz na to. To ja!



I tak było. Tamta „ja” zamarła wpatrzona we mnie w strasznej ciszy. Miała jakieś dziewięć lat i mrugała zdziwiona.

- Zoey, spójrz na mnie. - Heath pociągnął mnie do siebie, trzymając za ramiona tak mocno, że nie mogło się obyć bez sińców. - Musisz się stąd wynosić!

- Ale to jestem ja z dzieciństwa.

- Myślę, że one wszystkie są tobą. Fragmentami ciebie. Coś się stało z twoją duszą, Zoey, i musisz stąd odejść, żeby można było ją naprawić.

Poczułam zawroty głowy i osunęłam się w jego ramiona. Nie wiem, jakim sposobem nagle wszystko zrozumiałam. Słowa, które popłynęły z moich ust, były równie prawdziwe i ostateczne jak śmierć Heatha.

- Nie mogę odejść, Heath. Nie zdołam, póki te fragmenty mnie nie połączą się w całość. Tylko nie wiem, jak tego dokonać... Po prostu nie wiem!

Heath przycisnął swoje czoło do mojego.

- Cóż, Zo, może powinnaś wypróbować ten maminy głos, którym do mnie przemawiałaś, gdy za dużo piłem, i kazać im... no nie wiem, skończyć z tymi zafajdanymi wygłupami i wrócić do ciebie, gdzie ich miejsce.

Tak świetnie mnie udawał, że prawie się uśmiechnęłam. Tylko prawie.

- Czuję, że jeśli zdołam się poskładać, będę mogła stąd odejść, Heath - szepnęłam do niego.

- A ja czuję, że jeśli tego nie zrobisz, nigdy stąd me odejdiesz, bo umrzesz, Zo.

Spojrzałam w jego znajome ciepłe oczy.

- Czy to byłoby takie złe? No wiesz, to miejsce wydaje się o wiele lepsze niż bałagan, który na mnie czeka w prawdziwym świecie.

- Nie, Zoey - rzekł gniewnie. - Tu nie jest dobrze. Nie dla ciebie.

- Może dlatego, że nie jestem martwa. Jeszcze. - Przełknęłam ślinę i przyznałam się sobie, że wypowiedzenie tego głośno było trochę przerażające.

Myślę, że chodzi o coś więcej.

Nie patrzył już na mnie, lecz na coś ponad moim ramieniem, robiąc wielkie okrągłe oczy. Odwróciłam się. Skłębione postacie, nieprzyjemnie przypominające groteskowe niedokończone wersje mnie, wylatywały z czarnej mgły, by po chwili do niej wracać, kotłując się, jazgocząc i ogólnie sprawiając wrażenie bardzo zdenerwowanych. Potem nastąpił błysk światła, który zmienił się w ogromne szpiczaste rogi, i coś z koszmarnym furkotem sfrunęło na tamtą część łąki, a duchy, te oderwane fragmenty mnie, zaczęły krzyczeć wniebogłosy, czmychając, aby się schować.

- Co teraz? - zapytałam Heatha, bezskutecznie próbując ukryć przerażenie.

Ujął mnie za rękę i razem wycofywaliśmy się przez łąkę.

- Nie wiem, ale cokolwiek się stanie, będę tu z tobą. A teraz - szepnął nagłym głosem - nie odwracaj się, tylko biegnij!

Zwykle spierałam się z Heathem i kwestionowałam jego decyzje, tym razem jednak zrobiłam dokładnie to, co mi kazał: mocno schwyciłam jego dłoń i pobeigłam.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### *Stevie Rae*

- To naprawdę nie jest dobry pomysł - perorował Dallas, idąc szybko, by dotrzymać jej kroku.

- Niedługo wrócę, obiecuję - odparła, zatrzymując się na parkingu i rozglądając za niebieskim autkiem Zoey. - Ha! Tu jest. Zo zawsze zostawia klucze w środku, bo drzwi i tak się nie zamykają.

Podbiegła do garbusa, otworzyła trzeszczące drzwi i wydała radosny okrzyk na widok wiszących w stacyjce kluczyków.

- Naprawdę wolałbym, żebyś poszła ze mną do sali zebrań i powiedziała wampirom o swoich planach, nawet jeśli nie możesz powiedzieć mnie. Zapytaj ich o zdanie na temat tego, co się dzieje w twojej głowie, mała.

Stevie Rae odwróciła się do Dallasa.

- Problem w tym, że sama nie bardzo wiem, co się tam dzieje. Poza tym nie powiedziałabym całemu gremium wampirów czegoś, czego wcześniej nie obgadałabym z tobą. Powinieneś to wiedzieć.

Dallas potarł twarz dłonią.

- Kiedyś wiedziałem, tyle że ostatnio wiele się wydarzyło, a ty zachowujesz się trochę dziwnie.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Po prostu mam przeczucie, że mogę coś zrobić dla Zoey, ale nie rozpracuję tej sprawy dokładnie, siedząc w sali i debatując z nadętymi wampirami. Muszę być tu. - Rozpostarła ramiona, jakby chciała objąć całą ziemię. - Żeby myśleć, potrzebuję swojego żywiołu. Mam wrażenie, że coś mi umyka, a zrozumienie jest tuż-tuż. Muszę wykorzystać ziemię, żeby do niego dotrzeć.

- A nie możesz tego zrobić tutaj? Na terenie szkoły jest mnóstwo fajnej ziemi.

Zmusiła się do uśmiechu. Nienawidziła okłamywać Dallasa, choć w gruncie rzeczy wcale nie kłamała. Naprawdę chciała znaleźć sposób na uratowanie Zo, a nie mogła tego zrobić w Domu Nocy.

- Tu jest zbyt wiele rzeczy, które odwracają uwagę.

- Słuchaj, wiem, że nie mogę ci niczego zabronić, ale musisz mi coś obiecać, bo inaczej zrobię z siebie idiotę i spróbuję zatrzymać cię siłą.

Zrobiła wielkie oczy i uśmiechnęła się - tym razem szczerze.

- Chcesz mi skopać tyłek, Dallas?

- Cóż, oboje wiemy, że to niemożliwe. Dlatego właśnie powiedziałem „spróbuję” i „zrobię z siebie idiotę”.

- Co mam ci obiecać? - zapytała, nie przestając się uśmiechać.

- Że nie wrócisz teraz na dworzec. Omal cię nie zabili. To, że tak szybko doszłaś do siebie i wyglądasz na całkiem zdrową, niczego nie zmienia. To było zaledwie wczoraj. Musisz mi więc obiecać, że tej nocy do nich nie wrócisz.

- Obiecuję - odparła szczerze. - Nie jadę tam. Już ci mówiłam, że chcę spróbować się dowiedzieć, jak uratować Zo, a walka z tymi adeptami na pewno by w tym nie pomogła.

- Słowo?

- Słowo.

Dallas westchnął z ulgą.

- Świetnie. W takim razie co mam powiedzieć tym wszystkim wampirom, jak spytają, dokąd pojechałaś?

- To, co ja powiedziałam tobie: że muszę otoczyć się ziemią i w samotności spróbować sięgnąć po wiedzę, której tutaj nie znajdę.

- Dobra. Przekażę im to. Wpadną w szal.

- Hm. Cóż. Niedługo wracam - rzekła Stevie, wsiadając do samochodu Zoey. - I nie martw się, będę ostrożna.

Ledwo odpaliła auto, Dallas zapukał w szybę. Z trudem powstrzymując gniewny pomruk, wyłączyła silnik.

- Omal nie zapomniałem ci powiedzieć... Jak na ciebie czekałem, podsłuchałem rozmowę jakichś adeptów. Cały internet trąbi o tym, że nie tylko dusza Zoey została rozbita w Wenecji.

- Co to niby ma znaczyć, Dallas?

- Podobno Neferet porzuciła Kalonę w sali obrad. W sensie dosłownym. Zostawiła tam jego ciało, ale bez duszy.

- Dzięki, Dallas. Muszę już jechać. - Nie czekając na odpowiedź, wrzuciła bieg i wyjechała z parkingu, a potem ze szkoły. Gwałtownie skręciła w prawo w Utica Street i ruszyła przez centrum na północny wschód, ku pagórkom na obrzeżach Tulsy, gdzie mieściło się Muzeum Gilcrease'a.

Kalona też stracił duszę!

Nawet przez sekundę nie wierzyła, że mogło się to stać z rozpaczy.

- Nie ma mowy - mruknęła do siebie, krążąc po ciemnych milczących ulicach Tulsy. - Poleciał za nią.

Ledwie wypowiedziała te słowa, poczuła, że ma rację.

Nie miała natomiast pojęcia, co ona mogłaby w tej sprawie zrobić. Nie wiedziała nic o nieśmiertelnych strzaskanych duszach ani o Zaświatach. Owszem, umarła, lecz potem się odrodziła. I nie pamiętała, żeby pomiędzy tymi dwoma zdarzeniami jej dusza gdzieś podróżowała. Była uwięziona w czymś czarnym, zimnym i bezdźwięcznym, a miała ochotę krzyczeć, krzyczeć bez końca... Zadrżała i zabroniła sobie o tym myśleć. Niewiele pamiętała z tamtego potwornego martwego czasu. I nie chciała pamiętać. Ale знаła kogoś, kto wiedział wiele o nieśmiertelnych, a w szczególności o Katonie, i o świecie duchów. Z tego, co mówiła babcia Zo, wynikało, iż Rephaim istniał jedynie w duchowej postaci, póki Neferet nie uwolniła jego obrzydliwego tatuśka.

- Rephaim będzie coś wiedział. A co on wie, ja też się dowiem - rzekła zdecydowanym tonem, zaciskając palce na kierownicy.

Była gotowa w razie konieczności wykorzystać siłę ich Skojarzenia i wszelką własną moc, by wydobyć z niego informacje. Ignorując więc niezdrowe potworne poczucie winy, jakie się w niej zrodziło na myśl o walce z Rephaimem, przycisnęła pedał gazu i skręciła w Gilcrease Road.

Nie musiała się zastanawiać, gdzie go znajdzie. Od razu to wiedziała. Wśliznęła się do ciemnego zimnego domostwa, którego frontowe drzwi już wyważono, i podążała za niewidocznym śladem kruka w górę, coraz wyżej. Nie musiała widzieć uchylonych drzwi balkonu, by się domyślić, że właśnie za nimi znajdzie Rephaima. To było oczywiste. „Zawsze będę wiedziała, gdzie on jest” - pomyślała ponuro.

Nie od razu na nią spojrzął i wcale jej to nie zmartwiło. Potrzebowała trochę czasu, by znów przywyknąć do jego widoku.

- Więc przyszedłeś - odezwał się, wciąż nie zaszczycając jej spojrzeniem.

- Przywołałeś mnie - odparła, starając się mówić spokojnie i powściągnąć gniew wywołany tym, co zrobił jego potworny ojciec.

Kruk obrócił się i spojrzął jej w oczy.

„Jest wykończony - pomyślała Stevie. - Jego ręka znów krwawi”.

„Ona wciąż cierpi - pomyślał Rephaim. - I jest wściekła”.

Gapili się na siebie w milczeniu, bo żadne nie chciało wypowiedzieć swych myśli na głos.

- Co się stało? - zapytał w końcu kruk.

- A skąd wiesz, że w ogóle coś się stało? - fuknęła na niego.

Zawahał się, najwyraźniej bardzo starannie dobierając słowa.

- Od ciebie.

- Gadasz bez sensu, Rephaim. - Dźwięk jej głosu wypowiedającego jego imię zdawał się wibrować w powietrzu, a noc nagle wypełniła się wspomnieniem połyskującej czerwonej mgiełki posłanej przez syna nieśmiertelnego, by głaskać skórę Stevie Rae i przywołać dziewczynę.

- Bo i dla mnie to nie ma sensu - odparł głębokim, miękkim, pełnym wahania głosem. - Nie mam pojęcia, jak działa Skojarzenie. Będziesz musiała mnie tego nauczyć.

Poczuła ciepło na policzkach. „On mówi prawdę - uświadomiła sobie. - Nasze Skojarzenie pozwala mu wiedzieć pewne rzeczy o mnie. Ale jak miałyby to wszystko pojąć? Sama mam z tym problemy”.

Odkasznęła.

- Czytasz we mnie i dlatego wiesz, że coś się stało?

- Czuję - odparł - nie czytam. Czuję twój ból. Nie taki jak wtedy, gdy napiłaś się mojej krwi. Wtedy cierpiało twoje ciało. Dzisiejszy ból nie był fizyczny, lecz emocjonalny.

Nie mogła oderwać od niego zdumionego wzroku.

- Owszem. Był. I wciąż jest.  
- Powiedz mi, co się stało.  
- Dlaczego mnie przywołałeś? - zapytała, zamiast odpowiedzieć.  
- Odczuwałaś ból. Ja też go czułem. - Urwał, wyraźnie zakłopotany własnymi słowami. - Chcę przestać to czuć - kontynuował. - Posłałem więc do ciebie siłę i przywołałem cię.  
- Jak to zrobiłeś? Czym była ta czerwona mgielka?  
- Odpowiedz na moje pytanie, a wtedy ja odpowiem na twoje.  
- W porządku. Twój tatuś zabił Heatha, ludzkiego chłopaka, który był partnerem Zoey. Zoey to zobaczyła, ale nie zdołała go powstrzymać, więc jej dusza roztrzaskała się na kawałki.

Rephaim wpatrywał się w nią tak długo, aż zaczęła mieć wrażenie, że jego wzrok przenika przez jej ciało i zagląda prosto do duszy. Nie mogła jednak odwrócić wzroku, a im dłużej na siebie patrzeli, tym trudniej jej było zachować gniew. Oczy kruka były takie ludzkie... Tylko kolor nie pasował, lecz ich szkarłat nie był Stevie Rae aż tak obcy, jak mógłby się wydawać komuś innemu. Szczerze mówiąc, był przerażająco znajomy, bo kiedyś barwił także jej oczy.

- Nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia? - wybuchnęła, odrywając wzrok i wpatrując się w pustkę nocy.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Co ukrywasz?

Znow przywołała do siebie gniew i dopiero wtedy spojrzała z powrotem na kruka.

- Podobno dusza twojego ojca też się rozbiła.

Rephaim zamrugał, a w jego oczach odbił się silny wstrząs.

- Nie wierzę - rzekł kruk.

- Ja też nie, ale Neferet zaniósła do siedziby Najwyższej Rady jego bezwładne ciało i rada podobno kupiła tę historyjkę. Wiesz, co myślę? - Nie czekając na odpowiedź, kontynuowała głosem nabrzmiałym frustracją, złością i strachem: - Myślę, że Kalona podążył za Zoey w Zaświaty, bo ma kompletną obsesję na jej punkcie. - Otarła z policzków łzy, które ponownie zaczęła ronić.

- To niemożliwe. - Rephaim wydawał się równie przybity jak ona. - Ojciec nie może wrócić w Zaświaty. Otrzymał wieczysty zakaz wstępu.

- Cóż, najwyraźniej znalazł jakiś sposób na ominięcie tego zakazu.

- Sposób na ominięcie zakazu wydanego przez samą boginię nocy? Jak miałby tego dokonać?

- Nyks wyrzuciła go z Zaświatów? - zapytała Stevie.

- Sam postanowił odejść. Kiedyś był jej wojownikiem. Kiedy upadł, jego śluby zostały unieważnione.

- O matko, Kalona był wojownikiem Nyks? - Nieświadomie podeszła bliżej Rephaima.

- Tak. Strzegł jej przed ciemnością. - Rephaim wbił wzrok w noc.

- I co się stało? Dlaczego upadł?

- Nigdy o tym nie mówi. Wiem jednak, że cokolwiek to było, przepełniło go gniewem, który płonął w nim przez wieki.

- I tak powstałeś. Zrodzony z jego gniewu.

Ich spojrzenia znów się skrzyżowały.

- Owszem.

- Czy ciebie też to przepełnia? Ten gniew i ciemność? - zapytała, nie mogąc się powstrzymać.

- A czy nie wiedziałabyś, gdyby tak było? Czy nie czułabyś tego tak samo, jak ja czuję twój ból? Czyż nie tak właśnie działa całe to Skojarzenie?

- Hm, to dość skomplikowane. Widzisz, w jakimś sensie z przymusu zostałeś moim partnerem, bo to ja jestem wampirem i tak dalej. A partnerowi łatwiej wyczuwać rzeczy dotyczące jego wampira niż odwrotnie. Ja od ciebie odbieram...

- Moją moc - dokończył za nią. Nie wydawał się szalony; tylko zmęczony i niemal pozbawiony nadziei. - Odbierasz moją nieśmiertelną siłę.

- O kurczę! To dlatego tak szybko wyzdrowiałam.

- I dlatego ja nie mogę wyzdrowieć.

Zamrugła zdumiona.

- Cholerka. Musisz się okropnie czuć. Wyglądasz fatalnie.

Ni to się zaśmiał, ni prychnął ironicznie.

- A ty znów wyglądasz na zdrową i całą.

- Jestem zdrowa, ale nie będę naprawdę całą, póki nie wymyślę, jak pomóc Zoey. To moja najlepsza przyjaciółka, Rephaimie. Nie może umrzeć.

- A on jest moim ojcem. I także nie może umrzeć.

Patrzeli na siebie, usiłując jakoś zrozumieć tę dziwną siłę przyciągającą ich ku sobie mimo bólu i gniewu, które kłębiły się wokół, definiując i rozdzielając ich światy.

- Może zrobmy tak: znajdę ci coś do jedzenia, zmienię opatrunek na skrzydle, co nie będzie zbyt przyjemne dla żadnego z nas, a potem spróbujemy zrozumieć, co się dzieje z Zoey i z twoim tatą. Powinieneś wiedzieć jedno: nie wyczuwam twoich emocji tak, jak ty wyczuwasz moje, ale jeśli będziesz chciał mnie okłamać, zorientuję się. Jestem także przekonana, że potrafię cię odnaleźć, gdziekolwiek będziesz, więc jeśli skłamiesz i wystawisz Zoey, dam ci słowo, że zwrócę się przeciwko tobie całą siłą swojego żywiołu i twojej krwi.

- Nie okłamię cię - odparł.

- Świetnie. W takim razie chodźmy do muzeum i znajdziemy kuchnię.

Opuściła balkon, a Kruk Prześmiewca ruszył za nią niczym przywiązany do swej najwyższej kapłanki niewidocznym, lecz nierozzerwalnym łańcuchem.

\* \* \* \*

- Przy takiej mocy mogłabyś mieć wszystko, czego tylko zapragniesz - rzekł Rephaim między kęsami ogromnej kanapki zrobionej przez Stevie z

produktów, które jeszcze się nie popsuły w przemysłowych lodówkach muzealnej restauracji.

- E, raczej nie. Owszem, potrafię skłonić jednego zmęczonego, przepracowanego i dość tępego nocnego stróża, żeby nas wpuścił do muzeum, a potem zapomniał o naszym istnieniu, ale nie mogę, no wiesz, rządzić światem ani nic równie zwariowanego.

- To fascynująca moc.

- Raczej odpowiedzialność, o którą nie prosiłam i której sobie nie życzę. Widzisz, wcale nie chcę umieć zmuszać ludzi do robienia tego, co mi przyjdzie do głowy. To po prostu nie w porządku dla kogoś, kto stoi po stronie Nyks.

- Bo twoja bogini nie uważa, że jej poddani powinni dostawać to, czego pragną?

Stevie Rae przez chwilę gapiała się na niego, nawijając loczek na palec. Zastanawiała się, czy kruk nie próbuje nią manipulować, ale spojrzenie jego czerwonych oczu było całkowicie szczere. Wzięła więc głęboki oddech i wyjaśniła:

- Nie. Dlatego, że Nyks daje każdemu wolną wolę, a kiedy mieszam komuś w głowie i zaszczepiam tam coś, nad czym nie ma kontroli, odbieram mu możliwość wyboru. To nie w porządku.

- Naprawdę wierzysz, że wszyscy na świecie powinni mieć wybór?

- Pewnie. Dlatego teraz tu jestem i rozmawiam z tobą. Zoey zwróciła mi wolną wolę, więc można powiedzieć, że ja odpłacam się tym samym tobie. To coś w rodzaju rewanżu.

- Pozwoliłaś mi żyć, bo miałaś nadzieję, że wybiorę własną ścieżkę, zamiast iść ścieżką ojca.

Była zdumiona, że powiedział to tak swobodnie, ale nie chciała dociekać przyczyn jego szczerości. Po prostu ją zaakceptowała.

- Tak. Powiedziałam ci to, gdy zamykałam za tobą tunel i puszczałam cię wolno, zamiast oddać w ręce moich przyjaciół. Teraz sam kierujesz własnym życiem. Nie nadzoruje cię ani ojciec, ani nikt inny. - Urwała na moment, a potem bardzo szybko dodała: - I już rozpocząłeś własne życie, ratując mnie na dachu.

- Niespłacone długi są niebezpieczne. Logika nakazywała mi spłacić ten, który miałem wobec ciebie.

- Rozumiem. A dzisiejsza noc?

- Dzisiejsza noc?

- Przysłałeś mi swoją siłę i przywołałeś mnie do siebie. Skoro masz taką moc, dlaczego po prostu nie zerwałeś naszego Skojarzenia? To także uwolniłoby cię od bólu.

Przerwał jedzenie i spojrzał na nią swoimi szkarłatnymi oczyma.

- Nie rób ze mnie kogoś, kim nie jestem. Spędziłem w mroku całe stulecie. Zawsze towarzyszyło mi zło. Jestem związany ze swoim ojcem, którego wypełnia gniew zdolny spalić cały ten świat. Jeśli ojciec powróci,



przeznaczenie nakaże mi stanąć po jego stronie. Zobacz mnie takiego, jaki jestem, Stevie Rae. Jestem koszmarną kreaturą zrodzoną z fum i gwałtu. Chodzę pośród żywych, ale zawsze będę inny niż oni: ani nieśmiertelny, ani człowiek, ani zwierzę.

Pozwoliła jego słowom wnikać w swe żyły. Wiedziała, że kruk jest wobec niej absolutnie, rozpaczliwie szczery. Wiedziała też jednak z autopsji, że Rephaim jest czymś więcej niż tylko maszyną zaprogramowaną w chwili poczęcia do służenia furii i złu. Poznała jego drugie oblicze.

- Cóż, chyba po prostu przyjmę do wiadomości, że możesz mieć rację.

Zobaczyła w jego krwawych oczach błysk zrozumienia.

- Co oznacza, że mogę też jej nie mieć?

Wzruszyła ramionami.

- Myśl sobie, co chcesz.

Kruk bez słowa pokręcił głową i wrócił do jedzenia. Stevie Rae uśmiechnęła się i dalej robiła sobie kanapkę z indykiem.

- No więc - zagaiła, wyciskając musztardę na biały chleb - jaką masz teorię na temat zaginięcia duszy swojego ojca?

Znów spojrzał dziewczynie w oczy i wypowiedział słowo, które zmroziło jej krew w żyłach.

- Neferet.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### *Stevie Rae*

- Dallas mi powiedział, że Neferet przyniosła ciało Kalony przed oblicze Najwyższej Rady.

- Dallas? - zapytał Rephaim. - Kto to?

- Taki tam kolega. Wygląda na to, że Neferet zdradziła Kalonę, chociaż niby są razem i tak dalej.

- Neferet uwodzi mojego ojca i udaje jego partnerkę, ale w rzeczywistości troszczy się wyłącznie o siebie. On jest przepełniony gniewem, ona nienawiścią. A nienawiść to bardzo niebezpieczny sojusznik.

- Więc jesteś pewien, że mogła go zdradzić, by ratować siebie? - zapytała Stevie Rae.

- Jestem pewien, że zdradziłaby każdego, by ratować siebie.

- Co może zyskać, oddając im Kalonę, zwłaszcza pozbawionego duszy?

- Oddając go Najwyższej Radzie, odsuwa podejrzenia od siebie - odparł Rephaim.

- Fakt. To ma sens. Wiem, że chce śmierci Zoey, a Heath w ogóle jej nie obchodzi. W sumie było jej to na rękę: Zoey zobaczyła, jak Kalona próbuje zabić Heatha, rzuciła w niego całą mocą ducha, ale nie zdołała go powstrzymać i utraciła duszę. Podobno od tego już tylko krok do śmierci.

Rephaim nagle wbił w nią badawcze spojrzenie.

- Zoey zaatakowała ojca żywiołem ducha?

- Tak twierdzą Lenobia i Smok.

- W takim razie musiała go ciężko zranić. - Kruk odwrócił oczy, nie mówiąc nic więcej.

- Hej, musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz - rzekła z powagą Stevie Rae, a gdy nie odpowiadał, westchnęła i kontynuowała: - Dobrze. Oto moja prawda: przyszłam tu dzisiaj gotowa cię zmusić, żebyś mi opowiedział o swoim ojcu, Zaświatach i tym wszystkim, ale teraz, gdy już tu jestem i z tobą rozmawiam, wcale nie chcę cię do niczego zmuszać. - Z wahaniem dotknęła jego ramienia. Wzdrygnął się, gdy poczuł na skórze jej palce, lecz nie odsunął się. - Nie możemy współpracować przy tej sprawie? Naprawdę chcesz śmierci Zoey?

Spojrzał na nią.

- Nie mam powodu życzyć twojej przyjaciółce śmierci, za to ty pragniesz zaszkodzić memu ojcu.

Prychnęła nerwowo.

- Cóż, mogę pójść na kompromis i powiedzieć, że chcę jedynie, aby Kalona zostawił nas wszystkich w spokoju?

- Nie wiem, jak miałyby to być możliwe - odparł Rephaim.

- W każdym razie życzenie sobie tego przeze mnie jest możliwe. W tej chwili zarówno Zoey, jak i Kalona są pozbawieni dusz. Wiem, że twój ojciec jest nieśmiertelny, ale to, że jego ciało stało się pustą skorupą, na pewno mu nie służy.

- Istotnie.

- Więc spróbujemy razem znaleźć sposób, żeby oboje sprowadzić z powrotem, a resztą będziemy się martwić, gdy już to osiągniemy.

- Na to mogę się zgodzić - odparł kruk.

- Świetnie. - Ścisnęła go za ramię, po czym cofnęła rękę. - Mówiłeś, że Kalona jest ranny. Co to znaczy?

- Nie może umrzeć, ale jeśli uszkodzi się jego ducha, ciało także słabnie. Tak było, gdy wykorzystano A-ye, by go uwięzić. Uczucie do niej oszołomiło jego duszę, osłabiając go i sprawiając, że ciało stało się bardziej bezbronne.

- A więc to dzięki temu Neferet mogła go przynieść do siedziby Najwyższej Rady - domyśliła się Stevie Rae. - Zoey zraniła jego ducha, osłabiając też ciało.

- Musi chodzić o coś więcej. Jeśli nie jest w niewoli, jak przez tyle lat pod ziemią, niemal natychmiast zaczyna odzyskiwać siły. Dopóki jest wolny, może uleczyć swoją duszę.

- Cóż, najwyraźniej Neferet położyła na nim łapy, zanim się wyleczył. Taki potwór jak ona pewnie zbił go na kwaśne jabłko tą straszną ciemnością, którą zawsze się otacza, a potem...

- To jest to! - Podekscytowany Rephaim wstał, po czym skrzywił się przeszyty bólem promieniującym od strzaskanego skrzydła. Potarł chorą rękę i usiadł z powrotem, przyciskając ją do siebie. - Neferet dalej atakowała jego duszę. To Tsi Sgili: zyskuje moc dzięki mrocznym siłom ze świata duchów.

- Zabiła Szechinę, nawet jej nie dotykając - przypomniała sobie Stevie Rae.

- Dotknęła najwyższej kapłanki, ale nie rękami, lecz dzięki spleceni wątków śmierci, za które odpowiada, poświęceń, które poczyniła, i mrocznych obietnic, których zamierza dotrzymać. Ta moc zabiła Szechinę, a teraz niszczy osłabioną już duszę mego ojca.

- Co ona właściwie mu robi?

- Trzyma w niewoli jego ciało, a duszy używa do własnych celów.

- Dzięki czemu w oczach Najwyższej Rady uchodzi za kogoś, kto stoi po stronie dobra. Założę się, że wciska kapłankom kity w stylu: „Och, biedna Zoey!” i: „Nie wiem, co Kalona sobie wyobraża!”.

- Tsi Sgili ma wielką moc. Po co miałyby dbać o pozory?

- Neferet nie chce, żeby rada się dowiedziała o jej potędze, bo pragnie zawładnąć całym cholernym światem. Pewno nie jest jeszcze gotowa, żeby przejąć rządy zarówno nad Najwyższą Radą Nyks, jak i nad ludźmi. Nie może więc okazać radzie swojej radości z tego, że Zoey jest bliska śmierci.

- Ojciec nie pragnie śmierci Zoey. On jedynie chce ją osiąść.

Stevie Rae rzuciła Rephaimowi ostre spojrzenie.

- Niektórzy uważają, że lepiej umrzeć, niż zostać wziętym siłą.

Kruk prychnął.

- Masz na myśli skojarzenie się z kimś przez przypadek?

Stevie Rae zmarszczyła brwi.

- Nie. Mam na myśli coś zupełnie innego.

Rephaim znów prychnął, nie przestając pocierać chorej ręki.

- Chcesz powiedzieć, że Kalona nie chciał, aby to, co zrobił Heathowi, zniszczyło duszę Zoey? - zapytała, wciąż marszcząc brwi.

- Nie, bo musiał mieć świadomość, że najprawdopodobniej skończy się to jej śmiercią.

- Najprawdopodobniej? - zareagowała gwałtownie. - Czy to znaczy, że Zoey wcale nie musi umrzeć? Wampiry mają inne zdanie.

- Wampiry myślą inaczej niż nieśmiertelni. Żadna śmierć nie jest tak pewna, jak sądzą. Zoey umrze, jeśli jej duch nie powróci do ciała, a ponowne scalenie się tego ducha nie jest niemożliwe. Owszem, będzie to trudne i będzie jej potrzebny w Zaświatach przewodnik i strażnik, lecz... - Urwał gwałtownie i Stevie Rae ujrzała w jego oczach ogromne zdumienie.

- Co?

- Neferet wykorzystuje mego ojca, by uniemożliwić duszy Zoey powrót. Uwięziła jego ciało, gdy był zraniony, a ducha zmusiła do wypełniania swojej woli w Zaświatach.

- Przecież mówiłeś, że Nyks wygnała go ze swojego królestwa! Jak mógłby wrócić?

Jego oczy rozbłysły zrozumieniem.

- Wygnała jego ciało.

- A ono wciąż jest na ziemi! Tylko duch powrócił! - dokończyła za niego Stevie Rae.

- Tak! Neferet zmusiła go do powrotu. Dobrze znam swego ojca. Nigdy by się nie zakradł z powrotem w Zaświaty. Jest zbyt dumny. Wróciłby jedynie wówczas, gdyby sama bogini go o to poprosiła.

- Jak możesz być tego taki pewny? Może poleciał za Zoey, bo w końcu zrozumiał, że nigdy jej nie zdobędzie, i jak jakiś zwariowany prześladowca woli ją zabić, niż dopuścić żeby była z innym? Czym jest duma w porównaniu z wściekłą zazdrością?

Rephaim pokręcił głową.

- Ojciec nigdy nie uwierzy, że Zoey w końcu mu nie ulegnie. A-ya to uczyniła, a jej część wciąż żyje w duszy Zoey. - Urwał, lecz nim Stevie zdążyła zadać kolejne pytanie, kontynuował: - Wiem jednak, jak możemy się co do tego upewnić. Jeśli Neferet go wykorzystuje, z pewnością spowiła jego ciało ciemnością.

- Ciemnością? To znaczy przeciwieństwem światła?

- W pewnym sensie. Trudno dokładnie opisać czyste zło, które wciąż się zmienia, nieustannie ewoluuje To świadomy mrok. Ktoś, kto potrafi wyczuwać istoty przybywające z krainy duchów, prawdopodobnie zdoła zobaczyć więzy utkane przez Tsi Sgili, by uwięzić ojca. O ile tam są.

- A ty potrafisz wyczuwać takie istoty?

- Tak - odparł, spokojnie patrząc jej w oczy. - Chcesz, żebym się oddał w ręce waszej Najwyższej Rady?

Stevie Rae przygryzła wargę. Czy tego chciała? Oznaczałoby to poświęcenie dla Zoey jego życia i być może także jej życia, bo musiałaby pojechać tam z nim, a nie było mowy, żeby te niesamowicie potężne wampirskie kapłanki nie zorientowały się, że są skojarzeni. Stevie była oczywiście gotowa zginąć za Zoey, ale szczerze mówiąc, wolałaby znaleźć inne wyjście. Poza tym Zoey nie chciałaby jej śmierci. No cóż, zapewne nie chciałaby także, by Stevie ratowała Kruka Przeźmiewcę, a potem się z nim skojarzyła. Nikt by tego nie chciał. Bogini wiedziała, że nawet sama Stevie tego nie chciała. Przynajmniej przez większość czasu.

- Stevie Rae?

Ocknęła się z wewnętrznego dialogu i zobaczyła, że Rephaim bacznie ją obserwuje.

- Chcesz, żebym się oddał w ręce waszej Najwyższej Rady? - powtórzył z powagą.

- Tylko jeśli wyczerpiemy wszystkie inne możliwości. A jeśli już tam pojedziesz, to razem ze mną. Zresztą rada pewnie i tak nie uwierzy w nic, co jej powiesz. Mówiłeś jednak, że potrzebujemy kogoś, kto zna się na duchach i może wyczuć ciemność, prawda?

- Tak.

- Cóż, w radzie zasiada aż siedem bardzo potężnych wampirek. Któraś z nich na pewno to potrafi.

Rephaim przechylił głowę.

- Wykrycie mrocznych sił, którymi posługuje się Tsi Sgili, byłoby u wampira czymś niezwykłym. Tylko dlatego Neferet jest w stanie tak długo utrzymywać swoją mistyfikację. Prawdziwa zdolność do wykrywania ukrytej ciemności jest naprawdę rzadka. Trudno zidentyfikować takie zło, jeśli się go nie zna.

- Kapłanki z Najwyższej Rady rzekomo są bardzo niezwykle i tak dalej. Któraś z nich na pewno sobie z tym poradzi - powiedziała Stevie Rae z pewnością, której nie miała. Wszyscy wiedzieli, że kapłanki wybierano do rady z powodu ich honoru, uczciwości i ogólnie pojętej dobroci, co ani trochę nie szło w parze ze znajomością zła. Odkaslnęła. - Słuchaj, muszę wracać do Domu Nocy i zadzwonić do Wenecji - oznajmiła stanowczo, po czym przeniosła wzrok na jego chorą rękę i zwisające bezwładnie skrzydło owinięte poplamionymi bandażami. - Boli jak diabli co?

Skinął krótko głową.

- Najadłeś się?

Znow skinął.

Z trudem przełknęła ślinę, wspominając ich wspólny ból, który czuła podczas ostatniej zmiany bandażu.

- Muszę przynieść apteczkę. Podejrzewam niestety, że jest w dyżurce, do której odesłałam durnego strażnika, co oznacza, że będę musiała jeszcze raz namącić mu w tym mikroskopijnym mózdzku.

- Skąd wiesz, że ma mały mózg?

- Nie zauważyłeś jego spodni? Żaden rozumny człowiek poniżej osiemdziesiątego roku życia nie nosi takich dziadowskich, podciągniętych prawie pod pachy spodni. Trzeba mieć mózg jak łebek od szpilki, mówię ci.

Ku zaskoczeniu obojga Rephaim się roześmiał.

„Podoba mi się brzmienie jego śmiechu” - pomyślała Stevie i zanim zdążyła się powstrzymać, powiedziała:

- Powinieneś się częściej śmiać. Fajnie to brzmi.

Kruk odpowiedział jedynie nieodgadnionym spojrzeniem. Czując się dość niezręcznie, szybko zeskoczyła z kuchennego taboretu.

- No dobra, poszukam apteczki, zabandażuję ci skrzydło najlepiej, jak umiem, przygotuję jedzenie i resztę rzeczy, a potem pojedę do szkoły i wykonam parę międzynarodowych połączeń. Czekaaj tu, zaraz wracam.

- Wolałbym iść z tobą - rzekł kruk, wstając ostrożnie z przyciśniętym do boku ramieniem.

- Chyba jednak byłoby ci łatwiej tu poczekać.

- Owszem, ale i tak chcę iść z tobą- odparł cicho.

Poczuła gdzieś w głębi siebie dziwaczny krótki wstrząs, lecz wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Jak tam chcesz. Tylko nie skomlij, że cię coś boli.

- Ja nie skomlę! - Spojrzał na nią z taką męską dumą w oczach, że tym razem to ona musiała się roześmiać. Ramię w ramię wyszli z kuchni.

W drodze do domu zamierzała myśleć o Zoey i planować dalsze działania. To jednak było akurat bardzo proste. Musiała zadzwonić do Afrodyty. Ona niezależnie od tego, jakie tragedie spotykają świat, z pewnością wściubia swój zadarty nosek wszędzie, a zwłaszcza w sprawy dotyczące Zoey.

Mając już zaplanowany kolejny krok w procesie ratowania Zo, mogła spokojnie rozmyślać o Rephaimie.

Bandażowanie tego cholernego skrzydła było okropne. Wciąż odczuwała fantomowy ból w prawym ramieniu i plecach. Nawet kiedy znalazła słoiczek znieczulającej lidokainy i posmarowała nią całe skrzydło i zranione ramię kruka, wciąż bolało, aż ją mdliło. Rephaim przez całą tę potworną operację nie wypowiedział ani słowa. Odwrócił od niej głowę, a zanim dotknęła jego skrzydła, powiedział:

- Masz ochotę na tę swoją sztuczkę z mówieniem podczas bandażowania?

- O jaką sztuczkę z mówieniem ci chodzi? - zapytała.

Zerknął na nią przez ramię i mogłaby przysiąc, że zobaczyła w jego oczach uśmiech.

- Mówisz. I to dużo. Więc teraz też się nie krępuj. Dzięki temu będę mógł myśleć o czymś bardziej denerwującym niż mój ból.

Oczywiście ofuknęła go, ale z uśmiechem. A potem rzeczywiście mówiła, ani na chwilę nie przerywając podczas oczyszczania, bandażowania i usztywniania jego strzaskanego skrzydła. Można powiedzieć, że dostała werbalnej sraczki i trajkotała o wszystkim i o niczym na fali dzielonego z krukami bólu. Gdy wreszcie skończyła, Rephaim w milczeniu powoli wrócił za nią do opuszczonego domostwa, a ona próbowała zapewnić mu większą wygodę, upychając do wnęki koce przyniesione z pokoju służbowego.

- Musisz już iść. Nie przejmuj się tym. - Wziął z jej rąk ostatni koc, po czym dosłownie padł.

- Położyłam ci tu torbę z jedzeniem. Wzięłam takie, które się szybko nie psuje. Pamiętaj, żeby pić dużo wody i soku. Płynny to zdrowie - powiedziała nagle przejęta, że zostawia go tak słabego i wykończonego.

- Dobrze. Idź.

- Świetnie. Idę. Spróbuję jutro znów przyjść.

Odpowiedział znużonym skinieniem głowy.

- No dobra. To lecę.

Odwróciła się, by wyjść, gdy zatrzymał ją jego głos.

- Porozmawiaj z matką.

Stała jak wryta.

- Niby czemu miałabym gadać z mamą?

Stropiony Rephaim zamrugał kilkakrotnie.

- Mówiłaś o niej, gdy bandażowałaś mi skrzydło - rzekł w końcu. - Nie pamiętasz?

- Nie. To znaczy tak. Chyba nie zwracałam zbyt wiele uwagi na swoje gadanie. - Machinalnie potarła prawą rękę. - Po prostu kłapałam dziobem i chciałam jak najszybciej mieć to wszystko z głowy.

- A ja słuchałem ciebie, zamiast koncentrować się na bólu.

- Aha. - Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć.

- Mówiłaś, że twoja mama sądzi, że umarłaś. Więc... - Umilkł, najwyraźniej tak zagubiony, jakby właśnie próbował odczytać nieznaną mu język. - Więc może powinnaś jej powiedzieć, że żyjesz. Na pewno chciałaby to wiedzieć, prawda?

- Tak.

Przez chwilę spoglądali na siebie.

- Na razie - zdołała wreszcie wykrztusić Stevie. - Nie zapominaj o jedzeniu.

Po czym dosłownie wybiegła z muzeum.

- Dlaczego, u diabła, tak się wystraszyłam, gdy wspomniał o mojej mamie? - zapytała siebie na głos.

Znała odpowiedź, tyle że jej akurat nie chciała wypowiadać na głos. Rephaima interesowało to, co do niego mówiła. Przejmował się, że Stevie tęskni za mamą. Parkując przy Domu Nocy i wysiadając z auta, przyznała się przed sobą, że tak naprawdę nie jego troska ją przeraziła, lecz własne uczucia z nią związane. Cieszyła się, że Rephaim się o nią troszczy, chociaż wiedziała, że niebezpiecznie się cieszyć z troski potwora.

- Jesteś! Najwyższy czas! - Dallas praktycznie wyskoczył na nią z krzaków.

- Dallas!!! Przysięgam na boginię, że zrobię z ciebie mokrą plamę, jeśli nie przestaniesz mnie straszyć.

- Zaczekaj z tym trochę. Na razie musisz iść do sali zebrań, bo Lenobia bynajmniej nie jest zadowolona z twojej wyprawy.

Stevie Rae westchnęła i ruszyła za nim po schodach do sali położonej naprzeciw biblioteki i wykorzystywanej jako miejsce zebrań szkolnej rady. Szła szybko, ale w drzwiach się zawahała. Powietrze wokół było jak naelektryzowane. Duży okrągły stół zazwyczaj zbliżał ludzi, lecz tego dnia bardziej przypominał jadalnię pełną oddzielnych i nienawidzących się wzajemnie gromadek.

Po jednej stronie siedzieli Lenobia, Smok, Erik i Kramisha. Po drugiej - profesorowie Penteseila, Garmy i Vento. Patrzeli na siebie spode łba, jakby toczyli pojedynek na zabijanie się wzrokiem. Dallas odchrząknął i Lenobia spojrzęła na przybyłych.

- Stevie Rae! Nareszcie! Wiem, że czasy są niezwykle i wszyscy żyjemy w ogromnym stresie, ale będę ci wdzięczna, jeśli następnym razem powściągniesz potrzebę udania się do parku czy gdziekolwiek indziej w czasie wyznaczonym na zebranie rady. Pełnisz rolę najwyższej kapłanki i powinnaś pamiętać o tym, by zachowywać się odpowiednio.

Przemawiała tak surowo, że Stevie instynktownie się najeżyła. Otworzyła usta, by napyskować nauczycielce, powiedzieć, że nikt jej nie będzie rozkazywał, demonstracyjnie opuścić salę i zadzwonić do Wenecji. Nie była już jednak jakąś tam adeptką, a odmowa współpracy z wampirami troszczącymi się o Zoey - co było prawdą przynajmniej w przypadku niektórych - z pewnością nie poprawiłaby sytuacji.

„Zaczynaj tak, jak chciałabyś zakończyć” - niemal usłyszała w głowie głos matki.

Zamiast więc zrobić scenę i wymaszerować, weszła do sali i usiadła na jednym z krzeseł stojących dokładnie pomiędzy obiema grupami. Kiedy się odezwała, nie dopuściła do głosu wściekłości. Starła się jak najwierniej odtworzyć sposób mówienia, którego używała mama, gdy chciała pokazać, że jest nią bardzo, ale to bardzo rozczarowana.



- Lenobio, mam dar łączności z ziemią. To zaś oznacza, że czasem muszę się oddalić od wszystkich i przebywać z nią sam na sam. Taka bliskość pomaga mi myśleć, a obecnie wszyscy musimy wyteńczyć umysły. Dlatego będę się czasem oddalać, za waszą zgodą lub bez niej, niezależnie od tego, czy zwołaliście zebranie czy też nie. I nie pełnię roli najwyższej kapłanki, tylko jestem pierwszą i jedyną czerwoną wampirską najwyższą kapłanką na całym świecie. Ponieważ to nowe zjawisko, prawdopodobnie wiążą się z nim nowe obowiązki, które będę musiała sama dla siebie odkryć.

- Odwróciła się w drugą stronę i dodała szybko: - Dzień dobry, profesorowie Pen, Garmy i Vento. Dawno się nie widzieliśmy.

Troje nauczycieli wymamrotało powitanie, a Stevie Rae zignorowała fakt, że gapią się na jej czerwone tatuaże, jakby była ofiarą nieudanego eksperymentu naukowego.

- Dallas mówił, że Neferet złożyła ciało Kalony w siedzibie Najwyższej Rady i że jego dusza prawdopodobnie też jest rozbita - dodała Stevie.

- Owszem, choć nie wszyscy chcą w to wierzyć - odparła Pen, rzucając Lenobii posępne spojrzenie.

- Kalona nie jest Erebem! - wybuchnęła Lenobia. - Doskonale też wiemy, że Neferet nie jest ziemskim wcieleniem Nyks. Cała ta uzurpacja jest po prostu śmieszna.

- Rada donosi, że wieszczka Afrodyta ogłosiła, iż duch nieśmiertelnego uległ rozbiciu, tak samo jak duch Zoey - dodała Garmy.

- Chwila. - Stevie uniosła rękę, by powstrzymać wiszącą w powietrzu tyradę. - Czy wypowiedziałaś słowo „wieszczka” obok słowa „Afrodyta”?

- Tak nazwała ją Najwyższa Rada - odparł zgryźliwie Erik - choć większość z nas nie użyłaby tego określenia.

Stevie Rae uniosła brwi.

- Czyżby? Ja tak. Zoey też. Zresztą ty także to zrobiłaś, może nie mówiąc tego wprost, lecz więcej niż raz kierując się jej wizjami. Byłam z nią skojarzona, chociaż niespecjalnie mi się to podobało, ale mogę cię zapewnić, że niewątpliwie jest naznaczona przez Nyks i wie różne rzeczy. Mnóstwo rzeczy. - Przeniosła wzrok na Garmy. - Afrodyta wyczuwa fakty związane z duchem Kalony?

- Tak sądzi Najwyższa Rada.

Stevie wydała długie westchnienie ulgi.

- To najlepsza wiadomość, jaką słyszałam od paru dni. - Zerknęła na zegar i zaczęła liczyć, która godzina jest teraz w Wenecji. W Tulsie było wpół do jedenastej wieczorem, więc tam powinien się zbliżać świt. - Potrzebny mi telefon. Muszę zadzwonić do Afrodyty. Cholera, zostawiłam swój w pokoju! - Zaczęła wstawać.

- Stevie Rae, co ty robisz? - zapytał Smok, gapiąc się na nią wraz z pozostałymi.

Zawahała się i przeniosła wzrok z powrotem na zasiadające wokół stołu zdenerwowane i ponure wampiry.

- Może powiem ci raczej, czego nie robię? Nie zamierzam siedzieć tu i kłócić się o to, kim są Kalona i Neferet, kiedy Zoey potrzebuje pomocy. Nie opuszczę jej i nie pozwolę się wciągnąć w jakąś idiotyczną nauczycielską pyskówkę. - Spojrzała w przestraszone oczy Kramishy. - Wierzysz, że jestem twoją najwyższą kapłanką?

- Tak - odparła bez wahania dziewczyna.

- Świetnie. W takim razie chodź ze mną. Tu tylko marnujesz czas. Dallas?

- Zawsze jestem z tobą, mała - odparł chłopak.

Stevie po kolei spoglądała w oczy poszczególnym wampirom.

- Musicie się pozbierać do kupy. Oto wiadomość od jedynej najwyższej kapłanki, jaka jeszcze wam pozostała: Zoey nie umarła. A wierzcie mi, wiem, co to śmierć, bo to moja cholernie dobra znajoma. - Po tych słowach Stevie Rae odwróciła się plecami do zebranych i wymaszerowała z sali w towarzystwie swoich adeptów.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### *Afrodyta*

Darius chciał ją wynieść z sali obrad, ale mu nie pozwoliła. Nie mogła zostawić Zoey na pastwę Neferet, która kompletnie oszalała i wyprawiała tu jakieś niesłychane rzeczy. Jeden pogrążony w rozpacz wojownik i rozhisteryzowane baranie stadko to było stanowczo za mało, by ochronić dziewczynę.

- Tak, uważam, że powinno się pilnie strzec ciała Ereba pod nieobecność jego duszy. Być może to tylko chwilowy stan, w który popadł po ataku Zoey - przemawiała Neferet do kapłanek.

- Po ataku Zoey? Czy dobrze usłyszałem? - Stark miał spuchnięte oczy i zapadnięte policzki, lecz wyglądał na gotowego skoczyć jej do gardła.

- Idź do Starka i pomóż mu się opanować - szepnęła do Dariusza Afrodyta, a gdy się zawahał, dodała: - Mnie nic nie jest. Będę tu sobie siedzieć, słuchać i uczyć się, trochę jak na którymś z przyjęć koktajlowych mojej mamy, które wymknęły się spod kontroli.

Darius skinął głową, szybko podszedł do Starka i położył mu dłoń na ramieniu. Pomyślała, że wszystko jest na dobrej drodze, bo Stark nie strząsnął jego ręki, ale z drugiej strony chłopak był cieniem samego siebie. Zastanawiała się, co się dzieje z wojownikiem, gdy jego kapłanka umiera, i zadrżała pod wpływem potwornego przeczucia.

- Zoey zaatakowała Ereba. Jego pozbawione ducha ciało jest tego niezbitym dowodem - odparła protekcyjnie Neferet.

- Zoey usiłowała go powstrzymać przed zabiciem swojego partnera - rzekł Darius, nim Stark zdążył zareagować krzykiem.

- A więc o to chodzi? - Była kapłanka uśmiechnęła się do niego jedwabiście, sprawiając, że Afrodyta miała ochotę wydrapać jej oczy. - A dlaczego to mój partner czuł potrzebę skrzywdzenia partnera Zoey? Wszystko co wiemy na ten temat, wyszło z ust samego Ereba, nim jego duch został wyrwany z ciała. Ostatnie jego słowa brzmiały: „Broniłem mojej bogini”. To co zaszło między Zoey, Heathem i Erebem, jest więc znacznie bardziej złożone, niż mogłoby się zdawać młodemu zrozpaczonemu świadkowi.

- To nie była jakaś tam kłótnia o Nyks! Kalona zabił Heatha! Prawdopodobnie dlatego, że był zazdrosny o miłość Zoey do niego - rzucił Stark, sprawiając wrażenie kogoś, kto najbardziej w świecie pragnie zacisnąć palce na szyi Neferet.

- A co ty czujesz w kwestii jej miłości do Heatha? Wiąż wojownika z kapłanką jest bardzo silna, nieprawdaż? Byłeś tam z nimi, gdy dusza uległa rozbiciu. Czy nie ponosisz żadnej winy, wojownik? - zapytała Neferet.

Darius powstrzymał Starka przed rzuceniem się na nią, a Duantia szybko próbowała złagodzić napięcie:

- Neferet, sędzę, że wszyscy się zgadzamy, iż w kwestii tragedii, która rozegrała się dziś na naszej wyspie, istnieje wiele znaków zapytania. Stark, rozumiemy twoje oddanie kapłance i wściekłość, jaką odczuwasz po jej stracie. To wielki cios dla wojownika...

Światłe przemówienie Duantii przerwał dźwięk refrenu *Respect* Arethy Franklin dobiegający z torebeczki przewieszanej przez ramię Afrodyty.

- Ojej, przepraszam. - Dziewczyna gorączkowo próbowała wymacać iPhone. - Byłam pewna, że wyłączyłam dzwonek. Nie wiem, kto to może... - Umilkła na widok imienia Stevie Rae na wyświetlaczu. Już miała nacisnąć przycisk „odrzuć”, gdy nagle dopadło ją silne, wyraźne przeczucie. Musiała porozmawiać ze Stevie. - Jeszcze raz przepraszam, naprawdę muszę odebrać. - Pobiegła w stronę schodów prowadzących do wyjścia z sali, czując się jak naga, bo wszyscy gapili się na nią spode łba, jakby przed chwilą uderzyła dziecko albo utopiła jakiegoś cholernego szczeniaka. - Stevie Rae - szepnęła w popłochu - wiem, że pewnie właśnie się dowiedziałaś o Zo i wpadłaś w szal, ale to zły moment na dzwonienie.

- Wyczuwasz duchy i inne zjawiska z Zaświatów? - zapytała bez wstępów Stevie.

Coś w jej tonie kazało Afrodycie powstrzymać się od tradycyjnego sarkazmu.

- Tak, chyba zaczynam. Podobno mam jakąś więź z Zaświatami, odkąd nawiedzają mnie te wizje, ale do dziś nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Gdzie jest ciało Kalony?

Afrodyta zanurkowała za załom holu. Nikogo przy niej nie było, lecz na wszelki wypadek mówiła półgłosem.

- W sali obrad przed Najwyższą Radą.

- Neferet też tam jest?

- Jasne.

- A Zoey?

- Też. To znaczy jej ciało. Samej Zo ani śladu. Stark jest totalnie załamany tym, co się stało, a w dodatku Neferet doprowadza go do szału, więc dosłownie nie może zebrać myśli. Darius ratuje mu tyłek, nie dopuszczając do rozdarcia jej na strzępy gołymi rękami. Baranie stadko wpadło w histerię.

- Ale ty zachowałeś rozum.

Nie zabrzmiało to jak pytanie, lecz Afrodyta i tak odpowiedziała:

- Ktoś musiał.

- Świetnie. Słuchaj, mam pewną hipotezę w sprawie Kalony. Jeśli się nie mylę, Neferet jest po łokcie umoczona w czymś bardzo złym. Do tego stopnia, że uwięziła jego ciało, a duch musi być jej posłuszny, żeby móc wrócić.

- Jakby kogoś z nas mogło to zdziwić.

- Założę się, że większość Najwyższej Rady owszem. Neferet potrafi zjednywać sobie ludzi.

Afrodyta prychnęła szyderczo.

- Z tego co widzę, większość z nich nie ma pojęcia, co z niej za ziółko.

- Tak właśnie myślałam. Więc walka z nią na oczach wszystkich będzie jeszcze trudniejsza niż była tu, w szkole.

- Na to wygląda. O co chodzi z tym Kaloną?

- Musisz zbadać jego ciało przy użyciu swoich zdolności Spidermana.

- Stuknięta jesteś. Nie ma czegoś takiego jak Spiderman. To tylko durna postać z jeszcze bardziej durnego komiksu - burknęła Afrodyta.

- To się nazywa powieść graficzna, a nie komiks. I nie musisz się tak wymądrzać. Nie mam czasu na kłócenie się z tobą o korzystny wpływ powieści graficznych na wyobraźnię - odparła Stevie Rae.

- Och, daj spokój. Jeśli coś ma pierzastą dupę i pływa po wodzie, to nazywa się kaczka. Obrazki ze słowami w dymkach nazywają się komiks. Komiksy to durnowata rozrywka dla społecznych niedomytych pseudointelektualistów. Koniec dyskusji.

- Afrodyto, skup się! Masz wrócić do sali i zbadać ciało Kalony swoim wewnętrznym wykrywaczem duchów z innego świata. Szukaj wszystkiego, co dziwaczne i niedostrzegalne dla nikogo innego. Na przykład, bo ja wiem...

- Obrzydliwej kleistej pajęczyny ciemności oplatającej go jak jakieś dziwaczne łańcuchy? - podsunęła.

- Przestań mnie wkurzać! To zbyt ważne - rzuciła niezmiernie poważnym głosem Stevie Rae.

- Nie próbuję cię wkurzać. Opowiadam ci o tym, co już zobaczyłam. Jego ciało jest całkowicie pokryte ciemnymi niemi jakiejś ohydnej substancji, której najwyraźniej nie widzi nikt oprócz mojej skromnej osoby.

- To Neferet! - wykrzyknęła w podnieceniu Stevie Rae. - Pokumała się z ciemnością. Tylko dzięki temu może korzystać z mocy Tsi Sgili. Udało jej się uwięzić Kalonę zaraz po tym, jak Zoey zraniła jego duszę. Jedynie wtedy jego ciało było dość słabe, by ulec.

- Skąd to wiesz?

- W ten sam sposób poprzednio uwięzili go Czirokezi - uchyliła się od odpowiedzi, wypowiadając tę część prawdy, którą mogła ujawnić. - A-ya zmaciła mu duszę emocjami, do których nie był przyzwyczajony, a kobiety ze starszyny wykorzystały jego słabość i zwabiły go w pułapkę.

- Brzmi sensownie. A teraz Neferet związała go i uniemożliwiła jego duszy powrót. Tylko dlaczego? Jest jego obrzydliwą kochanką. Czemu miałybyście chcieć, żeby tu nie wracał? Moglibyście zwać we dwoje i Kalona wcale nie musiałaby pokutować za zabicie Heatha.

- Owszem. Nie wzięłaś jednak pod uwagę dwóch rzeczy: po pierwsze, Neferet wyglądałaby na współwinną, więc Najwyższa Rada zwróciłaby się przeciwko niej, a po drugie, nie miałyby pełnej gwarancji, że Zoey umrze.

- Co ty pieprzysz? Rada mówi, że został jej najwyżej tydzień życia.

- Nieprawda. Jeśli dusza wróci do ciała, Zoey będzie żyła! Neferet o tym wie, dlatego...

- Dlatego uwięziła Kalonę i kazała mu polecieć za Zo w Zaświaty, żeby uniemożliwić jej powrót! - dokończyła za nią Afrodyta. - Cholernie cwane. Ale coś mi tu nie pasuje. Kalona ma totalną ambę na punkcie Zo. Nie sądzę, żeby chciał jej śmierci.

- A jeśli zabicie jej jest dla niego jedynym sposobem na odzyskanie własnego ciała?

- Wtedy ją zabije - odparła z powagą Afrodyta. - Stevie Rae, co my, u diabła, zrobimy?

- Musimy znaleźć sposób, żeby uratować Zoey i umożliwić jej powrót do ciała. Zanim zapytasz: nie, nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. - Stevie zawahała się, po czym ściskając kciuki w nadziei, że to połowiczne kłamstwo jakoś przejdzie, dodała: - Dzisiaj ziemia zdradziła mi pewne bardzo dziwne fakty na temat Kalony. Podobno był kiedyś wojownikiem Nyks. Stał po właściwej stronie. Potem coś się wydarzyło w Zaświatach i bogini go wyгнаła. Wtedy upadł na ziemię.

- To znaczy, że zna Zaświaty o wiele lepiej niż ktokolwiek z nas - zauważyła ponuro Afrodyta.

- No. Cholerka! Potrzebujemy wojownika, który będzie walczył z Kaloną w Zaświatach i pomoże Zoey wrócić.

Afrodyta poczuła ukłucie zrozumienia: docierało do niej, do czego zmierza Stevie.

- Przecież ona już ma wojownika.

- Stark operuje na ziemi, a nie tam.

- Wojownika i jego kapłankę łączy więź ducha, ślubów i poświęcenia. Wiem, bo przeżyłam to z Dariusem. - Mówiła z coraz większym podekscytowaniem. - I nie powiesz mi, że mój wojownik nie poszedłby za mną do samego piekła, byle tylko mnie ratować. Musimy jedynie przeprowadzić duszę Starka w Zaświaty, żeby mógł strzec Zo tak jak tutaj.

„I być może uratować w ten sposób także siebie” - pomyślała.

- Nie wiem, Afrodyto. Na pewno jest strasznie załamany utratą Zoey i tak dalej.

- O to właśnie chodzi! Ratując ją, uratuje siebie!

- To nie działa. Pamiętam z *Vademecum adepta* opowieść o najwyższej kapłance i jej wojowniku, który umarł, gdy jej dusza została rozbita, i w ślad za nią przeniósł się w Zaświaty.

- Daj spokój, idiotko. Te historie znajdują się w *Vademecum* po to, żeby przerazić na śmierć takich trzecioformatowców jak ty i zniechęcić młode ponętne adeptki do ugania się za seksownymi Synami Ereba. Pewnie napisała ją jakaś stara zasuszona wiedźma, która od miliona lat z nikim nie spała.

Bądźmy poważne. Stark musi wyruszyć za Zoey w Zaświaty, skopać Kalonie tyłek i sprowadzić ją z powrotem.

- Jestem pewna, że to o wiele bardziej złożone.

- Prawdopodobnie tak. I co z tego? Coś wykombinujemy.

- Jak?

Afrodyta pomyślała o mądrych ciemnych oczach Tanatos.

- Chyba znam kogoś, kto może przynajmniej wskazać nam właściwy kierunek.

- Tylko nie pozwól, żeby Neferet się domyśliła, że coś na nią mamy - ostrzegła ją Stevie.

- Nie jestem idiotką, idiotko - odparła Afrodyta. - Zostaw to wszystko w moich nadzwyczaj zręcznych i odpowiednio wypielegnowanych dłoniach. Zadzwoń do ciebie później i zdam relację. Narka! - Rozłączyła się, nim Stevie zdążyła cokolwiek dodać, po czym z chytrym uśmieszkiem udała się z powrotem do sali zebrań.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### *Stark*

Im dłużej przebywał w jednym pomieszczeniu z Neferet tym silniej wrzał w nim gniew. Cieszyło go to, bo w gniewie potrafił myśleć, a w bólu nie. Na boginię! Ten nieznośny ból po utracie jego kapłanki... jego Zoey...

- Zatem postanowione - rzekła Neferet. - Zabiorę ciało swego partnera na Capri. Tam będę mogła go strzec, póki...

W końcu dotarło do niego, co mówi ta przeklęta dziwka Natarł na nią, tylko dzięki żelaznemu chwyтови Dariusa nie rzucając się jej do gardła.

- Nie możecie pozwolić jej z nim uciec! - wrzasnął na Duantię, przewodniczącą rady. - Kalona zabił Heatha. Widziałem to! Zoey też to widziała. Dlatego stało się z nią to co się stało. - Wskazał leżące bez życia ciało dziewczyny, nie patrząc na nie. Nie mógł na nią spojrzeć.

- Uciec? - prychnęła Neferet. - Zgodziłam się już na eskortę grupy wojowników i na składanie regularnych sprawozdań dotyczących stanu Ereba. Racz zauważyć, że mój partner nie jest przestępcą. Zabijanie istot ludzkich w służbie bogini przez jej wojowników nie jest niezgodne z naszymi prawami.

Stark zignorował ją i nadal zwracał się do Duantii.

- Nie pozwól jej wyjechać. Nie pozwól jej go zabrać. On zrobił coś gorszego niż zabicie istoty ludzkiej i bynajmniej nie służy Nyks.

- To kłamstwa rozpowszechniane przez zazdrosną nastolatkę, która do tego stopnia nie panowała nad sobą, że zapłaciła za to utratą duszy! - zadrwiła Neferet.

- Ty zasrana dziwko! - Rzucił się na nią, lecz nawet nie mrugnęła; wyciągnęła jedynie swoją smukłą rękę i skierowała ku niemu dłoń obróconą wierzchem do góry. Usiłując się uwolnić z uścisku Dariusa, zobaczył materializujący się wokół palców Tsi Sgili czarny dym.

- Stark, debil, przestań!

Nagle wyrosła przed nim Afrodyta. Choć wiedział, że zależy jej na Zoey, nie zawahałby się przed powaleniem jej na ziemię, by osiągnąć Neferet, gdyby nie Darius.

- W ten sposób nie pomagasz Zoey! - wrzeszczała dalej dziewczyna.

Potem powiedziała coś, co kompletnie go zszokowało, a jeśli sądzić po gwałtownym wciągnięciu powietrza przez Dariusa, jego też. Afrodyta ujęła mianowicie twarz Starka w swoje gładkie dłonie i zmusiła, by spojrział jej w oczy, po czym wyszeptwała słowa, które miały zmienić jego życie:

- Wiem, jak jej pomóc.

- Widzicie, jaki nieobliczalny jest ten chłopak! Jeśli mój partner tu pozostanie, kto wie, co może zrobić to niezdyscyplinowane dziecko! - pluła jadem Neferet, podczas gdy Stark nie odrywał wzroku od oczu Afrodyty.



- Przysięgasz? - szepnęła natarczywie. - Czy tylko tak gadasz?

Afrodyta uniosła brew.

- Gdybyś znał mnie lepiej, wiedziałbyś, że nigdy nie gadam ot, tak. Skoro jednak sobie tego życzysz, to owszem, przysięgam na swój nowy i denerwująco wymagający tytuł wieszczki, że wiem, jak pomóc Zoey, ale najpierw musimy ją zabrać z dala od Neferet, rozumiesz?

Skinął krótko głową i przestał się szamotać z Dariusem. Afrodyta oderwała dłonie od jego twarzy i odwróciła się w stronę Neferet oraz Najwyższej Rady.

- Dlaczego bez zastrzeżeń przyjmujecie, że Zoey umrze? - zapytała tonem prawdziwej wieszczki.

Duantia odezwała się pierwsza.

- Jej dusza opuściła ciało nie tylko w celu duchowej podróży w Zaświaty czy chwilowego zespolenia z boginią. Została rozbita.

Po niej głos zabrała inna członkini rady, która dotąd rzadko przemawiała.

- Musisz zrozumieć, co to oznacza, wieszczko. Duch Zoey przeniósł się w Zaświaty w kawałkach. Jej wcześniejsze wcielenia, wspomnienia i odrębne aspekty osobowości zostały rozdzielone. Zmienia się w Caoinic Shi', istotę nie żywą, ale i nie umarłą, uwięzioną w krainie duchów, lecz pozbawioną pociechy posiadania własnej duszy.

- Bądźmy poważne. Mów po amerykańsku i skończ z tymi zamierzchłymi, popieprzonymi i potwornie mylącymi staroeuropejskimi pierdołami. - Afrodyta podparła się jedną ręką pod bok, a drugą wycelowała w Najwyższą Radę. - Wy tłumaczcie mi bez tych gotyckich bzdur, dlaczego, u diabła, skreślacie Zoey.

Stark usłyszał, jak kilka członkiń rady wciąga powietrze w reakcji na śmiałe słowa Afrodyty, doszło go też protekcyjne: „Mówiłam wam, że nie panują nad sobą” Neferet, ale Tanatos odpowiedziała spokojnie:

- Eter miała na myśli to, że warstwy duchowe tworzące dzisiejszą Zoey, czyli jej wcześniejsze żywoty, dotychczasowe doświadczenie, osobowość, zostały od niej oderwane, a bez nich nie może ani odpocząć w Zaświatach, ani powrócić do ciała na tym świecie. Wyobraź sobie, że miałas straszny wypadek, który oderwał warstwy skóry, mięśni i kości chroniących twoje serce, pozostawiając je odsłonięte i bezbronne. Co by się wówczas z tobą stało?

Afrodyta się zawahała. Stark pomyślał, że wzdraga się przed udzieleniem oczywistej odpowiedzi, kiedy jednak zerknęła na niego, ze zdumieniem ujrzał w jej oczach triumf i podniecenie.

- Nawet gdyby moje serce było bezbronne, nadal by biło. Dlaczego więc nie załatwić Zoey jakiejś ochrony?

„Ochrony! Ja jestem jej ochroną” - uświadomił sobie Stark i przez jego ciało przemknął leciutki dreszcz nadziei.

- Ja jestem jej ochroną - rzekł szybko. - Obojętne, czy na tym świecie, czy na drugim. Pokażcie mi tylko, jak się dostać tam, gdzie ona jest, a udam się tam i będę przy niej.

- To brzmi całkiem logicznie, Stark - przyznała Tanatos - Ty jednak jesteś obdarzony przymiotami wojownika, a są to przymioty cielesne, nie należące do świata duchów.

- Ochrona to ochrona - nalegał chłopak. - Pokażcie tylko, jak tam dotrzeć, a resztę sam wykombinuję.

- Zoey musi ponownie scalić swojego ducha - powiedziała Eter. - Nie możesz jej w tym wyręczyć.

- Ale mogę być przy niej, kiedy będzie się z tym borykać. Mogę jej strzec - odparł Stark.

- Żywy wojownik nie może wejść w Zaświaty nawet za swoją kapłanką - rzekła Eter.

- Jeśli tego spróbujesz, sam stracisz życie - dodała Duantia.

- Nie możesz być tego pewna.

- W naszej historii nie ma ani jednej wzmianki o wojowniku, który by podążył za roztrzaskaną duszą swojej kapłanki w Zaświaty i zachował życie - zauważyła Tanatos. - Wszyscy zginęli. I wojownicy, i kapłanki.

Stark poczuł ukłucie zdumienia. Nawet nie przyszło mu do głowy, że i on może umrzeć. Z osobliwym zaciekawieniem, jakby obserwował cudze myśli, uświadomił sobie, że nie przeszkadza mu perspektywa śmierci, byleby tylko mógł wypełnić złożone Zoey śluby. Nim jednak zdążył odpowiedzieć, znów usłyszał lodowaty głos Neferet.

- A wszyscy ci wojownicy i wszystkie kapłanki byli starsi i bardziej doświadczeni od ciebie.

- Może to właśnie stanowiło ich problem - mruknęła półgłosem Afrodyta wyłącznie na użytek Starka. - Byli zbyt starzy i zbyt doświadczeni.

Chłopak znów poczuł dreszcz nadziei.

- Myliłem się - rzekł do Duantii. - Powinno się zezwolić Neferet na zabranie ciała Kalony, gdziekolwiek sobie życzy, ale ja także chcę otrzymać zgodę na zabranie ciała Zoey. - Urwał, wskazując gestem Afrodytę, Dariusa i pozostałych przyjaciół, którzy stali niedaleko zbici w ciasną grupkę. - My wszyscy chcemy zabrać Zoey ze sobą.

- Stark, nie mogę się zgodzić na coś, co oznacza dla ciebie wyrok śmierci - zaoponowała Duantia współczującym, lecz stanowczym tonem. - W ciągu najbliższego tygodnia Zoey umrze. Najlepsze miejsce dla niej jest tu, w naszym szpitalu, gdzie będzie miała odpowiednią opiekę przez swoje ostatnie dni. Ty zaś powinieneś się przygotować na taki koniec, zamiast poświęcać swoje życie w jałowej próbie uratowania kapłanki.

- Jesteś bardzo młody - dodała Tanatos. - Masz przed sobą długie i owocne życie. Nie przecinaj nici, którą tką dla ciebie Prządka.

- Zoey pozostanie tu do końca - zgodziła się z nią Duantia. - A ty - rzekła do Starka - możesz oczywiście pozostać u jej boku.

- Przepraszam, proszę mnie nie uznać za bezczelnego, ale... - Uwaga zebranych skierowała się na grupkę przyjaciół Zoey, którzy do tej pory raczej milczeli pogrążeni w bólu. Damien podniósł rękę, jakby znajdował się w klasie i czekał, aż nauczyciel udzieli mu głosu.

- Z kim mamy przyjemność? - zapytała Duantia.

- Mam na imię Damien. Jestem jednym z przyjaciół Zoey.

- I ma dar komunikacji z powietrzem - dodał Jack, ocierając łzy z twarzy.

- Ach tak, mówiono mi o tym - przypomniała sobie Duantia. - Czy pragniesz przemówić do rady?

- To adept! Nie powinien w ogóle przebywać w sali zebrań Najwyższej Rady! - wykrzyknęła Neferet.

- Nie wiedziałam, że możesz przemawiać w imieniu rady, Neferet - zauważyła Afrodyta.

- Nie może - powiedziała Tanatos, rzucając Tsi Sgili ostre spojrzenie. - Adepcie - zwróciła się do Damiena - czy pragniesz przemówić do rady?

Damien wyprostował się na krześle i przełknął głośno ślinę.

- Potwierdzam - rzekł.

Tanatos uśmiechnęła się leciutko.

- Zatem udzielamy ci głosu. Możesz już opuścić rękę, Damienie.

- Ojej. Dziękuję. - Ręka szybko powędrowała w dół. - Chciałem powiedzieć, że z całym szacunkiem, ale według wampirskiego prawa Stark, jako zaprzysiężony wojownik Zoey, ma prawo decydować, gdzie i w jaki sposób powinno się ją chronić. Tak przynajmniej zapamiętałem z lekcji socjologii, które miałem w zeszłym semestrze.

- Zoey umiera. - Słowa Duantii były bezwzględne, lecz ton łagodny. - Musisz zrozumieć, że jej wojownik wkrótce zostanie zwolniony ze ślubów.

- Rozumiem. Na razie jednak nie umarła, a ja mówię tylko, że jej wojownik ma prawo chronić ją w każdy sposób, który uzna za stosowny, dopóki jego kapłanka żyje.

- Muszę się zgodzić z chłopcem - przyznała Tanatos, kłaniając się Damienowi z szacunkiem. - Ma całkowitą rację. Prawem i obowiązkiem związanego ślubami wojownika jest podjęcie decyzji, co będzie najlepsze dla bezpieczeństwa jego kapłanki. Zoey Redbird żyje, więc wciąż jest pod ochroną swego wojownika.

- Co na to reszta rady? Czy zgadzacie się z Tanatos? - zapytała Duantia.

Stark wstrzymał oddech. Pięć pozostałych kapłanek odpowiedziało twierdząco, kiwając głowami lub wypowiadając poważne „tak”.

- Dobra robota, Damienie - pochwaliła chłopaka Tanatos.

- Dziękuję, kapłanko - odparł, rumieniąc się.

Duantia pokręciła głową.

- Osobiście nie cieszy mnie zbytnio perspektywa śmierci młodego obiecującego wojownika. - Wzruszyła ramionami z rezygnacją. - Rada opowiedziała się jednak za tym rozwiązaniem, więc choć zasmucona, muszę uczynić zadość jej decyzji i wampirskiemu prawu. Stark, dokąd pragniesz zabrać swoją najwyższą kapłankę na jej ostatnie dni?

Nim odpowiedział, w sali znów zabrzmiał zimny głos Neferet:

- Czy mam rozumieć, że ta zgoda oznacza jednocześnie przyzwolenie dla mnie na zabranie stąd mojego partnera?

- Już o tym zdecydowałyśmy, Neferet - odparła równie chłodnym tonem Tanatos. - Na uprzednio ustalonych warunkach możesz wrócić na Capri wraz z ciałem partnera.

- Dziękuję - powiedziała krótko Tsi Sgili, po czym dała znak wojownikom, którzy wnieśli ciało Kalony do sali w lektyce. - Zabierzcie Ereba. Opuścimy to miejsce.

Po tych słowach pożegnała radę ledwo dostrzegalnym ukłonem i władczym krokiem wyszła z sali.

Gdy wszyscy spoglądali za nią, Afrodyta schwyciła Starka za ramię.

- Graj na zwłokę. Nie mów im, dokąd chcesz zabrać Zoey.

- Teraz gdy nikt nam nie przeszkadza, możesz poinformować radę, dokąd pragniesz zabrać swoją kapłankę - zwróciła się do chłopaka Tanatos.

- Na razie chcę ją przenieść do naszego pokoju w pałacu. Oczywiście za waszą zgodą. Potrzebuję trochę czasu na zastanowienie się, jakie miejsce będzie dla mnie najlepsze.

- Młody, ale mądry - pochwaliła go z uśmiechem kapłanka.

- Cieszę się, że zdołałeś powściągnąć gniew, wojowniku - rzekła Duantia.

- Obyś nadal myślał jasno i mądrze.

Stark zacisnął zęby i skłonił się z szacunkiem, starannie unikając spojrzeń członkiń rady w obawie, że dostrzegą prawdę przebijającą spod zasłony spokoju.

- Rada udziela ci zgody na powrót do pałacu wraz z ranną kapłanką i przyjaciółmi. Jutro poprosimy cię o podanie decyzji w sprawie miejsca, do którego chcesz ją zabrać. Wiedz też, że nadal możesz zdecydować o pozostawieniu jej tutaj. Jeśli tak postanowisz, zapewnimy schronienie wam wszystkim na tak długo, jak długo będzie trzeba.

- Dziękuję - odparł Stark, kłaniając się uroczyście grupie potężnych kapłanek.

- Koniec posiedzenia rady. Szczerze was błogosławię i do zobaczenia jutro.

Nie czekając na pomoc Dariusa, Stark podszedł do Zoey, uniósł w ramionach jej ciało i przyciskając je mocno do piersi, wyszedł z sali obrad.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz - zwrócił się do Afrodyty, gdy tylko położył Zoey na łóżku w przeznaczonym dla nich apartamencie.

- Niewiele, ale dość, żeby sądzić, że wampiry się mylą - odparła, siadając obok Dariusa na wielkim aksamitnym fotelu.

- Chcesz powiedzieć, że słyszałaś o przypadku zawrócenia kapłanki z Zaświatów przez wojownika? - zapytał Damien, wraz z Jackiem wnosząc krzesła z salonu do sypialni.

- Nie. Niezupełnie.

- Więc o co chodzi, Afrodyto? - Stark spacerował w tę i z powrotem przy łóżku Zoey.

- O to, że mam w dupie zamierzłą historię. Zoey nie jest jakąś nadętą kapłanką z przeszłości.

- Osoby, które ignorują historię, zwykle ją powielają - zauważył cicho Damien.

- Nie powiedziałam, że ją ignoruję, gejasku. Powiedziałam, że mam ją w dupie. - Przeniosła ostre spojrzenie z Damiena na stojące w drzwiach sypialni Bliźniaczki. - Co się tak czaicie, szajbuski nierozłączki?

- Nie czaimy się, Panno Wredna - odparła Shaunee głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- Właśnie. Oddajemy cześć - dodała Erin.

- Co wy pieprzycie? - zdziwiła się Afrodyta. - Porąbało was?

- Nie powinno się rozmawiać nad... no wiesz, nad ciałem Zoey, kiedy ona... - Shaunee urwała, szukając wsparcia u przyjaciółki.

Nim Erin swoim zwyczajem dokończyła za nią zdanie, odezwał się Stark.

- Nie. Nie traktujmy jej jak umarłej. Po prostu chwilowo jej tu nie ma.

- Więc jesteśmy raczej w poczekalni niż w szpitalu - dodał Jack, wyciągając rękę i dotykając dłoni Zoey.

- Tyle że jest to poczekalnia prowadząca do czegoś naprawdę dobrego - dodał Stark.

- Jak w wydziale komunikacji, gdy się czeka na odbiór prawa jazdy z fatalnym zdjęciem? - zapytał Jack.

- Dokładnie tak, tyle że bez tego całego syfu i wieśniactwa - stwierdziła Afrodyta. - Bądźcie więc łaskawe przynieść sobie krzesła, Panny Zrosłomóźdzki, i przestańcie traktować Zoey jak trupa.

Bliźniaczki się zawahały, wymieniły spojrzenia, wzruszyły ramionami i przyniosły z salonu krzesła, by dołączyć do niewielkiego kręgu przyjaciół skupionych wokół łóżka.

- Cóż, skoro już jesteśmy w komplecie, musisz nam w końcu powiedzieć, czego się dowiedziałaś od Stevie Rae - rzekł Darius.

Afrodyta uśmiechnęła się do swego wojownika.

- Skąd wiesz, że to od niej?

Darius łagodnie dotknął jej twarzy.

- Bo cię znam.

Stark zacisnął pięści i odwrócił wzrok, nie chcąc patrzeć na wyrazistą więź łączącą tych dwoje. Miał ochotę w coś uderzyć. Właściwie nie tyle miał

ochotę, ile musiał. Czuł, że eksploduje, jeśli nie pozbędzie się części dławiących go od środka uczuć. Nagle jednak przez jego furię przedarły się słowa Afrodyty, sprawiając, że obrócił się gwałtownie twarzą do niej.

- Możesz powtórzyć?

Powiedziałam, że Kalona naprawdę jest w Zaświatach. Neferet go tam wysłała, żeby uniemożliwić Zoey powrót na ziemię.

- Chwila. Podśluhałem kiedyś jego rozmowę z Rephaimem. Kruk powiedział coś o możliwości powrotu w Zaświaty, a Kalona wściekł się na niego i wrzasnął, że nie może tam wrócić, bo Nyks go wygnała - rzekł Stark.

- Wygnała jego ciało. No i nie wrócił tam ciałem - wyjaśniła Afrodyta. - Tylko jego dusza zakradła się z powrotem.

- Na boginię! - jęknął Damien.

- Zoey ma większe kłopoty, niż sądziliśmy - mruknęła smutno Erin.

- Myślałyśmy, że jest źle - zgodziła się z nią Shaunee - a jest gorzej niż źle.

- O wiele gorzej. Za tym wszystkim stoi Neferet - pospieszyła z kolejną rewelacją Afrodyta. Potem westchnęła i spojrzała Starkowi w oczy. - Wiem, że to co powiem, nie będzie dla ciebie przyjemne, ale musisz mnie wysłuchać i pogodzić się z tym. Kalona był kiedyś wojownikiem Nyks.

Stark zbladł jak kreda.

- Zoey powiedziała mi to tuż przed... - Urwał i przeczesał palcami włosy.

- Nie uwierzyłem. Wściekłem się. Zachowałem się zazdrośnie i głupio. Dlatego nie było mnie przy niej, gdy zobaczyła, jak Kalona zabija Heatha.

- Będziesz musiał znaleźć sposób na przebaczenie sobie tego błędu - zwrócił się do niego Darius. - W przeciwnym razie nie zdołasz się skoncentrować na teraźniejszości.

- A do uratowania Zoey potrzebna ci będzie maksymalna koncentracja - zauważyła Afrodyta.

- Bo będziesz musiał przeniknąć w Zaświaty i walczyć z Kaloną o Zoey - powiedział Jack tak cicho, jakby rozmawiał w czasie nabożeństwa.

- I pomóc jej połączyć fragmenty swojej duszy - dodał Damien.

- Skoro trzeba, to tak właśnie zrobię - odparł Stark zadowolony, że jego głos brzmi pewnie, choć w rzeczywistości czuł się, jakby dostał pięścią w brzuch.

- Jeśli spróbujesz to zrobić bez odpowiednich przygotowań, twoja misja na pewno się nie powiedzie, młody wojowniku.

Jego wzrok powędrował ku drzwiom. Stała w nich Tanatos, wysoka, posępna i stanowczo za bardzo wyglądająca na personifikację śmierci.

- W takim razie powiedz mi, jak mam się przygotować! - wybuchnął kipiący z frustracji Stark.

- Aby stoczyć bitwę w Zaświatach, wojownik musi umrzeć, by mógł się zrodzić szaman.

- Wystarczy się zabić? - zapytał bez wahania chłopak. - Chcesz powiedzieć, że wtedy moja dusza będzie mogła się przenieść w Zaświaty i pomóc Zoey?

- To nie może być śmierć w sensie dosłownym, wojownika. Pomyśl, co by się stało z i tak już straszliwie poranioną duszą Zoey, gdyby oprócz śmierci swego partnera musiała się zmierzyć z twoją śmiercią.

- W tej sytuacji nigdy nie wróciłaby na ziemię - rzekł z powagą Damien. - Nawet gdyby zdołała scalić rozbite fragmenty swojej duszy.

- Tak, w istocie. Właśnie to, jak sądzę, przydarzyło się wszystkim tym najwyższym kapłankom, których wojownicy podążyli za nimi na drugą stronę - powiedziała Tanatos, wchodząc do pokoju i zbliżając się do łóżka Zoey.

- Więc oni naprawdę się zabili, próbując chronić swoje kapłanki? - zapytała Afrodyta, przysuwając się bliżej Dariusa i splatając palce z palcami ukochanego.

- Większość z nich tak, a ci, którzy nie umarli przed udaniem się w Zaświaty, zakończyli żywot wkrótce potem. Musicie zrozumieć, że wojownik to nie najwyższa kapłanka. Nie posiada przymiotów, które pozwalałyby mu swobodnie się poruszać po krainie duchów.

- Kalona tam przebywa, choć z całą pewnością nie jest najwyższą kapłanką - zauważył Stark.

- Nawet jeśli nie wierzymy, że jest Erebem, który zstąpił na ziemię, musimy przyznać, że osobnik o imieniu Kalona jest nieśmiertelnym, który z jakiegoś powodu przybył tu z Zaświatów. Zasady krępujące wojownika i każdego innego wampira nie odnoszą się do niego.

- Jest jednak skrupowany - oznajmiła w podnieceniu Afrodyta, pochylając się naprzód. - Widzę jego łańcuchy. Oplatają całe ciało.

- Opowiedz mi, co widziałas, wieszczko - rzekła Tanatos.

Afrodyta nagle się zawahała.

- Powiedz jej - ponaglił ją Damien, a gdy spojrzała mu w oczy, kontynuował: - Musimy komuś zaufać, bo inaczej dla Starka i Zoey ta historia zakończy się tak samo jak dla pozostałych wojowników i ich kapłanek.

- Równie dobrze moglibyśmy zaufać śmierci - mruknął Stark. - Bo w ten czy inny sposób będę musiał stawić jej czoło, by uratować Zoey.

Afrodyta przeniosła wzrok z jego bladej twarzy na twarz Dariusa.

- Zgadzam się.

- Ja też - dodał Jack.

- I ja - stwierdziła Shaunee.

- Powiedz jej wszystko - przytaknęła Erin.

- W porządku - rzekła Afrodyta, uśmiechając się ponuro do Tanatos. - W takim razie powinnam chyba zacząć od Neferet. Lepiej będzie, jak usiądziesz.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### *Stark*

Podziwiał Tanatos za to, że okazała tylko minimalne zdumienie, gdy Afrodyta z pewną pomocą Damiena opowiadała jej wszystko, począwszy od przybycia Zoey do Domu Nocy poprzez odkrycie czerwonych adeptów, uwolnienie Kalony, stopniowe odkrywanie, jak wielkie zło tkwi w Neferet, aż po sprawozdanie z ostatniej rozmowy ze Stevie Rae.

Po wysłuchaniu opowieści kapłanka wstała i podeszła do ciała Zoey. Przez chwilę spoglądała na nie w milczeniu, a gdy w końcu się odezwała, wyglądało to tak, jakby przemawiała przede wszystkim do niej, a nie do pozostałych zebranych.

- Od początku zatem była to bitwa pomiędzy światłem a ciemnością, tyle że do tej pory rozgrywała się głównie w świecie materialnym.

- Między światłem a ciemnością? Mam wrażenie, że używasz tych słów jako czegoś w rodzaju nazw własnych.

- Bardzo słuszne spostrzeżenie, adepcie - przyznała Tanatos.

- Stevie Rae mówiła o ciemności w ten sam sposób. Jakby to było imię - wtrąciła Afrodyta.

- Imię? To znaczy, jakby światło i ciemność były osobami? - zapytał Jack.

- Nie osobami. To zbyt wąskie ujęcie. Myśl o nich raczej jak o nieśmiertelnych, którzy są tak potężni, że potrafią manipulować energią w stopniu umożliwiającym przybranie przez ducha namacalnego kształtu - poprawiła go Tanatos.

- Chcesz powiedzieć, że Nyks jest światłem, a Kalona czy też to, co sobą reprezentuje, ciemnością? - chciał się upewnić Damien.

- Lepiej będzie powiedzieć, że Nyks jest sprzymierzona ze światłem, a Kalona z ciemnością.

- Przyznaję, że nie jestem najpilniejszą uczennicą na świecie, ale mam pewną inteligencję i zazwyczaj mimo wszystko słuchałam, co mówili na lekcjach, a o czymś takim w życiu nie słyszałam - zauważyła Afrodyta.

- Ja też nie - dodał Damien.

- A to już naprawdę dziwne, bo on akurat jest najpilniejszym uczniem na świecie - stwierdziła Erin.

- Jak nic - poparła ją Shaunee.

Tanatos westchnęła i przeniosła wzrok z Zoey na nich.

- Cóż, mówimy o starym poglądzie, który nie został w pełni zaakceptowany przez nasze dzisiejsze społeczeństwo, a przynajmniej przez jego kapłanki.

- Dlaczego? Co z nim nie tak? - zapytała Afrodyta.



- Jest oparty na idei walki, przemocy i ścierania się żywiołowych sił dobra i zła.

Afrodyta prychnęła.

- To raczej męski punkt widzenia.

Tanatos uniosła brwi.

- Owszem.

- Chwila - wtrącił Stark. - Co właściwie takiego męskiego jest w idei walki dobra ze złem?

- Nie chodzi o zwykłą wiarę, że istnieje na świecie dobro, które powinno zwalczać zło. Chodzi o personifikację światła i ciemności na najbardziej podstawowym poziomie, jako sił, które są tak pochłonięte wzajemną walką, że nie mogą bez siebie żyć, choć wciąż usiłują się nawzajem unicestwić. - Tanatos znów westchnęła na widok tępych spojrzeń swoich rozmówców. - Jednym z pierwszych sposobów przedstawienia światła i ciemności był obraz dwóch ogromnych byków, ciemności jako białego i światła jako czarnego.

- Jak to? - zapytał Jack. - Nie powinno być odwrotnie?

- Mogłoby się tak wydawać, ale tak właśnie przedstawiano je na starożytnych pergaminach. Pisano też, że każda z tych dwóch sił ma w sobie coś, czego druga zawsze będzie pragnąć. Wyobraź sobie dwa emanujące potężną mocą byki, które toczą ze sobą wieczną walkę, by odebrać drugiemu coś, czego nie mogą zdobyć, nie niszcząc siebie. Kiedyś, jako młoda kapłanka, zobaczyłam ten obraz i nigdy nie zapomniałam, jak bardzo wydał mi się prymitywny i nieokrzesany. Byki ścierały się rogami, wyężdżając potężne ciała, by dosięgnąć przeciwnika, broczyły krwią i rozdymały nozdrza. Był to impas przerażający w swojej intensywności; cały obraz zdawał się wibrować od zawartej w nim mocy.

- Męskiej mocy - dodał Darius. - Ja też widziałem ten symbol, kiedy szkolilem się na wojownika. Widniał na okładce niektórych starożytnych dzienników autorstwa wielkich wojowników z przeszłości.

- Męskiej mocy. Teraz rozumiem, dlaczego wampiry, które akceptowały ten symbol, wyginęły - zauważyła Erin.

- Święta racja, bliźniaczko - przytaknęła Shaunee. - U wampirów liczy się głównie żeńska moc.

- Ale nasz system wierzeń nie opiera się na tłamszeniu męskiej mocy przez żeńską, tylko na równowadze pomiędzy obiema - zaproponował Darius.

- Nie, wojowniku. Prawda jest taka, że nasz system wierzeń nie powinien się opierać na tłamszeniu męskiej mocy przez żeńską, lecz w rzeczywistości, podobnie jak w przypadku światła i ciemności, toczy się wieczna wojna o znalezienie równowagi pomiędzy nimi bez konieczności zniszczenia jednej przez drugą. Pomyśl o wizerunkach Nyks, które codziennie wokół siebie widzujemy, o ich kobiecym pięknie i powabie, i porównaj je z surową siłą tkwiącą w obrazie zmagających dwóch wielkich męskich osobników. Rozumiesz

teraz, dlaczego świat usiłujący pogodzić obie te wizje jest w ciągłym konflikcie, który rozwiązać może jedynie stłamszenie jednej z nich przez drugą?

- Nietrudno to sobie wyobrazić - zakpiła Afrodyta. - Już widzę, jak ta nadęta Najwyższa Rada chce mieć cokolwiek wspólnego z czymś tak niechlujnym jak te dwa byki i jakiegokolwiek reprezentowane przez nie wartości.

- Oczywiście ona nie ma na myśli ciebie - wtrącił szybko Stark, marszcząc brwi pod adresem Afrodyty i posyłając jej spojrzenie mówiące: „Tylko pogarszasz sprawę”.

Tanatos skwitowała to uśmiechem.

- Afrodyta ma rację. Rada zmieniała się przez wieki, a w szczególności w ciągu ostatnich czterech stuleci, które znam już z pierwszej ręki. Kiedyś była energiczna, żywiołowa i dość pierwotna, obecnie stała się... - Najwyższa kapłanka umilkła, szukając odpowiedniego określenia.

- Cywilizowana - odpowiedziała Afrodyta. - Przesadnie cywilizowana.

- Właśnie - przytaknęła Tanatos.

Niebieskie oczy dziewczyny się rozszerzyły.

- A zbytne ucywilizowanie wcale nie musi być dobre, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z dwoma nacierającymi na siebie bykami, które niszczą wszystko, co stoi pomiędzy nimi.

- Zoey znajduje się niesamowicie blisko światła rzekł cicho Damien.

- Dość blisko, by stratowała ją ciemność - dodał Stark. - Zwłaszcza jeśli ta ciemność ma uniemożliwić Zoey ponowne odnalezienie światła.

W pokoju zaległa cisza. Wszyscy patrzeli na nieruchomą bladą postać dziewczyny na bardzo cywilizowanej atlasowej pościeli o kremowym odcieniu.

Właśnie w tej ciszy Stark nagle doznał olśnienia, a instynkt wojownika strzegącego swojej kapłanki odpowiedział mu, że odnalazł właściwą drogę.

- W takim razie aby uratować Zoey, nie można ignorować przeszłości. Trzeba zajrzeć w nią głębiej, niż to czyni większość współczesnych wampirów - mówił z narastającym podnieceniem w głosie.

- I zrozumieć tę dziką siłę, która tkwi w walce światła i ciemności - uściśliła Tanatos.

- Tylko skąd my, u diabła, mamy czerpać tę wiedzę? - zapytała Afrodyta, nerwowo odgarniając włosy z twarzy. - Sama powiedziałaś, że te wierzenia zostały już zapomniane.

- Być może nie wszędzie - rzekł Darius, prostując się w fotelu i wbijając w Starka ostre inteligentne spojrzenie. - Jeśli chcesz poznać prastare barbarzyńskie wierzenia, musisz się udać w miejsce, które jest tworem prastarych barbarzyńskich czasów. W miejsce w dużym stopniu odcięte od współczesnej cywilizacji.

- Muszę jechać na wyspę! - zrozumiał Stark.

- Właśnie - przytaknął Darius.

- O czym wy, do licha ciężkiego, gadacie? - zapytała Afrodyta.

- O miejscu, gdzie niegdyś wojownicy byli szkoleni przez Sgiach - odparła Tanatos.

- Przez Sgiach? Kto to taki? - zapytał Damien.

- Sgiach to imię nadane przed wiekami wojownikowi zwanemu też Wielkim Łowcą Głów - odparł Darius.

- Był tak nieokrzesany i barbarzyński, jak tylko potrafi być wojownik - dodał Stark.

- Świetnie - mruknęła Afrodyta. - Doceniam te stare podania, ale potrzebujemy tego Sgiacha żywego dziś a nie przed wiekami, bo jestem dziwnie pewna, że Stark tak samo jak nie potrafi podróżować w Zaświaty, nie potrafi też podróżować w przeszłość.

- Właściwie Sgiach to ona - poprawił ją Darius.

- Co? - zdziwiła się dziewczyna.

- Sgiach to wojowniczką, wampirka o niesamowitej mocy - wyjaśnił Stark.

- A te „stare podania”, moja droga, głoszą także, że Sgiach to tytuł przechodni - dodał Darius, uśmiechając się do niej pobłażliwie. - Nosząca go osoba mieszka w Domu Nocy na Wyspie Kobiet.

- To na tej Wyspie Kobiet jest Dom Nocy? - zdziwiła się Erin.

- Dlaczego nic o tym nie wiedzieliśmy? - zapytała Shaunee. - Ty wiedziałeś? - zapytała Damiena.

Pokręcił głową.

- Nie.

- Bo nie jesteście wojownikami - odparł Darius - Wyspa Kobiet znana jest także jako wyspa Skye.

- Skye? - zapytał Damien. - Ta w Szkocji?

- Tak. Tam właśnie szkolono pierwszych wampirskich wojowników - wyjaśnił Darius.

- Ale już się tego nie robi, prawda? - pytał dalej Damien, wzdychając od Dariusa do Starka - O ile wiem, wojownicy są szkoleni w wielu Domach Nocy Na przykład Smok Lankford opiekuje się grupą młodych wojowników pochodzących z różnych m.ejsc i z całą pewnością nie robi tego w Szkocji.

- Masz rację, Damienie - odparła Tanatos. - Współcześnie wojownicy są przyuczani do służby w Domach Nocy na całym świecie. Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku Najwyższa Rada uznała, że takie rozwiązanie będzie wygodniejsze.

- Wygodniejsze i bardziej cywilizowane - mruknęła kpiąco Afrodyta.

- Ty także masz rację, wieszcko - przyznała kapłanka.

- W takim razie postanowione. Zabieram Zoey na Wyspę Kobiet, do Sgiach - rzekł Stark.

- I co potem? - zapytała Afrodyta.

- Potem porzucę maskę cywilizacji i dowiem się, jak przeniknąć w Zaświaty bez konieczności umierania, a gdy już tam będę, zrobię co trzeba, by sprowadzić Zoey z powrotem.

- Hm - mruknęła Afrodyta - brzmi nieźle.

- O ile wpuszczą go na wyspę - zauważył Darius.

- Jest tam Dom Nocy. Dlaczego nie mieliby go wpuścić? - zapytał Damien.

- To specyficzne miejsce - odparła Tanatos. - Decyzja Najwyższej Rady o przeniesieniu szkolenia wojowników do innych Domów Nocy, rozsianych po całym świecie, stanowiła kulminacyjny punkt wieloletnich napięć i sporów pomiędzy urzędującą Sgiach a radą.

- Chcesz powiedzieć, że Sgiach jest kimś w rodzaju królowej wyspy? - zapytał Jack.

- W pewnym sensie. Jest królową, której do niedawna podlegali wszyscy wojownicy - wyjaśniła kapłanka.

- Synowie Ereba mieli królową? Nie dziwię się, że Najwyższej Radzie się to nie podobało, skoro ta królowa nie była członkinią rady - powiedziała Afrodyta.

- Sgiach jest wojowniczką - zauważyła Tanatos - a wojownikom nie wolno zasiadać w radzie.

- Ale jest też kobietą. Teoretycznie mogłaby zostać wybrana - rzekł Damien.

- Nie - zaprzeczył Darius. - Żaden wojownik nie może zasiadać w radzie. Tak stanowi wampirskie prawo.

- Pewnie ją to wkurzyło - stwierdziła ze zrozumieniem Afrodyta. - Ja na jej miejscu dostałabym szału. Prawo powinno być takie samo dla wszystkich.

Tanatos pokiwała głową.

- Zgadza się z tobą, wieszczko, ale wiele kapłanek miało inne zdanie. Kiedy odebrano jej możliwość szkolenia wojowników, zaszyła się na wyspie. Nikogo nie uprzedziła o swoich planach, wszystkie jednak wyczuwałyśmy jej gniew. Czuliśmy także obecność ochronnego kręgu, który utworzyła wokół wyspy. - Cienie przeszłości zamigotały w oczach Tanatos. - Żadna z nas nie doświadczyła niczego podobnego, odkąd potężna wampirka Kleopatra otoczyła podobnym kręgiem swą ukochaną Aleksandrię.

- Nikt nie może stanąć na Wyspie Kobiet bez zezwolenia Sgiach - rzekł Darius.

- A ktokolwiek spróbuje, zginie - dodała Tanatos.

- W takim razie jak mam uzyskać to zezwolenie? - zapytał Stark.

Zaległa długa niezręczna cisza.

- To pierwszy z twoich problemów - odezwała się w końcu Tanatos. - Odkąd Sgiach utworzyła ochronny krąg, nikogo z zewnątrz nie wpuszczono na wyspę.

- Mnie wpuszczą - upierał się chłopak.

- Jak chcesz to osiągnąć, wojowniku? - zapytała kapłanka.

Zrobił długi wydech.

- Wiem jedynie, czego nie zamierzam robić. Nie zamierzam być cywilizowany. Resztę muszę dopiero wykombinować.

- Zaraz, zaraz... - zastanawiał się Damien. - Tanatos, Dariusie, oboje mówicie o Sgiach i o tej starej barbarzyńskiej religii. Skąd się o tym dowiedzieliście?

- Ja zawsze lubiłem czytać - odparł Darius, wzruszając ramionami - więc chętnie sięgałem po stare zwoje znajdujące się w Domu Nocy, w którym uczyłem się walki.

- Nie dość, że niebezpieczny, to jeszcze taki fascynujący. Idealna kombinacja - mruknęła Afrodyta, przytulając się do niego.

- Idź, bo rzygnę - mruknęła Erin.

- Właśnie. I w ogóle przestań przeszkadzać - dodała Shaunee.

- A ty gdzie przeczytałaś o bykach i Sgiach? - zwrócił się do kapłanki Damien, piorunując całą trójkę wzrokiem.

- W starych tekstach przechowywanych w archiwach pałacu. Kiedy zostałam najwyższą kapłanką, spędzałam tu wiele czasu na samotnej lekturze. Musiałam - powiedziała Tanatos. - Nie miałam mentora.

- Nie miałaś mentora? To musiało być dla ciebie trudne! - zauważył Stark.

- Wygląda na to, że nasz świat potrzebuje naraz tylko jednej kapłanki mającej dar komunikacji ze śmiercią - odparła z cierpkim uśmiechem.

- Parszywa funkcja - mruknął Jack, po czym natychmiast zakrył sobie usta dłonią i pisnął: - Ojejku! Przepraszam!

Kapłanka uśmiechnęła się szerzej.

- Nie ma za co, chłopcze. Współpraca ze śmiercią nie jest najłatwiejszym zajęciem na świecie.

- Ale dzięki niej oraz zamiłowaniu Dariusza do czytania dowiedzieliśmy się czegoś ważnego - rzekł Damien.

- I co o tym sądzisz? - zapytała go Afrodyta.

- Sądzę, że jestem naprawdę dobry tylko w jednym: w nauce.

- W takim razie musimy jedynie wskazać ci materiał do badań - zrozumiała Afrodyta, szeroko otwierając swoje niebieskie oczy.

- Archiwa. Musisz wejść do pałacowych archiwów - powiedziała Tanatos, ruszając ku drzwiom. - Porozmawiam z Duantią.

- Świetnie. Przygotuję się - odparł Damien.

- Ja ci pomogę - zaoferował Jack.

- Baranki drogie, choć doprowadza mnie to do furii, muszę przyznać, że chyba wszyscy musimy się przygotować do wertowania archiwów - stwierdziła Afrodyta.

Stark spoglądał za odchodzącą Tanatos. Kątem oka zauważył podniecenie swoich towarzyszy faktem, że wreszcie znaleźli sobie jakieś wartościowe zajęcie, lecz szybko przeniósł wzrok z powrotem na bladą twarz Zoey.

„A ja przygotuję się na przymierze ze śmiercią” - pomyślał.

## *Zoey*

Wszystko było nie tak.

Owszem, wiedziałam, gdzie się znajduję. Byłam w Zaświatach, ale nie byłam martwa. Razem ze mną przebywał tam Heath, który na odmianę z całą pewnością był martwy.

Na boginię! Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że powoli przyzwyczajałam się do myślenia o nim jako o zmarłym.

Tak czy owak, coś tu było nie w porządku.

W tym momencie leżałam wtulona w Heatha. Odpoczywaliśmy u stóp drzewa, objęci jak stare dobre małżeństwo na materacu z mchu narosłego między potężnymi starymi korzeniami. Powinno mi być bardzo wygodnie. Mech był mięciutki, a Heath sprawiał wrażenie całkowicie żywego. Widziałam go, słyszałam, dotykałam... Nawet pachniał sobą. Powinnam bez trudu się rozluźnić i cieszyć jego obecnością.

Więc dlaczego, zastanawiałam się wpatrzona w stadko roztańczonych niebieskich motyli, jestem taka niespokojna i - jak by to powiedziała moja babcia - zafrasowana?

Babcia...

Tęskniłam za nią. Jej nieobecność była jak ćmiący ząb. Czasem tęsknota słabła, ale wiedziałam, że unosi się w pobliżu i wróci, prawdopodobnie wzmocniona.

Babcia Redbird musiała się o mnie zamartwiać. Myśl o jej smutku była tak nieznośna, że szybko odsunęłam ją od siebie, a jednocześnie wysliznęłam się z objęć Heatha, uważając, by go nie zbudzić.

Zaczęłam się nerwowo przechadzać.

Pomogło. No, przynajmniej na chwilę. Chodziłam w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, pilnując, by ani na moment nie stracić Heatha z oczu. Ślicznie wyglądał, gdy tak spał.

Żałowałam, że sama nie mogę zasnąć. Kiedy zamykałam oczy, czułam, że tracę fragmenty siebie. Tylko jakim cudem? Jak mogłam tracić siebie? Przypominało to trochę sen, który miałam, kiedy pewnego razu zachorowałam na anginę i dostałam bardzo wysokiej gorączki. Śniło mi się wtedy, że wiruję wokół tak szybko, aż kawałki mojego ciała zaczynają odpadać.

Zadrzałam. Dlaczego akurat to wspomnienie tak łatwo było przywołać, gdy mnóstwo innych rzeczy w mojej głowie skrywała gęsta mgła?

Na boginię, byłam naprawdę zmęczona.

Pograżona w myślach potknęłam się o jeden z ładnych białych kamieni wystających ponad trawę i broniąc się przed upadkiem, wyciągnęłam rękę i schwyciłam się pnia najbliższego drzewa.

Wtedy ją zobaczyłam. Swoją rękę. Swoją dłoń. Wyglądała dziwnie. Stałam i gapiłam się na nią. Przysięgam, że moja skóra falowała jak w jakimś horrorze, w którym coś obrzydliwego wpełza pod skórę półnagiej dziewczyny i przemieszcza się, sprawiając...

- Nie! - Gorączkowo pocierałam rękę. - Nie! Przestań!

- Zo, kochanie, co się dzieje?

- Heath! Heath, patrz! - Wyciągnęłam rękę. - To jakiś horror!

Spojrzał na moją rękę, a potem na twarz.

- Co? Jaki horror, Zo?

- Moja ręka! Skóra! Rusza się! - Machnęłam nią w jego kierunku.

Uśmiechnął się, ale nie zdołał ukryć niepokoju. Wyciągnął dłoń i powoli przesunął ją w dół mojego przedramienia, by na koniec spleść palce z moimi.

- Z twoją ręką wszystko jest w porządku, kochanie - zadeklarował.

- Naprawdę tak uważasz?

- Naprawdę. Na sto procent. Co się z tobą dzieje?

Otworzyłam usta, by mu powiedzieć, że tracę siebie - że fragmenty mnie odpadają jak złuszczonego skóra - gdy moją uwagę przykuło coś na skraju lasu. Coś ciemnego.

- Heath - powiedziałam, wskazując to miejsce drżącą dłonią - nie podoba mi się to.

Wietrzyk poruszał szerokimi zielonymi liśćmi drzew, które nagle wydały mi się mniej masywne i bezpieczne niż przed chwilą. Potem dotarł do mnie zapach, obrzydliwy i mdły jak trzydniowe ścierwo. Gdy poczułam, jak ciało Heatha się wzdryga, wiedziałam, że to co widzę, nie jest produktem mojej bujnej wyobraźni.

Cienie się poruszyły i usłyszałam trzepot skrzydeł.

- O, nie! - szepnęłam.

Heath mocniej ścisnął mnie za rękę.

- Chodź. Musimy wejść głębiej w las.

- Dlaczego? - zapytałam obezwładniona strachem. - jak drzewa mogą nas ochronić przed tym czymś, cokolwiek to jest?

Ujął mnie pod brodę i zmusił, bym spojrzała mu w oczy.

- Nie czujesz tego, Zo? Ten gaj jest dobry, na wskroś dobry. Nie czujesz obecności bogini, kochanie?

Łzy napłynęły mi do oczu, zamazując jego postać. - Nie - powiedziałam cicho, z trudem dobywając z siebie słowa. - Nie czuję.

Wziął mnie w ramiona i przygarnął mocno.

- Nie martw się, Zo. Ja ją czuję, więc wszystko będzie dobrze. Przysięgam. - Wciąż obejmując mnie jednym ramieniem, ruszył w głąb gaju

Nyks, a ja dałam się prowadzić, pozwalając gorącym łzom spływać po chłodnych policzkach.



# ROZDZIAŁ JEDENASTY

*Stevie Rae*

- Skye? Serio? Gdzie to jest, w Irlandii? - pytała.
- W Szkocji, palantko - odparła Afrodyta.
- Na jedno wychodzi. I nie mów do mnie „palantko”. To nieuprzejme.
- A co powiesz na „odwal się”? To cię zadowoli? Słuchaj i postaraj się być mniej przymulona, wieśniaro. Musisz się znowu pobratać z tą twoją zasraną ziemią, czy co ty tam z nią robisz, i spróbować dowiedzieć się czegoś o mitologii światła i ciemności. Zwróć też uwagę na to, czy jakieś drzewko nie szepnie ci czegoś o dwóch bykach.
- Bykach? Masz na myśli takie duże krowy?
- Słuchaj, czy ty przypadkiem nie pochodzisz z prowincji? Jakim cudem możesz nie wiedzieć, co to byk?
- Nie bądź stereotypowa, Afrodyto. To, że nie urodziłam się w wielkim mieście, nie czyni mnie jeszcze specjalistką od zwierząt hodowlanych. Cholerka, przecież nawet nie lubię koni ani nic.
- Prawdziwy z ciebie mutant - stwierdziła Afrodyta. - Byk to samiec krowy. Nawet schizofreniczny pudełek mojej starej to wie. A teraz skup się, bo to ważne. Musisz zapytać swoją pieprzoną trawę o zamierchłą i stanowczo zbyt barbarzyńską, a co za tym idzie, wysoce nieatrakcyjną mitologię, religię czy coś w tym stylu, której symbolem są dwa walczące byki, biały i czarny, i cholernie męska, brutalna, niekończąca się walka pomiędzy nimi.
- Co to ma wspólnego z ratowaniem Zoey?
- Możliwe, że gdzieś tam tkwi klucz, dzięki któremu Stark dostanie się w Zaświaty, nie musząc umierać, zwłaszcza że to podobno wcale nie pomaga wojownikom strzegącym swoich kapłanek po tamtej stronie.
- A krowy pomagają? Niby jak? Przecież one nawet nie umieją mówić.
- Byki, palantko do kwadratu. Myśl! Nie mówię o zwierzętach, tylko o otaczającej je dzikości i mocy. One ją uosabiają.
- Więc nie zaczną gadać?
- Ocipiałaś? Jak zechcą, to zaczną, w końcu są bardzo stare i bardzo magiczne, debilko! Skąd ja, do kurwy nędzy, mam wiedzieć, co mogą zrobić? Przyjmij do wiadomości jedno: żeby się dostać w Zaświaty, Stark nie może być nowoczesny, cywilizowany i ugłaskany. Musi stać się kimś więcej, bo inaczej nie dotrze do Zoey i nie zdoła jej uratować, a co więcej, sam zginie. Kluczem do przemiany może być ta stara religia.
- No cóż, to się nawet trzyma kupy. Kalona raczej nie należy do nowoczesnych facetów. - Stevie Rae urwała, tylko przed sobą przyznając się do tego, że tak naprawdę nie myśli o Kalonie, lecz o Rephaimie. - I bez wątpienia ma w sobie dziką moc.

- I znajduje się w Zaświatach, choć nie umarł.  
- I Stark też musi się tam znaleźć.  
- Więc idź i pogadaj o tym z kwiatkami - poleciała jej Afrodyta.  
- W porządku - zgodziła się Stevie.  
- I zadzwoń do mnie, jak się czegoś dowiesz.  
- Dobra. Zobaczę, co da się zrobić.  
- Tylko bądź ostrożna - rzekła Afrodyta.  
- Hej - zdziwiła się Stevie - jednak potrafisz być miła!  
- Zanim zaczniesz mi rzucać kwiaty pod nogi, powiedz jeszcze, z kim się skojarzyłaś, gdy nasza więź się zerwała.  
Stevie Rae zeszywniała ze zgrozy.  
- Z nikim.  
- Rozumiem. Z kimś bardzo nieodpowiednim. Kto to taki? Któryś z tych twoich czerwonych leszczy?  
- Afrodyto, przecież powiedziałam, że z nikim.  
- Jasne. Widzisz, w związku ze swoją świeżo uzyskaną posadą wieszczki, która na ogół powoduje u mnie tylko płacz i zgrzytanie zębów, nauczyłam się różnych rzeczy, w tym tego, że kiedy słucham bez używania uszu, słyszę różne rzeczy.  
- Zupełnie ci odważa.  
- W każdym razie powtarzam ci: bądź ostrożna. Odbieram od ciebie dziwne wibracje, które mi mówią, że wpakowałaś się w jakieś szambo.  
- Myślę, że po prostu zmyślasz, żeby jakoś wytłumaczyć to całe wariactwo, które ci się zaległo w głowie.  
- A ja myślę, że ty coś ukrywasz. Niech więc każda pozostanie przy swoim zdaniu.  
- Pogadam z kwiatkami o krowach. Na razie, Afrodyto.  
- O bykach. Na razie, wieśniaro.  
Stevie Rae otworzyła drzwi, żeby wyjść ze swojej sypialni, z czołem wciąż zmarszczonym na wspomnienie słów Afrodyty, i omal nie znokautowała Kramishy, która stała na zewnątrz z uniesioną do zapukania ręką. Obie podskoczyły jak oparzone. Kramisha pokręciła głową.  
- Nie rób, kurwa, takich rzeczy, bo pomyślę, że już kompletnie padło ci na mózg.  
- Kramisho, gdybym wiedziała, że tam jesteś, tobym nie podskoczyła na twój widok. Poza tym żadna z nas nie jest normalna. Już nie.  
- Mów za siebie. Ja wciąż jestem sobą. Nic mi nie dolega. Tobą za to można by dzieci straszyć.  
- Dwa dni temu omal się nie sfajczyłam na dachu! Chyba mam prawo źle wyglądać, co?  
- Nie chodziło mi o to, że źle wyglądasz. - Kramisha przekrzywiła głowę. Miała na sobie swoją tradycyjną krótką jaskrawożółtą perukę, a powieki pomalowała błyszczącym cieniem w tym samym kolorze. - Szczerze mówiąc,

wyglądasz akurat dobrze, cała różowiułka jak wszystkie zdrowe białasy. Trochę przypominasz uroczego prosiaczka.

- Kramisho, przy tobie łeb zaczyna mi zaraz pękać. O czym ty w ogóle gadasz?

- Mówię tylko, że dobrze wyglądasz, ale jesteś zakręcona. Tu - wskazała głowę Stevie - wcale nie dzieje się dobrze.

- Mam mnóstwo problemów - odparła wymijająco Stevie Rae.

- Taaa, wiem o Zoey. Mimo wszystko powinnaś się starać jakoś to ogarnąć.

- Staram się.

- To staraj się bardziej. Zoey cię potrzebuje. Wiem, że nie jesteś tam gdzie ona, ale mam przeczucie, że możesz jej jakoś pomóc. Musisz tylko zacząć używać mózgu.

Kramisha wpatrywała się w nią tak badawczo, że Stevie niemal się wiała pod jej spojrzeniem.

- Staram się. Kropka.

- Planujesz jakieś wariactwo?

- Nie!

- Na pewno? Bo mam coś dla ciebie. - Kramisha wyciągnęła w jej stronę fioletową kartkę z notesu zapisaną swoim specyficznym pismem, częściowo łączonym, a częściowo rozłącznym. - I coś mi się zdaje, że to zapowiedź jakiegoś totalnego wariactwa.

Stevie Rae wyrwała jej kartkę z ręki.

- Cholerka, czemu od razu nie powiedziałaś, że przyniosłaś wiersz?

- Próbowałam cię przygotować. - Kramisha skrzyżowała ramiona i oparła się o framugę, wyraźnie czekając, aż Stevie przeczyta wiersz.

- Nie masz nic do roboty?

- Nie. Wszyscy są w stołówce. Znaczą wszyscy oprócz Dallasa, który kombinuje coś ze Smokiem przy mieczach, chociaż lekcje oficjalnie jeszcze się nie zaczęły i ja osobiście nie widzę powodu, żeby się o nie upominać, więc nie wiem, czemu Dallasowi się tak spieszy. No dobra, przeczytaj wreszcie ten wiersz, najwyższa kapłanko. Ja nigdzie się nie wybieram.

Stevie Rae stłumiła westchnienie. Wiersze Kramishy wydawały się zwykle niezrozumiałe i abstrakcyjne, lecz zawierały przepowiednie. Sama myśl o nich wywołała w żołądku Stevie uczucie jak po wypiciu kilku surowych jajek. Niechętnie przeniosła wzrok na kartkę i przeczytała:

*Czerwona wkracza w światłość  
przepasane lędźwie przerywają  
apokaliptyczny bój*

*Ciemność niejedno ma imię  
kształt, kolor, kłamstwa*

*i emocje mącą wzrok*

*Sprzymierz się z nim, sercem płacąc  
i na ufność nie licząc, póki  
ciemności nie rozerwiesz*

*Patrz duszą, nie oczami  
zajrzyj pod bestii przebranie  
by z nimi tańczyć*

Potrząsnęła głową, spojrzała na Kramiszę, a potem powoli przeczytała wiersz ponownie, próbując uciszyć głośnie bicie serca w obawie, że zdradzi jej przerażenie i poczucie winy. Kramisha miała rację: z całą pewnością była tu mowa o niej. Nie mogła jednak wiedzieć tego, co od razu zrozumiała Stevie: że w wierszu chodzi o nią i Rephaima. Dobrze chociaż, że nie było tam wzmianki o skrzydłach i ludzkich oczach przeklętego ptaszyska. Wtedy dopiero byłaby ugotowana.

- I jak? Miałam rację?

Stevie podniosła wzrok i spojrzała w inteligentne oczy czarnoskórej dziewczyny.

- Pewnie. Już w pierwszej linijce napisałaś wyraźnie, że to o mnie.

- Tak właśnie myślałam, chociaż nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił o tobie po prostu „Czerwona”.

- Ale pasuje - wtrąciła szybko Stevie Rae, starając się zagłuszyć wspomnienie głosu Rephaima nazywającego ją w ten sposób. Czerwona. - Jestem jedyną czerwoną wampirką, więc nie może chodzić o nikogo innego.

- No, też tak uważam, chociaż ta cała reszta o bestiach i tak dalej jest cholernie dziwna. Musiałam sprawdzić w słowniku, co to te „przepasane lędźwie”, bo wyglądało na jakieś zboczone świństwo, ale okazuje się, że to oznacza po prostu bycie przygotowanym do walki.

- Ostatnio mamy jej całkiem sporo - przyznała Stevie Rae, znów spoglądając na wiersz.

- Wygląda na to, że ciebie czeka jeszcze więcej. Walki i innych okropieństw. - Potem Kramisha odchrząknęła znacząco i Stevie niechętnie spojrzała jej w oczy. - Co to zajeden?

- Kto?

Kramisha spojrzała na nią z politowaniem.

- Nie rób ze mnie idiotki. On, facet, o którym wiersz mówi, że masz mu oddać serce.

- Nie mam zamiaru!

- Aha, więc jednak wiesz, o kogo chodzi. - Kramisha tupnęła czubkiem buta ze wzorami naśladowującymi gepardzią skórę. - I z całą pewnością to nie

Dallas, bo inaczej byś się tak nie wzbraniała przed oddaniem mu serca. Wszyscy wiedzą, że kręcicie ze sobą. No więc kto?

- Nie mam pojęcia! Nie spotykam się z nikim oprócz Dallasa. Poza tym, szczerze mówiąc, bardziej mnie niepokoją te fragmenty o ciemności, przebraniu itepe - skłamała Stevie Rae.

- Tja - mruknęła z przekąsem Kramisha.

- Słuchaj, zatrzymam sobie wiersz i pomyślę nad nim, dobra? - rzekła Stevie i nie czekając na odpowiedź, wepchnęła kartkę do kieszeni džinsów.

- Niech no zgadnę... Mam nikomu o tym nie mówić? - domyśliła się Kramisha, znów przytupując.

- Właśnie. Chcę najpierw... - Wszechwiedzące spojrzenie koleżanki zabiło wymówkę. Stevie Rae zrobiła długi wydech i postanowiła powiedzieć tyle, ile tylko mogła. - Nie chcę, żebyś coś komuś mówiła, bo faktycznie mam problem z jednym facetem, a jakby to teraz wyszło na światło dzienne, byłoby fatalnie i dla Dallasa, i dla mnie, zwłaszcza że jeszcze nie wiem, co tak naprawdę jest między mną a tym drugim.

- Teraz już lepiej. Problemy z facetami potrafią być czasem naprawdę upierdliwe, a jak mówi moja mamuska, nie powinno się publicznie prać brudów.

- Dzięki. Doceniam twoją wyrozumiałość.

Kramisha uniosła rękę.

- Chwilunia! Wcale nie powiedziałam, że to koniec tematu. Moje wiersze są ważne. Ten dotyczy czegoś więcej niż tylko twojego popieprzonego życia osobistego, więc powtórzę raz jeszcze, żebyś sobie wybiła z głowy te debilizmy i pamiętała o używaniu zdrowego rozsądku. Musisz też wiedzieć, że za każdym razem, kiedy pisałam słowo „ciemność”, coś mnie ścisnęło we flakach.

Stevie Rae zmierzyła ją długim spojrzeniem, po czym podjęła decyzję.

- Przejdiesz się ze mną na parking? Mam coś do załatwienia poza campusem, ale po drodze chcę z tobą pogadać.

- Nie ma sprawy - zgodziła się Kramisha. - Chyba już czas, żebyś komuś opowiedziała o tym, co się dzieje w twojej głowie. Ostatnio dziwnie się zachowywałaś. I to jeszcze przed wypadkiem Zoey.

- Wiem - mruknęła Stevie.

W milczeniu zeszły po schodach i przemierzyły hol tętniącego życiem internatu. Stevie pomyślała, że wraz z topniejącym lodem odmarzły także serca adeptów, w ostatnich dniach więcej wychodzili i zachowywali się bardziej normalnie. Wprawdzie wiele osób wciąż gapiło się na nią i na Kramishę, ale już nie tak wrogo; raczej z obawą i zaciekawieniem.

- Myślisz, że naprawdę możemy tu znów zamieszkać i normalnie chodzić do szkoły, jakby to wciąż był nasz dom? - wypaliła Kramisha, gdy wyszły na chodnik przed budynkiem.

Stevie spojrzała na nią zdumiona.

- Zaczynam w to wierzyć. Czy byłoby nam tu tak źle?

Poetka wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem? Mogę tylko powiedzieć, że naprawdę dobrze się czuję, gdy śpię pod ziemią.

- Właśnie. To główny problem.

- Ta ciemność w moim wierszu, która wzbudza we mnie dreszcze, to chyba nie o nas, co?

- Nie! - Stevie zdecydowanie potrząsnęła głową. - Z nami wszystko jest w porządku. Ty, ja, Dallas i inni czerwoni adepci, którzy tu wrócili, podjęli decyzję. Nyks dała nam prawo wyboru, a my wybraliśmy dobro zamiast zła, światło zamiast ciemności. W wierszu nie chodzi o nas. Jestem tego pewna.

- O tych drugich, co? - Kramisha ściszyła głos, choć nikogo w pobliżu nie było.

Stevie Rae zastanowiła się i doszła do wniosku, że to może być prawda. Do tej pory była święcie przekonana, że chodzi o Rephaima. Kurczę! Naprawdę musi zrobić porządek w swojej głowie.

- Możliwe, choć jeśli tak, to kiepska sprawa. Bardzo kiepska.

- Daj spokój. Przecież obie wiemy, że oni są okropni.

- Taaak... Właśnie dowiedziałam się od Afrodyty pewnych rzeczy, przy których ciemność z wiersza staje się naprawdę, ale to naprawdę niebezpieczna. Jeśli oni maczają w tym palce, to osiągnęli wyższy poziom zła. Na równi z Neferet.

- Cholera.

- Właśnie. Wiersz może faktycznie mówić o walce z nimi. Prócz tego, i o tym właśnie chciałam z tobą rozmawiać, zaczęłyśmy z Afrodytą zgłębiać pewną dawną mitologię. Tak dawną, że nawet wampiry o niej zapomniały.

- O w mordę. Musi być stara na maksa.

- Chcemy... mam na myśli siebie, Afrodytę, Starka i pozostałych, którzy są przy Zoey... chcemy sprawdzić, czy da się użyć tej pradawnej wiedzy, żeby pomóc Starkowi dostać się w Zaświaty i tam chronić Zoey, kiedy będzie się starała scalić swoją duszę.

- Stark ma się przenieść w Zaświaty bez umierania?

- Tak. Podobno jego śmierć nic by Zoey nie dała.

- I chcecie użyć tej starej mitologii, żeby wykombinować, jak to zrobić?

Stevie Rae uśmiechnęła się do Kramishy.

- Spróbujemy. A ty możesz nam pomóc.

- Do usług. Powiedz tylko, co mam robić.

- No dobrze. Sprawa wygląda tak: odkąd Afrodyta skupiła się na swoim darze wieszczania, odkryła w nim nowe aspekty. - Stevie uśmiechnęła się cierpko. - Przy czym nie powiem, żeby ją to cieszyło. - Kramisha parsknęła śmiechem. - Pomyślałam sobie, że chociaż w odróżnieniu od Zo nie mam tu pełnego kręgu, to wieszczkę akurat mam.

Kramisha zamrugnęła skonsternowana, a widząc, że Stevie nie przestaje się na nią gapić, zrobiła wielkie oczy i wybąkała:

- Mnie?

- Ciebie. A konkretnie ciebie i twoją poezję. Już raz pomogłaś Zo znaleźć sposób na wygnanie stąd Kalony.

- Ale...

- Afrodyta to wykombinowała - przerwała jej Stevie. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że jest od ciebie bystrzejsza?

Kramisha zmrużyła oczy.

- Bez żartów. Ta bogata biała laska miałaby być bystrzejsza ode mnie?

- No to do dzieła. Lasso w dłoń i na koń!

- Wiesz co, gęziej skórki dostaję na te twoje wiejskie odzywki.

- Wiem - uśmiechnęła się do niej Stevie. - Na razie znajdź Dallasa i powiedz mu o wszystkim oprócz wiersza, a ja przywołam ziemię i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Nie musisz mi mówić, że oprócz wiersza. Już powiedziałam, że cię nie wsypię.

- Dzięki. Jesteś świetną Mistrzynią Poezji.

- Ty też nie jesteś zła jak na dziewczynę ze wsi.

- Na razie. - Stevie pomachała jej i potruchtała w kierunku samochodu Zoey.

- Będę cię ubezpieczać, najwyższa kapłanko!

Pożegnanie Kramishy wywołało ucisk w żołądku Stevie Rae, ale i uśmiech na jej twarzy. Usiadła, przekręciła kluczyk w stacyjce i właśnie wrzucała bieg, gdy sobie uświadomiła, że po pierwsze, nie wie, dokąd się wybiera, a po drugie, całe to „przywoływanie ziemi” byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby wcześniej raczyła wziąć z pokoju zieloną świecę i może jeszcze odrobinę turówki, trawy pomagającej przyciągnąć pozytywną energię. Wściekła na siebie, przełożyła dźwignię z powrotem na luz. Co ona, do jasnej ciasnej, wyprawia?

Wraca do Rephaima. Ta myśl była jak oddech, natychmiastowa i instynktowna. Nim jednak Stevie zdążyła ruszyć, zawahała się raz jeszcze. Czy naprawdę odwiedzanie Rephaima w tej chwili to najlepsze, co może zrobić?

Z jednej strony uzyskała już od niego mnóstwo przydatnych informacji o Kalonie, ciemności i tym podobnych.

Z drugiej, nie całkiem mu ufała. Nie mogła mu w pełni zaufać.

Poza tym kruk namieszał jej w głowie. Gdy przeczytała wiersz Kramishy, była tak zaabsorbowana jego osobą, że nawet nie wzięła pod uwagę innej interpretacji - na przykład takiej, że ostrzeżenie może dotyczyć złych czerwonych adeptów, a nie tego, co jest między nią a Krukiem Prześmiewcą.

Więc co, u licha, powinna zrobić?

Obiecała Rephaimowi, że wróci i sprawdzi, czy wszystko z nim w porządku, ale tak naprawdę chciała tam pojechać nie tylko z powodu tej obietnicy. Musiała go zobaczyć. Musiała?... Tak, przyznała się niechętnie przed sobą. Musiała zobaczyć Kruka Prześmiewcę. Ta świadomość nią wstrząsnęła.

- Jestem z nim skojarzona. To oznacza, że łączy nas więź, a ja niewiele mogę w tej sprawie zrobić - mruknęła do siebie, zaciskając palce na kierownicy garbusa. - Muszę nauczyć się z tym żyć i tyle.

„I nie mogę zapominać, że jest synem swego ojca” - dodała w myślach.

Dobra. Świetnie. Sprawdzi, co u niego. Zada mu także parę pytań dotyczących światła, ciemności i dwóch krów. Czy tam byków. Powinna jednak trochę powęszyć na własną rękę, bez jego udziału. Przywołać ziemię i zapytać ją o te krowobyki. To będzie dobry przykład wykorzystania zdrowego rozsądku. Wyszczrzyła zęby i uderzyła dłońmi w kierownicę.

- To jest to! Zatrzymam się w tym fajnym starym parku w drodze do Gilcrease'a i zrobię małe czary-mary, a potem pojedę do Rephaima. Pikuś!

Oczywiście najpierw musiała skoczyć do świątyni Nyks i wziąć stamtąd zieloną świecę, zapalki i turówkę. Mając plan, od razu lepiej się poczuła i już miała ruszyć, gdy nagle na asfalcie parkingu usłyszała tupot kowbojskich butów, a potem przesadnie nonszalancki głos Dallasa:

- Ja tylko podchodzę do auta Zoey. Nie podkradam się do Stevie Rae ani nic z tych rzeczy.

Opuściła szybę i uśmiechnęła się do chłopaka.

- Cześć, Dallas. Kramisha mówiła, że ćwiczysz ze Smokiem.

- Ćwiczyłem. Patrz, dał mi taki fajny nóż. Mówi, że to dirk, szkocki sztylet, i że mogę się nauczyć dobrze nim władać.

Stevie z powątpiewaniem patrzyła, jak jej chłopak wyjmuje z zawieszanej przy pasie skórzanej pochwy ostro zakończony nóż obosieczny i trzyma go trochę niezręcznie, jakby nie był pewien, czy ostrze przebije przeciwnika, czy jego.

- Wygląda na bardzo ostry - zauważyła, siląc się na podziw.

- Dlatego jeszcze nim nie ćwiczę, ale Smok pozwolił mi nosić go ze sobą. Przez jakiś czas. Jeśli tylko będę ostrożny.

- Aha. To super. - Nawet gdyby miała żyć milion lat, chyba nigdy by nie zrozumiała męskich spraw.

- W każdym razie skończyłem zajęcia i zaraz po wyjściu z sali spotkałem Kramishę - kontynuował Dallas, chowając nóż do pochwy. - Mówiła, że chcesz jechać na jakąś pogawędkę z ziemią, więc pomyślałem, że spróbuję cię złapać i pojechać z tobą.

- Aha. To bardzo miłe z twojej strony, Dallas, ale sama sobie poradzę. Jeśli chcesz być użyteczny, przynieś mi ze świątyni Nyks zieloną świecę i zapalki. No i trochę turówki, o ile ją znajdziesz. Chyba byłam strasznie rozkojarzona, skoro o nich zapomniałam. Przywoływanie ziemi bez świecy jest o wiele trudniejsze, nie mówiąc już o turówce, która przyciąga pozytywną energię.

Ku jej zdumieniu Dallas nie powiedział „OK” i nie potruchtał grzecznie do świątyni. Zamiast tego stał tam, obserwując ją z rękoma w kieszeniach i dość niezadowoloną miną.



- Co jest? - zapytała.

- Przykro mi, że nie jestem wojownikiem! - wypalił. - Staram się nauczyć czegoś od Smoka, ale trochę potrwa, zanim zaczniesz mi to w miarę wychodzić. Nigdy nie lubiłem walczyć i przykro mi z tego powodu! - powtórzył coraz bardziej rozzłoszczony.

- Dallas, o czym ty, do licha ciężkiego, gadasz?

Zniecierpliwiony wyrzucił ręce w górę.

- O tym, że nie jestem dla ciebie dość dobry! Wiem, że potrzebujesz kogoś lepszego. Wojownika. Do diabła, Stevie Rae, gdybym nim był, mógłbym cię uratować, gdy tamci adepci cię zaatakowali i omal nie zabili. Gdybym był twoim wojownikiem, nie wysyłałabyś mnie po jakieś drobiazgi. Chciałabyś zawsze mieć mnie przy sobie, żebym cię chronił podczas tych wszystkich rzeczy, które robisz!

- Sama potrafię się ochronić, a świeca ziemi i reszta akcesoriów to nie drobiazgi.

- Dobra, wiem, ale i tak zasługujesz na kogoś lepszego. Po cholere ci facet, który nie potrafi bronić swojej kobiety?

Uniosła brwi, aż dotknęły jasnych loków.

- Czy dobrze słyszałam? Nazwałeś mnie swoją kobietą?

- No tak - odparł, wierząc się niespokojnie. - W pozytywnym sensie.

- Dallas, nie mogłeś zapobiec temu, co się stało na dachu - odparła zgodnie z prawdą. - Wiesz, jacy oni są.

- Powiniennem być tam z tobą. Jako twój wojownik.

- Nie potrzebuję wojownika! - wrzasnęła zniecierpliwiona jego uporem i wściekła, że Dallas tak się tym wszystkim przejmuje.

- Cóż, mnie na pewno już nie potrzebujesz. - Po tych słowach odwrócił się tyłem do samochodu, wpychając ręce z powrotem do kieszeni.

Na widok jego zgarbionych pleców Stevie poczuła się podle. To była jej wina. Zraniła chłopaka, odtrącając od siebie jego i wszystkich innych, by nie zdradzić tajemnicy Rephaima. Zawstydzona jak złapany na gorącym uczynku złodziejaszek wysiadła z auta i łagodnie dotknęła ramienia Dallasa. Nawet na nią nie spojrział.

- Słuchaj, to nieprawda. Potrzebuję cię.

- Jasne. I dlatego wciąż mnie od siebie odpychasz.

- Nie. Po prostu mam mnóstwo spraw na głowie. Przepraszam, jeśli zachowywałam się wrednie - powiedziała.

W końcu się odwrócił.

- Nie wrednie. Po prostu jakby ci już nie zależało.

- Zależy! - zaprzeczyła pospiesznie i przytuliła się do niego, obejmując go równie mocno jak on ją.

- Więc pozwól mi jechać z sobą- szepnął jej do ucha.

Odsunęła się, by na niego spojrzeć, i słowa „Nie możesz” zamarzyły jej na wargach. Oczy Dallasa odzwierciedlały jego uczucia. Nie miała wątpliwości, że

łamie mu serce. Co ona wyprawia? Jak może krzywdzić tego chłopaka z powodu Kruka Prześmiewcy? Nie żałowała, że uratowała Rephaima, ale było jej przykro, że odbija się to na otaczających ją ludziach. „Dosyć - pomyślała. - Nie mam zamiaru dalej krzywdzić osób, na których najbardziej mi zależy”.

- No dobrze - powiedziała. - Możesz ze mną jechać.

Natychmiast pojaśniały mu oczy.

- Serio?

- Pewnie, że serio. Tyle że naprawdę potrzebuję świecy ziemi. I turówki też. To nie była żadna ścierna.

- Załatwię ci cały worek świec i tyle turówki, ile tylko zechcesz! - Dallas roześmiał się, ucałował ją i popędził w stronę świątyni, wrzeszcząc, że zaraz wraca.

Stevie powoli wsiadła do auta, chwyciła kierownicę i gapiała się przed siebie, powtarzając jak mantrę: „Przywołać ziemię z Dallasem. Dowiedzieć się jak najwięcej o krowach. Odwieźć Dallasa z powrotem do szkoły. Wykombinować dobrą wymówkę, żeby się wyrwać, tym razem bez świadków. Jechać do Gilcrease'a i sprawdzić, co z Rephaimem. Wybadać, czy nie wie czegoś, co mogłoby pomóc Starkowi i Zo. Wrócić tu. Nie odtrącać i nie ranić przyjaciół. Sprawdzić, co u czerwonych adeptów. Powiedzieć Lenobii i pozostałym, czego się dowiedziałam o Zo. Zadzwoić do Afrodyty. Zastanowić się, co począć ze złymi adeptami z dworca. A potem robić wszystko, żeby nie rzucić się z dachu najbliższego wieżowca...”. Czując, że tonie w starym, znajomym cuchnącym bagienku stresu, opuściła głowę i oparła czoło na kierownicy.

Jak, u diabła, Zoey poradziła sobie z podobnym bajzlem?

„Nie poradziła sobie - dotarło do niej nieoczekiwanie. - On ją zniszczył”.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### *Stevie Rae*

- Kurczę! Wygląda, jakby przez Tulsę przeszło jakieś wielkie tornado! - dziwił się Dallas, patrząc, jak Stevie omija kolejną stertę leżących na ulicy konarów. Wjazd do parku blokowałą grusza przełamana niemal idealnie na pół. Zaparkowali więc obok niej.

- Na szczęście przywracają prąd - zauważyła Stevie, wskazując lampy uliczne otaczające park i oświetlające potworny bałagan złożony z drzew uszkodzonych przez nawałnicę i położonych azalii.

- Ale nie im. - Dallas wskazał brodą eleganckie domki w sąsiedztwie parku. Gdzieniegdzie zza okna świeciło dumnie światło, dowodząc, że niektórzy mieli dość rozumu, by się zaopatrzyć w generatory na propan, nim rozpętała się burza, większość terenu była jednak ciemna, zimna i cicha.

- Współczuję im, ale to mi ułatwi zadanie - powiedziała Stevie. Wysiadła z auta, zabierając ze sobą zieloną świecę rytualną, sznureczek splecionych źdźbeł suszonej turówki i pudełko długich zapalek. Dallas ruszył za nią. - Wszyscy siedzą jak myszy pod miotłą i nikt nie zauważy, co tu robię.

- W tej kwestii masz całkowitą rację, mała. - Dallas otoczył ją czule ramieniem.

- Wiesz, że uwielbiam, jak przyznajesz mi rację? - Objęła go w pasie, tak jak kiedyś wkładając mu dłoń do tylnej kieszeni dżinsów. Dallas ścisnął jej ramię i ucałował dziewczynę w czubek głowy.

- W takim razie będę ci to mówił częściej - obiecał.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Próbujesz mnie na coś przygotować?

- Nie wiem. A działa?

- Może.

- To dobrze.

Oboje się roześmieli. Stevie szturchnęła chłopaka biodrem.

- Chodźmy pod ten stary dąb. Wygląda na odpowiednie miejsce.

- Jak sobie życzysz, mała.

Powoli szli przez zagracony środek parku, obchodząc połamane gałęzie i przedzierając się przez zimne błoto pozostałe po nawałnicy. Musieli uważać, by się nie pośliznąć na kałużach, które zaczęły zamarzać w nocnym przymrozku. Stevie Rae pomyślała, że dobrze zrobiła, zabierając Dallasa ze sobą. Być może zamęt wywołany w jej głowie przez Rephaima wynikał częściowo z faktu, że oddaliła się od przyjaciół i zbyt mocno skoncentrowała na tym osobliwym Skojarzeniu. Do licha, Skojarzenie z Afrodytą początkowo także zdawało jej się potwornie dziwaczne. Może po prostu potrzebowała trochę czasu - lub miejsca - by się oswoić z nowością.

- Hej, zobacz! - zawołał Dallas, wskazując ziemię wokół starego dębu. - To wygląda, jakby drzewo samo przygotowało dla ciebie krąg!

- Super! - powiedziała. I rzeczywiście tak było! Silne drzewo bez szwanku przetrwało burzę, tracąc jedynie garść pomniejszych gałązek, które teraz leżały na trawie, tworząc idealny okrąg przy pniu.

Dallas zawahał się na jego skraju.

- Zostanę tu, co? Żeby ten krąg był naprawdę tylko twój. Nie powinienem przekraczać granicy.

Spojrzała na niego. Był dobrym chłopakiem. Zawsze mówił jej takie słodkie rzeczy i dawał sygnały, że rozumie ją lepiej niż większość osób.

- Dzięki, Dallas. To naprawdę miłe z twojej strony. - Uniosła się na palcach i pocałowała go delikatnie.

Otoczył ją ramionami i przygarnął mocno.

- Wszystko dla mojej najwyższej kapłanki.

Miał ciepły słodki oddech. Wiedziona impulsem Stevie znów go pocałowała, rozkoszując się wywołanym przez to przyjemnym dreszczem. Dotyk Dallasa wypędzał jej z głowy myśli o Rephaimie. Gdy chłopak w końcu niechętnie ją puścił, brakowało jej tchu.

Dallas odkaszlnął i zaśmiał się krótko.

- Ostrożnie, mała. Dawno nie mieliśmy okazji być razem bez świadków.

Zachichotała wesoło.

- Zbyt dawno.

Uśmiechnął się słodko i seksownie.

- Wkrótce to nadrobimy. Najpierw jednak musisz trochę popracować.

- Fakt - mruknęła. - Ciągle tylko praca i praca...

Z uśmiechem chwyciła warkoczyk turówki i zieloną świecę oraz zapalki, które podał jej Dallas.

- Słuchaj - rzekł nagle chłopak - przypomniało mi się coś o turówce. Czy czasem nie trzeba użyć czegoś jeszcze, zanim się ją zapali? Byłem dosyć dobry z zaklęć i obrzędów i przysięgam, że chodziło o coś więcej niż tylko zapalenie warkoczyka z traw i wymachiwanie nim.

Stevie Rae zmarszczyła czoło w skupieniu.

- Cholerka, nie wiem. Zoey powiedziała mi o tej trawie, że niby przyciąga dobrą energię. Używają jej rdzenni Amerykanie.

- No cóż, skoro Zo tak mówiła... - mruknął Dallas. Stevie wzruszyła ramionami.

- Poza tym to tylko trawa o ładnym zapachu. Co złego może zrobić?

- Fakt. A w dodatku ty jesteś Panną Ziemią, więc powinnaś sobie poradzić z płonącym zielskiem.

- Właśnie - przytaknęła. - No to jazda.

Wyszeptała: „Dziękuję, ziemio”, odwróciła się plecami do Dallasa i weszła do kręgu. Bez wahania przesunęła się na jego północny kraniec, znajdujący się zaraz przy drzewie.

Staneła tam i zamknęła oczy. Już dawno się zorientowała, że najlepszym sposobem na połączenie się z żywiołem są zmysły. Oddychała głęboko, oczyszczając umysł ze zbędnych myśli, które zawsze ze sobą nosiła, i pozostawiając tylko jedno: słuch.

Wysłuchała się w ziemię. Słyszała wiatr szmerzący wśród zimowych liści, rozmawiające śpiewem nocne ptaki, westchnienia parku udającego się na długi chłodny spoczynek.

Gdy słyszała już tylko ziemię, wzięła kolejny oddech i skupiła się na zapachu. Wdychała ziemię z jej wilgotną, ciężką od lodowej powłoki trawą, świeży cynamonowy aromat zwiedłych liści, specyficzną woń mchu porastającego stary dąb.

Nasycona zapachami, z kolejnym oddechem wyobraziła sobie intensywny smak czosnku i dojrzałych letnich pomidorów. Zadumała się nad prostą sztuczką, dzięki której pociągając za zielone czuby, odkrywa się pod nimi grube świeże marchewki wykarmione przez ziemię.

Wypełniona smakami ofiarowanych przez ziemię dóbr, pomyślała o miękkiej letniej trawie pod stopami, o mleczach łaskoczących w twarz, gdy próbuje się sprawdzić, czy pozostawia żółtą smugę, znak potajemnej miłości; o tym, jak po wiosennym deszczu ziemia ogarnia wszystkie zmysły.

Aż wreszcie, z jeszcze głębszym oddechem, Stevie Rae pozwoliła swym zmysłom rozkoszować się cudowną, niewiarygodną, magiczną komunią z ziemskim żywiołem. Ziemia była jej matką, powierniczką, siostrą i przyjaciółką. Dawała jej oparcie, uspokajała ją i chroniła nawet wtedy, gdy wszystko inne na świecie było kompletnie pogmatwane.

Z uśmiechem otworzyła oczy i obróciła się w prawo.

- Powietrze, zapraszam cię do swego kręgu. - Nie miała żółtej świecy ani nikogo, kto by się komunikował z powietrzem, lecz wiedziała, że należy pokłonić się każdemu z pozostałych czterech żywiołów, a jeśli dopisze jej szczęście wszystkie mogą rzeczywiście zaszczycić ją swoim przybyciem. Obróciła się ku południu. - Ogniu, zapraszam cię do swego kręgu. - Znów obracając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zawołała: - Wodo, chciałabym, abyś i ty przybyła! - Na koniec zaś, zmieniając zasady, cofnęła się o kilka kroków i stojąc pośrodku porośniętej trawą ziemi, powiedziała: - Duchu, wiem, że robię to w złej kolejności, ale naprawdę bardzo bym chciała, abyś i ty dopełnił kręgu

Idąc ku północy, była niemal stuprocentowo pewna ze dostrzegła wirującą wokół siebie cienką światła. Obróciła się przez ramię i uśmiechnęła do Dallasa.

- Hej, chyba działa!

- Pewnie, że działa. W końcu jesteś potężną najwyższą

Naprawdę podobało jej się, gdy ją tak nazywał. Nie przestając się uśmiechać, stanęła w północnym krańcu, by w poczuciu dumy, siły zapalić zieloną świecę

- Ziemia, wiem, że robię wszystko nie po kolei, lecz najlepsze musiałam zachować na koniec. Teraz proszę; cię abyś do mnie przyszła, tak jak zawsze czynisz, bo ciebie i mnie łączy więź, która jest nawet bardziej niezwykła niż świetliki wypełniające park Haikey Creek w letnią noc. Przyjdź do mnie, ziemia. Proszę.

Ziemia rzuciła się na nią jak rozradowany szczeniaczek. Przed chwilą noc była zimna, mokra i przepelniona pozostałościami niszczycielskiej zawieruchy; teraz Stevie poczuła gościnne ciepło i wilgoć oklahomskiego lata. Obecność żywiołu wypełniła cały krąg.

- Dziękuję! - zawołała uszczęśliwiona dziewczyna. - Nie potrafię wyrazić, ile dla mnie znaczy to, że zawsze mogę na ciebie liczyć! - Czuła ciepło pod stopami. Wiążący trawę lód pękał i topniał, prostowały się oswojone źdźbła. - Dobrze. - Myśląc wyłącznie o swoim żywiole, Stevie przemawiała do niego, jakby się zmaterializował i stał przed nią. - Muszę cię zapytać o coś ważnego. Tylko najpierw to zapalę, bo myślę, że ci się spodoba. - Wyciągnęła przed siebie splecione trawy, by zapaliły się od płomienia świecy, którą po chwili postawiła na ziemi. Dmuchnęła lekko na turówkę, a ta zaczęła dymić. Stevie Rae obróciła się, uśmiechnęła do Dallasa i obeszła krąg wokół, wymachując trawą, aż cały obszar spowił szary dym i ciężki aromat letniej prairii.

Po powrocie do szczytu kręgu znów zwróciła twarz ku północy, w kierunku najbliższej związanym z jej żywiołem.

- Moja przyjaciółka, Zoey Redbird, mówiła, że turówka przyciąga pozytywną energię, a ja z całą pewnością jej dziś potrzebuję, zwłaszcza że chcę cię prosić o pomoc właśnie dla Zoey. Wiem, że ją pamiętasz. Ma dar komunikacji z tobą i wszystkimi innymi żywiołami. Jest wyjątkowa nie tylko dlatego, że to moja najlepsza przyjaciółka. Jest wyjątkowa, bo... - Stevie urwała, czekając, aż właściwe słowa same się znajdą - ...bo ma w sobie wszystkiego po trochu. Można powiedzieć, że reprezentuje nas wszystkich, więc chcemy, żeby wróciła. Poza tym tam, gdzie jest, cierpi i chyba nie wydobędzie się stamtąd bez pomocy. Jej wojownik, chłopak o nazwisku Stark, chce iść tam za nią. On na sto procent potrzebuje twojego wsparcia. Proszę cię, abyś mi pokazała, jak Stark może pomóc Zoey. Bardzo proszę.

Raz jeszcze pomachała wokół siebie dymiącym pęczkiem trawy i czekała.

Dym był słodki i gęsty, a noc dzięki wizycie żywiołu stała się niezwykle ciepła.

Poza tym nic się nie działo.

Owszem, Stevie czuła obecność otaczającej ją ziemi, która pragnęła spełnić prośbę. Mimo to nic. Zupełnie nic.

Nie wiedząc, co dalej robić, Stevie jeszcze parę razy machnęła turówką i spróbowała znowu:

- Może nie wyraziłam się dość szczegółowo. - Zastanawiała się przez chwilę, próbując sobie przypomnieć wszystko, co usłyszała od Afrodyty. - Na moc ziemi i energię tej świętej trawy zaklinam białego byka z odległej

przeszłości, by odwiedził mój krąg, bo muszę się dowiedzieć, jak Stark może dotrzeć do Zoey i chronić ją, kiedy będzie scalała swoją duszę przed powrotem do świata.

Turówka, która dotąd tylko lekko dymiała, zmieniła się w pochodnię. Stevie Rae upuściła ją z krzykiem. Ze skwierczącego pęczka wydobywał się gęsty skłębiony dym. Wyglądał jak wąż rzygający ciemnością.

Stevie przycisnęła poparzoną dłoń do tułowia i zatoczyła się do tyłu.

- Stevie Rae? Co się dzieje?

Słyszała głos Dallasa, ale gdy się obejrzała, nie zdołała go dostrzec w kłębach dymu. Obracała się, na próżno usiłując go odnaleźć. Nawet zieloną świecę przysłonił dym.

- Nie wiem, co się dzieje! - wrzasnęła zdenerwowana dziewczyna. - Turówka nagle zwariowała i...

Ziemia pod stopami - namacalna część tak bliskiego Stevie żywiołu - zadrzała.

- Stevie Rae, musisz natychmiast stamtąd wyjść! Nie podoba mi się ten dym.

- Czujesz to? - zawołała do Dallasa. - Tam też ziemia się trzęsie?

- Nie, ale cię nie widzę i mam złe przeczucia.

Poczuła jego obecność, jeszcze zanim się objawił. Było to przerażająco znajome uczucie i natychmiast zrozumiała dlaczego: przypominało jej moment, kiedy uświadomiła sobie, że umiera. Moment, kiedy zakaszlała, chwyciła Zoey za rękę i powiedziała: „Boję się”. Echo tamtej grozy tak ją sparaliżowało, że gdy zmaterializował się przed nią lśniący biały, ostry i niebezpieczny czubek pierwszego rogu, potrafiła się jedynie gapić i potrząsać głową w przód i w tył, w przód i w tył.

- Stevie Rae, słyszysz mnie?

Dallas wydawał się odległy o wiele kilometrów.

Po chwili pojawił się drugi róg, a zaraz za nim głowa byka, biała i masywna, o oczach czarnych i połyskujących niczym bezdenne jezioro o północy.

- Pomóż mi! - próbowała powiedzieć, lecz słowa uwięzły jej w gardle ze strachu.

- Dość tego. Idę po ciebie, nawet jeśli nie chcesz, żebym przerywał ten krąg i...

Poczuła falowanie nici, której dotknął Dallas. Byk najwyraźniej też je poczuł, bo obrócił swój wielki łeb i zionął w nieprzenikniony dym cuchnącym powietrzem. Noc zadrzała w odpowiedzi.

- Cholera! Stevie, nie mogę się dostać do kręgu. Przerwij go i wyjdź stamtąd!

- N...n...nie m...mogę - wyjąkała szeptem.

W pełni uformowany byk był jak żywcem wyjęty z koszmaru. Jego oddech ją dławił, oczy więziły. Biała sierść lśniła we wszechogarniającej

ciemności, ale nie była piękna, lecz oślizła, zimna i martwa. Jedna z gigantycznych racic uniosła się i opadła, rozdzierając ziemię z taką furją, że Stevie poczuła w sercu ból. Oderwała wzrok od oczu bestii i przeniosła go na kopyta. Stęknęła z przerażenia: trawa wokół zwierzęcia była stratowana i czarna. Zraniona ziemia, jej ziemia, krwawiła po spotkaniu z potworem.

- Nie! - zdołała krzyknąć. - Przestań! Krzywdzisz nas!

Byk prześwidrował ją czarnymi ślepiami, a w jej głowie rozbrzmiał jego głos - głęboki, potężny i niewyobrażalnie nikczemny.

- *Miałaś dość mocy, by mnie przywołać, wampirko. Tak mnie to rozbawiło, że postanowiłem spełnić twoją prośbę. Wojownik musi znaleźć w swojej krwi most na Wyspę Kobiet, a potem pokonać siebie, by wejść na arenę. Tylko akceptując tę kolejność, zdoła odnaleźć kapłankę. Gdy już to zrobi, powrót będzie zależał od niej, nie od niego.*

Stevie przełknęła ślinę.

- To nie ma sensu - powiedziała.

- *Twoja niezdolność zrozumienia jest mi obojętna. Wezwałaś mnie, więc przyszedłem. A teraz odbiorę zapłatę. Minęły eony, odkąd kosztowałem słodkiej wampirskiej krwi, zwłaszcza tej wypełnionej mnóstwem niewinnej światłości.*

Nim przyszła jej do głowy jakakolwiek odpowiedź, byk począł ją okrażać. Z unoszącego się wokół niego dymu wyślizgiwały się czarne macki i sunęły ku niej. Gdy jej dotknęły, były jak zamrożone brzytwy, które tną i rozdzierają ciało.

- Rephaim! - wrzasnęła bez namysłu.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### *Rephaim*

Od razu wiedział, że to ciemność się objawiła. Siedział na szczytowym balkonie, jedząc jabłko, wpatrując się w czyste nocne niebo i starając się zignorować denerwującą obecność ludzkiego ducha, który niestety był nim zafascynowany.

- *Hej, powiedz! Fajnie jest latać?* - zapytała chyba po raz setny dziewczynka. - *Wygląda fajnie. Nigdy nie leciałam samolotem, ale i tak mogę się założyć, że latanie na własnych skrzydłach jest o wiele lepsze!*

Westchnął. Ta mała była bardziej gadatliwa niż Stevie Rae, a to duży wyczyn. Irytujący, lecz jednak. Zastanawiał się, czy ma ją nadal ignorować w nadziei, że w końcu odejdzie, czy wymyślić coś innego, bo to pierwsze na razie nie działało. Może powinien zapytać Stevie, co zrobić z tym duchem. To skierowało jego myśli z powrotem ku Czerwonej, choć szczerze mówiąc, nigdy zbyt daleko od niej nie odbiegały.

- *A czy latanie jest niebezpieczne? Widzę, że masz chore skrzydło. To się pewnie stało, kiedy leciałeś i...*

Gdy tak trajkotała, faktura świata nagle się zmieniła. W pierwszej, wstrząsającej chwili poczuł coś znajomego i pomyślał, że jego ojciec powrócił.

- Cisza! - ryknął na ducha. Wstał i obrócił się gwałtownie, świdrując ciemność czerwonymi ślepiami w nadziei, że dostrzeże kruczą czerń ojcowskich skrzydeł.

Dziewczynka pisnęła przerażona, odsunęła się od niego i znikła.

Rephaim nie zaszczycił jej nawet najkrótszą myślą. Cała jego uwaga skupiona była na odbieraniu nawałnicy informacji i emocji.

Najpierw uderzyła w niego fala wiedzy. Niemal natychmiast zrozumiał, że tym, co wyczuł, nie jest obecność ojca. Owszem, Kalona był potężny i od dawna sprzymierzony z ciemnością, ale nieśmiertelny, który teraz się objawił, musiał być kimś daleko potężniejszym. Rephaim wyczuwał podniecenie ciemności ukrytej w zakątkach ziemi, odzew małych istot zapomnianych przez nowoczesny świat elektryczności i ludzkiej magii. On jednak o nich pamiętał i był zaskoczony, widząc ich gwałtowną reakcję w postaci drgań najgłębszej nocy.

Co mogło być dość silne, by obudzić ukryte lica?

Potem poczuł strach Stevie Rae. Jej potworne przerażenie w zestawieniu z podnieceniem lich i własnym poczuciem, że zna tę siłę, pozwoliło Rephaimowi zrozumieć, z czym ma do czynienia.

- Na wszystkich bogów, sama ciemność nawiedziła ten świat!

Jego ciało ruszyło instynktownie, wyprzedzając świadomą decyzję. Wybiegł przez drzwi wejściowe zrujnowanego domu, roztrzaskując je, jakby były zrobione z kartonu, i stanął jak wryty na ganku.

Nie miał pojęcia, dokąd się udać.

Uderzyła w niego kolejna eksplozja strachu. Czuł, że Stevie Rae jest sparaliżowana, i jego umysł wypełniła potworna myśl: czyżby to ona przywołała tę ciemność? Jakim cudem? I po co?

Odpowiedź na najważniejsze z tych trzech pytań nadeszła błyskawicznie. Stevie była gotowa zrobić niemal wszystko, by odzyskać Zoey.

Serce zadrzało mu w piersi, krew zadudniła w żyłach. Gdzie ona jest? W Domu Nocy?

Nie, z pewnością nie. Jeśli zamierzała przywołać ciemność, nie mogła tego zrobić na terenie szkoły stojącej po stronie światła.

- Dlaczego nie przyszedłeś do mnie? - zawołał rozpaczliwie w noc. - Ja znam ciemność, ty nie!

Zaraz jednak przyznał się przed sobą do błędu. Stevie Rae została dotknięta przez ciemność w chwili swojej śmierci. Rephaim jej wtedy nie znał, ale znał Starka i widział mrok towarzyszący jego śmierci i zmartwychwstaniu.

- Wybrała jednak światłość - powiedział cicho. - A światłość nigdy nie docenia okrucieństwa ciemności.

„Sam fakt, że ja żyję, jest tego dowodem” - dodał w myślach.

Tej nocy Stevie Rae bardzo go potrzebowała. To też było faktem.

- Gdzie jesteś, Stevie Rae? - mruknął.

Odpowiedziały mu tylko niespokojne lica szemrzące w mroku.

Zastanawiał się, czy potrafiłby podstępem nakłonić jedno z nich, by zaprowadziło go do ciemności. Nie. Szybko porzucił ten pomysł. Licha szły do ciemności, kiedy je przyzywała, lecz gdy tego nie czyniła, zdecydowanie wolały się karmić odpryskami odległej mocy. A on nie mógł sobie pozwolić na czekanie w nadziei, że ciemność je wezwie. Musiał znaleźć...

- *Rephaim!!!*

Krzyk Stevie Rae odbił się wewnątrz niego przedziwnym echem. Przepelniony bólem i rozpaczą głos przeszył mu serce jak sztylet. Kruk wiedział, że jego oczy jarzą się teraz szkarłatem. Miał ochotę niszczyć, drzeć na strzępy. Tworząca się wokół niego szkarłatna mgiełka furii była kuszącą ucieczką; gdyby całkowicie się jej poddał, stałby się bardziej bestią niż człowiekiem, a ten nowy niezwykle, nieprzyjemny lęk o dziewczynę utonąłby w powodzi odruchów, w powodzi bezmyślnego amoku, który mogło zaspokoić jedynie zaatakowanie bezradnych ludzi w którymś z ciemnych domów otaczających uśpione muzeum. To by mu dało chwilę spokoju. Chwilę bez uczuć.

Dlaczego więc nie miałyby się poddać tej furii, która już tyle razy go pochłaniała? Byłoby łatwiej, bardziej swojsko, bezpieczniej.

„Jeśli poddam się furii, zerwę więź łączącą mnie z Czerwoną” - pomyślał ze zdumieniem, które uzewnętrzniło się w postaci jasnych iskier rozpraszających przysłaniającą mu wzrok szkarłatną mgłę.

- Nie! - krzyknął, dając swemu człowieczeństwu siłę zdolną pokonać bestię. - Jeśli ją oddam na pastwę ciemności, umrze! - Oddychał powoli, głęboko. Musiał się uspokoić. Musiał pomyśleć. Czerwona mgiełka wciąż się rozpraszala i po chwili kruk znów potrafił myśleć logicznie. - Muszę wykorzystać braterstwo krwi!

Znieruchomiał, biorąc kolejny, jeszcze głębszy haust nocnego powietrza. Wiedział, co trzeba zrobić.

- Przyzywam moc ducha pradawnych nieśmiertelnych, która podlega mi jako synowi mego ojca! - Sądził, że zaklęcie bardzo osłabi jego chore ciało, ale czerpiąc siłę z nocnego mroku, poczuł zaskakujący przyływ energii. Noc wokół niego zdawała się nabrzmiwać, pulsować dziką pradawną potęgą, która wzbudzała w nim ponure przeczucia, lecz nie wahał się jej wykorzystać, wchłaniając ją w siebie i przygotowując się do przesycenia jej nieśmiertelnością swojej krwi, będącej teraz także krwią Stevie Rae. Wchłaniana moc okazała się jednak tak dzika i gwałtowna, że rzuciła go na kolana.

Pierwszą wskazówką, że dzieje się coś niezwykłego, było instynktowne wyrzucenie w górę obu rąk w obronie przed upadkiem. Obie go posłuchały! Także ta złamana i do tej pory wisząca bezwładnie na temblaku.

Kłęczał rozedrgany, wyciągając ręce przed siebie i przyglądając się im. Oddychał szybko i poruszał palcami.

- Więcej! - syknął. - Jeszcze!

Zimna moc znów przeszła go niczym prąd. Starał się wytrzymać jej uderzenia, wiedząc, że ma do czynienia z czymś zupełnie innym niż wszystko, co dotąd spotykał, gdy przywoływał siły posłuszne mu na mocy prawa dziedziczenia. Nie był jednak żółtodziobem. Od dawna targował się z cieniami i podłymi kreaturami zamieszkującymi noc. Sięgnął w głąb siebie, wdychając energię, po czym rozłożył szeroko ręce i rozwinął skrzydła.

Oba go posłuchały.

- Tak! - wykrzyknął, a cienie zadrżały z rozkoszy porażone jego zachwytem.

Znów był cały! Skrzydło całkowicie ozdrowiało!

Zerwał się na równe nogi. Z rozpostartymi ciemnymi lotkami wyglądał jak oszalamiająca rzeźba bożka, która nagle ożyła. Kontynuował inwokację z rozedrganym od mocy ciałem. Powietrze jarzyło się czerwienią rozpostartej wokół niego fosforyzującej krwawej mgły. Napęczniały pożyczoną potęgą ciemności Rephaim zakrzyknął w mrok:

- Na nieśmiertelną moc mego ojca Kalony, który zasiał w mej krwi i duszy swoje dziedzictwo, nakazuję tej sile, którą tu przywołałem, zaprowadzić mnie do Czerwonej, tej, która skosztowała krwi mojej, z którą się skojarzyłem i wymieniłem dług życia. Zanieś mnie do Stevie Rae! Rozkazuję ci!

Mgielka przez chwilę unosiła się nad nim, a potem przybrała postać wstęgi ze szkarłatnego jedwabiu, tworząc w powietrzu połyskującą cienką ścieżkę. Rephaim szybko i pewnie wzniósł się w niebo i popędził za drogowskazem ciemności.

Odnalazł ją niedaleko muzeum, w parku spowitym całunem dymu i śmierci. Opadając cicho z nieba, zastanawiał się, jak ludzie z okolicznych domów mogą być tak nieświadomi tego, co się panoszy zaraz za złudnym zabezpieczeniem ich frontowych drzwi.

Najgęstsza chmura czarnego dymu widniała w sercu parku. Z trudem dostrzegał najwyższe konary potężnego starego dębu, pod którym panował potworny zamęt. Zbliżywszy się, kruk zwolnił, nie składając jednak skrzydeł, którymi rozgarniał powietrze, posuwając się szybko i bezdźwięcznie nawet po wylądowaniu.

Adept go nie zauważył. Nic dziwnego: pewnie nie dostrzegłby przybycia armii, bo cały się skupił na uderzeniu na oślep długim, zabójczo wyglądającym nożem w coś, co wyglądało - przynajmniej w jego oczach - na krąg ciemności zbity w twardy mur.

Rephaim jednak nie był adeptem i znacznie lepiej rozumiał ciemność.

Niezauważony przez chłopaka ominął go i stanął twarzą do kręgu w jego najbardziej wysuniętym na północ punkcie. Nie wiedział, czy to intuicja, czy wpływ Stevie Rae go tam przywiodły, choć na moment przyznał przed sobą, że obie te rzeczy mogą się stapiać w jedno.

Znieruchomiał, by następnie jednym płynnym, acz niechętnym ruchem opuścić skrzydła i złożyć je równo na plecach. Potem uniósł rękę i przemówił łagodnie do szkarłatnej mgły, nad którą nadal miał władzę.

- Ukryj mnie. Pozwól mi przekroczyć barierę.

Zamknął w pięści pulsującą energię, a potem pstryknięciem palców rozproszył mgielkę po całym swoim ciele.

Spodziewał się bólu. Choć niektóre aspekty nieśmiertelnej mocy były mu posłuszne, zawsze miało to swoją cenę. Często bywał nią właśnie ból. Tym razem zalał jego świeżo uleczone ciało niczym wrząca lava, lecz kruk przyjął go spokojnie, ból oznaczał bowiem, że jego prośba została spełniona.

Nijak nie mógł się przygotować na to, co może zastać wewnątrz kręgu. Skoncentrował się i przykryty odziedziczoną mocą ojcowskiej krwi, postąpił naprzód. Ściana ciemności rozstała się przed nim.

Wewnątrz kręgu uderzył go zapach krwi Stevie Rae i wszechogarniający odór śmierci i rozpadu.

- Proszę, przestań! Nie zniosę więcej! Zabij mnie, jeśli chcesz, ale nie dotykaj mnie więcej!

Nie widział jej, lecz z krzyku wnioskował, że jest u kresu sił. Szybko zebrał ze swego ciała trochę przywierającej doń mgły.

- Idź do niej - szepnął. - Wzmocnij ją.

Usłyszał głos Stevie i był niemal przekonany, że wykrzyknęła jego imię. Potem ciemność się rozstała, ukazując mu widok, którego nigdy miał nie zapomnieć, nawet gdyby przyszło mu żyć tak długo jak ojcu.

Stevie Rae stała pośrodku kręgu. Wokół jej nóg owijały się czarne kleiste macki. Gdziekolwiek jej dotknęły, przerzynały skórę. Dżinsy zwisały w strzępach, a z rozdartego ciała sączyła się krew. Na oczach kruka kolejna macka wysliznęła się z otaczającej ich gęstej ciemności i chlasnęła jak bicz na wysokości talii, natychmiast wywołując stróżkę krwi. Dziewczyna stęknęła z bólu, oczy uciekły jej w głąb głowy, która opadła bezwładnie.

Wtedy w końcu kruk zobaczył bestię. Ledwie się ukazała, zrozumiał ponad wszelką wątpliwość, że patrzy na ucieleśnienie ciemności. Byk wydał potworne, ogłuszające prychnięcie. Plując krwią, śluzem i dymem, rozgrzebywał kopytami ziemię i nacierał na Stevie Rae z najgęstszej chmury czarnego dymu. Jego biała sierść przypominała światło księżyca w krypcie. Była jak śmierć. Potężne zwierzę musiało pochylić ogromny łeb, by polizać zranioną talię dziewczyny.

- Nie! - krzyknęły jednocześnie ona i Rephaim.

Wielki byk zastygł, po czym spojrzał na kruka swoimi oczami jak bezdenne studnie.

- *Ta noc staje się coraz ciekawsza* - rozbrzmiał w głowie Rephaima jego tubalny głos. Byk zrobił dwa kroki w jego stronę, wężąc w powietrzu i wprawiając ziemię w drżenie. - *Wyczuwam w tobie ciemność.*

- To prawda - odparł kruk, starając się opanować strach i uspokoić walące w piersi serce. - Spędziłem w niej mnóstwo czasu.

- *Dziwne zatem, że cię nie znam.* - Byk znowu powęszył w powietrzu. - *Choć znałem twego ojca.*

- To dzięki jego mocy przerwałem tę ciemną kurtynę i stoję przed tobą. - Rephaim nie odrywał wzroku od bestii, lecz był w pełni świadom bliskości zakrwawionej bezradnej Stevie Rae.

- *Czyżby? Zdaje mi się, że kłamiesz, ptakoludzie.*

Choć byk wciąż przemawiał tym samym tonem, Kruk Prześmiewca wyczuwał jego gniew.

Nie tracąc opanowania, przesunął palcem po swojej piersi, zbierając czerwoną mgiełkę. Potem uniósł palec i pokazał go bestii.

- To ona pozwoliła mi rozedrzeć ciemną kurtynę tego kręgu. Siła, którą władam dzięki prawu dziedziczenia po ojcu.

- *Owszem, w twych żyłach płynie nieśmiertelna krew, ale rozdymająca twoje ciało moc, która przerwała barierę, jest pożyczona ode mnie.*

Dreszcz przebiegł krukowi po plecach. Bardzo ostrożnie pochylił głowę w geście wdzięczności i szacunku.

- W takim razie dziękuję ci. choć nie przywoływałem twojej mocy, a jedynie ojcowską, do której mam pełne prawo.

- *Rozpoznaję w twych słowach prawdę, synu Kalony, po cóż jednak rozkazywać nieśmiertelnej mocy, by cię tu przywiodła i wpuściła do mego kręgu? Czego pragniecie dziś od ciemności ty lub twój ojciec?*

Ciało Rephaima znieruchomiało, lecz mózg pracował na najwyższych obrotach. Do tej chwili kruk zawsze czerpał siłę z nieśmiertelności płynącej w jego krwi i z kruczego sprytu, który także został mu dany w chwili poczęcia. Teraz jednak, stojąc twarzą w twarz z ciemnością, nabrzmiały mocą, która nie pochodziła od niego, nagle pojął, że choć to dzięki tej istocie udało mu się odnaleźć Stevie Rae, nie uratuje jej, posługując się ciemnością, niezależnie od tego, czy będzie ona pochodziła od byka czy od ojca. Kruczy instynkt także nie zdoła pokonać tej bestii. Siły sprzymierzone z ciemnością nie mogą pokonać jej inkarnacji.

Sięgnął więc po jedyne, co mu pozostało: po resztki człowieczeństwa przekazanego mu przez dawno już nieżyjącą matkę. Odpowiedział bykowi jak człowiek z rozbijającą, rozdzierającą serce szczerością.

- Przybyłem tu, bo ona tu jest, a ona należy do mnie. - Przez cały czas patrząc bykowi w oczy, skinął głową w kierunku Stevie.

- *Czuję na tobie jej zapach.* - Byk zrobił kolejny krok ku niemu, wywołując kolejny wstrząs ziemi. - *Być może należy do ciebie, ale miała czelność mnie przywołać. Poprosiła o pomoc, a ja spełniłem jej prośbę. Za to zaś, jak wiesz, trzeba zapłacić. Odejdź więc, ptakołudzie, a pozwolę ci żyć.*

- Odejdź, Rephaimie. - Głos dziewczyny był słabutki, lecz gdy kruk w końcu na nią spojrzał, zobaczył, że oczy ma przytomne i wyraziste. - Teraz jest inaczej niż tam, na dachu. Nie zdołasz mnie uratować. Odejdź.

Powinien to zrobić. Wiedział o tym. Zaledwie kilka dni wcześniej nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić świata, w którym będzie się mierzył z ciemnością, by uratować wampira; by uratować kogokolwiek innego niż siebie czy swego ojca. Teraz jednak, patrząc w łagodne niebieskie oczy Stevie Rae, widział w nich cały nowy świat: świat, w którym ta dziwna mała czerwona wampirka oznaczała serce, duszę i prawdę.

- Proszę. Nie pozwól, żeby ciebie też skrzywdził - powiedziała.

Właśnie te szczerze bezinteresowne słowa pomogły mu podjąć decyzję.

- Już mówiłem, że ona jest moja. Wyczułeś na mnie jej zapach, więc wiesz, że to prawda. Mogę spłacić dług zamiast niej - rzekł do byka.

- Nie! - wykrzyknęła Stevie.

- *Zastanów się dobrze, zanim złożysz taką propozycję, synu Kalony. Nie zabiję jej. Ma wobec mnie dług krwi, a nie życia. Kiedy już skończę się nią pożywiać, oddam ci ją.*

Na dźwięk tych słów Rephaim poczuł mdłości. Ciemność niczym żarłoczna pijawka zamierzała się żywić sokami dziewczyny, lizać jej poranioną skórę, próbować miedziano-słonej krwi - ich wspólnej krwi, na zawsze połączonej Skojarzeniem.

Weź więc moją krew. Ja spłacę dług - nalegał.

- *Jesteś synem swego ojca i tak jak on postanowiłeś czcić istotę, która nigdy nie da ci tego, czego najbardziej pragniesz. Niech więc tak będzie. Wypuście ją!* - zarządził byk.

Ostre jak brzytwy nici ciemności cofnęły się od ciała Stevie Rae, która natychmiast osunęła się na zalaną krwią ziemię, jakby tylko one do tej pory utrzymywały ją w pozycji stojącej.

Nim kruk zdążył do niej podejść, czarna macka niczym kobra wyłoniła się z otaczającego byka dymu i mroku. Z szybkością, która nie mogła należeć do tego świata, uderzyła go w kostkę i owinęła się wokół niej.

Kruk Prześmiewca zniósł to w milczeniu, choć miał wielką ochotę krzyczeć. Pomimo oślepiającego bólu skoncentrował się i zawołał do Stevie:

- Wracaj do Domu Nocy!

Widział, że dziewczyna próbuje wstać, ale ślizga się na własnej krwi i opada z powrotem na ziemię, płacząc bezgłośnie. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Rephaim skoczył ku niej, rozpościerając skrzydła, gotów zrobić wszystko, by się wyrwać trzymającej go nici i przynajmniej wynieść Stevie poza krąg.

Z dymu wyłoniła się kolejna macka i oplotła jego świeżo uleczone ramię, wdzierając się na trzy centymetry w głąb mięśnia. Jeszcze jedna zaatakowała od tyłu. Tym razem nie zdołał powstrzymać zbolełego krzyku: nic owinęła się wokół skrzydeł w miejscu, gdzie wyrastały z pleców, nadrywając je i przyszpilając go do ziemi.

- Rephaim! - zaszlochala Stevie Rae.

Nie widział byka, ale czuł drżenie ziemi i wiedział, że bestia się zbliża. Odwrócił głowę i zobaczył czołgającą się ku niemu dziewczynę. Chciał jej powiedzieć, żeby się zatrzymała, zmusić ją do ucieczki. Dopiero po chwili, z trudem znosząc potworny dotyk języka bestii na swojej nodze, uświadomił sobie, że Stevie wcale nie czołga się ku niemu: rozczapierzyła kończyny niczym krab i napierała na ziemię stopami i dłońmi. Ręce jej drżały, a ciało wciąż krwawiło, twarz jednak odzyskiwała kolor. „Ona czerpie moc z ziemi!” - pomyślał kruk z obezwładniającym poczuciem ulgi, wiedząc, że to pozwoli jej uciec z kręgu i oddalić się w bezpieczne miejsce.

- *Zapomniałem już, jak słodka jest krew nieśmiertelnych.* - Byk zionął na niego zgniłym oddechem. - *W wampirskiej krwi odnalazłem jedynie namiastkę tego. Będę z ciebie pił i pił synu Kalony. Pożyczyłeś dziś moc od ciemności, więc masz do spłacenia coś więcej niż tylko dług dziewczyny.*

Rephaim nie zamierzał patrzeć mu w oczy. Jego ciało uwięzione przez tnące macki zostało odwrócone tak, że przywierało policzkiem do ziemi. Wciąż nie odrywał wzroku od Stevie Rae, gdy byk stanął nad nim i zaczął spijać krew z rany u nasady krwawiących skrzydeł.

Kruka zalała fala bólu, jakiego nigdy dotąd nie zaznał. Nie chciał krzyczeć. Nie chciał się wic w męczarniach. Nic jednak nie mógł na to poradzić.

Tylko oczy Stevie Rae pozwalały mu zachować resztki przytomności. A ciemność poła się nim, wciąż na nowo zadając ten straszny gwałt.

Gdy Stevie Rae wstała i uniosła ramiona, kruk był przekonany, że majaczy: wydała mu się tak silna, tak potężna i tak bardzo, bardzo rozgniewana. Trzymała coś w ręku. Wyglądało jak długi dymiący warkocz.

- Kiedyś już to zrobiłam, więc znów zrobię.

Jej głos dotarł do niego jakby z bardzo daleka, brzmiał jednak silnie. Rephaim zachodził w głowę, dlaczego byk jej nie słyszy i nie powstrzymuje, ale odpowiedzi udzieliły mu jęki rozkoszy bestii i przeszywający plecy ból. Byk nie uważał dziewczyny za zagrożenie, a przede wszystkim był całkowicie skoncentrowany na picciu upojnej nieśmiertelnej krwi. „Niech dalej ze mnie pije i pozwoi jej uciec” - modlił się w duchu kruk do każdego bóstwa, które było gotowe się zniżyć i wysłuchać go.

- Mój krąg nie został przerwany - powiedziała szybko i wyraźnie Stevie Rae. - Rephaim i ten obrzydliwy byk przybyli tu na moje wezwanie. Teraz więc na moc ziemi przyzywam drugiego byka. Tego, który walczy z tym tutaj. Zapłacę, ile będzie trzeba, byle tylko odsunąć tę bestię od mojego Kruka Prześmiewcy!

Rephaim poczuł, jak byk przerywa ucztę. W tym samym momencie z dymnej czerni kłębiącej się przed Stevie Rae wystrzelił promień światła. Dziewczyna zrobiła wielkie oczy i ku zdumieniu Rephaima uśmiechnęła się, a nawet zaśmiała.

- Tak! - powiedziała radośnie. - Zapłacę twoją cenę. Rany, jakiś ty czarny. I jaki piękny!

Pochylony wciąż nad krukami biały byk ryknął krótko. Z otaczającej Rephaima ciemności zaczęły się wyslizgiwać macki. Podążały w stronę Stevie. Kruk otworzył dziób, by ją ostrzec, ale dziewczyna weszła prosto w jasny promień. Rozległ się dźwięk przypominający grzmot, po nim zaś nastąpiła kolejna eksplozja światła, z której wyłonił się olbrzymi atramentowoczarny byk. Jego czerń nie przypominała jednak tej, która tkwiła w uciekających przed nim w popłochu mackach. Była jak nocne niebo wypełnione diamentowym blaskiem gwiazd, głębokie, tajemnicze i cudowne.

Przez moment zwierzę patrzyło w oczy Rephaimowi, który jęknął z rozkoszy, po raz pierwszy w swoim długim życiu doświadczając takiej życzliwości. Nie sądził nawet, że takie uczucie może na świecie istnieć.

- *Nie pozwól jej dokonać złego wyboru* - przemówił wprost do jego głowy nowy głos, równie głęboki jak głos białego byka, lecz przepełniony współczuciem. - *Niezależnie bowiem od tego, czy jesteś tego wart, ona zapłaciła cenę.*

Czarny byk opuścił łeb i natarł na białego, zrzucając go z ciała kruka. Gdy się zderzyły, rozległ się ogłuszający huk, a potem zaległa cisza tak głęboka, że zdawała się równie ogłuszająca.



Macki ulotniły się jak rosa w letnim słońcu. Kiedy zniknął dym, Rephaim zobaczył, że Stevie klęczy i wyciąga do niego ręce. W tym momencie do kręgu wbiegł chłopak z uniesionym do ciosu nożem.

- Cofnij się, Stevie! Zabiję gnoja!

Stevie dotknęła ziemi.

- Ziemi, przewróć go - wymamrotała. - Mocno.

Rephaim zerknął jej przez ramię i zobaczył, jak ziemia przed chłopakiem unosi się nagle i chudzielec opada ciężko na twarz.

- Możesz latać? - szepnęła dziewczyna.

- Chyba tak - odparł kruk.

- W takim razie wracaj do muzeum - powiedziała. - Odwiedzę cię wkrótce.

Zawahał się. Po tym, co przed chwilą oboje przeszli, nie miał ochoty jej opuszczać. Czy naprawdę już doszła do siebie po zadanych przez ciemność ranach?

- Nic mi nie jest. Przysięgam - powiedziała cicho, jakby czytała mu w myślach. - Leć.

Rephaim wstał, spojrzał na nią raz jeszcze, a potem rozpostarł skrzydła i zmusił poranione ciało, by wyniosło go w niebo.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### *Stevie Rae*

Dallas pół niósł, pół ciągnął Stevie Rae do budynku szkoły, klóćąc się z nią, że musi najpierw iść do szpitala zamiast od razu do sypialni, gdy zauważyły ich Kramisha i Lenobia idące w kierunku świątyni Nyks.

- Na słodkiego Jezusa, co się z tobą porobiło? - wykrzyknęła Kramisha, stając jak wryta.

- Dallas, zaprowadź ją do szpitala - powiedziała Lenobia, która w odróżnieniu od adeptki nie zamarła na widok zakrwawionej dziewczyny. Przeciwnie, podbiegła do niej i pomogła Dallasowi ją podtrzymać, kierując jednocześnie w stronę szpitala.

- Słuchajcie, po prostu zaprowadźcie mnie do pokoju. Potrzebuję telefonu, a nie lekarza. A swojej komórki nie mogę znaleźć.

- Nie możesz jej znaleźć, bo to ptaszysko zdarło z ciebie prawie wszystkie ciuchy razem ze skórą. Twój telefon leży pewnie roztrzaskany w parku, unurzany w twojej krwi. Idziesz do szpitala, bez gadania.

- Ja mam telefon. Możesz z niego zadzwonić! - zawołała Kramisha, doganiając ich.

- Możesz zadzwonić z telefonu Kramishy, ale Dallas ma rację. Nawet nie jesteś w stanie sama ustać na nogach. Idziesz do szpitala i już - oznajmiła stanowczo Lenobia.

- Świetnie. Nie ma sprawy. Skombinujcie mi krzesło albo coś, żebym wreszcie mogła zadzwonić. Masz numer Afrodyty, nie? - zapytała Kramishę Stevie Rae.

- Mam. Chociaż nie kumpluję się z nią ani nic - zastrzegła dziewczyna.

W drodze do szpitala Lenobia co rusz zerkała badawczo na pokrwawione ciało Stevie.

- Źle wyglądasz. Znowu - powiedziała, po czym najwyraźniej dotarły do niej wcześniejsze słowa Dallasa, bo zrobiła wielkie i przerażone oczy. - Mówiłeś, że ptak ją zaatakował?

- Raczej ptaszyczo - odparł Dallas.

- Nie! - zawołała jednocześnie Stevie, dodając: - Dallas, nie mam czasu ani siły, żeby się teraz z tobą o to kłócić.

- To znaczy, że nie widziałeś, co jej się stało? - zapytała Lenobia.

- Nie. Tam było pełno czarnego dymu. Nie widziałem Stevie i nie mogłem wejść do tego kręgu, żeby jej pomóc. A kiedy dym się rozwiął, ona już wyglądała tak jak teraz, a to ptaszysko się nad nią pochylało.

- Dallas, przestań gadać o mnie tak, jakby mnie tu nie było! Poza tym on się nade mną nie pochylał, tylko leżał na ziemi obok mnie.

Lenobia chciała coś powiedzieć, lecz dotarli właśnie na szpitalne piętro, gdzie przywitała ich z typową dla niej kwaśną miną wysoka jasnowłosa pielęgniarka Szafira, mianowana kierowniczką szpitala pod nieobecność uzdrowicielki. Gdy jednak zobaczyła, w jakim stanie jest Stevie, w jej oczach odbiło się przerażenie.

- Połóżcie ją tutaj! - rozkazała energicznie, wskazując opróżnioną niedawno szpitalną salkę.

Położyli dziewczynę na łóżku, a Szafira zaczęła wyjmować rzeczy z jednej z metalowych szafek - między innymi woreczek z krwią, który rzuciła Lenobii.

- Niech zaraz to wypije.

Lenobia w milczeniu rozerwała brzeg woreczka i podtrzymała drżące ręce Stevie, która uniosła go do ust i chleptała łapczywie.

- Będę potrzebowała więcej - powiedziała, gdy skończyła. - Poza tym, jak już mówiłam, potrzebny mi telefon. I to na gwałt.

- Muszę wiedzieć, co cię tak pocięło, upuszczając ci stanowczo zbyt wiele krwi, którą należy natychmiast uzupełnić, i dlaczego kapiąca z ciebie krew ma taki dziwny zapach - rzekła Szafira.

- Kruk Prześmiewca! - przypomniał sobie Dallas. - Tak się nazywa!

- Kruk Prześmiewca cię zaatakował? - zapytała Lenobia.

- Nie. Cały czas usiłuję przemówić Dallasowi do tego zakutego łba. Ciemność zaatakowała mnie i Kruka Prześmiewcę.

- Już mówiłem, że gadasz bez sensu! Widziałem to ptaszydło. Widziałem krew. Nie powiesz mi, że twoje rany nie wyglądają jak cięcia jego dzioba. Nic więcej nie widziałem! - krzyknął Dallas.

- Nie widziałeś nic więcej, bo ciemność zakamuflowała wszystko, co było wewnątrz kręgu, w tym mnie i kruka, którego zaatakowała, podobnie jak i mnie!  
- wrzasnęła sfrustrowana Stevie.

- Dlaczego mam wrażenie, że wciąż bronisz tego stwora? - zapytał chłopak, wyrzucając w górę ręce.

- Wiesz co, Dallas? Możesz mnie pocałować w dupę! Nie bronię nikogo oprócz siebie. Jakoś nie zauważyłam, żebyś zdołał się dostać do kręgu i pomóc mi. Musiałam sama o siebie zadbać!

Zaległa przeciągła cisza, podczas której Dallas wpatrywał się w Stevie wyraźnie rozzalonym wzrokiem. Potem odezwała się Szafira.

- Musisz stąd wyjść - zwróciła się do Dallasa ostrym, denerwującym pielęgniarskim tonem. - Nie możesz patrzeć, jak będę jej rozcinać resztki ubrania.

- Ale ja...

- Przeprowadziłeś najwyższą kapłankę do domu. Dobrze się spisałeś - powiedziała Lenobia, dotykając łagodnie jego ramienia. - Teraz pozwól nam się nią zająć.

- Słuchaj, Dallas, może skoczysz coś zjeść? Mnie już nic nie jest - wtrąciła Stevie, czując wyrzuty sumienia z powodu wylania na niego frustracji wywołanej strachem i poczuciem winy.

- Dobra, spoko. Już sobie idę.

- Lenobia ma rację! - zawołała za nim Stevie, gdy przygarbiony opuszczał salkę. - Świetnie się spisalesz, przyprowadzając mnie do domu!

Nim zamknął drzwi, obejrzał się przez ramię. Chyba jeszcze nigdy nie widziała w jego oczach takiego smutku.

- Dla ciebie wszystko, mała.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, do akcji wkroczyła Lenobia.

- Wyjaśnij, o co chodzi z tym krukiem.

- Właśnie - dodała Kramisha. - Myślałam, że wszystkie się wyniosły.

- Wy dwie możecie zostać. Margareta pojechała do szpitala Świętego Jana uzupełnić zapasy, więc przydadzą mi się dodatkowe ręce do pracy. Możecie sobie gadać, ale jednocześnie musicie mi pomagać - oznajmiła Szafira, podając Lenobii kolejny woreczek krwi. - Otwórz go. A ty, Kramisho, idź tam, umyj ręce, a potem zacznij mi podawać te waciki nasączone spirytusem.

Dziewczyna spojrzała na nią spod uniesionych brwi, lecz posłusznie podeszła do umywalki. Lenobia rozerwała brzeg woreczka i podała go Stevie Rae, która tym razem piła wolno, by zyskać na czasie.

Z okropnym i stanowczo zbyt rozdzierającym jak na to miejsce dźwiękiem Szafira rozcięła pozostałości dzinsów dziewczyny i koszulki z napisem „Kocham Oklahomę”.

Stevie czuła na swoim niemal nagim ciele wzrok wszystkich obecnych. Wierciła się nerwowo, klnąc w duchu, że nie włożyła tego dnia ładniejszego stanika.

- Cholerka - powiedziała w końcu - uwielbiałam te kowbojskie dzinsy. Będę musiała jechać po nowe do Drysdales na rogu Trzydziestej Pierwszej i Memoriał, a tam ciągle są potworne korki.

- Może powinnaś rozszerzyć swoje horyzonty odzieżowe - zauważyła Kramisha. - Little Black Dress na Cherry Street jest bliżej i naprawdę ma różne fajne dzinsy nie pochodzące z poprzedniego wieku.

Natychmiast przewierciły ją trzy pary oczu.

- No co? - Wzruszyła ramionami. - Wszyscy wiedzą, że Stevie nadaje się do kapitalnego remontu.

- Dzięki, Kramisho. Od razu się lepiej poczułam po tym, jak przed chwilą o mało nie wyjechałam nogami do przodu. - Stevie Rae przewróciła oczami, powstrzymując uśmiech. Wbrew temu, co usiłowała zasugerować, słowa Kramishy istotnie poprawiły jej humor, bo dzięki nim znów poczuła się w miarę normalnie. Jednocześnie uświadomiła sobie, że i fizycznie czuje się lepiej. Rozgrzana i wzmocniona przez wypitą krew, miała wrażenie, że jej własna buzuje w żyłach, nabierając coraz większej mocy. „To krew Rephaima -

uświadomiła sobie - ta jej część, która zmieszała się z moją, teraz poi się ludzką krwią i dodaje mi sił”.

- Stevie Rae, wyglądasz na przytomną i świadomą - zauważyła Lenobia.

Stevie ocknęła się z zamyślenia. Mistrzyni jazdy konnej przyglądała jej się badawczo.

- Tak, czuję się już o wiele lepiej. Naprawdę potrzebny mi telefon. Kramisha, pożycz...

- Muszę zdezynfekować te rany i nie mam najmniejszego zamiaru pozwalać ci nigdzie dzwonić, dopóki nie skończę - oświadczyła Szafira z czymś, co Stevie uznała za totalne zadzieranie nosa.

- W takim razie nie zaczynaj, póki nie zadzwonię do Afrodyty - odparła. - Kramisho, pogrzeb wreszcie w tej swojej olbrzymiej torbie i podaj mi ten cholerny telefon.

- Dezynfekcja nie może czekać! - oburzyła się Szafira. - Masz poważne obrażenia. Jesteś pocięta od kostek u nóg aż po talię. Trzeba oczyścić wszystkie rany, a potem na niejedną założyć szwy. Musisz wypić więcej krwi. Szczerze mówiąc, najlepiej byłoby sprowadzić ludzkiego ochotnika, żebyś mogła się napić bezpośrednio z niego. To by pomogło w procesie zdrowienia.

- Ludzkiego ochotnika? - jęknęła wstrząśnięta Stevie Rae. Co się wyrabia w tej szkole?

- Nie bądź naiwna - odpowiedziała chłodno Szafira.

- Nie mam zamiaru wysysać żadnego nieznajomego! - oznajmiła dziewczyna bardziej gwałtownie, niż zamierzała. Lenobia i Kramisha uniosły brwi. - Znaczący, woreczki w zupełności mi wystarczą. Jakoś sobie nie wyobrażam wysysania kogoś, kogo nie znam, zwłaszcza tak krótko po... no wiecie... - Umilkła, sugerując pośrednio, że chodzi o jej niedawne Skojarzenie z Afrodytą.

Oczywiście w rzeczywistości bynajmniej nie myślała o Afrodycie.

Myślała o jedynej osobie, której krwi teraz pragnęła i potrzebowała: o Rephaimie.

- Twoja krew źle pachnie - zauważyła Lenobia.

Stevie natychmiast otrzeźwiała i spojrzała nauczycielce prosto w oczy.

- Źle? To znaczy jak?

- Ma w sobie coś dziwnego - przyznała Szafira, zabierając się do oczyszczania głębokich nacięć wacikami ze spirytusem podawanymi jej przez Kramishę.

Stevie stęknęła z bólu.

- Jestem czerwoną wampirką - wycodziła przez zęby. - Mam inną krew niż wy.

- Nie - powiedziała Kramisha, marszcząc nos i odwracając wzrok od ran Stevie. - One mają rację. Twoja krew ma dziwny zapach.

Stevie zastanowiła się szybko.

- To dlatego, że on ze mnie pił! - rzuciła.

- Kto? Kruk Prześmiewca? - zapytała Lenobia.

- Nie! - zaprzeczyła dziewczyna. - Już próbowałam tłumaczyć Dallasowi, że nie kruk mnie zaatakował. On też był ofiarą.

- Stevie Rae, co tak naprawdę ci się stało? - zapytała Lenobia.

Stevie wzięła głęboki oddech i rozpoczęła opowieść z grubsza prawdziwą.

- Poszłam do parku, żeby na prośbę Afrodyty wyciągnąć od ziemi jakieś informacje, które pomogłyby uratować Zoey. Chodziło o wampirskie wierzenia oparte na mitologii wojowników, bardzo stare i już niemodne, ale według niej mogące podpowiedzieć Starkowi, jak się dostać w Zaświaty.

- Przecież nie może się tam dostać, nie umierając - stwierdziła Lenobia.

- Wszyscy tak mówią, ale Afrodyta ostatnio odkryła, że ten stary mit może mu pomóc dostać się tam za życia. Tę całą religię, czy jak tam to nazwiecie, reprezentują podobno dwie krowy, znaczy się byki. Biały i czarny. - Na ich wspomnienie Stevie Rae zadrżała. - Afrodyta w swojej głupocie zapomniała mi powiedzieć, że pieprzony biały byk jest zły, a pieprzony czarny byk dobry, więc niechący przywołałam złego.

Cały kolor odpłynął z twarzy Lenobii, tak że zrobiła się niemal przezroczysta.

- O bogini! Przywołałaś ciemność?

- Znasz tę opowieść? - zapytała Stevie.

Lenobia jakby nieświadomie uniosła ręce i dotknęła palcami swego karku.

- Wiem co nieco o ciemności, a jako specjalistka od koni, wiem też co nieco o zwierzętach.

Szafira zaatakowała wacikiem ranę wijącą się wokół talii dziewczyny.

- Hej, to boli! - zawołała Stevie, wzdrygając się i zamykając na chwilę oczy, by dojść do siebie.

Kiedy je otworzyła, Lenobia przyglądała jej się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Stevie nie zdążyła jej jednak o nic zapytać, bo nauczycielka znów się odezwała.

- A co tam robił Kruk Prześmiewca? Mówiłaś, że cię nie atakował, ale z pewnością nie mógł mieć powodów, by atakować ciemność.

- Właśnie - przytaknęła Kramisha, kiwając w zamyśleniu głową. - Są po tej samej stronie.

- Nie znam się na stronach, wiem tylko tyle, że zły byk z całą pewnością zaatakował kruka. - Stevie wzięła głęboki oddech i kontynuowała: - Tak naprawdę uratowałam się właśnie dzięki niemu. Nagle spadł z nieba i odwrócił uwagę złego byka na dość długo, żebym zdążyła zaczerpnąć siłę z ziemi i przywołać dobrego byka. - Na wspomnienie tego zdumiewającego zwierzęcia mimowolnie się uśmiechnęła. - Nigdy niczego takiego nie widziałam. Natarł na białego byka i oba zniknęły. Wtedy Dallas zdołał się dostać do kręgu, a kruk odleciał.

- Chcesz powiedzieć, że zanim kruk przyleciał, biały byk pił twoją krew? - zapytała Lenobia.

Stevie Rae z trudem powstrzymała kolejny dreszcz.

- Tak. Powiedział, że muszę mu zapłacić za odpowiedź na moje pytanie. Pewnie dlatego moja krew tak dziwnie pachnie, bo on cuchnął jak diabli. Ale faktycznie odpowiedział. Właśnie dlatego muszę zadzwonić do Afrodyty.

- Pozwól jej - wtrąciła Kramisha. - Nie potrzebuje szwów. Zobacz, rany już się goją. - Wskazała nacięcia na kostkach.

Stevie Rae spojrzała w dół, choć i tak wiedziała, co zobaczy. Zdążyła to poczuć: krew Rephaima rozprzestrzeniła po całym ciele ciepło i siłę, pomagając poranionej skórze goić się i regenerować.

- To naprawdę niezwykle - zauważyła Szafira.

- Twoje rany po oparzeniach też tak szybko się zaleczyły!

Stevie zmusiła się, by spojrzeć pielęgniarce w oczy.

- Jestem najwyższą kapłanką czerwonych wampirów. Nigdy wcześniej nie było nikogo takiego jak ja, więc pewnie można mnie nazwać królikiem doświadczalnym. Wygląda na to, że czerwone kapłanki szybko wracają do zdrowia. - Przykryła się skrajem prześcieradła i wyciągnęła rękę do Kramishy. - Daj telefon.

Dziewczyna bez słowa podeszła do miejsca, gdzie leżała jej torba, wyjęła komórkę i podała ją Stevie.

- Afrodyta jest pod „B”.

Stevie znalazła numer i wcisnęła zielony guzik. Afrodyta odebrała po trzecim dzwonku.

- Jakbyś mnie pytała, to jest stanowczo za wcześnie na dzwonicie, a twoje zasrane wiersze nic a nic mnie nie obchodzą, Kramisho - oznajmiła.

- To ja.

Jej sarkastyczny ton natychmiast się zmienił.

- Co jest?

- Wiedziałaś, że biały byk jest zły, a czarny dobry?

- Tak. Nie powiedziałam ci? - zdziwiła się.

- Nie. I wyszedł z tego straszny syf, bo przywołałam do swojego kręgu białego byka.

- O w mordę. To faktycznie kiepsko. I co było dalej?

- Kiepsko? Zgłoś to do konkursu na dowcip dekady. Było źle. Cholernie źle. - Stevie miała ochotę kazać Lenobii, Szafirze, a nawet Kramishy opuścić pokój, żeby mogła pogadać z Afrodytą na osobności, ale wiedziała, że muszą usłyszeć to, co ma do powiedzenia. Niestety ignorowanie czegoś nie wystarczało, by to coś przestało być prawdą. - Afrodyto, to jest zło, jakiego jeszcze nigdy nie spotkałam. Neferet wygląda przy nim jak dzieciak przebrany za diabła w Halloween. - Nie zwracając uwagi na gniewne prychnięcie Szafiry, kontynuowała: - I ma niewiarygodną moc. Nie potrafiłam z nim walczyć. Nie sądzę, by ktokolwiek oprócz drugiego byka był w stanie z nim walczyć.

- Więc jak się uwolniłaś? - Afrodyta umilkła na moment, po czym dodała:  
- Bo chyba się uwolniłaś, co? Nie jesteś pod jego wpływem i nie służysz mu do straszenia ludzi swoim wiejskim akcentem?

- Nie bądź głupia.

- W takim razie udowodnij jakoś, że to naprawdę ty.

- Podczas ostatniej rozmowy nazwałaś mnie palantką. Więcej niż raz. Powiedziałaś też, że jestem przymulona, cokolwiek to znaczy. Nadal uważam, że to było nieuprzejme.

- Świetnie. To ty. Jak się uwolniłaś od byka?

- Udało mi się wezwać dobrego, który jest równie cudowny, jak tamten potworny. Walczyły ze sobą i znikły.

- Więc niczego się nie dowiedziałaś?

- Owszem. Dowiedziałam się. - Stevie Rae zmrużyła oczy, koncentrując się z całych sił, by powtórzyć słowo w słowo to, co usłyszała od byka. - Zapytałam, jak Stark może się dostać do Zoey, żeby ją chronić, gdy będzie scalała swoją duszę i wracała na ziemię. A biały byk powiedział: „Wojownik musi znaleźć w swojej krwi most na Wyspę Kobiet, a potem pokonać siebie, by wejść na arenę. Tylko akceptując tę kolejność, zdoła odnaleźć kapłankę. Gdy już to zrobi, powrót będzie zależał od niej, nie od niego”.

- Powiedział: „Wyspa Kobiet”? Jesteś tego pewna?

- Tak. Na sto procent.

- Świetnie. Dobra. Czekaaj, zapiszę to, żeby niczego nie zapomniała.

Stevie słyszała, jak Afrodyta bazgrze na kartce.

- To znaczy, że jesteśmy na dobrej drodze! - oznajmiła po chwili podekscytowana. - Tylko jak, do cholery, Stark ma „znaleźć most w swojej krwi”? I co to, kurde, ma znaczyć, że będzie musiał pokonać siebie?

Stevie westchnęła, czując w skroniach narastający szybko ból.

- Nie mam pojęcia, ale zdobycie tej odpowiedziomal mnie nie zabiło, więc ona musi coś znaczyć.

- W takim razie lepiej niech Stark to wykombinuje. - Afrodyta zawahała się, po czym dodała: - Skoro ten czarny byk jest taki cudowny, może byś go wezwała jeszcze raz i...

- Nie! - odparła Stevie z taką mocą, że wszystkie obecne w pokoju kobiety podskoczyły. - Nigdy więcej. I nie pozwalaj nikomu innemu przywoływać któregokolwiek z nich. Cena jest zbyt wysoka.

- Zbyt wysoka? A konkretnie?

- Są zbyt potężne. Nad żadnym z nich nie da się zapanować. Afrodyto, pewne rzeczy powinno się zostawiać w spokoju i te byki do nich należą. Poza tym bardzo możliwe, że kiedy przywoła się jednego, prędzej czy później drugi też się pojawi, a wierz mi, że nigdy, przenigdy nie miałabym ochoty spotkać białego byka.

- Dobrze już, dobrze. Spoko. Rozumiem cię i przyznaję, że na samą myśl o tych bykach ogarnia mnie okropne przeczucie. Chyba masz rację. Nie



denerwuj się. Nikt nic nie zrobi, będziemy tylko pomagać Starkowi w odnalezieniu tego krwawego mostu na wyspę Skye.

- Afrodyto, myślę, że nie chodzi o żaden krwawy most. To nawet nie brzmi dobrze. - Stevie Rae potarła twarz, ze zdumieniem dostrzegając, że ręka jej drży.

- Na razie dość - zarządziła Lenobia. - Jesteś silna, ale nie nieśmiertelna.

Stevie spojrzała na nią gwałtownie, lecz nie zobaczyła w jej szarych oczach nic oprócz troski.

- Afrodyto, muszę kończyć. Nie czuję się zbyt dobrze.

- Niech cię szlag. Chyba nie jesteś znowu prawie umierająca, co? To strasznie niemiłe uczucie.

- Nie, nie jestem prawie umierająca. Już nie. A ty nie jesteś nawet prawie uprzejma. Zadzwoń później. Pozdrów wszystkich.

- Spoko, wyściskam ich i takie tam. Na razie, wieśniaro.

- Na razie. - Stevie przerwała połączenie, oddała Kramishy telefon i opadła ciężko na poduszkę. - Nie macie nic przeciwko temu, żebym się trochę zdrzemnęła?

- Najpierw to wypij. - Szafira podała jej kolejny woreczek z krwią. - Potem śpij. A wy musicie wyjść i pozwolić jej odpocząć.

Wrzuciła zakrwawione waciki do śmietnika, zdjęła lateksowe rękawiczki, podeszła do drzwi i stała tam, wymownie przytupując i patrząc spode łba na Lenobię i Kramishę.

- Zjrę do ciebie, jak już trochę wypoczniesz - powiedziała Lenobia.

- Brzmi niezłe - odparła z uśmiechem Stevie Rae.

Przed wyjściem nauczycielka ścisnęła ją za rękę. Gdy pochyliła się nad nią Kramisha, Stevie przez krótką niepokojącą chwilę sądziła, że koleżanka zamierza ją przytulić albo i pocałować. Zamiast tego jednak Kramisha spojrzała jej w oczy i szepnęła:

*Patrz duszą, nie oczami  
zajrzyj pod bestii przebranie  
by z nimi tańczyć.*

Stevie przebiegł nagle lodowaty dreszcz.

- Chyba należało cię uważniej słuchać. Może wtedy bym się domyśliła, że wzywam nie tę krowę - odszepnęła.

Kramisha przyglądała jej się baczny mądrym spojrzeniem.

- Może nadal należy. Coś mi mówi, że nie skończyłaś jeszcze tańczyć z bestiami. - Potem się wyprostowała i dodała już zwykłym głosem: - Prześpij się. Jutro będziesz potrzebowała zdrowego rozsądku.

Gdy zamknęły za sobą drzwi, Stevie westchnęła z ulgą grzecznie wypila ostatni woreczek krwi, podciągnęła koc pod brodę i skuliła się na boku, raz jeszcze wzdychając i nawijając sobie na palec jasny loczek. Była kompletnie

wykończona. Najwyraźniej cała moc krwi Rephaima, która posłużyła do zagojenia jej ran, już się wyczerpała.

Rephaim...

Wiedziała, że nigdy, przenigdy nie zapomni, jak wyglądał, gdy stawiał czoło białemu bykowi, by ją ratować. Był taki silny, dzielny i dobry. Nieważne, że Dallas, Lenobia i cały ten cholerny świat wierzą, iż kruk trzyma z ciemnością. Nieważne, że jego ojciec jest upadłym wojownikiem Nyks, który przed wiekami wybrał zło. Ona zobaczyła prawdę. Rephaim z własnej woli poświęcił się dla niej. Być może nie wybrał światłości, ale z całą pewnością odrzucił ciemność.

Miała rację, ratując go wtedy w opactwie. A także dziś gdy przywołała białego byka i uratowała kruka - niezależnie od tego, jaką cenę sama musiała za to zapłacić.

Rephaim był tego wart.

Naprawdę?

Musi być wart. Po wszystkim, co się dziś wydarzyło, po prostu musi.

Przestała nawijać włosy na palec, a powieki zaczęły jej opadać, choć nie chciała już myśleć, nie chciała śnić; nie chciała pamiętać tej potwornej ciemności i straszliwego, niewyobrażalnego bólu.

Oczy jej się jednak zamknęły, a wspomnienie ciemności i tego, czego od niej zaznała, powróciło. Walcząc z nieubłaganym znużeniem pośrodku przerażającego kręgu, Stevie Rae znów usłyszała jego głos: „Przybyłem tu, bo ona tu jest, a ona należy do mnie”. To proste stwierdzenie odparło atak strachu, każąc wspomnieniu ciemności ustąpić miejsca oswobodzeniu przez światłość.

Nim zapadła w głęboki sen bez koszmarów, pomyślała o pięknym czarnym byku i o zapłacie, którą na niej wymógł, i po raz kolejny usłyszała słowa Rephaima: „Przybyłem tu, bo ona tu jest, a ona należy do mnie”.

Jej ostatnią świadomą myślą było pytanie, czy Rephaim kiedykolwiek się dowie, jak ironicznie prawdziwe dla nich obojga stały się nagle jego słowa...

# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

## *Stark*

Gdy się obudził, przez króciutką chwilę nic nie pamiętał. Wiedział jedynie, że Zoey leży w łóżku obok niego. Uśmiechnął się sennie i wyciągnął rękę, by ją przygarnąć.

Chłodny dotyk jej bezwładnego ciała natychmiast przebudził go do reszty, a rzeczywistość uderzyła z całą mocą, wypalając resztki snu.

- W końcu. Wiesz, wy, czerwone wampiry, może w nocy jesteście silne i tak dalej, ale w dzień, gdy śpicie, wyglądacie jak trupy. Mam na to tylko jedno słowo: banał.

Stark usiadł i wykrzywił się do Afrodyty, która siedziała na fotelu z kremowego aksamitu, wdzięcznie założywszy nogę na nogę, i popijała gorącą herbatę.

- Afrodyto, co ty tu robisz?

Zamiast mu odpowiedzieć, przeniosła wzrok na Zoey.

- Ani trochę się nie poruszyła, odkąd to się stało?

Stark wstał i łagodnie owinął Zo kocem, po czym dotknął opuszkami palców jej policzka i ucałował jedyny tatuaż pozostały na jej ciele: zwykły półksiężyc pośrodku czoła, jaki noszą wszyscy adepci. „Nie będę miał żalu, jeśli powrócisz jako zwyczajna adeptka - pomyślał, muskając go wargami - tylko wróć”. Potem się wyprostował i spojrzał na Afrodytę.

- Nie. Nie mogła się poruszyć, bo jej tu nie ma. A my mamy siedem dni na wymyślenie, jak sprowadzić ją z powrotem.

- Sześć - poprawiła go.

Z trudem przełknął ślinę.

- Racja. Już sześć.

- Chodźmy. Nie ma czasu do stracenia. - Dziewczyna wstała i ruszyła ku drzwiom.

- Dokąd? - Szedł za nią, co rusz się odwracając i zerkając na Zoey.

- Hej, przestań! Sam powiedziałeś, że jej tu nie ma, więc przestań się w nią wgapiać jak zagubiony szczeniaczek.

- Kocham ją! Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy, do cholery?

Stała jak wryta i zwróciła się twarzą do niego.

- Miłość ma tu gówna do rzeczy. Jesteś jej wojownikiem. A to oznacza coś więcej niż „Zabujałem się w Zo” - zadrwiła, kreśląc w powietrzu znak cudzysłowu. - Ja też mam wojownika, więc wiem, co to znaczy, i powiem ci jedno: gdybym to ja utknęła w Zaświatach z roztrzaskaną duszą, nie chciałabym, żeby Dariusz nad tym ubolewał i jęczał z rozpacz. Chciałabym, żeby się zabrał do roboty i wykombinował, jak zrobić co trzeba, czyli pozostać przy życiu i chronić mnie, dopóki nie znajdę sposobu na powrót do domu! To jak, idziesz

czy nie? - Zarzuciła grzywą, odwróciła się do niego plecami i podreptała w stronę holu.

Stark zamknął usta i ruszył za nią. Przez chwilę szli w milczeniu. Dziewczyna poprowadziła go schodami w dół, potem labiryntem zwązających się korytarzy i wreszcie znowu w dół.

- Dokąd idziemy? - ponowił pytanie.

- Do czegoś, co przypomina loch, śmierdzi pleśnią zmieszaną z osobliwym zapachem ciał, wystrojem mogłoby konkurować z więzieniem albo szpitalem psychiatrycznym i stanowi raj dla Damiena.

- Wracamy do ludzkiego liceum?

- Blisko - mruknęła, unosząc kąciki ust w namiastce uśmiechu. - Idziemy do strasznie starej biblioteki ze studiującym zapalczywie baranem stadkiem w środku.

Stark wydał z siebie przeciągłe westchnienie mające zastąpić śmiech. Czasem prawie lubił Afrodytę, choć nie miał najmniejszego zamiaru przyznawać się do tego.

Miała rację. Piwnica pałacu rzeczywiście przywodziła na myśl odrapaną bibliotekę szkoły publicznej - tyle że bez otwierających się na zewnątrz okien i tanich sfatygowanych żaluzji - co było cholernie dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że reszta wyspy San Clemente wprost ociekała przepychem. Tu na dole Stark zastał jedynie parę wysłużonych drewnianych stołów i twardych ławek, nagie białe ściany i mnóstwo regałów z niezliczonymi książkami w najróżniejszych rozmiarach, kształtach i stylach.

Przyjaciele Zoey siedzieli zbici w ciasną gromadkę wokół jednego ze stołów zawalonego tomami, puszkami po napojach, pomiętymi torebkami po czipsach i jednym gigantycznym stożkiem pełnym czerwonych pianek lukrecjowych. Stark pomyślał, że wszyscy wyglądają na zmęczonych, ale niesamowicie naenergetyzowanych cukrem i kofeiną. Gdy on i Afrodyta podeszli do stołu, Jack pokazywał właśnie jakąś ilustrację w dużej oprawnej w skórę księdze.

- Patrzcie! To kopia portretu greckiej kapłanki Kaliope. Piszą, że była Mistrzynią Poezji zaraz po Safonie. Prawda, że wygląda zupełnie jak Cher?

- Hej, to niesamowite! Naprawdę wykapana młoda Cher! - przyznała Erin.

- Fakt. Zanim jeszcze zaczęła nosić te białe peruki. Co jej odbiło? - zastanawiała się Shaunee.

Damien zmierzył Bliźniaczki wymownym spojrzeniem.

- Odczepcie się od Cher - wycedził.

- U-u... - mruknęła Shaunee.

- Zraniłaś jego gejowską dumę - dodała Erin.

- Miałem lalkę Barbie stylizowaną na Cher - wtrącił Jack. - Uwielbiałem

ją.

- Czyja dobrze słyszę, baranki? - odezwała się Afrodyta, kręcąc głową z niesmakiem i wydymając usta na widok pianek lukrecjowych. - Ucinacie sobie pogawędkę o Barbie, zamiast ratować Zo?

- Cały dzień tu ślęczymy, więc chyba mamy prawo do krótkiej przerwy? Tanatos i Darius poszli po dalsze zaopatrzenie - wyjaśnił Damien. - Zrobiliśmy pewien postęp, ale zaczekajmy ze sprawozdaniem do ich powrotu. - Pomachał Starkowi, mówiąc „Cześć”, a reszta adeptów mu zawtórowała.

- Właśnie, Afrodyto. Nie bądź taka surowa. Zaraz się przekonasz, że ciężko pracowaliśmy.

- Gadając o lalkach - zauważyła dziewczyna.

- O lalkach Barbie - uściślił z naciskiem Jack. - I tylko przez moment. Poza tym Barbie są fajne i stanowią ważny element amerykańskiej kultury. - Pokiwał energicznie głową, przyciskając do piersi portret „Cher”. - Zwłaszcza Barbie z twarzami sławnych osób.

- Barbie z twarzami sławnych osób byłyby ważne tylko wówczas, gdyby można wraz z nimi kupić ciekawe *accoutre-ments* - stwierdziła Afrodyta.

- Akutre-co? - zdziwiła się Shaunee.

- Gadasz, jakbyś połknęła żabojada i próbowała go wypluć - dodała Erin, po czym obie Bliźniaczki zachichotały.

- Lewa i prawa półkulo, informuję was uprzejmie, że „ciekawe *accoutrements*” to znaczy różne fajne, oryginalne akcesoria.

- Dziewczyno, jeśli nie masz pojęcia o Barbie, to znaczy, że twoja matka potwornie cię nienawidziła - stwierdziła Erin.

- Co zresztą całkowicie rozumiemy - dodała Shaunee.

- Kto ma jakiegokolwiek pojęcie o Barbie, wie też, że można dokupić do nich różne rzeczy - dokończyła Erin.

- Fajne rzeczy - dodał Jack.

- Może fajne, ale nie dla mnie - skwitowała Afrodyta z uśmiechem wyższości.

- A co jest fajne dla ciebie? - zapytał Jack, wywołując zboląte jęki Bliźniaczek.

- Skoro już pytasz... Powinni zrobić Barbie z twarzą Barbry Streisand, ale paznokcie i nos kupowałyby się osobno, przy czym paznokcie byłyby w najróżniejszych kolorach do wyboru.

Zaległa długa cisza.

- To by było super! - szepnął w końcu wniebowzięty Jack.

Afrodyta wyglądała na zadowoloną z siebie.

- A co byś powiedział na łysą Britney Spears z dodatkami w rodzaju parasolki, kostiumu pogrubiającego, dziwacznych peruk i oczywiście opcjonalnych gaci?

- Ja cię! - Jack zachichotał. - I jeszcze Paris Hilton z opcjonalnym mózgiem!

Afrodyta uniosła brwi.

- Nie przesadzaj. Pewnych rzeczy nawet Paris nie jest w stanie kupić.

Stark stał przy nich oszołomiony, a kiedy wszyscy wybuchnęli śmiechem, miał wrażenie, że mózg za chwilę mu eksploduje.

- Odbija wam czy co?! - ryknął. - Jak możecie żartować w takiej chwili? Skupiacie się na zabawkach, a Zoey może lada dzień umrzeć!

Wszyscy umilkli spłoszeni.

- Nie, wojowniku - rozległ się głos Tanatos nienaturalnie donośny w tej ciszy. - Oni się nie skupiają na zabawkach. Skupiają się na życiu i przebywaniu wśród żywych. - Od dłuższego czasu stała razem z Dariusem w drzwiach, obserwując pozostałych. Teraz weszła do sali. Za nią ruszył Darius, który położył na stole tacę z kanapkami i owocami, po czym usiadł na drewnianej ławie obok Afrodyty. - I uwierz osobie, która wie o śmierci więcej niż trochę: właśnie to należy robić, jeśli chce się dalej istnieć w tym świecie.

Damien odchrząknął, przyciągając wściekle spojrzenie Starka. Niespeszony adept spokojnie spojrzał wojownikowi w oczy.

- Tak - powiedział - to jedna z rzeczy, których się nauczyliśmy podczas dzisiejszych zajęć.

- Kiedy ty spałeś - mruknęła pod nosem Shaunee.

- A my nie - dodała Erin.

- Dowiedzieliśmy się ponadto - kontynuował Damien, nim Stark zdążył cokolwiek odpowiedzieć Bliźniaczkom - że ilekroć najwyższa kapłanka doznawała szoku, który roztrzaskał jej duszę, służącemu jej wojownikowi nie udawało się pozostać przy życiu.

Stark wpatrywał się w niego pytająco, natychmiast zapomniawszy o lalkach Barbie i złośliwościach Bliźniaczek.

- Jak to? - zapytał, usiłując coś z tego zrozumieć. - Chcesz powiedzieć, że wszyscy tak po prostu padli trupem?

- W pewnym sensie - odparł Damien.

- Niektórzy się zabili, żeby podążyć za swoimi kapłankami w Zaświaty i tam dalej je chronić - podjęła wyjaśnienia Tanatos.

- Ale im się nie udało, bo żaden nie wrócił, prawda? - zapytał Stark.

- Istotnie. Osoby, które dzięki darowi komunikacji z duchem potrafiły przeniknąć w Zaświaty, donoszą, że tamte najwyższe kapłanki nie zniosły śmierci swoich wojowników. Te, które zdołały scalić swoje dusze w Zaświatach, postanowiły pozostać tam z wojownikami.

- Te, które scaliły dusze... - powtórzył powoli Stark. - A co się stało z tymi, które nie zdołały tego dokonać?

Przyjaciele Zoey zaczęli się niespokojnie wiercić, lecz Tanatos odpowiedziała bez wahania:

- Jak dowiedziałeś się wczoraj, dusza, która pozostaje rozbita, staje się Caoinic Shi', istotą, która nigdy nie zazna spokoju.

- To coś jak zombie, tylko nie pożera ludzi - powiedział cicho Jack i zadrżał.

- Zoey nie może tak skończyć - rzekł Stark. Przysięgał ją chronić, więc jeśli będzie musiał, pójdzie za nią w Zaświaty, by nie dopuścić do przemiany swojej kapłanki w jakiegoś upiora.

- Chociaż ostateczny wynik był taki sam, to jednak nie wszyscy wojownicy się zabili, by dołączyć do swych kapłanek - dodał Damien.

- Opowiedz mi o pozostałych - zażądał Stark. Nie byłby w stanie usiedzieć w miejscu, więc przechadzał się w tę i z powrotem wzdłuż stołu.

- Cóż, skoro było jasne, że żaden z wojowników i żadna z kapłanek nie wrócili, gdy wojownik się zabił, zajęliśmy się doniesieniami o tych, którzy robili różne inne rzeczy, by się dostać w Zaświaty - rzekł Damien.

- Niektórzy byli stuknięci. Jeden na przykład tak długo się głodził, aż zaczął majaczyć, a potem w pewnym sensie oddzielił się od swego ciała - powiedział Jack.

- Znaczący umarł - wyjaśniła Shaunee.

- Właśnie. To było obrzydliwe. Zanim ostatecznie wykitował, wykrzykiwał różne rzeczy o swojej kapłance i o tym, co się z nią dzieje - dodała Erin.

- Ani. Trochę. Mu. Nie. Pomagacie - wycedziła Afrodyta.

- Niektórzy zażywali narkotyki, żeby wpaść w trans, i rzeczywiście ich duchom udało się opuścić ten świat - kontynuował Damien, gdy Bliźniaczki przewracały oczami w kierunku Afrodyty. - Nie mogli jednak przekroczyć granicy Zaświatów. Wiemy o tym, bo wrócili do swoich ciał na dość długo, by opowiedzieć świadkom o swoim niepowodzeniu. - Umilkł i spojrzał na Tanatos.

- Potem umarli - kontynuowała kobieta. - Wszyscy.

- Zabiło ich to, że nie zdołali ochronić swoich kapłanek - stwierdził całkowicie beznamiętnym tonem Stark.

- Nie - poprawił go Darius. - Zabiło ich to, że odwrócili się od życia. Stark spojrzał na niego gwałtownie.

- A ty byś tak nie zrobił? Gdyby Afrodyta umarła, bo nie potrafiłeś jej ocalić, czy nie wolałbyś umrzeć, niż żyć bez niej?

Dziewczyna nie dała swemu wojownikowi szansy na odpowiedź.

- Gdyby to zrobił, byłabym na niego cholernie wściekła! Próbowałam ci to wytłumaczyć na górze. Nie wolno ci się oglądać za siebie. Ani na Zoey, ani na przeszłość, ani nawet na swoje ślubowanie. Musisz iść naprzód i znaleźć nowy sposób na życie, na ochronę Zoey.

- Lepiej powiedzcie mi coś, co może w tym pomóc, zamiast opowiadać o klęskach poprzednich wojowników. Czy znaleźliście coś takiego w tych przeklętych księgach?

- Ja powiem ci coś, czego nie wyczytałam w księdze. Ostatniej nocy Stevie Rae niechcący przywołała białego byka.

- Ciemność!... Adeptka przywołała na ten świat ciemność? - Tanatos wyglądała, jakby Afrodyta odpaliła właśnie bombę pośrodku sali.

- Nie adeptka. Stevie Rae jest czerwonym wampirem, jak Stark. Owszem, przywołała. W Tulsie. Przypadkiem. - Nie zwracając uwagi na wstrząśnięte spojrzenie Tanatos, Afrodyta wyjęła z kieszeni skrawek papieru i przeczytała: - „Wojownik musi znaleźć w swojej krwi most na Wyspę Kobiet, a potem pokonać siebie, by wejść na arenę. Tylko akceptując tę kolejność, zdoła odnaleźć kapłankę. Gdy już to zrobi, powrót będzie zależał od niej, nie od niego”. - Podniosła głowę. - Ktoś ma jakiś pomysł, co to może znaczyć? - Machała ręką na wszystkie strony, aż w końcu Damien wyjął jej kartkę i z zagładającym mu przez ramię Jackiem przeczytał ponownie.

- Jakiej ceny zażądała za tę wiedzę ciemność? - zapytała blada jak ściana Tanatos. - I jakim sposobem kapłanka przeżyła tę zapłatę, nie tracąc zmysłów ani duszy?

- Sama się nad tym zastanawiałam. Mówiła, że biały byk był potworny. Powiedziała, że jej zdaniem nie może go pokonać nikt z wyjątkiem czarnego byka, dzięki któremu uszła z życiem.

- Przywołała też czarnego? - zapytała Tanatos. - To nie do wiary!

- Stevie Rae ma niesamowitą więź z ziemią - wyjaśnił Jack.

- Właśnie. To dzięki niej sprowadziła do Tulsy dobrego byka. Zaczepnęła od ziemi siłę, by go przywołać - dodała Afrodyta.

- Ufasz tej wampirce?

Zawahała się.

- Na ogół tak.

Stark się spodziewał, że pozostali podskoczą jak oparzeni i zapytają, co to znaczy „na ogół”, lecz oni milczeli.

- Dlaczego pytasz? - odezwał się w końcu Damien.

- Bo wiem różne rzeczy na temat dawnych wierzeń w byki reprezentujące światłość i ciemność, między innymi to, że zawsze żądają zapłaty za swoje przysługi. Zawsze. Odpowiedź na pytanie Stevie Rae była przysługą od ciemności.

- Ale Stevie wezwała dobrego byka, żeby skopał tamtemu tyłek, więc wymigała się od zapłaty - zauważył Jack.

- W takim razie zaciągnęła dług wobec czarnego byka. - stwierdziła kobieta.

Afrodyta zmrużyła oczy.

- A więc to miała na myśli, gdy mówiła, że już nigdy nie przywoła żadnego z nich, bo cena jest zbyt wysoka.

- Myślę, że powinnaś ją przycisnąć i dowiedzieć się, w jaki sposób musiała się odplacić czarnemu bykowi - rzekła Tanatos.

- I dlaczego nie chciała mi o tym powiedzieć - dodała Afrodyta.

Oczy Tanatos wyglądały teraz staro i smutno.

- Pamiętajcie, że każda rzecz, zarówno dobra, jak i zła, ma swoje konsekwencje.



- Czy możemy wreszcie przestać rozpamiętywać to, co się przydarzyło Stevie Rae? - zniecierpliwiał się Stark. - Muszę iść naprzód! Pojechać na Skye i znaleźć ten krwawy most. Do roboty więc!

- Chwilunia, ważniaku! - powstrzymała go Afrodyta. - Opanuj się. Nie możesz tak po prostu zjawić się na Wyspie Kobiet i zacząć gadać o jakimś krwawym moście. Czar ochronny Sgiach tak cię popieści, że nie wyjdiesz z tego żywy.

- Nie sądzę, żeby Stark miał szukać jakiegoś mostu w sensie dosłownym - wtrącił Damien, po raz kolejny czytając zanotowane przez Afrodytę słowa. - Tu jest napisane: „znaleźć w swojej krwi most”, a nie: „znaleźć krwawy most”.

- Metafora. Ble. To kolejny powód, dla którego nienawidzę poezji - mruknęła Afrodyta.

- Ja jestem dobry w metaforach! - zgłosił się Jack. - Mogę zobaczyć? - Damien podał mu kartkę, a Jack przeczytał zdanie o moście, przygryzając wargę. - Hmm... Gdybyś był z kimś skojarzony, powiedziałbym, że chodzi o to, żebyś porozmawiał z tą osobą i spróbował się od niej czegoś dowiedzieć.

- Ale nie jestem z nikim skojarzony - odparł Stark i znów zaczął się nerwowo przechadzać.

- W takim razie może to znaczyć, że musimy się przyjrzeć tobie jako takiemu i znaleźć w tobie klucz do przedostania się na wyspę Sgiach - rzekł Damien.

- Problem w tym, że nic takiego nie znajduję!

- W porządku. Może przejrzymy wszystko, co wynotowaliśmy na temat Sgiach, i poszukamy czegoś, co mogłoby do ciebie pasować - wtrącił Jack, uspokajając Starka gestem.

- Właśnie - dodała Shaunee. - Spokojnie!

- Usiądź i poczęstuj się. - Erin wskazała skraj ich ławki przeżuwaną właśnie kanapką.

- Jedz - zawtórowała jej Tanatos, także biorąc kanapkę i sadowiąc się obok Jacka. - Skup się na życiu.

Stark stłumił jęk frustracji, sięgnął po kanapkę i usiadł.

- Wyjmij ten wykres, który zrobiliśmy. - Jack zaglądał przez ramię przerzucającemu notatki Damienowi. - To wszystko staje się coraz bardziej skomplikowane, a pomoce wizualne ułatwiają pracę.

- Dobry pomysł. Proszę. - Damien wyrwał kartkę z żółtego zeszytu niemal w całości wypełnionego notatkami. U góry widniał rysunek dużego otwartego parasola. Po jednej stronie rączki napisano „światłość”, a po drugiej „ciemność”.

- Ten parasol światła i ciemności to dobra metafora - przyznała Tanatos. - Pokazuje, jak wielki zasięg mają obie te siły.

- To był mój pomysł - powiedział Jack, rumieniąc się lekko.

Damien uśmiechnął się do niego.

- Dobra robota. - Potem wskazał kolumnę słów umieszczonych pod światłością. - Tu zapisałem dobro, czarnego byka, Nyks, Zoey i nas. - Urwał, a

wszyscy pokiwali głowami. - A pod ciemnością mam zło, białego byka, Neferet/Tsi Sgili, Kalonę i Kruki Prześmiewców.

- Widzę, że Sgiach umieściłeś pośrodku - zauważyła Tanatos.

- Tak. Razem z krążkami cebulowymi, ciastkami czekoladowymi i moim imieniem! - stwierdziła Afrodyta. - Co to ma znaczyć, do cholery?

- Myślę, że jeszcze nie wiemy, czy Sgiach służy światłu czy ciemności - odparł Damien.

- Ja dodałem krążki cebulowe i ciastka - dorzucił Jack, a kiedy wszyscy wbili w niego wzrok, wzruszył ramionami. - Krążki są smażone w głębokim tłuszczu i tuczące, ale cebula to warzywo. Więc są dobre czy nie? A ciastka czekoladowe to czekolada, tylko że ze śmietanką w środku. No więc są produktem mlecznym czy nie?

- Chyba ci padło na mózg - stwierdziła Afrodyta.

- A my dopisałyśmy twoje imię - oznajmiła Erin.

- Tak. Naszym zdaniem jesteś jak Rachela z serialu *Glee* - dodała Shaune. - Strasznie wkurzająca, a jednocześnie potrzebna, bo raz po raz wpada na świetny pomysł.

- Nadal jednak uważamy ją za wiedźmę z piekła rodem, tak jak ciebie - dokończyła ze słodkim uśmiechem Erin.

- Tak czy owak - Damien szybko wymazał krążki cebulowe, ciastka i Afrodytę, po czym położył wykres pośrodku stołu i wrócił do przeglądania zeszytu - pozwólcie, że podsumuję to, czego dowiedzieliśmy się o Sgiach. Jest uważana za królową wojowników. Wielu Synów Ereba szkoliło się na jej wyspie, ale pozostali tam tylko zaprzysiężeni wojownicy...

- Chcesz powiedzieć, że Sgiach ma więcej niż jednego zaprzysiężonego wojownika? - przerwał mu Stark.

Damien skinął głową.

- Podobno cały klan. Tyle że jej świta nie używała nazwy „Synowie Ereba”, lecz... - urwał, przerzucając kartki - „...Strażnicy Asa”.

- Jakiego Asa? - zapytał Stark.

- To kolejna metafora - odparła Afrodyta, przewracając oczami. - Tak nazywali Sgiach. To symbol królowej ich klanu.

- Uważam, że szkockie klany są super - wtrącił Jack.

- Pewnie, że tak uważasz - zakpiła. - Faceci w spódnicach to twoja fantazja erotyczna.

- To nie spódnice, tylko kilty - poprawił ją Stark. - A te bardzo stare i wielkie nazywały się filamor.

Afrodyta uniosła jasne brwi.

- Skoro tak się na nich znasz, to pewnie lubisz je nosić?

Wzruszył ramionami.

- Ja nie, ale mój dziadek nosił.

- Jesteś Szkotem? - zapytał z niedowierzaniem Damien. - I dopiero teraz nam to mówisz?

Stark znów wzruszył ramionami.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego moja ludzka rodzina? Nie mam z nią kontaktu od prawie czterech lat.

- To nie jest jakaś tam rodzina - rzucił podekscytowany Damien, przerzucając kolejne kartki.

- Na litość boską! Twoja rodzina to twoja krew, debilu! - wykrzyknęła Afrodyta. - Jak się nazywał twój dziadek?

Stark zmarszczył brwi.

- MacUallis - odpowiedzieli jednocześnie on i Damien.

- Skąd wiesz? - zapytał Damiena Stark.

- Klan MacUallisów był Strażnikami Asa. - Damien uśmiechnął się triumfalnie, podnosząc kartkę z napisem „KLAN MACUALLIS - STRAŻNICY ASA”.

- Chyba znaleźliśmy twój most krwi - stwierdził Jack, obejmując Damiena.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### *Zoey*

Heath poruszył się i wymamrotał coś o treningu i o tym, że zasnął. Obserwowałam go z zapartym tchem, krążąc wokół miejsca, w którym leżał.

Sami powiedzcie, czy mielibyście ochotę go obudzić i uświadomić mu, że jest zimnym trupem i już nigdy w życiu nie zagra w piłkę?

Na pewno nie.

Starłam się zachować maksymalną ciszę, ale nie potrafiłam trwać w bezruchu. Tym razem nawet nie udawałam, że kładę się z powrotem obok niego. Nie mogłam się powstrzymać: musiałam być w ruchu.

Znajdowaliśmy się pośrodku tego samego gęstego zagajnika, do którego przedtem uciekliśmy. Przedtem to znaczy kiedy? Nie pamiętałam. W każdym razie te niskie sękate drzewka i mnóstwo starych kamieni wyglądały naprawdę fajnie. Mech też. Zwłaszcza on. Był wszędzie - gęsty, miękki i przytulny.

Nagle poczułam, że jestem bosa, a moje stopy zanurzają się w dywanie mchu i poruszają palcami w żywym dywanie zieleni.

Żywym?

Westchnęłam.

Nie. Podejrzywałam, że nic tu nie jest naprawdę żywe, tyle że wciąż o tym zapominałam.

Przez płaszcz liści i konarów przenikało niewiele słońca - dość, by nas ogrzać, lecz nie przegrzać - gdy jednak na chwilę przysłoniła je chmura, podniosłam wzrok i zadrżałam.

Ciemność...

Zamrugałam zdumiona, wszystko sobie przypominając. To dlatego Heath i ja znaleźliśmy się w tym zagajniku. Coś nas goniło, ale odpuściło, kiedyśmy tu wbiegli.

Znów zadrżałam.

Nie miałam pojęcia, czym jest to, co nas prześladowuje. Miałam jedynie poczucie nieprzeniknionej ciemności, widziałam zarys czegoś od dawna martwego, rogów, skrzydeł. Oboje z Heathem wzięliśmy nogi za pas, nim zdołaliśmy zobaczyć coś więcej. Przerażeni biegliśmy do utraty tchu. Dlatego Heath tak twardo teraz spał. Ja też powinnam.

Ale nie potrafiłam. Coś zmuszało mnie do chodzenia. Naprawdę się martwiłam opłakany stanem swojej pamięci. Chociaż mogłoby się wydawać, że z powodu tego właśnie stanu nie będę... no cóż, nie będę pamiętać, że jest z nią coś nie tak, to jednak pamiętałam. Wiedziałam, że w moim umyśle brakuje fragmentów - zarówno nowych, jak wspomnienie ścigającej nas okropnej postaci, którą dopiero przed chwilą sobie przypomniałam, jak i starych.

Nie pamiętałam, jak wyglądała moja mama.

Nie pamiętałam koloru swoich oczu.

Nie pamiętałam, dlaczego przestałam ufać Stevie Rae.

To, co pamiętałam, było jeszcze bardziej niepokojące. Pamiętałam każdy szczegół umierania Stevie Rae. Pamiętałam, że mój tata zostawił nas, gdy miałam dwa latka, i nigdy nie wrócił. Pamiętałam, że zaufałam Kalonie i że tak potwornie się pomyliłam w jego ocenie.

Czułam ucisk w żołądku i pod jego wpływem krążyłam bez wytchnienia po wewnętrznej części obwodu gaju.

Jak mogłam pozwolić Kalonie tak mnie omamić? Byłam kompletną debilką!

To przeze mnie zginął Heath.

Wypchnęłam z pamięci tę myśl. Była zbyt straszna, zbyt świeża.

Kątem oka zauważyłam jakiś cień, obróciłam się gwałtownie i stanęłam twarzą w twarz z n i ą. Wcześniej widywałam ją jedynie w snach i we wspólnej wizji.

- Witaj, A-yo - powiedziałam cicho.

- Zoey - powitała mnie, pochylając głowę. Miała głos bardzo podobny do mojego, tyle że wszystkie jej słowa zabarwione były smutkiem.

- Przez ciebie zaufałam Kalonie - rzekłam do niej.

- Z mojego powodu mu współczuć - poprawiła. - Kiedy utraciłaś mnie, utraciłaś także współczucie.

- Nieprawda - zaproponowałam. - Wciąż czuję współczucie. Troszczę się o Heatha.

- Czyżby? To dlatego przetrzymujesz go tutaj, zamiast pozwolić mu odejść?

- On nie chce odejść! - wybuchnęłam, po czym zamilkłam zdumiona własnym gniewem.

A-ya pokręciła głową, wymachując długimi do pasa włosami.

- Nie zadałaś sobie trudu, żeby się zastanowić, czego chce Heath. Nie zrobił tego też nikt inny. I nie zadasz go sobie, póki nie przywołasz mnie z powrotem.

- Nie chcę cię z powrotem. To wszystko stało się przez ciebie.

- Nieprawda, Zoey. To wszystko stało się z powodu całego łańcucha wyborów dokonanych przez różne osoby. To nie dotyczy tylko ciebie. - Pokręciła ze smutkiem głową i znikła.

- Krzyżyk na drogę - mruknęłam i znów podjęłam wędrówkę, jeszcze bardziej niespokojna niż dotąd.

Kolejny cień zamajaczył na skraju pola widzenia. Odwróciłam się, gotowa powiedzieć A-yi, żeby się wyniosła raz na zawsze, ale na widok stojącej przed mną postaci opadła mi szczęka. Patrzyłam na siebie! A konkretnie na dziewięcioletnią Zoey, którą widziałam już w towarzystwie innych postaci, nim rozproszyło je to coś, co ścigało Heatha i mnie.

- Cześć - powitałam ją.

- Mamy cycki! - powiedziała mała Zoey, wpatrując się w moją pierś. - Cieszę się, że wreszcie nam wyrosły.

- Taaa, ja też tak uważałam. Wreszcie.

- Trochę szkoda, że nie są większe. - Nie przestawała się gapić na moje piersi, aż w końcu miałam ochotę skrzyżować ręce z przodu, co było głupkowate, skoro stanowiłyśmy tę samą osobę. - Ale mogło się skończyć gorzej! Mogłyśmy być jak Becky Apple, hi, hi!

Jej radosny głos na moment wywołał mój uśmiech, szybko jednak spowaźniałam. Zbyt trudno było mi zachować pogodę ducha, którą ona promieniała.

- Becky Renee Apple... Nie do wiary, że mama tak ją nazwała, a potem kazała na wszystkich jej swetrach wyszyć inicjały „BRA”.<sup>1</sup> - Dziewczynka znów zanosła się śmiechem.

Bezskutecznie usiłowałam się uśmiechnąć.

- Fakt. Gdy tylko się ochłodziło, biedna dziewczyna miała przerąbane. - Westchnęłam i potarłam dłonią twarz, zastanawiając się, skąd się wziął ten potworny smutek.

- To dlatego, że ja nie jestem już z tobą - wyjaśniła dziewczynka. - Jestem twoją radością. Beze mnie nigdy więcej nie będziesz szczęśliwa.

Wpatrywałam się w nią, nie mając wątpliwości, że podobnie jak A-ya, mówi prawdę.

Heath wymamrotał coś przez sen. Spojrzałam na niego. Wydawał się tak silny, zwyczajny i młody, a przecież nigdy więcej nie wyjdzie na boisko piłkarskie ani z piskiem opon nie weźmie swoim pikapem śliskiego zakrętu, wydzierając się jak typowy chłopak z Oklahomy. Nie zostanie mężem ani ojcem.

Znów spojrzałam na dziewczynkę.

- Chyba nie zasługuję na to, by jeszcze kiedyś być szczęśliwa.

- Żal mi ciebie, Zoey - powiedziała i znikła.

A ja spacerowałam dalej oszołomiona.

Następna wersja mnie nie zamigotała na skraju pola widzenia, tylko bezczelnie zablokowała mi drogę. Wcale mnie nie przypominała. Była bardzo wysoka, ze zwariowaną czupryną długich włosów koloru jasnej miedzi. Dopiero gdy skrzyżowały się nasze spojrzenia, rozpoznałam ją po oczach. Była kolejnym fragmentem mnie.

- A ty to kto? - zapytałam zmęczonym głosem. - Czego będzie mi brakowało, jeśli cię nie odzyskam?

- Możesz mnie nazywać Brigid. Beze mnie zabraknie ci siły.

Westchnęłam.

---

<sup>1</sup> Bra (ang.) - stanik (przyp. tłum.).

- Jestem zbyt zmęczona, by mieć siłę. Może pogadamy po tym, jak się zdrzemnę?

- Nic nie rozumiesz, prawda? - Brighid pokręciła pogardliwie głową. - Bez nas ani się nie zdrzemniesz, ani nie odzyskasz sił, ani nie odpoczniesz. Będziesz dryfować coraz bardziej niekompletna.

- Ale z Heathem.

- Być może.

- A jeśli włączę was wszystkie z powrotem w siebie, opuszczę go.

- Możliwe.

- Nie zrobię tego. Nie mogę wrócić na ziemię bez niego - powiedziałam.

- W takim razie jesteś naprawdę rozbita - stwierdziła Brighid i zniknęła.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i klapnęłam tyłkiem na mech. Dopiero kiedy na moich dżinsach pojawiły się mokre ślady, zauważyłam, że płaczę. Nie wiem, jak długo tak siedziałam obezwładniona żalem, konsternacją i znużeniem, lecz w końcu przez mgłę, która spowijała mój umysł, przedarły się jakieś dźwięki: świst skrzydeł rozgarniających wiatr, unoszących się i opadających, poszukujących.

- Chodź, Zo. Musimy się schować głębiej.

Podniosłam głowę. Obok mnie kucał Heath.

- To moja wina powiedziałam.

- Nie, ale jakie to teraz ma znaczenie? Stało się, kochanie. Nic już na to nie poradzimy.

- Nie mogę cię opuścić, Heath - załkałam.

Odgarnął mi włosy z twarzy i podał kolejny zwitek chusteczek.

- Wiem, że nie.

Furkot olbrzymich skrzydeł narastał. Konary nad naszymi głowami kołysały się w odpowiedzi.

- Później o tym pogadamy, dobrze, Zo? Teraz musimy wiać. - Chwycił mnie za łokieć, podniósł i zaczął prowadzić w głąb zagajnika, gdzie cienie były ciemniejsze, a drzewa zdawały się jeszcze starsze.

Szłam bezwolnie za nim. W ruchu czułam się lepiej. Nie dobrze, ale lepiej niż w tedy, gdy tkwiłam w miejscu.

- To on, prawda? - zapytałam głucho.

- On? - powtórzył pytająco Heath, pomagając mi przejść nad postrzępionym szarym gładem.

- Kalona. - Miałam wrażenie, że gdy wypowiedziałam to słowo, powietrze wokół nas zgęstniało. - Przyszedł po mnie.

Heath spojrzał na mnie gwałtownie.

- Nie! - krzyknął. - Nie pozwolę, żeby cię zabrał!

*Stevie Rae*

- Nie, nie pozwolę, żeby cię zabrał! - zawołał Smok.

Podobnie jak wszyscy zebrani w sali obrad Stevie Rae wpatrywała się w szermierza, który wyglądał, jakby zaraz miał poderznąć komuś gardło.

- Kto, Smoku? - zapytała Stevie Rae.

- Kruk Prześmiewca, który zabił moją żonę! Nie możesz wychodzić sama, póki go nie wytropimy i nie zniszczymy.

Usiłowała zlekceważyć nieprzyjemne uczucie wywołane przez słowa nauczyciela i okropne wyrzuty sumienia, których doznawała, patrząc mu w oczy, widząc jego rozpacz i wiedząc, że choć Rephaim dwukrotnie uratował jej życie, zabił też Anastasię Lankford.

„On się zmienił - pomyślała - jest teraz inny”. Bardzo żałowała, że nie może powiedzieć tego na głos, nie sprowadzając katastrofy na nich oboje.

Niestety. Nie mogła wyjawić Smokowi prawdy o Rephaimie. Nie mogła wyjawić jej nikomu, więc zamiast tego ponownie zaczęła mieszać prawdę z kłamstwami, tkając potworny gobelin uników i kręactw.

- Smoku, nie wiem, który z Kruków Prześmiewców pojawił się w parku. Nie wyjawiał mi swojego imienia.

- Myślę, że to był ich przywódca. Ten cały Re-coś tam - wtrącił Dallas mimo zabójczego spojrzenia Stevie.

- Rephaim - rzekł lodowatym głosem Smok.

- Właśnie! Był wielki, tak jak w waszych opowieściach, i miał zupełnie ludzkie oczy! Poza tym wyglądał, jakby... jakby uważał się za nie wiadomo kogo.

Stevie Rae z trudem panowała nad chęcią, by zasłonić mu dłonią usta, a przy okazji może także nos. Uduszenie zdecydowanie zapobiegłoby kolejnym jego słowom.

- Daj spokój, Dallas. Nie wiemy, kto to był. Smoku rozumiem, że się martwisz i tak dalej, ale przecież ja chce tylko pojechać do opactwa benedyktynek, żeby osobiście po wiedzieć babci Redbird o Zoey. Nie wybieram się na żadne odludzie.

- Smok ma trochę racji - zauważyła Lenobia, a Erik i Pentesilea pokiwali głowami, chwilowo zapominając o swoim sporze dotyczącym Neferet i Kalony.

- Ten kruk pojawił się tam, gdzie byłaś podczas swojego obcowania z ziemią.

- Powiedzenie, że obcowała z ziemią, jest uproszczeniem - wtrącił szybko Smok, gdy na moment umilkła - Stevie sama nam powiedziała, że rozmawiała z pradawnymi siłami dobra i zła. Pojawienie się tej istoty podczas jej spotkania z uosobieniem zła nie może być przypadkowe.

- Przecież kruk mnie nie zaatakował! On...

Smok gestem nakazał jej milczeć.

- Niewątpliwie przyciągnęła go ciemność, która później zwróciła się przeciwko niemu. Zło często tak czyni Nie możesz mieć pewności, że ta istota nie będzie próbowała cię dopaść.



- Nie wiemy też, czy w Tulsie grasuje tylko jeden Kruk Prześmiewca - dodała Lenobia.

Stevie poczuła w żołądku ucisk paniki. Co będzie, jeśli wszyscy tak się przejmą perspektywą panoszących się po Tulsie kruków, że uniemożliwią jej wydostanie się z Domu Nocy i spotkanie z Rephaimem?

- Jadę do opactwa, żeby porozmawiać z babcią Redbird - oświadczyła stanowczo. - I nie sądzę, żeby po drodze miało mnie napaść stado Kruków Prześmiewców. Myślę raczej, że tylko jeden z nich jakimś sposobem się uchwalił i trafił do parku, bo przyciągnęła go ciemność. A ponieważ nie mam najmniejszego zamiaru przywoływać jej ponownie, nie ma obaw, że to ptaszysko będzie czegoś ode mnie chciało.

- Nie lekceważ niebezpieczeństwa z jego strony - rzekł smutnym, posępnym głosem Smok.

- Nie lekceważę. Ale nie pozwolę też, żeby strach uwięził mnie w kampusie. Myślę, że żadne z nas nie powinno na to pozwolić - dodała pospiesznie. - Owszem, powinniśmy zachować ostrożność, lecz strach i zło nie mogą kierować naszym życiem.

- Stevie Rae ma rację - przyznała Lenobia. - Szczerze powiedziawszy, uważam, że powinniśmy przywrócić w szkole zwykłe zajęcia i włączyć czerwonych adeptów do klas.

Kramisha, do tej pory siedząca w milczeniu na lewo od Stevie Rae, prychnęła cicho, a znajdujący po jej prawej stronie Dallas westchnął ciężko. Stevie z trudem powstrzymała uśmiech.

- Świetny pomysł - powiedziała.

- Sądzę, że nie powinniśmy zbyt wiele mówić na temat stanu Zoey - rzekł Erik. - Przynajmniej dopóki nie wydarzy się coś bardziej... hm, nieodwracalnego.

- Ona nie umrze! - zaprotestowała Stevie Rae.

- Nie chcę, żeby umarła! - zastrzegł się szybko Erik, wyraźnie zdenerwowany na myśl o tym. - Po prostu tyle się tu ostatnio dzieje, z pojawieniem się Kruka Prześmiewcy włącznie, że naprawdę nie powinniśmy prowokować kolejnych plotek.

- Moim zdaniem nie należy zmiatać tego pod dywan - rzekła Stevie.

- Proponuję kompromis - odezwała się Lenobia. - Odpowiadajmy na pytania o Zoey, jeśli będą je zadawać, i skupiajmy się na prawdzie: że wszyscy staramy się sprowadzić ją z powrotem z Zaświatów.

- Poza tym wydamy poprzez wychowawców polecenie dla wszystkich adeptów, żeby byli czujni i donosili nam o wszystkim, co wyda im się nietypowe.

- Brzmi rozsądnie - zgodziła się Pentesilea.

- W porządku - stwierdziła Stevie. - Zgadzam się. - Umilkła na chwilę, po czym dodała: - Zastanawiam się, czyja też mam wrócić na te same zajęcia, na które chodziłam przedtem.

- Sama się nad tym zastanawiałam - przyznała Kramisha.

- I ja - dodał Dallas.

- Adeptci powinni podjąć zajęcia w miejscu, w którym przerwali - odparła spokojnie Lenobia, uśmiechając się do nich, jakby ta przerwa oznaczała nadprogramowe wakacje, a nie śmierć, która dzięki takiemu sformułowaniu nagle wydała im się czymś dziwnie naturalnym. Potem Lenobia zwróciła się do Stevie: - Wampiry same decydują o swojej przyszłości i wybierają dziedziny, które chcą studiować, nie w klasie z adeptami, lecz z innymi wampirami, ekspertami w tych dziedzinach. Czy już wiesz, co chciałabyś studiować?

Wszyscy wlepili spojrzenia w Stevie.

- Nyks - odpowiedziała bez wahania dziewczyna. - Chcę się uczyć na najwyższą kapłankę. Chcę zasłużyć na tę funkcję, a nie sprawować ją tylko dlatego, że jestem jedyną czerwoną wampirką w całym cholernym wszechświecie.

- Odkąd wygnano Neferet - Pentesilea spojrzała wymownie na Lenobię - nie mamy najwyższej kapłanki, która mogłaby cię szkolić.

- W takim razie będę studiować we własnym zakresie, póki nasza kapłanka nie wróci. - Spojrzała nauczycielce w oczy, po czym dodała: - I zapewniam cię, że tą kapłanką nie będzie Neferet. - Wstała. - Cóż, w takim razie pojedę teraz do opactwa, a po powrocie spotkam się z resztą czerwonych adeptów i powiem im, że od jutra zaczynają lekcje.

Gdy wszyscy szurali krzesłami i wychodzili z sali, Smok odciągnął ją na bok.

- Obiecuj mi, że będziesz ostrożna - powiedział. - Masz niesamowitą zdolność regeneracji, ale nie jesteś nieśmiertelna, Stevie Rae. Musisz o tym pamiętać.

- Będę ostrożna. Obiecuję.

- Jadę z nią - oznajmiła Kramisha. - Będę obserwować niebo w poszukiwaniu tych ohydnych ptaszysk. A jakbym jakiegoś zobaczyła, to tak wrzasnę, że dosłownie cały świat usłyszy. Potrafię zabić wrzaskiem.

Smok skinął głową, choć nie wyglądał na przekonanego. Na szczęście Lenobia przywołała go do siebie, by porozmawiać o projekcie obowiązkowych zajęć ze sztuk walki dla wszystkich adeptów. Stevie wymknęła się z sali i zachodziła właśnie w głowę, jak się pozbyć Kramishy, która była stanowczo zbyt wścibska, gdy dogonił je Dallas.

- Możemy chwilę pogadać przed twoim wyjazdem? - zapytał.

- Będę w garbusie Zoey - powiedziała Kramisha. - I zdecydowanie nie dam się wysiudać - dodała pod adresem Stevie, która przez chwilę spoglądała za nią, by w końcu niechętnie przenieść wzrok na Dallasa.

- Możemy wejść tam? - zapytał chłopak, wskazując pustą salę audiowizualną.

- Jasne, ale mam mało czasu.

Dallas bez słowa otworzył i przytrzymał jej drzwi. Weszli do chłodnej przyciemnionej sali pachnącej książkami i lakierem do mebli o zapachu cytrynowym.

- Jeśli chcesz, nie musimy dłużej być razem - powiedział bardzo szybko.

- Co? Nie musimy być razem? Niby czemu?

Dallas skrzyżował ręce na piersi, wyraźnie zakłopotany.

- Chodziliśmy ze sobą. Byłaś moją dziewczyną. Teraz już mnie nie chcesz, a ja to rozumiem. Miałaś rację, nie byłem w stanie obronić cię przed tym ptaszyskiem. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie zamierzam robić z siebie palanta. Jeśli będziesz mnie potrzebować, zawsze będę do usług, bo pozostaniesz moją kapłanką.

- Przecież ja nie chcę z tobą zrywać! - wypaliła Stevie.

- Nie?

- Nie - powtórzyła szczerze. W tej chwili istniał tylko on i jego wielkie, oddane serce. Tracąc go, poczułaby się, jakby ktoś zdzielił ją pięścią w brzuch. - Dallas, strasznie mi przykro z powodu tego, co wcześniej powiedziałam. Wcale tak nie myślałam. Po prostu byłam ranna i wściekła. Nawet ja nie potrafiłam przerwać tego kręgu, choć sama go utworzyłam. Ani ty, ani nikt inny, z wojownikami włącznie, nie zdołałby się tam dostać.

Dallas spojrzał jej w oczy.

- Kruk Prześmiewca zdołał.

- Jak sam zauważyłeś, jest po stronie ciemności - powiedziała, choć przywołanie przez chłopaka postaci Rephaima było niczym chluśnięcie jej zimną wodą w twarz.

- Wszędzie wokół jest pełno ciemności i wygląda na to, że część z niej w ciebie wsiąka. Więc bądź ostrożna, dobrze, mała? - Wyciągnął rękę i odsunął jej z twarzy jasny loczek. - Nie zniósłbym, gdyby coś ci się stało. - Położył jej dłoń na ramieniu i łagodnie pogładził kciukiem szyję.

- Będę ostrożna - powiedziała cicho.

- Naprawdę nie chcesz ze mną zerwać?

Pokręciła głową.

- To dobrze, boja też nie.

Pochylił się i objął ją, po czym pocałował z wahaniem. Stevie postanowiła się rozluźnić i zapomnieć o wszystkim innym. Wtuliła się w chłopaka. Świetnie całował. Podobało jej się, że jest od niej wyższy, ale niewiele. Jego usta miały przyjemny smak. Wiedział, że Stevie lubi być gładzona po plecach, więc wsunął rękę pod jej bluzkę nie po to, by miętosić cycki, jak zrobiłaby większość facetów, lecz by powoli kreślić ciepłe kręgi u dołu jej pleców, przygarniając ją coraz mocniej i całując głębiej.

A ona odwzajemniała pocałunek. Tak dobrze się przy nim czuła... Miło było zapomnieć na chwilę o wszystkim innym, nawet o Rephaimie i związanych z nim sprawach - zwłaszcza o długu, który spłaciła tak ochoczo, że...

Wyśliznęła się z objęć Dallasa. Oboje przez chwilę łapali oddech.

- Słuchaj, muszę lecieć. Pamiętasz? - Uśmiechnęła się do niego, starając się nie okazać zakłopotania.

- Szczerze mówiąc, chyba zapomniałem - odparł, uśmiechając się do niej słodko i znów odgarniając jej z oczu upartą sprężynkę włosów. - Ale teraz już wiem, że musisz. Odprowadzę cię do garbusa.

Czując się po części zdrajczynią, po części kłamczuchą, a po części skazaną na dożywocie więźniarką, pozwoliła mu wziąć się za rękę i odprowadzić do samochodu Zoey, jak gdyby znów naprawdę mogli być parą.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

### *Stevie Rae*

- Ten chłopak świata poza tobą nie widzi - powiedziała Kramisha, gdy wyjeżdżały ze szkolnego parkingu, pozostawivszy za sobą rozżalonego Dallasa.

- Wiesz już, co chcesz zrobić w sprawie tego drugiego?

Stevie zahamowała na środku asfaltu prowadzącego do Utica Street.

- Jestem teraz zbyt zestresowana, żeby się zajmować problemami z facetami. Jeśli masz zamiar cały czas o tym gadać, to lepiej zostań w szkole.

- Nerozwiazane problemy z facetami tylko zwiększają stres.

- Spadaj.

- Dobra, dobra. Jeśli masz tak szaleć, to nie powiem już na ten temat ani słowa. Na razie. Poza tym mam ci do zakomunikowania ważniejsze rzeczy.

Stevie wrzuciła bieg i wyjechała z campusu, żalując, że Kramisha zmieniła temat i nie dała pretekstu do wyrzucenia się z samochodu.

- Pamiętasz, jak kazałaś mi przemyśleć wiersze i poszukać czegoś, co mogłoby pomóc Zoey?

- Pewnie, że pamiętam.

- No więc przemyślałam. I coś znalazłam. - Poszperała w swojej wielkiej torbie i wyjęła sfatygowany zeszyt z stronami w jej ulubionym fioletowym kolorze. - Chyba wszyscy, w tym ja, dopóki się nie skupiłam, zapomnieli o tym.

- Otworzyła zeszyt i pomachała Stevie przed oczami kartką zapisaną swoim pismem.

- Kramisho, dobrze wiesz, że nie mogę czytać, kiedy prowadzę. Po prostu mi powiedz, co sobie przypomniałaś.

- Wiersz, który napisałam, zanim Zoey i reszta pojechali do Wenecji. Ten, który brzmi, jakby Kalona przemawiał do Zo. Już czytam:

*Obosieczny miecz  
Jedna strona zniszczenie  
Druga wolność  
Jestem twym węzłem gordyjskim  
Uwolnisz mnie czy zniszczysz?  
Idź za prawdą, a wtedy  
Znajdziesz mnie na wodzie  
Oczyścisz przez ogień  
Nigdy już nie zamknie mnie ziemia  
A powietrze wyszepcze ci to  
Co duch już wie:  
Że nawet po rozpadzie  
Możliwe jest wszystko*

*Jeśli wierzysz  
Oboje będziemy wolni.*

- O matko! Kompletnie o tym zapomniałam! No dobra, przeczytaj mi go jeszcze raz, tylko wolniej. - Stevie Rae słuchała uważnie, gdy Kramisha po raz kolejny odczytywała jej wiersz. - To musi być w imieniu Kalony, no nie? Ta część o zamknięciu przez ziemię nie może dotyczyć nikogo innego.

- Jestem prawie na sto procent przekonana, że to wiadomość od niego dla niej.

- Na pewno, chociaż ten początek z obosiecznym mieczem jest trochę straszny, ale zakończenie wydaje się dobre.

- „Oboje będziemy wolni” - przeczytała Kramisha.

- Brzmi tak, jakby Zo miała się uwolnić z Zaświatów.

- Kalona też - dodała Kramisha.

- Tym się zajmiemy, gdy już do tego dojdzie. Na razie najważniejsze jest uwolnienie Zo. Hej, zaraz! Część tej przepowiedni chyba już się sprawdziła! Jak leciał ten fragment o wodzie?

- „Znajdziesz mnie na wodzie”.

- No i tak się stało! Przecież wyspa San Clemente leży na wodzie!

- A o co może chodzić w tym, że Zoey ma „iść za prawdą”?

- Nie mam stuprocentowej pewności, ale coś mi świta. Kiedy ostatnio z nią gadałam, powiedziałam jej, że ma się kierować sercem, nawet jeśli wszystkim dookoła będzie się wydawało, że kompletnie się myli. Że ma robić to, co podpowiada jej intuicja. - Stevie Rae urwała i mrugała szybko, bo nagle zebrało jej się na płacz. - Tylko... tylko że teraz, po tym co się z nią stało, czuję się winna jak diabli.

- Może miałaś rację! Może to, co się z nią dzieje, miało się wydarzyć, bo kierować się sercem i robić to, co podpowiada instynkt, to chyba znaczy właśnie „iść za prawdą”, no nie? I to przez duże „P”.

Stevie poczuła iskrę podekscytowania.

- I jeśli będzie się tej prawdy trzymać, to reszta wiersza się sprawdzi i Zo będzie wolna!

- Masz rację jak nic. Mówię ci, czuję to w kościach.

- Ja też - przyznała Stevie, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Zo musi się o tym jakoś dowiedzieć. Ten wiersz może ją poprowadzić jak mapa. Pierwszy etap, znalezienie go na wodzie, już się wydarzył. Teraz musi...

- Oczyszczyć go przez ogień - zacytowała z pamięci Stevie. - A potem jest coś o ziemi i powietrzu?

- I o duchu. O wszystkich pięciu żywiołach.

- Zo ma dar komunikacji z każdym. Na końcu wiersz wymienia ducha, który jest najpotężniejszy.

- I rządzi królestwem, w którym ona się teraz znajduje - zauważyła Kramisha. - Dobra. Słuchaj uważnie, bo mówię to nie dlatego, że napisałam genialny wiersz: Zoey musi się dowiedzieć. To może zadecydować, czy wróci, czy da się zabić temu, co się tam dzieje.

- Wierzę ci.

- Więc jak masz zamiar to zrobić?

- Ja? Ja nie mogę tego zrobić. Jestem związana z ziemią. Nie dam rady wysłać ducha w Zaświaty. - Stevie zdrząła na samą myśl o tym. - Ale Stark da radę się tam przedostać. Tak twierdziła ta obrzydliwa krowa.

- Byk - poprawiła ją Kramisha.

- Wszystko jedno.

- Mam zadzwonić do Starka i odczytać mu wiersz? Znasz jego numer?

Stevie się zastanowiła.

- Nie dzwoń. Afrodyta mówi, że chłopak ma teraz straszny mętlik w głowie. Mógłby zlekceważyć twój wiersz, bo pewnie mu się wydaje, że ma ważniejsze rzeczy do roboty.

- No to się myli.

- Wiem. Właśnie dlatego musimy przeczytać wiersz Afrodycie. Jest wredna i tak dalej, ale zrozumie, jakie to ważne.

- Jest taka wredna, że nigdy w życiu nie pozwoli Starkowi go zlekceważyć.

- Otóż to. Wyślij jej cały wiersz esemesem i napisz, że ma zmusić Starka, żeby się go nauczył na pamięć dla Zoey. I żeby pamiętał, że to proroctwo, a nie zwykły wiersz.

- Szczerze mówiąc, wątpię, czy Afrodyta go doceni, skoro nie cierpi poezji - zauważyła Kramisha. - To bardzo źle świadczy o jej zdrowym rozsądku.

- Mnie nie musisz tego mówić.

- No to się rozumiemy. - Gdy Stevie parkowała na świeżo zaoranym parkingu opactwa benedyktyńskiego, Kramisha pochyliła głowę nad telefonem i pieczołowicie wklepywała tekst.

Stevie od razu zauważyła, że babcia Redbird czuje się znacznie lepiej. Okropne sińce na twarzy zbladły i zamiast leżeć w łóżku, babcia siedziała na bujanym fotelu przy kominku w holu opactwa tak pogrążona w lekturze, że w pierwszej chwili nie zauważyła dziewczyny.

- *Niebieskooki diabeł!* - Choć przyszła tu, by przekazać babci smutną wiadomość, nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok tytułu. - Babciu, to mi wygląda na jakieś romansidło!

Babcia gwałtownie schwyciła się za gardło.

- Stevie Rae! Dziecko, aleś mnie wystraszyła. Owszem, to romans, i w dodatku wyśmienity! Hardy Cates to wspaniały bohater.

- Wspaniały?

Babcia uniosła srebrzyste brwi.

- Moja droga, jestem stara, ale nie martwa. Nadal potrafię docenić wspaniałego mężczyznę. - Wskazała obite drewniane krzesła stojące nieopodal. - Przysuń sobie jedno i pogawędzimy. Pewnie przynosisz mi wieści od Zoey. Kto by pomyślał, że wyląduje aż w Wenecji! Bardzo bym chciała tam pojechać... - Umilkła, uważniej przyglądając się twarzy Stevie. - Wiedziałam. Wiedziałam, że coś się stało, lecz po wypadku umysł mam taki zmacony... - Sylvia Redbird znieruchomiała. - Mów zaraz - zażądała ochrypłym ze strachu głosem.

Stevie Rae westchnęła smutno, usiadła na krześle obok fotela babci i wzięła ją za rękę.

- Nie umarła, ale jest kiepsko.

- Wszystko. Chcę usłyszeć wszystko. Nie przerywaj i niczego nie opuszczaj.

Babcia trzymała się ręki dziewczyny jak liny ratunkowej, a ona opowiadała jej o wszystkim, począwszy od śmierci Heatha poprzez byki i proroczy wiersz Kramishy, opuszczając tylko jedno: Rephaima. Kiedy skończyła, twarz babci była blada jak kreda. Wyglądała niemal jak wtedy, kiedy przez miesiąc leżała w śpiączce po wypadku, o krok od śmierci.

- Rozbita. Dusza mojej wnuczki została rozbita - powiedziała powoli, jak gdyby każde słowo obarczone było grubą warstwą żalu.

- Stark do niej dotrze, babciu. - Stevie z wiarą patrzyła jej w oczy. - Będzie ją chronił, by mogła scalić duszę.

- Cedr - rzekła babcia, kiwając głową, jakby odpowiadała na jakieś pytanie i sygnalizowała, że Stevie powinna się zgodzić z jej odpowiedzią.

- Cedr? - zapytała dziewczyna z nadzieją, że wieści o Zoey nie pomieszały staruszce w głowie.

- Igiełki cedrowe. Powiedz Starkowi, żeby kazał osobie, która będzie pilnować jego ciała, gdy on będzie w transie, przez cały czas palić cedrowe igły.

- Pogubiłam się, babciu.

- Cedrowe igły są silnym lekiem. Odstraszają *asgina*, najbardziej złośliwe spośród wszystkich duchów. Cedru używa się tylko w bardzo poważnych sytuacjach.

- Cóż, to chyba jest bardzo poważna sytuacja - zgodziła się Stevie, z ulgą widząc, że na policzki babci powoli wraca kolor.

- Powiedz Starkowi, by głęboko wdychał dym i myślał o zabraniu go ze sobą w Zaświaty. Musi wierzyć, że dym podąży tam za jego duchem. Czasem umysł potrafi zmienić nawet strukturę duszy. Jeśli Stark uwierzy, że dym cedrowy może towarzyszyć jego duszy, jest szansa, że to się uda i zapewni mu dodatkową ochronę podczas misji.

- Przekażę mu to.

Babcia jeszcze mocniej ścisnęła dziewczynę za rękę.



- Niekiedy rzeczy, które wydają się drobne lub nieznaczące, mogą nam pomóc w najtrudniejszej godzinie. Niczego nie lekceważ i nie pozwól na to Starkowi.

- Dobrze, babciu. Żadne z nas niczego nie lekceważy. Zadbam o to.

- Sylvio, rozmawiałam przed chwilą z Kramishą. - Do holu wbiegła siostra Mary Angela i stanęła jak wryta na widok Stevie trzymającej staruszkę za rękę. - Och, na litość Maryi! A więc to prawda. - Pochyliła głowę, wyraźnie walcząc ze łzami, lecz kiedy ją podniosła, oczy miała suche, a twarz zaciętą. - Cóż. Zajmiemy się tym. - Po tych słowach odwróciła się szybko do wyjścia.

- Siostro! - zawołała za nią babcia Redbird. - Dokąd biegniesz?

- Zwołać całe opactwo do kaplicy. Wszystkie musimy się modlić.

- Do Maryi? - zapytała sceptycznie Stevie.

Zakonnica skinęła głową.

- Tak, Stevie Rae - powiedziała pewnym i mądrym głosem. - Do Maryi, którą uważamy za matkę ducha w nas wszystkich. Być może nie jest tym samym bóstwem co twoja Nyks, a być może jest. Ale czy to w tej chwili naprawdę ważne? Powiedz mi, najwyższa kapłanko czerwonych adeptów, czy naprawdę wierzysz, że prośba o pomoc w imię miłości może być błędem niezależnie od tego, jakie oblicze przyjmuje siła, do której się modlimy?

Przed oczyma Stevie przemknęła twarz Rephaima o ludzkich oczach, Rephaima stawiającego czoło ciemności i biorącego na siebie dług zaciągnięty przez dziewczynę. Nagle zaschło jej w ustach.

- Przepraszam, siostro. Myliłam się. Poproś swoją Maryję o pomoc. Czasem miłość przychodzi z nieoczekiwanej strony.

Siostra Mary Angela patrzyła jej w oczy przez czas, który zdawał się wiecznością.

- Możesz dołączyć do naszej modlitwy, kochanie - powiedziała w końcu. Stevie uśmiechnęła się do niej.

- Dziękuję, ale muszę zadbać o własne modły.

- Nie ma mowy! - powiedziała Kramisha. - Nie będę dla ciebie kłamać!

- Nie proszę cię o kłamstwo - odparła Stevie Rae.

- Właśnie że tak. Chcesz, żebym powiedziała, że poszłaś sprawdzić tunel razem z siostrą Mary Angelą. Przecież wszyscy wiedzą, że go zasypałaś, jak tu poprzednio byłaś.

- Nie wszyscy - zaproponowała Stevie.

- Właśnie że tak. Poza tym wszystkie siostry modlą się teraz za Zoey, więc nie w porządku byłoby wykorzystywać ten czas na kłamstwo.

- Świetnie. Jeśli to ci poprawi samopoczucie, to pójde do tunelu i sama go sprawdzę. - Stevie nie mogła uwierzyć, że Kramisha robi wielkie halo z małego niewinnego kłamstewka i zabiera jej cenny czas, który zamierzała przeznaczyć na odwiedzenie Rephaima, bogini wie, jak mocno zranionego przez tę obrzydliwą białą bestię. Doskonale pamiętała udrękę, którą odczuwała, gdy

ciemność karmiła się nią, a wiedziała, że w przypadku Rephaima było znacznie gorzej i że tym razem będzie musiała zrobić dla niego więcej, niż tylko go obandażować i nakarmić. Jak ciężko był ranny? Oczyma duszy wciąż widziała pochylonego nad nim byka z czerwonym od jego krwi jęzorem...

Podskoczyła, uświadamiając sobie, że Kramisha cały czas stoi i gapi się na nią bez słowa. Otrząsnęła się i podała pierwszą wymówkę, jaka jej przyszła do głowy.

- Słuchaj, ja po prostu nie mam ochoty się zmagać z piekłem, które z całą pewnością rozpełta się w Domu Nocy, gdy wszyscy się dowiedzą, że spędziłam sama choćby jedną sekundę. Tylko o to mi chodzi.

- Kłamiesz.

- Jestem twoją najwyższą kapłanką!

- Więc powinnaś się odpowiednio zachowywać - odparła Kramisha. - Powiedz mi prawdę o tym, co knujesz.

- Chcę się spotkać z tamtym facetem i nie chcę, żeby ktoś o tym wiedział!  
- wypaliła Stevie.

Kramisha przechyliła na bok głowę.

- No, już lepiej. On nie jest adeptem ani wampirem, co?

- Nie - odparła z całkowitą szczerością Stevie. - Jest kimś, kto nikomu by się nie spodobał.

- Ale chyba cię nie bije, co? Bo to naprawdę ohydne. Znam parę dziewczyn, które wpadły po uszy w to gówno i nie wiedzą, jak z niego wyjść.

- Kramisho, ja potrafię poruszyć ziemię i skopać tyłek niejednemu facetowi. Żaden nie podniesie na mnie ręki. Żaden.

- To znaczy, że jest człowiekiem, ale żonatym.

- Przysięgam ci, że nie jest żonaty - wymigła się Stevie.

- Tja - prychnęła Kramisha. - To może po prostu jest palantem?

- Nie sędzę.

- Miłość to syf.

- Fakt - przyznała jej rację Stevie. - Nie chcę przez to powiedzieć, że go nie kocham - dodała pospiesznie. - Po prostu...

- Namieszal ci w głowie, a to ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebujesz. - Kramisha przygryzła wargę w zamyśleniu. - No dobra. Może zrobimy tak: ja poproszę którąś z siostr, żeby mnie podwiozła do Domu Nocy, a jak wszyscy będą się stresować, że zostałam sama na zewnątrz, powiem, że musiałam odwiedzić jakiegoś człowieka, więc w sumie nie jesteś sama. Przynajmniej nie skłamię.

Stevie Rae przemyślała propozycję.

- A musisz im mówić, że to facet?

- Powiem tylko, że człowiek i żeby się nie dopytywali. Jak nikt nie zapyta konkretnie, czy facet, to nie będę nic mówić.

- Umowa stoi - zgodziła się Stevie.

- Wiesz, że prędzej czy później i tak będziesz musiała się do niego przyznać. Jeżeli nie jest żonaty, to nie ma sprawy. Jesteś najwyższą kapłanką, więc możesz mieć ludzkiego kochanka i wampirskiego męża jednocześnie.

Tym razem to Stevie prychnęła.

- I myślisz, że Dallas się z tym pogodzi?

- Będzie musiał, jeśli chce się związać z najwyższą kapłanką. Wszystkie wampiry to wiedzą.

- No cóż, na razie nie jest wampirem, więc nie zamierzam od niego wymagać takich rzeczy. Prawda jest taka, że to by go zraniło, a ja nie chcę go ranić.

Kramisha pokiwała głową.

- Wiem, że nie, ale chyba to wszystko wyolbrzymiasz. Dallas będzie musiał nauczyć się z tym żyć. A ty z kolei musisz zdecydować, czy ten ludzki facet jest tego wart.

- Jasne. To właśnie próbuję zrobić. W takim razie do zobaczenia wkrótce w Domu Nocy. - Stevie ruszyła szybko w stronę garbusa.

- Hej! - zawołała za nią Kramisha. - On chyba nie jest czarny, co?

Stevie Rae się zatrzymała i spojrzała na nią przez ramię, myśląc o kruczych skrzydłach Rephaima.

- A jaka to różnica?

- Jeżeli się go wstydzisz, to duża - odparowała Murzynka.

- Nie wygłupiaj się. Nie, nie jest czarny. A nawet gdyby był, tobym się go nie wstydzila. Jezu. Na razie. Cześć.

- Tak tylko pytałam.

- To było głupie - mruknęła Stevie, odwracając się z powrotem w stronę parkingu.

- Słyszałam! - powiedziała Kramisha.

- To zajebicie!!! - wrzasnęła Stevie, po czym wsiadła do garbusa Zoey i ruszyła w kierunku Muzeum Gilcrease'a, mówiąc do siebie głośno: - Nie, Kramisho, on nie jest czarny. Jest zabójczym ptakiem, który za ojca ma czyste zło, i nie tylko biali i czarni byliby na mnie wściekli, że z nim jestem. Wszyscy byliby wściekli!

Po czym ku swemu całkowitemu zaskoczeniu wybuchnęła śmiechem.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### *Rephaim*

Kiedy otworzył oczy, zobaczył Stevie Rae przykucniętą obok wneki służącej mu za gniazdo i przyglądającą mu się tak intensywnie, że aż pomiędzy oczami zrobiła jej się głęboka bruzda, a czerwony półksiężyc na czole dziwnie się wybrzuszył. Z okalającymi twarz jasnymi lokami wyglądała tak dziecinnie, że kruk ze zdumieniem przypomniał sobie, z jak młodą osobą ma do czynienia - młodą i bezbronną niezależnie od swojej wielkiej mocy. Ta myśl była jak sztylet przeszywający mu serce.

- Hej, nie śpisz? - zapytała dziewczyna.

- Dlaczego tak się we mnie wpatrujesz? - zapytał celowo szorstkim głosem, zły na siebie, że ledwo ją zobaczył, a już zamartwia się o jej bezpieczeństwo.

- Usiłuję ocenić, jaki bliski śmierci byłeś tym razem.

- Jestem synem nieśmiertelnego. Trudno mnie zabić. - Usiadł z trudem, starając się nie skrzywić.

- Tak, wiem o twoim tacie, twojej nieśmiertelnej krwi i tak dalej, ale ciemność mocno cię nadgryzła, a to nie wróży nic dobrego. Poza tym, szczerze mówiąc, wyglądasz naprawdę kiepsko.

- A ty nie - odparł - chociaż tobą ciemność też się pożywiała.

- Nie jestem tak ciężko ranna jak ty, bo sfrunąłeś z nieba niczym Batman, zanim ten ohydny byk zdołał zrobić mi większą krzywdę. Potem dostałam zastrzyk od światłości, nawiasem mówiąc, naprawdę fajny. I do tego twoja nieśmiertelna krew, która buzuje we mnie jak zajaczek z reklamy Energizera.

- Nie jestem nietoperzem - burknął kruk, bo wzmianka o Batmanie była jedyną częścią jej wypowiedzi, którą choćby częściowo zrozumiał.

- Nie powiedziałam „nietoperz”, tylko Batman. To superbohater.

- Bohaterem też nie jestem.

- Cóż, moim okazałeś się aż dwa razy.

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Wiedział jedynie, że nazwanie go superbohaterem przez tę dziewczynę poruszyło czymś w głębi niego tak mocno, że nagle cały ból i cała troska o Stevie stały się łatwiejsze do zniesienia.

- Chodź. Zobaczmy, czy uda mi się odwzajemnić przysługę. - Wstała i wyciągnęła rękę.

- Nie wiem, czy jestem w stanie teraz jeść. Chętnie za to napiję się wody. Wypiłem już całą, którą wcześniej przynieśliśmy.

- Nie zabieram cię do kuchni. Przynajmniej nie w tej chwili. Idziemy na zewnątrz, do drzew. A konkretnie do tego wielkiego drzewa obok starej altanki na dziedzińcu.

- Po co?

- Już powiedziałam. Pomogłeś mi, a ja sędzę, że mogę pomóc tobie. Musimy tylko znaleźć się bliżej ziemi, a drzewa mają w sobie wielką moc, z której już kiedyś korzystałam. Być może zresztą właśnie dzięki drzewom udało mi się przywołać to stworzenie. - Zadrżała, zapewne wspomniawszy przyzywanie ciemności. Rephaim doskonale to rozumiał. Gdyby nie potworny ból ciała przy każdym ruchu, sam by zadrżał.

Oprócz tego bólu było coś jeszcze: jego krew wydawała się zbyt gorąca. Z każdym uderzeniem serca jego żyły wrzały, a miejsce zetknięcia pleców ze skrzydłami - miejsce, w które brutalnie werznął się biały byk - paliło, jakby je przypiekano rozżarzoną żelazną.

I ona uważa, że jakieś drzewo potrafi naprawić szkody wyrządzone przez ciemność?

- Chyba jednak tu zostanę. Odpoczynek pomoże. Woda też. Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, przynieś mi jej.

- Nie. - Stevie Rae z siłą, która zawsze go zdumiewała, chwyciła go za obie ręce i podniosła. Pokój wokół Rephaima kołysał się i wirował, a kruk przez chwilę myślał, że zaraz zemdleje jak pensjonarka, ale Stevie cały czas go trzymała.

Gdy kryzys minął, Rephaim zdołał otworzyć oczy bez obawy, że zrobi z siebie jeszcze większego durnia. Spojrzał na trzymającą go wciąż za ręce dziewczynę. „Nie odsuwa się ode mnie z niesmakiem - pomyślał. - Od pierwszego spotkania nie budzę w niej obrzydzenia”.

- Dlaczego bez lęku mnie dotykasz? - zapytał mimowolnie, nim zdążył się powstrzymać.

Parsknęła krótkim śmiechem.

- Rephaimie, w tym stanie chyba nie dałbyś rady zabić nawet muchy. Poza tym dwukrotnie uratowałeś mi życie i w dodatku jesteśmy skojarzeni. Nie mam najmniejszego powodu, by się ciebie bać.

- Może więc raczej powinienem zapytać, dlaczego dotykasz mnie bez odrazy? - Także te słowa wyrzekł niemal wbrew sobie.

Stevie Rae zmarszczyła brew, znów tworząc bruzdę na czole, jak zwykle, gdy się zastanawiała.

W końcu wzruszyła ramionami.

- Nie sędzę, by wampir mógł czuć odrazę wobec kogoś, z kim jest skojarzony. Zanim napiłam się twojej krwi, byłam skojarzona z Afrodytą. Wcześniej czasami naprawdę się nią brzydziłam, bo nie była zbyt miła, a raczej nie była w ogóle miła, ale po skojarzeniu coś się między nami zmieniło. To nie było przyciąganie seksualne ani nic. Po prostu przestałam się nią brzydzić.

Potem Stevie zrobiła wielkie oczy, uświadamiając sobie nagle, co powiedziała, a słowo „seksualne” niemal fizycznie zawisło w powietrzu.

Puściła dłonie Rephaima, jakby ją parzyły.

- Dasz radę sam zejść na dół? - zapytała nieswoim szorstkim głosem.

- Tak. Pójdę za tobą. Jeśli naprawdę uważasz, że to drzewo może mi pomóc.

- Cóż, wkrótce się dowiemy, czy to, co uważam, ma jakieś znaczenie. - Stevie odwróciła się plecami do niego i ruszyła ku schodom. - Jeszcze jedno - powiedziała, nie odwracając się. - Dzięki za uratowanie mnie. Tym razem nie musiałeś tego robić. - Mówiła z wahaniem, jakby miała kłopot z doborem słów. - On mówił, że nie zamierza mnie zabić.

- Są rzeczy gorsze od śmierci - odparł kruk. - To, co ciemność potrafi odebrać komuś, kto kieruje się światłością, może odmienić jego duszę.

- A co z tobą? Co tobie odebrała? - zapytała dziewczyna, wciąż nie patrząc na niego. Przed dotarciem na parter wielkiego domu zwolniła, by Rephaim zdołał ją dogonić.

- Nic. Tylko wypełniła mnie bólem, a potem karmiła się tym bólem zmieszonym z moją krwią.

Stevie Rae przystanąła przy drzwiach wejściowych i spojrzała na niego.

- Bo ciemność karmi się bólem, a światłość miłością.

Rephaim przyjrzał się jej bacznie, zaalarmowany tymi słowami. Tak, pomyślał, ona coś przede mną ukrywa.

- Czego zażądała od ciebie światłość za uratowanie mnie?

Gdy Stevie znów odwróciła wzrok, poczuł dziwny, graniczący z paniką lęk. Już myślał, że dziewczyna wcale nie udzieli mu odpowiedzi, lecz w końcu się odezwała.

- A czy ty jesteś gotów zdradzić mi wszystko, czego zażądał od ciebie byk, gdy karmił się tobą, stał nad tobą i dosłownie cię molestował? - zapytała niemal ze złością.

- Nie - odparł bez wahania Rephaim. - Ale drugi byk...

- Nie - powtórzyła jak echo Stevie. - Ja też nie chcę o tym mówić. Po prostu zamknijmy ten rozdział i rozpocznijmy nowy. Z nadzieją, że uda mi się zmniejszyć trochę ten ból, który ciemność w tobie zostawiła.

Wyszedł za nią na zmrożony trawnik przed domem, zaniedbany i wyniszczony niczym żalosna karykatura dawnej świetności. Idąc powoli, by jakoś znieść wyniszczający ból, kruk zastanawiał się, jakiej zapłaty mogła od dziewczyny zażądać światłość. Musiało to być coś niepokojącego, skoro Stevie tak zareagowała na jego pytanie.

Zerkał na nią, gdy patrzyła w innym kierunku. Wyglądała zdrowo, jakby całkiem już wydobrzała po spotkaniu z ciemnością. Szczerze mówiąc, wydawała się silna i nic nie wskazywało na to, że tamta przygoda pozostawiła w niej jakiś ślad.

Kruk doskonale jednak wiedział, że pozory potrafią mylić.

Coś było nie tak. Coś związanego z zapłatą, którą obiecała światłości, niepokoiło dziewczynę.

Zajęty ukradkowym obserwowaniem swojej towarzyszkii, omal nie zderzył się z drzewem, przy którym przystanąła.

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Nie nabierzesz mnie. Jesteś zbyt chory, żeby dobrze udawać. Po prostu przestań się na mnie gapić. Nic mi nie jest. Jezu, jesteś gorszy od mojej mamy!

- Rozmawiałaś z nią?

Jeszcze mocniej zmarszczyła brwi.

- W ostatnich dniach nie miałam zbyt wiele wolnego czasu. Odpowiedź brzmi: nie.

- Powinnaś.

- Nie mam zamiaru rozmawiać teraz o swojej mamie!

- Jak sobie życzysz.

- A ty nie musisz do mnie mówić tym tonem!

- Jakim?

- Po prostu siadaj i bądź cicho, żebyś mogła pomyśleć, jak ci pomóc - zażądała, zamiast odpowiedzieć, po czym sama usiadła po turecku, opierając się plecami o stary cedr, z którego sypały się sopelki lodu i aromatyczne igielki. Widząc, że Rephaim się nie rusza, machnęła niecierpliwie ręką, wskazując miejsce obok siebie. - No siadaj!

Usiadł wreszcie.

- Co teraz? - zapytał.

- Daj mi minutkę. Nie wiem dokładnie, jak się do tego zabrać.

Patrzył, jak dziewczyna nawija na palec jasny loczek i marszczy czoło.

- Może powinnaś pomyśleć o tym, jak udało ci się przewrócić tego denerwującego adepta, któremu się wydawało, że może ze mną walczyć?

- Dallas nie jest denerwujący. Myślał, że mnie atakujesz.

- Całe szczęście, że tak nie było.

- Niby czemu?

Mimo bólu jej ton go rozbawił. Doskonale wiedziała, że ten mizerny adept nie był żadnym zagrożeniem nawet dla tak osłabionego Kruka Prześmiewcy. Gdyby Rephaim naprawdę atakował ją lub kogoś innego, bezsilny dzieciak nie mógłby go powstrzymać. Zauważył jednak na czole chłopaka czerwony półksiężyc znamionujący poddanego Stevie Rae, a ona była wierna do bólu. Rephaim pochylał więc głowę na znak zrozumienia.

- Bo byłoby niefortunnie, gdybym musiał się bronić - rzekł tylko.

Stevie Rae uniosła kąciki warg w namiastce uśmiechu.

- Dallas naprawdę myślał, że broni mnie przed tobą.

- Nie potrzebujesz go - wyrwało mu się. Przez dłuższą chwilę patrzeli sobie w oczy. Kruk żałował, że nie potrafi zbyt dobrze czytać w twarzy dziewczyny. Zdawało mu się, że widzi w jej oczach zaskoczenie i może odrobinę nadziei, ale zobaczył też strach: tego jednego był pewien. Strach przed nim? Nie, Stevie już dowiodła, że się go nie boi. Ten strach musiał dotyczyć czegoś, co nie było nim, lecz co jego obecność wyzwalała. - Jak sama zauważyłaś, nie dałbym rady zabić nawet muchy - dodał, nie wiedząc, co

jeszcze mógłby powiedzieć. - Z całą pewnością nie byłem dla ciebie zagrożeniem.

Stevie zamrugła parokrotnie, jakby chciała odpędzić zbędne myśli, po czym wzruszyła ramionami.

- Cóż, musiałam się nieźle nagimnastykować, żeby przekonać wszystkich w Domu Nocy, że twoje spadnięcie z nieba w tym samym czasie, kiedy zmaterializowała się ciemność, było jakimś niesamowitym zbiegiem okoliczności, i że to nie ty mnie zaatakowałeś. A jak już się dowiedzieli, że w Tulsie wciąż przebywa Kruk Prześmiewca, nie chcieli mi pozwolić wyjechać samej ze szkoły.

- Powinienem stąd odlecieć - mruknął i poczuł w środku dziwną pustkę.

- Dokąd?

- Na wschód - odparł bez wahania.

- Na wschód? To znaczy do Wenecji? Rephaimie, twój ojciec opuścił swoje ciało. Nie pomożesz mu, udając się tam teraz. Myślę, że bardziej się przydasz, zostając tutaj i pracując wraz ze mną nad sprowadzeniem z powrotem Zoey i jego.

- Nie chcesz, żebym odleciał?

Spuściła głowę, jakby wypatrywała czegoś na ziemi.

- Wampirowi jest ciężko, gdy osoba, z którą jest skojarzony, przebywa zbyt daleko.

- Ja nie jestem osobą.

- Może i nie, ale to nie przeszkodziło nam się skojarzyć, więc myślę, że ta zasada odnosi się także do nas.

- W takim razie zostanę, póki nie każesz mi odejść.

Stevie zamknęła oczy, jakby jego słowa ją zraniły, a on musiał się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki i nie pocieszyć jej, nie dotknąć.

Dotknąć? Miał ochotę jej dotknąć?

Skrzyżował ręce na piersi, jakby chciał fizycznie odepchnąć tę szokującą myśl.

- Ziemia - przerwał ciszę, w której jego głos zabrzmiał zbyt głośno. Stevie podniosła głowę i patrzyła na niego pytająco. - Wezwałaś ją, by przewróciła czerwonego adepta. I wcześniej, kiedy chciałaś uciec przed słońcem na dachu. I wtedy, gdy kazałaś jej zasypać za mną tunel prowadzący do opactwa. Nie możesz po prostu jej zawołać i poprosić o pomoc?

Jej łagodne niebieskie oczy mocno się rozszerzyły.

- Masz rację! Dlaczego tak sobie utrudniam życie? Robiłam to setki razy w różnych sytuacjach. Nie ma powodu, żeby nie zrobić tego teraz. - Uniosła dłonie wnętrzem do góry. - Schwyć mnie.

Zbyt łatwo przyszło mu rozłożenie ramion i splecenie palców z palcami dziewczyny. Spojrzał na ich złączone dłonie i nagle uświadomił sobie, że dopóki nie poznał Stevie, nigdy nie dotknął istoty ludzkiej inaczej niż w celu zadania bólu. Z nią było inaczej. Dotykał jej delikatnie, spokojnie. Dotykał jej



cieplej miękkiej skóry i czerpał z tego przyjemność. Potem usłyszał jej słowa. Miał wrażenie, że poruszają się wewnątrz niego, osiadając w tym odległym, nigdy dotąd nietkniętym miejscu.

- Ziemi, chcę cię poprosić o ogromną przysługę. Obecny tu Rephaim jest dla mnie kimś szczególnym. Teraz cierpi i trudno mu dojść do siebie. Ziemi, już wcześniej czerpałam z ciebie siłę, by ratować siebie i osoby, na których mi zależy. Teraz proszę cię o użyczenie siły Rephaimowi. Zasłużył na to. - Urwała i spojrzała na niego, ich spojrzenia się skrzyżowały, a Stevie niemal powtórzyła słowa, które kruk wypowiedział do białego byka, gdy sądził, że ona go nie słyszy: - Widzisz, to przeze mnie odniósł rany. Ulecz go. Proszę.

Ziemia pod ich stopami zadrżała, przywołując Rephaimowi na myśl rozedrganą skórę wijącego się zwierzęcia. Stevie Rae krzyknęła zdumiona i wzdrygnęła się, a on próbował się oswobodzić, by powstrzymać to, co się z nią dzieje, cokolwiek to było; Stevie jednak trzymała go mocno.

- Nie! Nie puszczaj. Wszystko w porządku.

Gorąco przepływało przez jej dłonie w jego ciało, na moment przypominając mu o tym, jak niedawno próbował przywołać nieśmiertelną krew ojca, a zamiast niej na wezwanie odpowiedziała ciemność, przenikając do jego ciała i uzdrawiając połamaną rękę oraz skrzydło. Szybko jednak się zorientował, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy dotykiem ciemności i dotykiem ziemi. Poprzednia siła była dzika i bezpardonowo wdzierала się w jego ciało, pompując energię; ta wypełniała go jak letni wietrzyk poruszający skrzydłami. Jej obecność w ciele Rephaima nie była mniej potężna od tamtej, ale w odróżnieniu od ciemności ziemia rozcieńczała swoją moc współczuciem. Jej transfuzja była żywa, zdrowa i powolna, a nie zimna, gwałtowna i żarłoczna. Była balsamem dla jego przegrzanej krwi. ulgą w rozdzierającym ciało bólu. Kiedy ciepło ziemi sięgnęło jego pleców i dotarło do tego udreżonego miejsca, z którego wyrastały skrzydła, przyniosło tak natychmiastowe ukojenie, że kruk zamknął oczy i odpowiedział długim, radosnym westchnieniem.

Przez cały proces zdrowienia powietrze wokół Rephaima wypełniał odurzający pokrzepiający aromat cedrowych igieł i słodkiej letniej trawy.

- Pomyśl teraz o przesłaniu energii z powrotem do ziemi - powiedziała łagodnie, lecz stanowczo Stevie Rae. Zaczął otwierać oczy i próbował puścić jej rękę, ale wciąż go trzymała. - Nie. Nie otwieraj oczu. Zostań tak, jak jesteś, tylko wyobraź sobie moc ziemi w postaci zielonego blasku dochodzącego spod moich stóp i poprzez moje ciało przenikającego w głąb ciebie. Kiedy poczujesz, że wykonał swoje zadanie, wyobraź sobie, że przelewa się z twojego ciała z powrotem do ziemi.

- Dlaczego? - zapytał z zamkniętymi oczami. - Dlaczego mam mu pozwolić odejść?

Gdy odpowiedziała, słyszał, że się uśmiecha.

- Bo nie należy do ciebie, głuptasie. Nie możesz zawładnąć jego mocą. Ona należy do ziemi. Ty możesz ją tylko pożyczać, a potem odsyłać z powrotem z serdecznym podziękowaniem.

Omali jej nie powiedział, że to idiotyczne; że jeśli dają ci siłę, to jej nie oddajesz. Zatrzymujesz ją, wykorzystujesz, przywłaszczasz sobie. Chciał to powiedzieć, lecz nie mógł. Te słowa wydawały mu się niewłaściwe w obliczu ziemskiej energii.

Zamiast tego zrobił więc rzecz właściwą. Wyobraził sobie wypełniającą go energię jako zielony promień przepływający mu przez kręgosłup z powrotem do ziemi, która go zrodziła. Gdy słodkie ciepło ziemi odpłynęło, cicho wypowiedział jedno słowo:

- Dziękuję.

Znow był sobą, znow siedział pod wielkim cedrem na zimnej wilgotnej ziemi i trzymał Stevie za rękę.

Otworzył oczy.

- Lepiej? - zapytała.

- Tak. O wiele lepiej. - Rozpostarł palce. Tym razem Stevie puściła jego dłonie.

- Naprawdę? Czulaam obecność ziemi i zdawało mi się, że skutecznie ją tobie przesyłam, ale nie byłam pewna. - Przechyliła głowę i przyglądała mu się.

- Faktycznie wyglądasz lepiej. W twoich oczach nie ma już śladu bólu.

Kruk wstał i rozłożył ramiona, rozpościerając ogromne skrzydła, jakby przeżył muskuły.

- Widzisz? - zapytał triumfalnie. - Nic mnie nie boli, jak to robię!

Stevie Rae wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami z tak dziwnym wyrazem twarzy, że Rephaime machinalnie opuścił ręce i złożył skrzydła.

- Coś się stało? - zapytał.

- Nie... Po prostu zapomniałam, że sam przyleciałeś do parku, a potem z niego odleciałeś. - Wydała dźwięk, który mógłby być śmiechem, gdyby nie był tak zdławiony. - Głupie, co? Jak mogłam zapomnieć o czymś takim?

- Pewnie przyzwyczaiłaś się do tego, że jestem połamany - rzekł kruk, usiłując zrozumieć, dlaczego Stevie nagle sprawia wrażenie zdystansowanej.

- Jak naprawiłeś skrzydło?

- Dzięki ziemi - odparł.

- Nie, nie teraz. Gdy tu przyszedliśmy, nie było złamane. Ból, który czuleś, nie miał z nim nic wspólnego.

- Nie. Uleczono mnie zeszłej nocy. Ból wywoływały resztki ciemności i pozostałości po tym, co zrobiła z moim ciałem.

- A co konkretnie zrobiła? Jak to się stało, że twoje skrzydło jest całe?

Nie miał ochoty odpowiadać. Gdy Stevie wpatrywała się w niego oskarżycielsko, odkrył, że wolałby skłamać - powiedzieć, że zdarzył się cud wywołany płynącą w jego żyłach krwią nieśmiertelnych. Tyle że nie mógł jej okłamać. Nie potrafił.

- Wezwałem moce, którymi zarządzam dzięki dziedzictwu krwi. Musiałem to zrobić, bo usłyszałem, jak wykrzykujesz moje imię.

Stevie Rae zamruła. Jej oczy rozbliły zrozumieniem.

- Ale byk mówił, że wypełnia cię jego moc, a nie moc twego ojca.

Kruk skinął głową.

- Czuję, że jest inna, choć nie wiedziałem dlaczego. Nie rozumiałem, że otrzymuję moc bezpośrednio od samej ciemności.

- Więc to ona cię uleczyła.

- Tak. A ziemia uleczyła mnie z ran zadanych przez ciemność.

- No dobrze. - Stevie zerwała się na nogi i otrzepała dżinsy. - Już ci lepiej, a ja muszę iść. Jak wspominałam, trudno mi się wymykać, gdy w Domu Nocy panuje psychoza na punkcie grasującego po mieście Kruka Przeźmiewcy.

Kiedy chciała szybko przejść obok niego, wyciągnął rękę i schwycił ją za nadgarstek.

Wyszarpnęła się.

Rephaim opuścił rękę i cofnął się natychmiast.

Wpatrywali się w siebie.

- Muszę iść - powtórzyła Stevie.

- Wrócisz?

- Muszę! Obiecałam! - wrzasnęła mu w twarz, a on poczuł się, jakby go uderzyła.

- Uwolniłem cię od tej obietnicy! - odwrzasnął wściekły, że ta mała kobietka potrafi wywołać w jego wnętrzu taką burzę.

- Nie tobie obiecałam - powiedziała z podejrzanym błyskiem w oku - więc nie możesz mnie uwolnić.

Potem minęła go pospiesznie, odwracając głowę, by nie mógł zobaczyć jej twarzy.

- Nie wracaj dlatego, że musisz! Wróc, tylko jeśli będziesz chciała! - zawołał za nią.

Nie zatrzymała się i nie zaszczyciła go spojrzeniem. Po prostu odeszła.

Rephaim długo stał pod cedrem. Dopiero gdy warkot silnika samochodu Stevie ucichł, kruk z wściekłym wrzaskiem pobiegł przed siebie, po czym wzniósł się w nocne niebo, gorączkowo młócąc zimne powietrze masywnymi skrzydłami i kierując się w górę w poszukiwaniu ciepłych prądów, by poniosły go dokądkolwiek, byle dalej stąd.

Dalej! Zabierzcie mnie jak najdalej!

Leciał na wschód, w kierunku przeciwnym do obranego przez Stevie Rae, oddalając się od Tulsy i od całego zamieszania, które rozpoczęło się w jego życiu z chwilą zjawienia się dziewczyny. Zamknął swój umysł na wszystkie doznania z wyjątkiem znajomej radości podniebnego lotu i szybował.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### *Stark*

- Owszem, słucham cię, Afrodyto. Chcesz, żebym się nauczył na pamięć tego wiersza. - Mówił do dziewczyny przez mikrofon połączony ze słuchawkami, których niestety nie potrafił wyłączyć. Nie miał ochoty wysłuchiwać jej głędzenia. Nie miał ochoty rozmawiać z Afrodytą ani z nikim innym. Był całkowicie zaabsorbowany opracowywaniem strategii przedostania się wraz z Zoey na wyspę. Wyjrzał przez okno helikoptera, usiłując poprzez ciemność i mgłę dostrzec ślad wyspy Skye, gdzie według Duantii i prawie całej Najwyższej Rady czekała go pewna śmierć w ciągu najbliższych pięciu dni.

- Nie wiersza, idioto. Przepowiedni. Nie prosiłabym cię, żebyś się uczył jakiegoś tam wiersza. Przenośnia porównanie, aluzja, symbolika... bla, bla, bla. Aż mnie włosy bolą, jak myślę o tych bzdetach. Nie żeby przepowiednia była mniej denerwująca, ale z przykrością stwierdzam że jest ważniejsza. Poza tym Stevie Rae ma rację. Ta przepowiednia sprawia wrażenie jakiejś skomplikowanej poetyckiej mapy - powiedziała dziewczyna.

- Zgadza się z Afrodytą i Stevie Rae - wtrącił Darius. - Prorocze wiersze Kramishy już kilkakrotnie udzieliły Zoey wskazówek. Z tym może być podobnie.

Stark oderwał wzrok od okna.

- Wiem. - Spojrzał na Dariusza, na Afrodytę, wreszcie na leżące bez życia ciało Zoey przypięte do wąskich noszy pomiędzy nim a pozostałą dwójką. - Znalazła już Kalonę na wodzie. Musi go oczyścić przez ogień. Powietrze musi wyszeptać do niej coś, co duch wie, a jeśli będzie podążała za prawdą, uwolni się. Zapamiętałem już ten przeklęty wiersz czy proroctwo, wszystko mi jedno. Jeśli jest jakaś szansa, że to pomoże, przekażę go Zoey.

Tymczasem w słuchawkach wszystkich pasażerów zabrzmiał głos pilota:

- Ląduję. Pamiętajcie, że mogę was jedynie wysadzić. Dalej musicie sobie radzić sami. Wiedźcie jednak, że każdy krok zrobiony na tej wyspie bez pozwolenia Sgiach będzie was kosztował życie.

- Słyszałem to już ze sto razy, dupku - mruknął Stark, nie przejmując się, że pilot odwraca się i patrzy na niego groźnie.

Helikopter osiadł. Darius pomógł Starkowi rozpiąć pasy Zoey. Młody wojownik zeskoczył na ziemię, a pozostali ostrożnie podali mu ciało dziewczyny. Przygarnął ją do piersi, by ochronić przed zimnym wilgotnym wiatrem potęgowanym przez potężne łopaty helikoptera. Darius i Afrodyta dołączyli do niego i cała grupa pospiesznie oddaliła się od maszyny. Pilot nie przesadzał: nie minęła nawet minuta, a już uniósł śmigłowiec w powietrze.

- Mięczaki - mruknął Stark.

- Po prostu zawierzają swoim instynktom - zaprzeczył Darius, rozglądając się, jakby lada chwila z otaczającej ich mgły miał wyskoczyć jakiś upiór.

- Bez jaj. To miejsce naprawdę jest straszne. - Afrodyta przysunęła się do niego, a on przygarnął ją do siebie zaborczo.

Stark zmarszczył brwi.

- Odbija wam? Tylko mi nie mówcie, że te ponure wampirzyce namieszały wam w głowach.

Darius dokładnie zlustrował go wzrokiem, a potem wymienił spojrzenia z Afrodytą.

- Nie czujesz tego, prawda?

- Jest mi zimno i mokro. Jestem wściekły, że Zoey ma kłopoty, a ja nie potrafię jej pomóc. Wkurza mnie, że za jakąś godzinę nadejdzie świt, a moim jedynym schronieniem jest chatka, która według kapłanek znajduje się pół godziny drogi stąd w przeciwnym kierunku. Co jeszcze powinienem czuć?

- Silne pragnienie ucieczki - odpowiedziała zamiast Dariusza Afrodyta. - Ucieczki w sensie dosłownym. Natychmiastowej.

- Chcę zabrać Afrodytę z tej wyspy i nigdy tu nie wrócić - dodał Darius. - To właśnie podpowiada mi instynkt.

- A ty nic takiego nie czujesz? - zapytała Starka dziewczyna. - Nie masz ochoty zabrać Zoey jak najdalej stąd?

- Nie.

- To chyba dobry znak - rzekł Darius. - Ostrzeżenie wplecione w strukturę tej wyspy jakimś sposobem jego nie dotyczy.

- Albo Stark jest zbyt przymulony, żeby je odczytać - dodała dziewczyna.

- Tym optymistycznym akcentem zakończmy dyskusję - uciął Stark. - Nie zamierzam marnować czasu na wasze tchórzliwe obawy. - Z Zoey w ramionach ruszył przed siebie długim wąskim mostkiem, który rozciągał się między cyplem wyrastającym ze stałego lądu a wyspą. Most oświetlały ledwo widoczne w zawiesistej nocnej mgłę pochodnie. - Idziecie czy nie? A może uciekniecie z piskiem jak panienki?

- Idziemy - rzekł Darius, doganiając go kilkoma susami.

- Jeśli o mnie chodzi, to powiedziałam tylko, że mam ochotę uciekać. O piszczeniu nie wspominałam. Nie mam w zwyczaju piszczeć - dodała Afrodyta.

Oboje udawali twardzieli, ale Stark nie zdążył jeszcze dojść do połowy mostu, gdy usłyszał, jak dziewczyna szepcze coś do Dariusza. Zerknął na nich. Mimo słabego światła zauważył niesamowitą błądźliwość wojownika i jego kapłanki. Zatrzymał się.

- Nie musicie iść ze mną. Wszyscy, nawet Tanatos, twierdzili, że Sgiach w żadnym wypadku nie wpuści was na wyspę. A jeśli się mylili i jednak się tam dostaniecie, to i tak niewiele będziecie mogli zrobić. Sam muszę wykombinować, jak dotrzeć do Zoey.

- Nie możemy być przy tobie, gdy będziesz w Zaświatach - rzekł Darius.

- Więc cię ubezpieczamy i nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia. Zoey byłaby na mnie cholernie wściekła, gdyby wróciła tutaj - Afrodyta wskazała bezwładne ciało - i dowiedziała się, że Darius i ja pozwoliliśmy ci wdepnąć w to gówno samemu. Wiesz, jaka ona jest z tym swoim nastawieniem „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Wampirki nie mogły tu wysłać całego baraniego stadka, więc my dwoje odwalamy robotę w jego imieniu. Znowu. A zatem skoro sam obiecałeś, że nie zamierzasz marnować cennego czasu, to go nie marnuj. - Machnęła ręką w kierunku rozciągającej się przed nimi ciemności. - Idź, a ja będę udawać, że nie widzę rozbijających się w dole czarnych fal i nie jestem na sto procent pewna, że ten cholerny most lada chwila się rozwali i wpadniemy do wody, w której potwory morskie wciągną nas pod te koszarne czarne fale i wyssą nam mózgi.

- Naprawdę takie uczucia budzi w was to miejsce? - zapytał Stark, bezskutecznie próbując powstrzymać uśmiech.

- Owszem, tępaku.

Stark spojrzał na Dariusza, który pokiwał głową, najwyraźniej wołając zacisnąć zęby i rzucać podejrzliwe spojrzenia na „koszarne fale”, niż cokolwiek mówić.

- Hm. - Teraz już Stark uśmiechnął się do Afrodyty całą gębą. - Ja widzę po prostu wodę i most. Naprawdę szkoda, że was to tak przeraża.

- Idź - odparła Afrodyta - zanim zapomnę, że trzymasz Zoey, i zepchnę cię z tego mostu, żebyśmy mogli wrócić biegiem tam, skąd przyszliśmy, z piskiem czy nie.

Stark nie potrzebował tej odprawy, by spoważnieć już po kilku krokach. Wystarczył ciężar ciała Zoey w jego ramionach. „Nie powinienem zadzierać z Afrodytą. Muszę się skupić na tym, co mam powiedzieć mieszkańcom wyspy. Błagam, Nyks, niech to będzie dobry wybór. Niech powiem coś, co pozwoli mi dostać się na wyspę”. Zdecydowanym krokiem prowadził swych towarzyszy przez most, aż dotarli do stóp ogromnego łuku wykonanego z eterycznie pięknego białego kamienia. Światło pochodni wyłapywało połyskujące uwodzicielsko srebrzyste żyłki w czymś, co Stark uznał za unikatowy marmur.

- Oż kurde. - Afrodyta odwróciła wzrok od łuku. - Dosłownie nie mogę na to patrzeć, a zwykle uwielbiam świecidełka.

- To musi być czar odstraszający - rzekł Darius.

- Odstraszający? - Afrodyta zerknęła na łuk, zadrżała i znów szybko odwróciła spojrzenie. - Raczej obrzydzący.

- On też na ciebie nie działa, prawda? - zapytał Starka Darius.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Łuk robi wrażenie i z całą pewnością był bardzo kosztowny. Poza tym nie wzbudza we mnie żadnych uczuć. - Podszedł do kamiennej budowli i przyglądał się jej. - Jest tu gdzieś jakiś dzwonek albo coś? Jak mamy kogoś przywołać? Mają jakiś domofon, mam wrzeszczeć czy co?

- *Ha Gaelic akiv?* - Bezcielesny męski głos zdawał się dobiegać ze środka łuku, jakby ten był żywy. Stark wbił wzrok w ciemny tunel. - Przejdę zatem na angielski - kontynuował głos. - Do przywołania mnie wystarczyła wasza nieproszona wizyta.

- Muszę porozmawiać ze Sgiach. To sprawa życia i śmierci - rzekł Stark.

- Wasza młódź, żywa czy umarła, niczym jest dla Sgiach.

Tym razem głos jakby się przybliżył, a jego akcent stał się bardziej szkocki i gardłowy.

- Co to, u diabła, znaczy „młódź”? - szepnęła Afrodyta.

- Ciii... - syknął Stark. - Zoey jest najwyższą kapłanką i potrzebuje pomocy - zwrócił się do bezcielesnego głosu.

Z cienia wyłonił się mężczyzna w czerwono-brązowym kilcie niepodobnym do tych, które widywali podczas swojej pospiesznej podróży przez szkockie góry. Ten był bardziej pofałdowany i nie tak elegancki. Poza tym wampirovi brakowało tweedowej marynarki i koszuli z falbanami. Miał nagie ramiona i częściowo odsłonięty tors, nabitą ćwiekami kamizelkę i ochraniacze na ręce. U jego pasa lśniła rękojeść dirka, tradycyjnego szkockiego sztyletu. Głowę miał wygoloną z wyjątkiem biegnącego przez jej środek pasma krótkich włosów. Z jednego ucha zwisały mu dwa złote kółka. Światło pochodni pochwyliło złotą bransoletę przywódcy klanu. Z muskularną sylwetką kontrastowała pokryta głębokimi zmarszczkami twarz z krótko przystryżoną siwą brodą i tatuażem w kształcie gryfów ze szponami na kościach policzkowych. Stark miał wrażenie, że widzi przed sobą człowieka, który mógłby przejść przez ogień i wyjść z niego nie tylko nietknięty, lecz zwycięski.

- To adeptka, nie żadna kapłanka - zauważył wojownik.

- Zoey nie jest zwykłą adeptką - rzekł szybko Stark, bojąc się, że ktoś, kto wygląda, jakby przybył z zamierzchłych czasów, może się lada chwila rozpląnąć i wrócić do przeszłości. - Jeszcze dwa dni temu miała znak wampira, a tatuaże pokrywały większość jej ciała. Posiadała też dar komunikacji ze wszystkimi pięcioma żywiołami.

Badawcze spojrzenie niebieskich oczu ani na moment nie opuściło Starka, jakby Zoey, Afrodyty i Dariusa wcale tam nie było.

- Dziś jednak widzę jedynie nieprzytomną adeptkę.

- Dwa dni temu jej dusza rozbiła się podczas walki z upadłym nieśmiertelnym. Wówczas tatuaże zniknęły.

- W takim razie dziewczyna umrze. - Wampir machnął lekceważąco ręką i ruszył z powrotem.

- Nie! - krzyknął Stark, robiąc krok naprzód.

- *Stad anisl* - rzucił rozkazująco wampir i z niezwykłą szybkością odwrócił się, skoczył i wylądował pod łukiem, zastawiając chłopcu drogę. - Czyś ty doszczętnie oszalał, człowieku? Nie wolno ci wejść na Eilean nan Sgiath, Wyspę Kobiet. Jeśli spróbujesz to uczynić, zapewniam cię, że zapłacisz życiem.

Stark stał o centymetry od potężnego wampira, ale nie cofnął się.

- Nie jestem głupcem - rzekł, patrząc tamtemu w oczy. - Jestem wojownikiem Zoey i jeśli uważam, że na tej wyspie moja kapłanka otrzyma najlepszą ochronę, mam prawo zanieść ją do Sgiach.

- Ktoś wprowadził cię w błąd, wojowniku - oświadczył uprzejmie, lecz stanowczo wampir. - Sgiach i jej wyspa nijak się mają do twojej Najwyższej Rady i jej zasad. Nie jestem Synem Ereba, a *ino bann ri*, moja królowa, nie mieszka we Włoszech. Wszystko jedno, czyś jest wojownikiem rannej kapłanki czy nie. W tym miejscu nie masz żadnych praw.

Stark obrócił się gwałtownie do Dariusa.

- Potrzyj Zoey. - Podał dziewczynę drugiemu wojownikowi, a potem znów zwrócił się twarzą do strażnika bramy, uniósł dłoń wierzchem do góry i na oczach zaciekawionego wampira przeciął sobie paznokciem nadgarstek. - Nie proszę o prawo wstępu jako Syn Ereba. Sprzeciwiłem się Najwyższej Radzie. Mam gdzieś jej zasady. W ogóle o nic nie proszę! Na moc krwi, która we mnie płynie, żądam widzenia ze Sgiach! Mam jej coś do powiedzenia.

Wampir nie oderwał wzroku od oczu chłopaka, ale węszył w powietrzu.

- Jak się zwiesz?

- Dziś nazywają mnie Stark, sądzą jednak, że pytasz o nazwisko, które nosiłem, nim mnie naznaczono: MacUallis!

- Zostań tu, MacUallis. - Po tych słowach wampir zniknął w mroku.

Stark wytarł zakrwawioną rękę o dzinsy i odebrał Zoey od Dariusa.

- Nie pozwolę jej umrzeć. - Wziął głęboki oddech, zamknął oczy i przygotował się do przejścia pod łukiem, licząc na to, że ochroni go krew jego ludzkich przodków.

Darius schwycił go za ramię i powstrzymał.

- Sądzę, że on po ciebie wróci. To miał na myśli, każąc ci tu zostać.

Stark zatrzymał się i spojrzał na niego, a potem na Afrodytę, która przewróciła oczami.

- Wiesz - powiedziała - skoro już dostałeś drugie życie, to chyba powinieneś się w nim nauczyć odrobiny cierpliwości i rozumu. Nie wytrzymasz paru minut? Barbarzyńca kazał ci tu zostać, a nie odejść. Wygląda na to, że zamierza wrócić.

Stark chrząknął, odsunął się o krok od przejścia i stanął oparty o zewnętrzną ścianę łuku, przekładając ciężar Zoey w rękach tak, by było mu lżej.

- Świetnie. Poczekam. Byleby nie za długo. Albo mnie wpuszczą na tę cholerną wyspę, albo nie. Tak czy owak chcę mieć to z głowy.

- Dziewczyna ma rację – dobiegł z ciemności wyspy kobiecy głos. – Musisz nauczyć się cierpliwości, młody wojowniku.

Stark wyprostował się i ponownie stanął przodem do wyspy.

- Mam tylko pięć dni na ratowanie Zoey. W przeciwnym razie umrze. Chwilowo brak mi czasu na naukę cierpliwości.

Śmiech kobiety sprawił, że włoski na rękach stanęły mu dęba.



- Porywczy, arogancki i bezczelny – powiedziała. – Przypomina mi ciebie sprzed kilku wieków, Seorasie.

- Może i tak, ale ja nawet wówczas nie byłem taki młody – odparł znajomy głos wampirskiego wojownika.

Stark walczył właśnie z pokusą zawołania do nich, by wyszli z mroku i stanęli z nim twarzą w twarz, gdy nagle zmaterializowali się przed samym jego nosem po drugiej stronie łuku. Ledwie obdarzył uwagą znajomego już wampira, bo całkowicie zaabsorbowała go kobieta.

Była wysoka, barczysta i umięśniona, a zarazem bardzo kobieca. Oczy, mimo zmarszczek w kącikach, były duże i piękne, a ich barwa idealnie odpowiadała barwie bursztynu wielkości pięści, który zdobił kolię na jej szyi. Nie licząc kosmyka barwy cynamonu, sięgające do pasa włosy kobiety były idealnie siwe, lecz nie wyglądała staro. Młodo zresztą też nie. Przyglądając się jej, Stark uświadomił sobie nagle, że łączy ją jakieś nieuchwytnie podobieństwo z Kaloną, który był jednocześnie wiecznie młody i bardzo stary. Ostro zarysowaną zmysłową twarz okalały niesamowite tatuaże przedstawiające miecze o misternie żłobionych rękojeściach i ostrzach. Po długim milczeniu chłopak odzyskał rezon. Odchrząknął, przygarnął Zoey do piersi i pokłonił się kobiecie.

- Bądź pozdrowiona, Sgiach.

- Dlaczego mam cię wpuścić na swoją wyspę? - zapytała bez wstępów.

Stark wziął głęboki oddech i unióśł głowę, by spojrzeć wojownicze prosto w oczy.

- Mocą prawa krwi. Jestem MacUallisem, a to oznacza, że należę do twego klanu.

- Nie jej, chłopcze. Mojego - poprawił go mężczyzna, wykrzywiając usta w uśmiechu, w którym kryła się raczej groźba niż zachęta.

Zaskoczony Stark przeniósł na niego wzrok.

- Twojego? - zapytał głupio. - To twój klan?

- Wiesz co? - zwróciła się do swego wojownika kobieta. - Ty za młodu byłeś jednak bystrzejszy.

- W istocie - roześmiał się wampir. - W każdym wieku miałem więcej rozumu niż on.

- Mam dość rozumu, by wiedzieć, że dziedzictwo mojej ludzkiej krwi łączy mnie zarówno z wami obojgiem, jak i z tą wyspą- odrzekł Stark.

- Ledwo z pieluch wyrosłeś, chłopczyku - zakpił wojownik. - Bardziej ci przystoją chłopięce zabawy, a takich na naszej wyspie nie uświadczysz.

Zamiast zdenerwować Starka, słowa mężczyzny odblokowały jego pamięć, jak gdyby znów miał przed oczami notatki Damiena.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego przysługuje mi prawo wejścia na wyspę? - zapytał. - Nie mam zielonego pojęcia, jakim trzeba być wojownikiem, by uratować Zoey, ale wiem, że ona jest kimś więcej niż zwykłą najwyższą kapłanką. Nim roztrzaskano jej duszę, zmieniała się w coś, czego wampiry

jeszcze nigdy nie widziały. - Myśli rodziły się w jego głowie bez wysiłku. Zobaczył zaskoczenie na twarzy Sgiach, fragmenty układanki wskoczyły na właściwe miejsca i poczuł, że podąża dobrym tropem. - Zoey stawiała się Królową Żywiołów. Ja jestem jej wojownikiem, jej strażnikiem, a ona moim Asem. Przybyłem tu po to, by nauczyć się ją chronić. Czyż nie tym się zajmujesz? Czy nie szkolisz wojowników w ochronie ich Asów?

- Przestali do mnie przychodzić - wyznała Sgiach.

W pierwszej chwili sądził, że jedynie mu się zdawało, iż słyszy w jej głosie smutek, ale kiedy starszy wojownik zbliżył się nieco do swojej królowej, jakby natychmiast wychwycił zmianę jej nastroju i chciał ją pocieszyć, Stark zrozumiał ponad wszelką wątpliwość, że znalazł właściwą odpowiedź. „Dziękuję, Nyks” - pomyślał.

- Nie - rzekł do starożytnej królowej - nie przestali. Jestem tu. Ja, wojownik, w którego żyłach płynie krew MacUallisów. Proszę cię o pomoc, by móc chronić swego Asa. Sgiach, pozwól mi wejść na swoją wyspę. Naucz mnie, jak zachować przy życiu moją królową.

Zawahała się, wymieniając spojrzenie ze starym wojownikiem, po czym uniosła rękę.

- *Failte gu ant Eilean nan Sgiath...* Witamy na Wyspie Sgiach. Możesz wejść.

- Wasza wysokość - odezwał się Darius i wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Wojownik przykląkł na jedno kolano przed łukiem. Afrodyta stała za jego plecami.

- Możesz mówić - zachęciła go Sgiach.

- Nie należę do klanu, ale i ja jestem obrońcą Asa. Zwracam się zatem z prośbą o możliwość wejścia na wyspę. Nie przybywam jako świeżo mianowany wojownik, lecz sądzę, że jeszcze wielu rzeczy mógłbym się nauczyć. Proszę, pozwól mi zdobywać tę wiedzę u boku mego brata w jego walce o uratowanie Zoey.

- Ta dziewczyna jest człowiekiem, a nie najwyższą kapłanką - zauważył stary wampir, przyglądając się Afrodycie. - Jak możesz być z nią związany ślubowaniem?

- Przepraszam, nie dosłyszałam twego imienia. Shawnus? - zapytała Afrodyta, podchodząc do Dariusza i kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Seoras, do diabła! Głuchaś czy co? - odrzekł wojownik, wolno i wyraźnie wypowiadając swoje imię. Stark ze zdumieniem zauważył, że na dźwięk złośliwego tonu dziewczyny kąciki ust wampira unoszą się w namiastce uśmiechu.

- Otóż, Seorasie - powiedziała, zdumiewająco dobrze naśladowując jego wymowę - nie jestem człowiekiem. Byłam adeptką i wizjonerką. Potem przestałam być adeptką, ale Nyks z jej tylko znanych powodów postanowiła nie odbierać mi wizji. Teraz jestem więc Wieszczką Bogini. Mam nadzieję, że nie licząc stresów i bólów oczu, których mi przysparza, mój status oznacza, iż będę

się starzeć równie pięknie jak twoja królowa. - Afrodyta przerwała i skłoniła się Sgiach, która uniosła brwi, lecz nie zamordowała dziewczyny, choć Stark uważał, że powinna. - Wracając do tematu: Darius jest moim zaprzysiężonym wojownikiem. Jeśli dobrze zrozumiałam aluzję, a to nie takie pewne, bo mam cholerne problemy z odczytywaniem metafor, na swój szczególny sposób jestem Asem. Darius pasuje więc do waszego klanu strażników, nawet jeśli nie płynie w nim wasza krew.

Starkowi wydało się, że słyszy, jak Seoras mamrocze „Bezczelna pinda”.

- A to ciekawe! - szepnęła w tym samym momencie Sgiach. - *Failte gu ant nan Sgiath*, wieszczko i jej wojownik.

Bez dalszej dyskusji niosący Zoey Stark, a za nim Darius i Afrodyta przeszli pod marmurowym łukiem i znaleźli się na Wyspie Kobiet.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### *Stark*

Seoras poprowadził ich do czarnego rangę rovera zaparkowanego za rogiem i niewidocznego od strony łuku. Stark zatrzymał się przy samochodzie. Na jego twarzy musiało się odmalować zdumienie, bo stary wojownik parsknął śmiechem.

- Chyba nie spodziewałeś się bryczki i kuca szkockiego?

- Nie wiem jak on, ale ja tak - powiedziała Afrodyta, sadowiac się na tylnym fotelu obok Dariusa. - I tym razem pomyłka niezmiernie mnie cieszy.

Mężczyzna otworzył przednie drzwi od strony pasażera. Stark wsiadł, ostrożnie manewrując ciałem Zoey. Wojownik ruszył, nim chłopak się zorientował, że Sgiach nie ma z nimi.

- Hej, a gdzie twoja królowa?

- Sgiach nie potrzebuje samochodu, żeby się poruszać po wyspie.

Stark zastanawiał się, jak sformułować następne pytanie, lecz ubiegła go Afrodyta.

- A co to niby ma znaczyć, do diabła?

- To znaczy, że dary Sgiach nie są ograniczone do konkretnych żywności. Komunikuje się z wyspą. Rządzi wszystkim, co się tu znajduje.

- W mordę jeża! Chcesz powiedzieć, że potrafi się teleportować jak w jakiejś mądrzejszej wersji *Star Trekal* - zdumiała się Afrodyta. - O ile oczywiście *Star Trek* mógłby mieć mądrzejszą wersję - dodała.

Stark zaczął się zastanawiać, jak by tu ją zakneblować, nie narażając się na furię Dariusa.

Stary wojownik natomiast pozostał niezrażony.

- Można to mniej więcej tak określić.

- Słyszałeś o *Star Trekul* - wypalił zdziwiony chłopak, nim zdążył się ugryźć w język.

Wojownik wzruszył ramionami.

- Mamy antenę satelitarną.

- A internet? - zapytała z nadzieją Afrodyta.

- Internetograf też - odparł z kamienną twarzą Seoras.

- Więc dopuszczacie komunikację z zewnątrz - zauważył Stark.

Seoras zerknął na niego.

- Jeśli służy królowej, to tak.

- Mnie to nie dziwi - rzekła Afrodyta. - Jako królowa zapewne lubi robić zakupy. Stąd internet.

- Jako królowa lubi być informowana o tym, co się dzieje na świecie - poprawił ją wojownik tonem nie zachęcającym do zadawania dalszych pytań.

Jechali w milczeniu, póki niebo na wschodzie nie zaczęło blednąć. Zaniepokojony Stark już miał powiedzieć Seorasowi, co się z nim stanie, jeśli świt zastanie go na zewnątrz, gdy wojownik wskazał coś na lewo od wąskiej drogi.

- Craobh, Święty Gaj. Zamek jest na wybrzeżu tuż za nim.

Oczarowany chłopak wpatrywał się w zdeformowane pnie drzew. Wyglądały, jakby nie potrafiły unieść nawet jednego listka, ale musiała to być iluzja, bo ich korony stanowiły istny ocean zieleni. Wewnątrz dostrzegał niewiele: warstwy mchu, cienie i połyskujące odłamki tego samego marmuru, z którego zrobiono łuk. A przed tym wszystkim, niczym przywołująca podróży latarnia, wyrastało coś, co wyglądało na dwa splecione razem drzewa, z których gałęzi zwisały paski jaskrawej tkaniny, kontrastując z sękatymi konarami, a zarazem dodając im uroku.

Im dłużej się na nie gapił, tym dziwniej się czuł.

- Nigdy nie widziałem takiego drzewa - rzekł wreszcie. - Po co zawieszono na nim ten materiał?

Seoras zatrzymał samochód na środku drogi.

- To głóg i jarzębina wyhodowane razem jako obwieszka.

Widząc, że nie zamierza powiedzieć nic więcej, Stark rzucił mu sfrustrowane spojrzenie.

- Obwieszka?

- Masz poważne luki w edukacji, młodzieńcze. Każdy węzeł, każdy powieszony na tym drzewie pasek materiału symbolizuje życzenie. Wieszają je rodzice pragnący zdrowia swego dziecka, przyjaciele wspominający tych, którzy odeszli do innego świata, ale najczęściej kochankowie chcący zapewnić powodzenie swemu związkowi. Takimi drzewami opiekuje się Dobry Lud, który przynosi życzenia między światami.

- Dobry Lud? - zapytał zniecierpliwiony zagadkami Stark.

- Tak. Magiczne istoty, po waszemu wróżki albo elfy. Nie wiesz, skąd się wzięło powiedzenie o związaniu węzłem małżeńskim? - Wskazał sułty na drzewie.

- Romantyczne - zauważyła Afrodyta wyjątkowo bez śladu sarkazmu.

- A jakże! Prawdziwie romantyczne, bo szkockie! - rzekł wojownik, wrzucając bieg i powoli odjeżdżając od obwieszzonego życzeniami drzewa.

Stark tak się zamyślił nad możliwością związania się takim węzłem z Zoey, że nie widział zamku, póki Seoras ponownie nie zatrzymał samochodu. Dopiero wtedy podniósł głowę i w oczy uderzyła go feeria światła odbitych od skały i wody. Budowla stała o kilkaset metrów od głównej drogi, przy wąskiej drodze będącej w zasadzie przecinającą moczary groblą. Oświetlały ją pochodnie podobne do tych na moście, tyle że tu było ich co najmniej trzy razy więcej, więc droga i samo ogromne zamczysko pławiły się w blasku.

Pomiędzy latarniami widniały zaś pale grubości męskiego ramienia z osadzonymi na czubkach głowami. W pierwszej chwili Stark miał wrażenie, że

makabryczne zasuszone czaszki o skrzywionych ustach i brakujących oczach się ruszają; dopiero potem zauważył, że to tylko zimny wiatr miota długimi strąkami włosów zwisającymi z pokurczonych skalpów.

- Ohyda - szepnęła z tylnego siedzenia Afrodyta.

- Wielki Łowca Głów - szepnął oczarowany Darius.

- Nasza Sgiach - potwierdził tylko Seoras, ale wargi wygięły mu się w dumnym uśmiechu.

Stark milczał, przenosząc wzrok z potwornego szpaleru na fortecę, która wznosiła się na samym brzegu urwiska opadającego do oceanu. Nietrudno mu było wyobrazić sobie, jak musi wyglądać zamek od strony oceanu, od strony świata, który nigdy nie dostąpi zaszczytu wstąpienia w jego progi, nawet jeśli ochronne czary Sgiach nie będą powstrzymywały intruzów. Budowlę wykonano z szarego kamienia przetkanego połyskującym białym marmurem, który na wyspie spotykało się co krok. Przed grubymi dwuskrzydłowymi drewnianymi wrotami widniał imponujący łuk, a za nim wąski mostek prowadzący do zamku.

Wysiadając z samochodu, Stark usłyszał jakiś dźwięk i jeszcze bardziej zadarł głowę. Z najwyższej wieżyczki wyrastała oświetlona kręgiem pochodni flaga. Choć łopotała na wietrze, bez trudu dostrzegł wyraźny kształt potężnego czarnego byka z wpisaniem w środek swego ciała wizerunkiem bogini lub królowej.

Potem wrota zamku się otwały i ze środka wybiegło kilkanaścioro wojowników obojga płci. Stark machinalnie się cofnął, a Darius stanął obok niego w pozycji obronnej.

- Nie obawiajcie się - rzekł Seoras z uspokajającym gestem sękaty dłoni.

- Oni tylko chcą się pokłonić waszej królowej.

Wojownicy, odziani identycznie jak on niezależnie od płci, szybko, lecz bez śladu wrogości podszli do Starka. Szli w dwuszeregu, niosąc skórzaną lektykę.

- Gdy któryś z naszych ludzi traci życie, tradycja nakazuje klanowi zabrać go do domu, do Tir na nóg, ziemi naszej młodości - wyjaśnił Seoras. - Nigdy nikogo nie zostawiamy na pastwę losu.

Stark po chwili wahania spojrzął mu w oczy.

- Nie mogę pozwolić, żeby ją zabrali.

- Skądże znowu - odparł spokojnie Seoras, kiwając ze zrozumieniem głową. - Nikt ci jej nie zabierze. Będziesz przewodził, a klan zajmie się resztą.

Chłopak stał bez ruchu. W końcu stary wojownik podszedł i wyciągnął rękę. Stark nie zamierzał oddać mu Zoey. Nie wierzył, że zdoła to znieść, póki nie zobaczył złotej bransolety połyskującej na nadgarstku wojownika. Ten widok coś w nim poruszył i ku własnemu zdumieniu młody wojownik uświadomił sobie, że ufa Seorasowi. Przekazał mu dziewczynę, wiedząc, że jej nie oddaje, lecz się nią dzieli.

Seoras odwrócił się i ostrożnie ułożył Zoey w lektyce. Wojownicy - było ich po sześcioro z każdej strony - skłonili się z szacunkiem. Potem ich

przywódczyni, wysoka kruczowłosa kobieta stojąca u szczytu lektyki, rzekła do Starka:

- Wojowniku, zajmij moje miejsce.

Stark bez namysłu podszedł do lektyki i gdy kobieta się odsunęła, ujął wysłużoną rączkę. Seoras ruszył przodem, a pozostali wojownicy jak jeden mąż poszli za nim, niosąc Zoey niczym umarłą królową do pałacu Sgiach.

Widok wnętrza budowli bardzo zaskoczył nowo przybyłych, zwłaszcza w porównaniu z ponurą ekspozycją, którą napotkali na zewnątrz. Stark oczekiwał przynajmniej zamku wojownika - surowego, spartańskiego, będącego czymś na kształt skrzyżowania lochu z męską szatnią. Mylił się, i to bardzo.

Zamek prezentował się wprost niesamowicie. Podłogi miał z marmuru ze srebrnymi żyłkami, ściany pokryte kolorowymi gobelinami ukazującymi przeróżne sceny, od wyspiarskich sielanek z długowłosymi krowami po równie imponujące, co krwawe bitwy. Przeszli przez hol i długim korytarzem dotarli do ogromnych podwójnych schodów, gdzie Seoras gestem zatrzymał kolumnę.

- Nie możesz być strażnikiem Asa, jeśli nie potrafisz podjąć decyzji. Musisz więc zdecydować, chłopcze, czy chcesz zabrać swoją królową na górę, by odpocząć i przygotować się, czy też od razu chcesz rozpocząć misję.

- Nie mam czasu na odpoczynek - odparł bez wahania Stark - a przygotowania rozpocząłem w dniu, w którym Zoey przyjęła moje ślubowanie. Chcę zacząć natychmiast.

Seoras skinął lekko głową.

- Chodźmy zatem do komnaty Fianny Foil.

Ku potwornej irytacji Starka Afrodyta przyspieszyła, niemal ich doganiając.

- Seorasie - zapytała - co właściwie miałeś na myśli, nazywając zadanie Starka misją?

Wojownik nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem.

- Chyba mówię wyraźnie, kobieto. Skoro powiedziałem „misja”, to miałem na myśli misję.

Afrodyta odpowiedziała prychnięciem.

- Zamknij się - szepnął Stark, lecz ona jak zwykle go zignorowała.

- Tak, dosłyszałam słowo. Po prostu nie jestem pewna, czy rozumiem jego znaczenie.

Seoras dotarł do wielkich dwuskrzydłowych drzwi, które wyglądały, jakby do ich otwarcia trzeba było całej armii, ale wojownik powiedział tylko cicho:

- Twój strażnik prosi o zgodę na wejście, królowo.

Drzwi otworzyły się z dźwiękiem przywodzącym na myśl westchnienie oblubienicy i Seoras wprowadził ich do najbardziej zdumiewającego pomieszczenia, jakie Stark widział w życiu.

Pośrodku ogromnej komnaty na białym marmurowym tronie ustawionym na trzystopniowym podeście siedziała Sgiach. Na całej powierzchni niezwyklego siedziska wyrzeźbiono mnóstwo misternych symboli opowiadających jakąś historię lub ukazujących scenę, ale przez znajdujący się za tronem witraż wdzierało się już światło brzasku, więc Stark stanął jak wryty, nie czekając, aż go dosięgnie. Cała kolumna wojowników również znieruchomiła, przyglądając mu się ciekawie. Gdy chłopak zmrużył oczy i starał się pokonać mętlik, jaki wywołała w jego głowie jasność, Afrodyta zbliżyła się do Seorasa, szybko skłoniła się Sgiach i rzekła do starego wojownika:

- Stark to czerwony wampir. Jest inny niż wy. W pełnym świetle dnia spłonie.

- Zasłonić okna - rozkazał natychmiast Seoras i wojownicy bez ociągania wykonali polecenie, rozwijając czerwone aksamitne kotary, których Stark wcześniej nie zauważył.

Jego wzrok natychmiast przywykł do ciemności, która spowiła salę, więc nim jeszcze wojownicy zdążyli zapalić pochodnie na ścianach i świeczniki wielkości drzew, wyraźnie zobaczył, jak Seoras wchodzi po stopniach podestu i zajmuje miejsce po lewej stronie tronu. Biła od niego taka pewność siebie, że chłopak nie miał najmniejszych wątpliwości, iż nic na tym świecie, a może i na tamym, nie zdołałoby tknąć jego królowej. Poczul ukłucie zazdrości. On też tego pragnął - pragnął odzyskać Zoey i zapewnić jej bezpieczeństwo po wsze czasy! Sgiach uniosła dłoń i pogłaskała swego wojownika po przedramieniu, krótko, lecz poufale. Nie spojrzała przy tym na niego, ale Stark owszem. Zobaczył w jego oczach uczucie, które sam doskonale znał. Seoras nie był jakimś tam strażnikiem - był strażnikiem Sgiach. I kochał ją.

- Podejdźcie i połóżcie przede mną młodą królową - rzekła kobieta, przywołując Starka gestem.

Kolumna przesunęła się do przodu i łagodnie postawiła lektykę z Zoey na marmurowej podłodze u stóp Sgiach.

- Nie tolerujesz słońca. Co jeszcze cię wyróżnia? - zapytała Starka, gdy zapalono pozostałe pochodnie i komnata zajaśniała ciepłym żółtym blaskiem otwartego ognia.

Wojownicy wtopili się w zacienione kąty sali. Stark stanął twarzą do królowej i jej strażnika, odpowiadając szybko, by nie trwonić czasu na wykrety czy wstępy.

- Zwykle przesypiam cały dzień. Nie jestem w pełni sprawny, gdy świeci słońce. Mam większą żądzę krwi niż zwykle wampiry. Nie mogę wejść do prywatnego domu bez zaproszenia. Być może różnic jest więcej, ale dopiero niedawno zostałem czerwonym wampirem, więc jeszcze ich nie odkryłem.

- Czy to prawda, że umarłeś i zmartwychwstałeś? - zapytała królowa.

- Tak - odparł pospiesznie chłopak, licząc na to, że Sgiach nie będzie drążyć tematu.



- To intrygujące... - mruknęła.

- Czy dusza twojej królowej rozprysnęła się za dnia? Czy to dlatego nie zdołałeś jej ochronić? - zapytał Seoras.

Stark miał wrażenie, że to pytanie wbija mu się w serce niczym strzała, wytrzymał jednak spojrzenie wojownika i odpowiedział szczerze:

- Nie. Zawiodłem nie dlatego, że działo się to za dnia, lecz dlatego, że popełniłem błąd.

- Jestem przekonana, że Najwyższa Rada oraz wampiry z twojego Domu Nocy wyjaśniły ci, iż rozbita dusza oznacza wyrok śmierci dla kapłanki, a bardzo często także dla jej wojownika. Dlaczego wierzysz, że przybycie tutaj coś zmieni? - zapytała Sgiach.

- Jak już wspomniałem, Zoey nie jest zwykłą kapłanką. Jest kimś innym, kimś większym. A ja nie jestem tylko wojownikiem najwyższej kapłanki. Zamierzam zostać strażnikiem królowej.

- Więc jesteś gotów dla niej umrzeć.

Seoras wypowiedział te słowa w formie twierdzącej, lecz Stark i tak skinął głową.

- Owszem. Jeśli będzie trzeba, umrę dla niej.

- Ale wie, że jeśli to zrobi, straci możliwość sprowadzenia jej duszy z powrotem do ciała - wtrąciła Afrodyta, podchodząc do chłopaka wraz z Dariusem. - Tego właśnie próbowali inni wojownicy i żadnemu się nie powiodło.

- On chce wykorzystać byki i prastare wierzenia wojowników, by odnaleźć drzwi do Zaświatów, nie umierając - wyjaśnił Darius.

Seoras zaśmiał się ponuro.

- Nie możesz oczekiwać, że wejdiesz do Zaświatów dzięki mitom i plotkom.

- Nad waszym zamkiem łopocze flaga z czarnym bykiem - zauważył Stark.

- Masz na myśli Tarę, starożytną symbolikę równie dziś zapomnianą jak moja wyspa - rzekła Sgiach.

- My pamiętamy o twojej wyspie - zripostował Stark.

- Byki też nie zostały w Tulsie całkiem zapomniane - dodała Afrodyta. - Obydwa objawiły się tam ubiegłej nocy.

Zaległa długa cisza. Na twarzy Sgiach malował się olbrzymi szok, a na obliczu jej wojownika gotowość do walki na śmierć i życie.

- Mów - rzucił krótko Seoras.

Afrodyta szybko i ze zdumiewająco znikomą ilością sarkazmu opowiedziała, jak się dowiedzieli od Tanatos o bykach, jak Stevie Rae przez pomyłkę przywołała niewłaściwego i jak Damien i pozostali odkryli związek Starka ze Strażnikami Asa.

- Powtórz przepowiednię białego byka - zażądała Sgiach.

- „Wojownik musi znaleźć w swojej krwi most na Wyspę Kobiet, a potem pokonać siebie, by wejść na arenę. Tylko akceptując tę kolejność, zdoła odnaleźć kapłankę. Gdy już to zrobi, powrót będzie zależał od niej, nie od niego” - wyrecytował Stark.

Sgiach spojrzała na swego wojownika.

- Byk dał mu przepustkę w Zaświaty.

Seoras przytaknął.

- Tak. Tylko przepustkę. Resztę chłopak musi osiągnąć sam.

- Wyjaśnij mi to! - Stark nie zdołał dłużej powściągać frustracji. - Co, u diabła, mam zrobić, żeby się dostać w te cholerne Zaświaty?

- Wojownik nie może tam wejść żywy - rzekła Sgiach. - Tę zdolność posiadają jedynie najwyższe kapłanki, i to nieliczne.

- Wiem o tym - wycedził przez zęby Stark. - Sama jednak powiedziałaś, że byk dał mi wolną drogę.

- Nie - poprawił go Seoras. - Dał ci przepustkę, ale to nie oznacza wolnej drogi. Nigdy nie zdołasz się tam dostać jako wojownik.

- Przecież jestem wojownikiem! Więc jak mam tam wejść? Co oznacza ten fragment o pokonaniu siebie?

- Tu właśnie do akcji wkracza stara religia. Dawno temu mężczyźni wampiry mogli służyć bogini lub bogom nie tylko jako wojownicy - odparła Sgiach.

- Niektórzy z nas byli szamanami - wyjaśnił Seoras.

- I ja też mam zostać szamanem? - zapytał kompletnie zbity z tropu Stark.

- Znałam tylko jednego wojownika, który został także szamanem. - Po tych słowach Sgiach położyła dłoń na ręce Seorasa.

- Jesteś jednym i drugim! - wykrzyknęła podekscytowana Afrodyta. - W takim razie powiedz Starkowi, jak ma to osiągnąć! Jak może zostać szamanem, będąc jednocześnie wojownikiem?

Stary wojownik uniósł brwi i wykrzywił usta w szyderyczym uśmiechu.

- Ależ to bardzo proste. Wojownik musi umrzeć, by mógł się narodzić szaman.

- Świetnie. Tak czy inaczej umrę - mruknął Stark.

- Na to wygląda - przyznał Seoras.

„Niech to szlag” - usłyszał Stark w wyobraźni wyraźny głos Zoey.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

## *Stevie Rae*

Wiedziała, że po powrocie do szkoły czekają ciężka przeprawa, ale nie spodziewała się zastać na parkingu Lenobii we własnej osobie.

- Słuchaj, potrzebowałam tylko chwili dla siebie. Jak widzisz, nic mi nie jest i...

- W wieczornych wiadomościach był materiał o włamaniu do budynku mieszkalnego Tribune Lofts. Zabito cztery osoby. Rozszarpano im gardła i wytoczono większość krwi. Nie mamy policji na karku jedynie dlatego, że kilkoro świadków zeznało, iż widzieli bandę ludzkich nastolatków. Z czerwonymi oczami.

Stevie przełknęła ohydny żółć, która napłynęła jej do gardła.

- To ci czerwoni adeptci, których zostawiłam na dworcu. Pomieszali świadkom w głowach, ale ponieważ nie przeszli jeszcze Przemiany, nie potrafili zamaskować wszystkiego.

- Nie udało im się wymazać z pamięci świadków tych jarzących się na czerwono ślepiów. - Lenobia pokiwała głową ze zrozumieniem.

Stevie wysiadła z auta i ruszyła w kierunku szkoły.

- Smok chyba tam nie pojechał, co?

- Nie. Postarałam się, żeby miał dużo roboty z grupkami adeptów. Zaczął już ćwiczyć z nimi samoobronę na wypadek kolejnych ataków kruków.

- Lenobio, ja naprawdę myślę, że ten w parku był jakimś niedobitkiem. Teraz pewnie jest już daleko od Tulsy.

Lenobia machnęła lekceważąco ręką.

- Jeden Kruk Prześmiewca to o jednego za dużo, ale niezależnie od tego czy jest sam, czy ze stadem. Smok go wytropi i zniszczy. Jeśli Kalona i Neferet ich nie podjudzają, chyba nie musimy się obawiać, że zaatakują szkołę. Znacznie bardziej niepokoją mnie ci zdziczali czerwoni adeptci.

- Mnie też. - Stevie ochoczo zmieniła temat. - W wiadomościach mówili, że tym zabitym ludziom wytoczono tylko część krwi?

Lenobia przytaknęła.

- Tak. A gardła rozszarpano. Nie podejrzięto ani nie rozgryziono, by potem wyssać z nich krew, jak zrobiłabyś ty czyja, gdybyśmy chciały się pożywić.

- Oni się nie pożywiają. Oni się bawią. Uwielbiają terroryzować ludzi. To dla nich jak narkotyk.

- To obrzydliwe sprzeniewierzenie się prawom Nyks. - Lenobia niemal krzyczała z gniewu, szybko wyrzucając z siebie słowa. - Wolno nam się pożywiać ludzką krwią tylko wtedy, gdy obie strony zaznają przy tym przyjemności. Dlatego właśnie bogini dała nam zdolność dzielenia z istotami

ludzkimi tak silnych doznań. Nie znęcamy się nad ludźmi, nie torturujemy ich. Cenimy ich i czynimy swoimi partnerami. Najwyższa Rada wyklęła nawet wampiry, które używały siły w stosunku do ludzi.

- Nie powiedziałaś radzie o czerwonych wampirach, prawda?

- Nie chciałam tego robić, zanim nie przedyskutuję tej sprawy z tobą. Jesteś ich najwyższą kapłanką. Musisz jednak zrozumieć, że ich czyny doprowadziły do sytuacji, której nie możemy dłużej ignorować.

- Wiem, lecz wciąż chcę się z nimi rozprawić sama.

- Nie w pojedynkę. Już nie - zaproponowała Lenobia.

- Masz rację. Ich dzisiejszy czyn uświadomił mi, jak bardzo są groźni.

- Mam wysłać tam z tobą Smoka?

- Nie. Zabieram kogoś do pomocy i rzeczywiście chcę im postawić ultimatum: w tę albo we w tę, ale jeśli przyprowadzę osobę z zewnątrz, adepci nie będą mieli szansy, by porzucić ciemność i przyłączyć się do mnie. - Nagle Stevie uświadomiła sobie sens własnych słów i stanęła jak wryta. - O bogini! Powinam była to zrozumieć, zanim wezwałam byki, a nie dopiero teraz. Lenobio, to coś, co nami włada, gdy umieramy, a potem zmartwychwstajemy jako złe, żądne krwi istoty, jest częścią ciemności. A w takim razie musi być równie stare jak ta pradawna religia wojowników. Za tym, co przydarzyło się mnie i pozostałym adeptom, stoi Neferet. - Stevie spojrzała Lenobii w oczy i zobaczyła w nich odbicie własnego strachu. - Ona ma konszachty z ciemnością. Teraz jestem o tym całkowicie przekonana.

- Obawiam się, że to było jasne już od dłuższego czasu - zauważyła Lenobia.

- Tylko skąd, u diabła, Neferet wiedziała o ciemności? Wampiry czczą Nyks już od wielu wieków.

- To, że przestano czcić jakieś bóstwo, nie oznacza bynajmniej, że przestaje ono istnieć. Siły dobra i zła poruszają się w ponadczasowym tańcu niezależnie od mód czy zachcianek śmiertelników.

- Ale przecież boginią jest Nyks.

- Nyks jest naszą boginią, a chyba nie sądzisz, że w tak złożonym świecie istnieje tylko jedno bóstwo.

Stevie Rae westchnęła.

- Skoro tak to ujmujesz, to muszę się zgodzić, choć wolałabym, żeby istniał tylko jeden rodzaj zła.

- Wtedy istniałby również tylko jeden rodzaj dobra. Pamiętaj, że wszystko musi być w wiecznej równowadze. - Przez chwilę szły w milczeniu. - Chcesz zabrać ze sobą czerwonych adeptów na konfrontację z tymi z dworca? - zapytała w końcu Lenobia.

- Tak.

- Kiedy?

- Im wcześniej, tym lepiej.

- Do świtu zostało niewiele ponad trzy godziny - zauważyła nauczycielka.

- Mam zamiar zadać im proste pytanie, na które można odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Nie powinno to trwać długo.

- A jeśli powiedzą „nie”?

- Przypilnuję, żeby nie mogli już wykorzystywać tuneli dworca jako wygodnej kryjówki i żeby zostali rozdzieleni. Nie wierzę, aby byli aż tak źli w pojedynkę. - Stevie zawahała się, po czym dodała: - Nie chcę ich zabijać. Czuję, że gdybym to zrobiła, przesłabym na stronę zła. Nie chcę, żeby ciemność jeszcze kiedykolwiek mnie dotknęła. - Oczami duszy ujrzała Rephaima z rozpostartymi skrzydłami, w pełni uleczonego i potężnego.

Lenobia skinęła głową.

- Rozumiem. Nie zgadzam się z tobą, Stevie Rae, ale wiem, co masz na myśli. Ponadto twój plan ma pewną zaletę. Jeśli wygonisz dzikich adeptów z ich twierdzy i zmusisz, by się rozproszyli, ci, którzy się do nas nie przyłączą, będą musieli się zatroszczyć o przetrwanie i nie będą mieli czasu na „zabawy” z ludźmi.

- W takim razie rozdzielmy się i zawiadommy wszystkich czerwonych adeptów, że mają się natychmiast zebrać na parking przy hummerze. Ja obskoczę internaty.

- A ja pójdę do sali gimnastycznej, ale najpierw zajrzę do stołówki. Kramisha przed chwilą tam wchodziła, a ona zawsze wie, gdzie są pozostali.

Stevie skinęła głową i Lenobia oddaliła się biegiem. Dopiero teraz, w samotności, dziewczyna potrafiła pozbierać myśli. Zamiast jednak zastanawiać się nad tym, co ma powiedzieć tej głupiej Nicole i jej zabójczym adeptom, myślała o Rephaimie.

Oddalenie się od niego było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie zrobiła w życiu. Dlaczego więc odjechała?

- Bo on już się dobrze czuje - powiedziała na głos, po czym zamknęła usta i rozejrzała się spłoszona. Na szczęście nikogo w pobliżu nie było. Od tej pory jednak trzymała język za zębami, choć jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach.

No dobrze, Rephaim wyzdrowiał, i co? Chyba nie sądziła, że już zawsze pozostanie okaleczony?

„Nie! Wcale nie chcę, żeby był okaleczony” - pomyślała natychmiast i wcale się nie oszukiwała. Nie chodziło jednak tylko o to, że Rephaim wyzdrowiał. Chodziło o to, że po uleczeniu przez ciemność wyglądał...

Przerwała wewnętrzny monolog, bo nie chciała posuwać się dalej. Nie chciała przyznawać, nawet przed sobą, jakie wrażenie zrobił na niej kruk stojący tam w świetle księżyca, potężny i w pełni sił.

Nerwowo nawijała na palec jasny lok, tłumacząc sobie, że są skojarzeni, a to nie może pozostać bez wpływu na jej postrzeganie Rephaima.

Tyle że Afrodyta tak na nią nie działała.

- Bo nie jestem lesbijką! - mruknęła pod nosem i znów zamilkła, do jej umysłu bowiem wkradła się niepożądana myśl.

Podobał jej się wygląd Rephaima. Kruk był silny i piękny, a kiedy na chwilę udało jej się zerknąć w głąb jego duszy, nie zobaczyła tam śladu potwora. Był imponujący i należał do niej.

Zatrzymała się nagle. Wszystko przez tego przeklętego czarnego byka! To na pewno jego wina. Zanim całkowicie się zmaterializował, powiedział do niej: „Mogę odegnąć ciemność, ale jeśli to zrobię, będziesz miała dług wobec światłości. Zostaniesz na zawsze związana z człowieczeństwem tkwiącym w istocie, na której ratunek mnie wezwałaś”. A ona odpowiedziała bez wahania: „Tak! Zapłacę tę cenę”. No i cholerny byk rzucił na nią jakiś świetlisty czar, który namieszał jej w głowie.

Czy aby na pewno? Znowu nerwowo bawiła się loczkiem, usiłując sobie przypomnieć, kiedy między nią a krukiem coś się zmieniło, i doszła do wniosku, że to było jeszcze przed przybyciem czarnego byka - wtedy, gdy Rephaim rzucił wezwanie ciemności i wziął na siebie spłatę długu w postaci bólu.

Powiedział, że Stevie należy do niego.

Dzisiaj uświadomiła sobie, że miał rację, i przeraziło ją to bardziej niż sama ciemność.

- Wszyscy obecni?

Pokiwali głowami.

- Tak - odparł stojący obok niej Dallas. - Wszyscy.

- To źli adepci zabili tych ludzi z Tribune Lofts, no nie? - zapytała Kramisha.

- Tak myślę - przyznała Stevie.

- Okropność - rzekła Kramisha.

- Nie możemy im pozwolić mordować - dodał Dallas. - Żeby to jeszcze byli bezdomni!

Stevie Rae wydała długie westchnienie.

- Dallas, ile razy mam ci powtarzać, że nieważne, czy ktoś jest bezdomny czy nie. Nie powinno się zabijać nikogo.

- Sorki - mruknął chłopak. - Wiem, że masz rację, ale czasem w głowie uaktywnia mi się przeszłość, a zapominam o teraźniejszości.

Przeszłość... To słowo jakby zawisło w powietrzu. Stevie Rae doskonale wiedziała, co miał na myśli Dallas: czas sprzed poświęcenia Afrodyty, które uratowało człowieczeństwo Stevie i dało im wszystkim możliwość wyboru między dobrem a złem. Ona też pamiętała tę przeszłość, lecz z każdym kolejnym dniem coraz bardziej się od niej oddalała i coraz łatwiej jej było odsunąć od siebie myśli o tamtych mrocznych chwilach. Patrząc na Dallasa, zastanawiała się, czy w jego przypadku - i w przypadku innych, którzy nie przeszli jeszcze Przemiany - jest inaczej. Sądząc po tym, co mimowolnie mówił czasem chłopak, było to całkiem możliwe.

- Wszystko w porządku, Stevie Rae? - zapytał, wyraźnie speszony jej baczny spojrzeniem.

- Tak, jasne. Po prostu się zamyśliłam. A teraz słuchajcie: jadę do tuneli pod dworcem, do naszych tuneli, i dam tamtym adeptom ostatnią szansę. Jeśli zmadrzeli, to zostają tam i od poniedziałku chodzą z nami do szkoły. Jeśli nie, będą musieli zacząć nowe życie po swojemu w jakimś innym miejscu, bo wysiudamy ich z tuneli bez prawa wstępu.

Kramisha wyszczerzyła się radośnie.

- Wracamy do tuneli!

- Tak - przyznała Stevie, a słysząc okrzyki „Hurrra!” „Wreszcie!”, upewniła się, że podjęła właściwą decyzję. - Jeszcze nie rozmawiałam o tym z Lenobią, ale myślę, że bez problemu będziemy mogli codziennie dojeżdżać z dworca do Domu Nocy i z powrotem. Musimy przebywać pod ziemią i chociaż naprawdę lubię tę szkołę, nie czuję się już w niej jak w domu. A w tunelach tak.

- Masz świętą rację, mała - stwierdził Dallas. - Tylko wyjaśnijmy sobie jedno: nie będziesz się użerała z tymi adeptami sama. Ja idę z tobą.

- Ja też - dodała Kramisha. - Gadaj sobie, co chcesz, a ja i tak wiem, że to przez nich omal nie usmażyłaś się na dachu.

- Właśnie - wtrącił muskularny Johnny B. - Rozmawialiśmy o tym i nie ma mowy, żeby nasza najwyższa kapłanka walczyła z tą bandą sama.

- Nawet jeśli mówi, że z pomocą ziemi skopie każdemu tyłek - mruknął Dallas.

- Nie mam zamiaru iść sama. Właśnie dlatego was tu wezwałam. Idziemy odbić swoje tunele i jeśli trzeba tamtym skopać tyłki, zrobimy to razem - rzekła Stevie. - Johnny B., poprowadzisz hummera. - Rzuciła potężnemu chłopakowi kluczyki, a on uśmiechnął się i złapał je w locie. - Zabierz Anta, Shannoncompton, Montoyę, Elliotta, Sophie, Gerarty i Venus. Ja z Dallasem i Kramishą pojedę garbusem Zo. Jedźcie za mną. Zatrzymamy się na podziemnym parkingu dworca.

- Świetnie, tylko skąd możemy mieć pewność, że w ogóle znajdziemy tamtych adeptów? Wiecie, że te tunele są jak mrowisko. - Wszyscy się roześmiali, bo wypowiedział te słowa drobny chłopak o przydomku Ant, czyli Mrówka.

- Też się nad tym zastanawiałam - przyznała Kramisha. - Nie wiem, czy chcecie tego słuchać, ale mam pomysł.

- Między innymi dlatego zawołałam tu was wszystkich - rzekła Stevie.

- No dobra. Oto mój pomysł. Ci adepci już raz próbowali cię zabić, no nie?

Stevie Rae doszła do wniosku, że nie może dłużej ukrywać tego przed swymi podopiecznymi.

- Tak.

- A skoro raz próbowali i nie wyszło, to spróbują znowu, mam rację?

- Pewnie tak.

- A co by zrobili, jakby myśleli, że wróciłaś do tuneli?

- Przyszliby po mnie - odparła Stevie.

- Więc wykorzystaj ziemię i daj im znać, że tam jesteś. Potrafisz to zrobić, no nie?

Stevie zamrugła zdziwiona.

- Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale chyba tak.

- Kramisho, jesteś genialna! - wykrzyknął Dallas.

- Fakt! - przyznała Stevie. - Czekaście, sprawdzę coś. - Zeszła z parkingu na trawnik z paroma starymi dębami, ławką z kutego żelaza i szemrzącą fontanną otoczoną przez rabatki skutych obecnie lodem żółtych i fioletowych bratków. Na oczach pozostałych adeptów ich kapłanka zwróciła się twarzą ku północy i przyklękła na ziemi przed największym z dębów. Pochyliła głowę.

- Przybądź do mnie, ziemio - szepnęła i natychmiast poczuła ciepło pod kolanami, a w nozdrza uderzył ją aromat dzikiego kwiecica i rozkołysanych na wietrze długich traw. Przycisnęła dłonie do ukochanej ziemi i rozkoszowała się więzią ze swym żywiołem. Rozgrzana i wypełniona jego mocą kontynuowała: - Tak! Znam cię. Czuję cię w sobie i siebie w tobie. Proszę, zrób coś dla mnie. Weź trochę tej magii, tej niezwykłości, która tkwi w nas obu, i zanieś ją do głównego tunelu pod dworcem. Niech każdy, kto znajduje się pod twoją powierzchnią, poczuje tam moją obecność. - Zamknęła oczy i wyobraziła sobie wystrzelającą ze swojego ciała zieloną błyskawicę, która poprzez ziemię sunie do tunelu i wyskakuje obok jej dawnego pokoju. - Dziękuję ci, ziemio - rzekła. - Dziękuję, że jesteś moim żywiołem. Możesz już odejść.

Gdy wróciła do pozostałych adeptów, wszyscy wpatrywali się w nią rozszerzonymi oczami.

- Co jest? - zapytała.

- To było niesamowite! - wykrzyknął z zachwytem Dallas.

- Byłaś cała zielona i świeciłaś - dodała Kramisha. - W życiu czegoś takiego nie widziałam.

- Super - stwierdził Johnny B., a pozostali pokiwali głowami z uśmiechem.

Stevie też się uśmiechnęła. Czowała się teraz jak najprawdziwsza najwyższa kapłanka.

- Jestem prawie pewna, że się udało - powiedziała.

- Serio? - zapytał Dallas.

- Tak sędzę - odparła Stevie, a gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, poczuła dygotanie w żołądku. Musiała się otrząsnąć i skoncentrować. - Cóż. Do roboty.

Adepci rozbiegli się do dwóch samochodów. Dallas otoczył Stevie ramieniem. Nie opierała się, gdy przyciągał ją do siebie.

- Jestem z ciebie dumny, mała - rzekł.

- Dzięki. - Oplotła go w pasie i włożyła rękę do tylnej kieszeni jego spodni.

- Cieszę się, że tym razem zabierasz nas ze sobą - dodał chłopak.



- Robię to, co powinnam - powiedziała. - Poza tym w grupie jesteśmy silniejsi niż każde z osobna.

Dallas zatrzymał się obok garbusa i objął ją mocno.

- Jasne, mała - szepnął, niemal dotykając ustami jej ust. - Razem jesteśmy silniejsi. - Potem pocałował ją tak namiętnie i zaborczo, że aż się zdziwiła. Nim jej umysł zdążył zareagować, odwzajemniła pocałunek i rozkoszowała się dotykiem jego umięśnionego, znajomego, całkowicie zwyczajnego ciała.

- Hej, wynajmijcie sobie pokój albo co! - zawołała do nich Kramisha, gramoląc się na tylne siedzenie garbusa.

Stevie Rae zachichotała dziwnie beztrzesko, myśląc: „Zejdź na ziemię, staruszek, tego drugiego gościa nie możesz nawet pocałować”.

Dallas niechętnie pozwolił jej się odsunąć i usiąść na fotelu kierowcy. Nim się pochyliła, pochwycił jej spojrzenie nad dachem samochodu.

- Pokój? Nie mam nic przeciwko - mruknął cicho.

Stevie poczuła, jak płoną jej policzki, i nie zdołała powstrzymać chichotu. Oboje usadowili się na przednich siedzeniach.

- Słyszałam to, Dallas - odezwała się Kramisha - i uważam, że lepiej zrobicie, pozbywając się kosmatych myśli i skupiając na złych adeptach, którzy lubią rozszarpywać ludziom gardła.

- O kosmatych myślach nic nie mówiłem. - Dallas uśmiechnął się do niej zawiadaczająco z oparcia.

- A ja mam podzielną uwagę - dodała Stevie, znów chichocząc.

- Niech wam będzie, tylko już jedźmy. Mam jakieś dziwne przeczucia - powiedziała Kramisha.

Wyjeżdżająca już z parkingu Stevie Rae natychmiast spoważniała i zerknęła na twarz koleżanki w lusterku wstecznym.

- Dziwne przeczucia? Czyżbyś napisała nowy wiersz, którego jeszcze nie znam?

- Nie. I nie chodzi mi o tych złych adeptów.

Stevie zmarszczyła brwi do lusterka.

- To niby o co? - zapytał Dallas.

Nim Kramisha odpowiedziała, najpierw zmierzyła Stevie długim spojrzeniem.

- O nic. Po prostu ostatnio mam jakąś paranoję. I wcale nie czuję się lepiej, widząc, jak się obśliniacie, zamiast myśleć o poważnych sprawach.

- Ja myślę - zaperzyła się Stevie Rae, odwracając wzrok od odbicia Kramishy i skupiając się na drodze.

- Właśnie. Pamiętaj, że moja dziewczyna jest najwyższą kapłanką, a one z całą pewnością potrafią się skoncentrować na kilku rzeczach naraz.

- Taaa - zakpiła Kramisha.

Reszta drogi upłynęła im szybko i w ciszy. Stevie była przesadnie świadoma obecności Kramishy na tylnym siedzeniu. „Ona wie o Rephaimie” - szepnął jej w głowie jakiś głos, który natychmiast uciszyła. Jej koleżanka nie

wiedziała o Rephaimie - wiedziała jedynie, że w życiu Stevie jest ktoś jeszcze. O kruku nie wiedział nikt.

Nikt oprócz złych adeptów.

Poczula paniczne trzepotanie w żołądku. Co ona, u diabła, zrobi, jeśli Nicole albo ktoś inny powie jej adeptom o Rephaimie? Oczyma duszy widziała już tę scenę. Nicole będzie wredna i bezlitosna. Jej podopieczni przeżyją potworny szok. Nie będą mogli uwierzyć, że ich kapłanka...

Rozwiązanie uderzyło ją tak nagle, że omal nie krzyknęła. Jej adepci nigdy, przenigdy nie uwierzą, że skojarzyła się z Krukiem Prześmiewcą! Wystarczy po prostu zaprzeczyć. Tamci nie mają dowodów. Owszem, jej krew może i pachnie dziwnie, ale przecież Stevie już wyjaśniła przyczynę. Ciemność piła z jej ran! Trudno, żeby coś takiego nie wpłynęło na zapach krwi. Skoro Kramisha i Lenobia w to uwierzyły, inni też uwierzą. Wystarczy jej słowo, słowo najwyższej kapłanki, przeciwko słowu bandy adeptów, którzy zeszli na złą drogę i usiłowali ją zabić.

A jeśli niektórzy z tamtych rzeczywiście postanowią wybrać dobro i dołączyć do nich?

„Będą musieli trzymać gęby na kłódkę, bo inaczej nie pozwolę im z nami zostać” - pomyślała ponuro Stevie, parkując pod dworcem i gromadząc swoich adeptów.

- No to idziemy. Nie lekceważcie ich - ostrzegła.

Dallas bez słowa stanął po jej prawej, a Johnny B. po lewej stronie. Pozostali ruszyli za nimi i po odsunięciu blokującej wejście do podziemi kraty, która tylko wyglądała na mocno osadzoną, cała grupa weszła do środka.

Wiele się nie zmieniło od czasu, gdy tam mieszkali. Może było trochę więcej śmieci, ale ogólnie rzecz biorąc znajdowali się w tej samej ciemnej zimnej piwnicy. Przeszli na drugą stronę, skąd można było zejść w jeszcze większą ciemność.

- Widzisz coś? - zapytał Dallas.

- Pewnie - odparła Stevie Rae. - Jak tylko znajdę zapalniczki czy coś w tym stylu, zapalę pochodnie na ścianach, żebyście wy też widzieli.

- Ja mam zapalniczkę - odezwała się Kramisha i zanurzyła rękę w swojej przepastnej torbie.

- Tylko mi nie mów, że palisz! - mruknęła Stevie, biorąc od niej zapalniczkę.

- Nie, no co ty. Palenie to obciach. Ale lubię być zawsze przygotowana. A zapalniczka w niektórych sytuacjach się przydaje. Na przykład teraz.

Stevie chciała ruszyć w dół po metalowej drabince, lecz Dallas położył jej dłoń na ramieniu.

- Ja pierwszy. To nie mnie chcą zabić.

- Skąd wiesz, że nie? - odpaliła Stevie, przepuściła go jednak i ruszyła za nim, a zaraz po nich na drabinkę wszedł Johnny B. - Chwila. - Kazała obu chłopakom czekać u stóp drabiny, a sama bardzo pewnie podeszła w

kompletnych ciemnościach do pierwszej ze staroświeckich lamp naftowych, które sama pomogła zawiesić na starych kolejowych gwoździach wzdłuż krętego tunelu. Zapaliła latarnię i odwróciła się do chłopaków. - Lepiej, co?

- Dobra robota, mała - wyszczerzył się Dallas, a potem nagle przechylił głowę, jakby nasłuchiwał. - Słyszycie?

Stevie Rae spojrzała na Johnny'ego, który pomagał właśnie Kramishy zejść po drabinie. Pokręcił głową.

- Co mamy słyszeć, Dallas? - zapytała Stevie.

Chłopak przyłożył dłoń do szorstkiego betonu ściany.

- To! - oznajmił z zachwytem.

- Dallas, ty bredzisz! - stwierdziła Kramisha.

Spojrzał na nich przez ramię.

- Wydaje mi się, że słyszę szum przewodów elektrycznych.

- Dziwne - mruknęła Kramisha.

- Zawsze byłeś dobry w te klocki - zauważyła Stevie.

- Niby tak, ale nigdy do tego stopnia. Naprawdę słyszę szum prądu w kablach, które tu podłączyłem.

- Może masz coś w rodzaju daru - powiedziała Stevie - tylko wcześniej nie byłeś tego świadom, bo cały czas tu siedziałeś i nie zwracałeś uwagi na ten dźwięk.

- Przecież prąd nie pochodzi od bogini. Jak można mieć dar komunikacji z prądem? - zdziwiła się Kramisha, zerkając na Dallasa podejrzliwie.

- A dlaczego nie? - zaoponowała Stevie. - Widziałam już dziwniejsze rzeczy niż adept mający dar komunikacji z elektrycznością. Weźmy na przykład białego byka symbolizującego ciemność.

- Coś w tym jest - przyznała Kramisha.

- Więc to naprawdę może być dar? - zapytał oszołomiony Dallas.

- Jasne, że tak - zapewniła go Stevie.

- Jeśli tak jest, to twój dar może nam się przydać - rzekł Johnny B., pomagając zejść Shannoncompton i Venus.

- Przydać? - zdziwił się Dallas. - Niby do czego?

- Może na przykład uda ci się określić, czy ci wstrętnei adepci używali ostatnio prądu - podsunęła Kramisha.

- Sprawdź. - Dallas znów się odwrócił do ściany, przyłożył dłonie do betonu i zamknął oczy. Po kilku zaledwie sekundach otworzył je z okrzykiem zdumienia i spojrział prosto na Stevie Rae. - Tak! Używali prądu! A właściwie używają. Są w kuchni.

- W takim razie i my tam chodźmy - zarządziła Stevie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

### *Stevie Rae*

- To już naprawdę mnie wkurza - oznajmiła Stevie Rae, kopiąc kolejną pustą butelkę po napoju gazowanym „Dr Pepper”. Tunel był nimi wprost zasypany.

- Ohyda - zgodziła się Kramisha. - Totalne bezguście.

- Jezu - jęknęła Venus - jak mnie pobrudzą, to szalu dostanę!

- Jak cię pobrudzą?... Dziewczyno, czy ty widziałaś, co oni zrobili z moim pokojem? - burknęła Kramisha.

- Słuchajcie, chyba powinniśmy się skupić - wtrącił Dallas, nie odrywając dłoni od ściany. Im bardziej zbliżali się do kuchni, tym bardziej się denerwował.

- Fakt - przyznała Stevie Rae. - Najpierw musimy ich stąd wyrzucić, a dopiero potem będziemy się martwić o porządek.

- Markety Pier One i Pottery Barn wciąż mają w bazach złotą kartę kredytową Afrodyty - poinformowała Venus Kramisha.

- Uff- westchnęła z ulgą dziewczyna. - W takim razie damy radę to ogarnąć.

- Venus, tobie nie wystarczy złota karta, żeby ogarnąć to, co z siebie zrobiłaś - odezwał się z tunelu przed nimi sarkastyczny głos. - Jesteś taka mdła i nudna, że aż się rzygać chce. A kiedyś myślałam, że masz naprawdę spory potencjał.

Venus, Stevie Rae i reszta adeptów zatrzymali się gwałtownie.

- Ja jestem mdła i nudna? - zapytała Venus z takim samym sarkazmem jak Nicole, parszając śmiechem. - Więc uważasz, że jest się cool, jak się rozszarpuje ludziom gardła? Daj spokój. To nie ma za grosz powabu.

- Nie krytykuj, póki nie spróbowałaś - odparła Nicole, odsuwając koc zasłaniający wejście do kuchni.

W dochodzącym zza jej pleców świetle wydawała się chudsza i bardziej złowroga niż kiedyś. Za nią stali Starr i Kurtis, a jeszcze dalej co najmniej tuzin czerwonoookich adeptów o równie złowrogich spojrzeniach.

Stevie Rae zrobiła krok w ich stronę. Nicole szybko przeniosła na nią spojrzenie swych nienawistnych oczu w czerwonych obwódkach.

- Przyszedłaś się znów pobawić? - zapytała.

- Nie zamierzam się z tobą bawić, Nicole. I twoje „zabawy” - narysowała w powietrzu cudzysłów - z okolicznymi ludźmi też już się skończyły.

- Nie masz prawa nam rozkazywać! - wrzasnęła Nicole, a Starr i Kurtis obnażyli zęby i wydali z siebie odgłosy przypominające bardziej warczenie niż śmiech. Pozostali obecni w kuchni adepci wiercili się niespokojnie.

Wtedy Stevie to zobaczyła. Wisiało pod sufitem nad głowami dzikich adeptów niczym rozkołysane morze czerni puchnącej i wijącej się niczym duch zbudowany z całkowitej ciemności.

Ciemność!

Stevie Rae przełknęła napływającą do gardła żółć i zmusiła się do skupienia wzroku na Nicole. Wiedziała, co trzeba zrobić. Musiała zakończyć to natychmiast, zanim ciemność zawładnie tymi adeptami jeszcze bardziej.

Zamiast odpowiedzieć Nicole, wzięła długi oczyszczający oddech.

- Ziemio, przybądź do mnie! - wezwała swój żywioł i dopiero gdy poczuła ciepło bijące od podłoża i zakrzywionych ścian tunelu, spojrzała na przywódczynię dzikich adeptów. - Jak zwykle źle mnie zrozumiałaś, Nicole. Nie mam zamiaru wam rozkazywać - powiedziała spokojnym, racjonalnym tonem. Widząc zdumienie w oczach dziewczyny, odgadła, że zaczyna się jarzyć na zielono, tak jak podczas ceremonii w Domu Nocy. Uniosła ręce, przyciągając do siebie jeszcze więcej wibrującej gęstej energii. - Dam wam wybór, a wy poniesiecie konsekwencje własnych decyzji. Tak jak my wszyscy.

- A może raczej wy weźmiecie swoje frajerskie dupy w troki i wróćcie do Domu Nocy, żeby się bratać z resztą tych pierdolonych mięczaków, którzy nazywają siebie wampirami? - odpaliła Nicole.

- Dobrze wiesz, że nie jestem frajerem - rzekł Dallas, przysuwając się bliżej Stevie Rae.

- Ani ja - zagrmiał zza jego pleców Johnny B.

- Wiesz, Nicole, nigdy cię za bardzo nie lubiłam. Zawsze uważałam, że cierpisz na wyjątkowo ciężką postać debilizmu. Teraz widzę, że miałam rację - powiedziała Kramisha, stając po drugiej stronie Stevie. - I nie podoba mi się sposób, w jaki się zwracasz do naszej najwyższej kapłanki.

- Mam w dupie, co ci się podoba, a co nie. A ona nie jest moją kapłanką! - wykrzyknęła Nicole z taką furją, że aż się popłuła.

- Ohyda - prychnęła Venus. - Lepiej sobie przemyśl tę całą przemianę w złą adeptkę, bo strasznie przez to zbrzydłaś, i to nie tylko w sensie fizycznym.

- Moc nigdy nie bywa brzydka, a ja ją mam - odparła Nicole.

Stevie Rae nie musiała podnosić głowy, by wiedzieć, że sącząca się z sufitu ciemność gęstnieje.

- Wystarczy. Widzę, że po dobroci nic z wami nie załatwię, więc spróbuję inaczej. Przedstawię wam opcje, a każde z was musi samo zadecydować o swoim losie. - Mówiąc to, Stevie spojrzała za plecy Nicole, zaglądając kolejno w każdą parę szkarłatnych oczu i łudząc się, że uda jej się dotrzeć choćby do jednego z tych adeptów. - Możecie się sprzymierzyć ze światłością. Jeśli to zrobicie, wybieriecie dobro i prawa naszej bogini. Wtedy będziecie mogli tu z nami zostać. Od poniedziałku wracamy do szkoły, ale nie będziemy mieszkać w Domu Nocy, tylko tu, w tunelach, gdzie jesteśmy otoczeni przez ziemię i czujemy się swobodnie. Albo możecie pozostać sprzymierzeni z ciemnością. - Gdy nazwała tę siłę po imieniu, ujrzała w oczach Nicole iskierkę zdumienia. -

Tak, wiem wszystko o ciemności. I mogę was zapewnić, że zbytnie babranie się w niej jest poważnym błędem. Jeśli jednak ją wybierzecie, będziecie musieli stąd odejść, i to na zawsze.

- Nie możesz nas do tego zmusić! - odezwał się zza pleców Nicole Kurtis.

- Mogę. - Stevie uniosła ręce i zacisnęła dłonie w rozjarzone pięści. - I nie tylko ja. Lenobia właśnie informuje o was Najwyższą Radę. Dostaniecie oficjalny zakaz wstępu do wszystkich Domów Nocy na świecie.

- Hej, Nicole - odezwała się nagle Kramisha - jak już mówiła Venus, wyglądasz trochę kiepsko. Jak się czujesz? - Potem podniosła głos i zwróciła się do adeptów stojących za plecami dziewczyny. - Hu z was kaszle i czuje się, jakby zaraz miało zdechnąć? Dawno nie było w pobliżu żadnego wampira, co?

- O matko, nie wiem, jak mogłam o tym zapomnieć! - zdziwiła się Stevie Rae, po czym spojrzała na dzikich adeptów. - Ilu z was chce umrzeć? - zapytała, ignorując Nicole.

- Wygląda na to, że czerwoni adepci aż tak nie różnią się od innych - dodał Dallas.

- Fakt - przytaknął Johnny B. - Jeśli wampiry będą w pobliżu, możecie umrzeć.

- Ale jeśli ich nie będzie, na pewno umrzecie - stwierdziła triumfalnie Kramisha. - Zresztą chyba o tym wiecie, bo już raz umarliście. Macie ochotę znów przez to przechodzić?

- Musicie wybrać - podsumowała Stevie Rae, wciąż trzymając w górze rozjarzone zielone pięści.

- Możesz być pewna, że nie wybierzemy ciebie na swoją kapłankę! - fuknęła na nią Nicole. - I żadne z was by tego nie zrobiło, gdybyście znali prawdę. - Z uśmiechem Kota z Cheshire wypowiedziała słowa, których Stevie najbardziej się obawiała: - Pewnie wam nie powiedziała, że uratowała Kruka Prześmiewcę, co?

- Kłamiesz. - Stevie Rae spokojnie patrzyła jej w oczy.

- Skąd wiesz, że w Tulsie jest kruk? - zapytał Dallas.

Nicole prychnęła.

- Bo nas odwiedził. I na kilometr śmierdział twoją cudowną najwyższą kapłanką, bo to ona uratowała mu życie. Właśnie dzięki niemu uwięziliśmy ją na dachu. Poszła tam, żeby znów go ratować.

- Bzdury! - wrzasnął Dallas, przyciskając dłoń do ściany. Stevie poczuła, jak nagły przypływ elektryczności statycznej unosi jej włosy.

- Widzę, że udało ci się ich nabrać - zakpiła Nicole.

- Dość. Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać - oznajmiła Stevie. - Musicie natychmiast wybrać. Światłość czy ciemność?

- My już wybraliśmy. - Nicole włożyła rękę pod szeroką koszulę, wyjęła pistolet i wycelowała w głowę Stevie.

Przerażona Stevie usłyszała dwa odgłosy odbezpieczania broni i zobaczyła, że Kurtis i Starr celują w Dallasa i Kramiszę. To ją rozwścieczyło. Od tego momentu wszystko potoczyło się błyskawicznie.

- Ziemię, chroń ich! - zawołała.

Rozpostarła szeroko ręce i rozwarła pięści, wyobrażając sobie moc ziemi zamykającą ich troje w czymś na kształt kryształu. Powietrze wokół niej załśniło miękką zielenią przywodzącą na myśl mech. Ledwie bariera się pojawiła, przywierająca do sufitu ciemność zafalowała i rozproszyła się.

- Co, kurwa? - wrzasnął Dallas. - Celujesz we mnie ze spluwy?

Zamknął oczy i skoncentrował się, przyciskając obie dłonie do ścian tunelu. Rozległ się trzask. Kurtis krzyknął i upuścił broń. W tej samej chwili z trzewi Nicole wyrwał się potworny, pierwotny wrzask, bardziej przypominający ryk wściekłego zwierzęcia niż krzyk adepta. Nacisnęła spust.

Ogłuszające strzały rozbrzmiewały tak długo, że Stevie Rae nie potrafiła się doliczyć, ile razy Nicole naprawdę wystrzeliła, a ile z tych dźwięków stanowiły echa rozlegające się w jej głowie.

Nie słyszała krzyków dzikich adeptów przeszywanych kulami, które odbijały się od ziemnej bariery i uderzały w nich. Zobaczyła jednak, jak Starr upada, a z boku jej głowy zakwita straszliwa plama czerwieni. Oprócz niej na ziemię padło dwoje innych zbuntowanych adeptów.

Rozpętało się istne piekło. Ci spośród dzikich adeptów, którzy nie odnieśli ran, przepychali się do wyjścia, tratując się nawzajem w próbie dotarcia do wąskiego tunelu, który wiódł do głównego budynku dworca.

Nicole stała w miejscu, trzymając opróżniony pistolet, wodząc wokół oszalałym wzrokiem i wciąż bezskutecznie naciskając spust.

- Nie! - wrzasnęła Stevie. - Dość już narozrabiałaś! - Instynktownie, w pełnej symbiozie z ziemią zaklaskała w roziskrzane dłonie. W drugim końcu kuchni rozległ się odgłos darcia i w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się zakrzywiona ściana, otworzyła się poszarpana dziura. - Wynoście się stąd i nigdy nie wracajcie! - Niczym bogini zemsty Stevie Rae cisnęła w Nicole, Kurtisa i pozostałych falą powietrza, która pchnęła ich w stronę wylotu nowo powstałego tunelu. Słyszając miotane przez Nicole przekleństwa, spokojnie machnęła ręką i wzmocnionym mocą żywiołu głosem powiedziała: - Wyprowadź ich stąd i zamknij się za nimi. Jeśli nie wyjdą, pogrzeb ich żywcem.

Kiedy ostatni raz widziała Nicole, ta wrzeszczała właśnie na Kurtisa, żeby ruszył swoją tłustą dupę.

Potem tunel się zasklepił i wszystko ucichło.

- Chodźmy - powiedziała Stevie Rae i nie dając sobie czasu na myślenie o tym, w co się pakuje, weszła do kuchni pełnej pozostawionych przez Nicole zakrwawionych i zmasakrowanych ciał. Było ich pięć. Trójkę, w tym Starr, uderzyły odbite od bariery kule Nicole. Pozostałych dwoje stratowano. - Wszyscy nie żyją - stwierdziła zdziwiona, że jej głos brzmi tak spokojnie.

- Zajmę się nimi. Johnny B., Elliott i Montoya mi pomogą - rzekł Dallas, ściskając ją za ramię.

- Pójdę z wami - zdecydowała Stevie. - Otworzę ziemię i pogrzebię ich, ale nie tutaj. Nie chcę, żeby znajdowali się w miejscu, gdzie będziemy mieszkać.

- Jak sobie życzysz - odparł chłopak, łagodnie dotykając jej twarzy.

- Macie tu śpiwory. Zawieście ich w nie. - Kramisha przedarła się do szafy przez zasłaną gruzami i ciałami podłogę.

- Dzięki. - Stevie machinalnie wzięła z jej rąk śpiwory i zaczęła je rozpinać. Usłyszała jakiś dźwięk i spojrzała w stronę drzwi, w których stały blade jak kreda Venus, Sophie i Shannoncompton. Sophie pochlipywała lekko, choć z oczu nie ciekła jej ani jedna łza. - Idźcie do hummera i czekajcie tam na nas - powiedziała. - Wracamy do szkoły. Nie będziemy tu dzisiaj spać, dobrze?

Dziewczyny pokiwały głowami i trzymając się za ręce, odeszły w głąb tunelu.

- Chyba będzie im potrzebny psycholog - stwierdziła Kramisha.

Stevie podniosła głowę znad śpiwora.

- A tobie nie?

- Nie. Jak robiłam za wolontariuszkę w ambulatorium Świętego Jana, to nie takie rzeczy widziałam.

Stevie Rae zacisnęła usta, żałując, że nie ma podobnych doświadczeń. Zapakowali zabitych do pięciu śpiworów, Stevie ruszyła za uginającymi się pod ciężarem ciał chłopakami do głównego budynku, a potem na zewnątrz. Cała szóstka pod wodzą swojej kapłanki szła w milczeniu w stronę spowitego mrokiem opuszczonego terenu w pobliżu torów kolejowych. W końcu Stevie przyklękła i przycisnęła dłonie do ziemi.

- Proszę, otwórz się i pozwól tym adeptom wrócić do ciebie. - Ziemia zafalowała jak skóra zwierzęcia, potem się rozstała, tworząc wąską głęboką szczelinę. - Wrzucicie ich - poleciła Stevie chłopakom, którzy ponuro wypełnili rozkaz. - Nyks - powiedziała, gdy ostatnie ciało znikło w szczelinie - wiem, że ci adepci dokonali złych wyborów, ale nie sądzę, by to była wyłącznie ich wina. To wciąż moi podwładni, więc jako ich kapłanka proszę cię o okazanie im łaski i obdarzenie pokojem, którego nie zaznali tutaj. - Potem wykonała zamaszysty gest. - Pogrzeb ich, proszę. - I ziemia posłusznie zasypała ciała.

Stevie Rae wstała. Czuła się, jakby miała co najmniej sto lat. Dallas próbował jej dotknąć, lecz ruszyła szybko z powrotem w stronę dworca.

- Dallas i Johnny B. - powiedziała - upewnijcie się, że żaden z dzikich adeptów nie ma ochoty na powrót tutaj, dobra? Spotkamy się w kuchni.

- Nie ma sprawy, mała - rzekł Dallas, po czym oddalił się w towarzystwie Johnny'ego.

- Wy możecie już iść do hummera - zwróciła się do pozostałych chłopaków, którzy bez słowa ruszyli schodami na podziemny parking.



Stevie Rae powoli przeszła przez budynek dworca i zeszła do tuneli. Kramisha wciąż była w kuchni. Znalazła pudło ogromnych worów na śmieci i upychała do nich gruz, mamrocząc coś do siebie. Stevie bez słowa sięgnęła po jeden z worków i dołączyła do niej.

- Możesz już iść - powiedziała, gdy z grubsza ogarnęły kuchnię. - Ja pogadam z ziemią i pozbędę się tej krwi.

Kramisha zlustrowała wzrokiem twarde klepisko pod nogami.

- Nawet nie wsiąka - zauważyła.

- Wiem. Dam sobie radę.

- Wiem, że jesteś naszą kapłanką i tak dalej, ale musisz zrozumieć, że wszystkiego nie da się naprawić - powiedziała Kramisha, patrząc jej prosto w oczy.

- Myślę, że dobra kapłanka stara się to zrobić - odparła Stevie.

- A ja myślę, że dobra kapłanka nie torturuje się z powodu rzeczy, na które nie może nic poradzić.

- W takim razie sama byłabyś dobrą kapłanką, Kramisho.

Zaśmiała się.

- Ja już mam robotę. Wystarczająco gównianą, żebyś jeszcze miała mi dokładać. Ledwie sobie radzę z tymi okropnymi wierszyskami.

Stevie się uśmiechnęła, choć twarz dziwnie jej zeszywniała.

- Dobrze wiesz, że to wszystko zależy od Nyks.

- Już ja sobie z nią pogadam. Widzimy się na zewnątrz. - Po tych słowach dziewczyna wyszła z kuchni i ruszyła w stronę wyjścia z tunelu, wciąż zrzędząc pod nosem. Stevie została sama.

- Ziemi, proszę, przybądź do mnie raz jeszcze - powiedziała, stając w drzwiach kuchni. Gdy poczuła ciepło pod stopami i w sobie, wyciągnęła dłonie zwrócone wnętrzem do zakrwawionej podłogi. - Jak wszystko, co żyje, krew ostatecznie wraca do ciebie. Proszę, wchłoń krew tych adeptów, którzy wcale nie musieli umierać. - Podłoga kuchni przemieniła się w ogromną porowatą gąbkę i na oczach dziewczyny wchłonęła karmazynową plamę. Gdy nie pozostał po niej ślad, pod Stevie ugięły się kolana. Usiadła na oczyszczonej podłodze i rozpłakała się.

Dallas odnalazł ją siedzącą z opuszczoną głową i ukrytą w dłoniach twarzą. Szlochała, jakby chciała wypłakać cały swój smutek, całe poczucie winy, całe serce. Nie słyszała, jak chłopak wchodzi do kuchni. Poczowała dopiero, jak ją obejmuje i przygarnia do siebie, gładząc jej włosy i kołyszając ją jak małą dziewczynkę.

Gdy szloch przeszedł w czkawkę, a potem i ona ustała, Stevie otarła twarz rękawem i oparła głowę na ramieniu Dallasa.

- Czekają na nas. Musimy iść - powiedziała, choć trudno jej było się ruszyć.

- Nie. Mamy czas. Odesłałem wszystkich hummerem. Powiedziałem, że przyjedziemy garbusem.

- Kramisha też pojechała?
- Też. Chociaż narzekała, że musi siedzieć na kolanach Johnny'ego. Stevie ku własnemu zaskoczeniu parsknęła śmiechem.
- Założę się, że on nie narzekał.
- Nie. Chyba wpadli sobie w oko.
- Myślisz? - Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Uśmiechnął się.
- Tak. Mam niezłego nosa do tego, kto na kogo leci.
- Serio? Podasz jakieś inne przykłady?
- Na przykład my na siebie. - Pochylił się i pocałował ją.

Początkowo całował łagodnie, ale jej to nie wystarczyło. Nie potrafiłaby dokładnie wyjaśnić, co się stało: była jak pochodnia, która cała zajęła się ogniem. Może miało to jakiś związek z tym, że otarła się o śmierć. Może potrzebowała dotyku i miłości, by na dobre wrócić do życia. A może frustracja narastająca w niej od chwili, gdy Rephaim po raz pierwszy się do niej odezwał, w końcu sięgnęła zenitu. Tak czy inaczej, Stevie płonęła i tylko Dallas mógł ugasić ten ogień.

Szarpała go za koszulę, mamrocząc z ustami przywierającymi do jego ust: „Zdejmij ją”. Dallas jęknął i ściągnął koszulę przez głowę, a Stevie szybko zdjęła bluzkę, zrzuciła buty i zaczęła rozpinąć pasek. Czując na sobie spojrzenie chłopaka, podniosła na niego wzrok.

- Chcę to z tobą zrobić, Dallas - wyrzuciła z siebie. - Teraz.
- Jesteś pewna?
- Skinięła głową.
- Sto procent.
- No dobra - powiedział, wyciągając do niej ramiona.

Gdy poczuła dotyk jego nagiej skóry, miała wrażenie, że eksploduje. To było to! Jej ciało nadmiernie reagowało na wszystkie doznania, każdy dotyk Dallasa ją palił, lecz było to dobre, cudowne. Tego właśnie potrzebowała! Musiała być dotykana, kochana i brana w posiadanie, raz za razem, bo tylko tak mogła wymazać wspomnienie Nicole, zabitych adeptów, obawę o Zoey i myśl o Rephaimie. Przede wszystkim to ostatnie.

Dotyk Dallasa wypalał nawet jego. Stevie wiedziała, że wciąż jest skojarzona z krukiem - tego nie dało się zapomnieć - ale dotyk spoconej, śliskiej, gładkiej i ludzkiej skóry chłopaka sprawiał, że Rephaim wydawał jej się w tym momencie bardzo odległy, jak gdyby naprawdę się od niej oddalał... uwalniał ją...

- Jeśli masz ochotę, możesz mnie ugryźć - szepnął jej do ucha chłopak. - Serio. Chcę tego.

Leżąc na niej, przesunął się lekko, przysuwając krzywiznę szyi do ust dziewczyny. Całowała jego skórę i próbowała językiem jego smak, wyczuwając uderzający w pradawny rytm puls. Potem przesunęła wzdłuż skóry paznokciem, głaszcząc ją i znajdując idealne miejsce do nacięcia, by móc

skosztować krwi. Dallas jęknął, spodziewając się, że lada chwila to się stanie: Stevie dostarczy mu rozkoszy i sama jej zazna. Tylko tak mogło być między kochankami. To będzie szybki, łatwy i bardzo, bardzo przyjemny akt.

„Jeśli napiję się jego krwi, moje Skojarzenie z Rephaimem zniknie” - pomyślała i zawahała się. Zamarła z przytkniętym do skóry Dallasa ostrym paznokciem. „Nie. Najwyższa kapłanka może przecież mieć małżonka i partnera” - dodała w myślach.

Ale było to kłamstwo - przynajmniej w przypadku Stevie Rae.

W najgłębszych zakamarkach serca czuła, że jej Skojarzenie z Rephaimem jest wyjątkowe i nie podporządkuje się regułom, które zwykle obowiązują między wampirem i jego partnerem. Było zdumiewająco silne. I może właśnie z powodu tej niezwykłej siły Stevie nie potrafiła się skojarzyć z żadnym innym mężczyzną.

„Jeśli napiję się krwi Dallasa, moje Skojarzenie z Rephaimem zniknie”.

Odczuwała to jako zimny, nieubłagany fakt.

Co wtedy będzie z długiem, który zgodziła się spłacić? Czy mogła pozostać związana z człowieczeństwem Rephaima, nie będąc z nim skojarzona?

Na to pytanie nie doczekała się odpowiedzi, bo właśnie w tej chwili za nimi, jakby wyczarowany przez jej myśli, rozległ się krzyk Rephaima:

- Nie rób nam tego, Stevie Rae!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

### *Rephaim*

Zastanawiał się, czy łatwo dający się wyczuć gniew dziewczyny jest skierowany przeciw niemu. Celowo skoncentrował myśli na niej, wzmacniając łączącą ich więź krwi. Jeszcze więcej gniewu, tak zapiekłego, że zdumiewał kruka swoją mocą, choć jednocześnie Stevie Rae bez wątplenia starała się powściągnąć swoją furję.

Nie. Ta furia nie była skierowana przeciw niemu. Ktoś inny doprowadził ją do szału.

Rephaim mógł tylko żałować tego biednego durnia. Gdyby był mniej potężnym stworzeniem, zaśmiałyby się zgryźliwie i życzył nieszczęśnikowi powodzenia.

Powinien wreszcie wybić sobie z głowy tę dziewczynę.

Leciał na wschód, potężnymi skrzydłami smakując noc i rozkoszując się wolnością.

Już jej nie potrzebował. Był cały. Silny. Znowu był sobą.

Nie potrzebował Czerwonej. Ona była jedynie narzędziem, które pozwoliło mu wyzdrowieć. A jej reakcja na widok jego uleczonego ciała tylko dowodziła, że łączącą ich więź trzeba zerwać.

Zwolnił, niespodziewanie przytłoczony tymi myślami. Wylądował na łagodnym wzniesieniu porośniętym starymi dębami błotnymi. Stał na pagórku zwrócony twarzą tam, skąd przyleciał, zastanawiając się...

„Dlaczego mnie odtrąciła?”

Czyżby ją wystraszył? Wydawało się to niemożliwe. Widziała go uleczonego, gdy wstąpił do kręgu. Kiedy mierzył się z ciemnością, był całkowicie zdrowy.

Dla niej stanął do walki z ciemnością!

Mimowolnie wyciągnął za siebie rękę i dotknął nasady skrzydeł. Skóra pod palcami była gładka - ani śladu fizycznego uszczerbku. Stevie całkowicie go uleczyła z ran zadanych przez ciemność.

A potem odwróciła się od niego, jakby nagle zobaczyła w nim potwora zamiast człowieka.

„Ale ja nie jestem człowiekiem! - wybuchło mu w głowie. - Od początku wiedziała, z kim ma do czynienia! Dlaczego odwróciła się ode mnie po wszystkim, przez co przeszliśmy?”

Jej zachowanie stanowiło dla niego jedną wielką zagadkę. Wezwała go, gdy jej życie było w niebezpieczeństwie. Gdy była zbyt przerażona, by myśleć. A on odpowiedział na wezwanie - poleciał i uratował ją, mówiąc, że należy do niego.

Potem zaś uciekła od niego z płaczem. Owszem, zauważył jej łzy, lecz nie miał pojęcia, co w jego postępowaniu mogło wywołać taką reakcję.

Z gardłowym okrzykiem frustracji wyrzucił ręce w powietrze, jakby chciał się uwolnić od myśli o niej. Światło księżyca zamigotało na jego dłoniach. Zastygł. Patrzył na swoje ręce, jakby je widział po raz pierwszy w życiu. Miał ręce człowieka. Stevie trzymała go za nie, a on nawet kołysał ją w ramionach, choć zaledwie przez moment, po tym jak uniknęli spalenia na dachu. Ich skóra niczym się nie różniła. Być może jego była ciemniejsza, ale zaledwie odrobinę. Miał silne, dobrze zbudowane ramiona...

Na wszystkich bogów, co mu strzeliło do głowy? Jakie znaczenie ma wygląd jego ramion? Ona nigdy nie może naprawdę należeć do niego. To absolutnie wykluczone. Jak mógł w ogóle pomyśleć o czymś takim?

Nagle wbrew jego woli przez głowę przemknęły mu słowa ciemności: „Jesteś synem swego ojca i tak jak on postanowiłeś czcić istotę, która nigdy nie da ci tego, czego najbardziej pożądasz”.

- Ojciec chronił Nyks - rzekł w noc Rephaim - lecz ona go odtrąciła. A teraz ja także postanowiłem chronić kogoś, kto mnie odtrąca.

Wzbijał się wysoko w niebo, bez wytchnienia młóćąc powietrze skrzydłami. Pragnął dotknąć księżyca, symbolu bogini, która złamała serce jego ojcu, przez co ciąg wydarzeń doprowadził do narodzin Rephaima. Może gdyby zdołał go dotknąć, bogini udzieliłaby mu jakiegoś logicznego wyjaśnienia - wyjaśnienia, które uspokoiłoby jego serce, bo ciemność miała rację: tego, czego najbardziej pragnął, Stevie Rae nie mogła mu dać.

„Najbardziej pragnę miłości...”

Nie potrafił głośno wypowiedzieć tego słowa. Sama myśl o nim omal go nie spaliła. Został poczęty z gwałtu, pożądania, strachu i nienawiści. Przede wszystkim z nienawiści, która zawsze go przepełniała.

Pieścił skrzydłami niebo, wnosząc się wyżej i wyżej.

Dla niego nie ma miłości. Nie powinien nawet jej pragnąć, myśleć o niej.

A jednak myślał. Odkąd w jego życiu pojawiła się Stevie Rae.

Stevie okazała mu życzliwość, której nigdy wcześniej nie zaznał.

Okazała mu dobroć, łagodnie bandażując rany i pielęgnując ciało. Przed tamtą nocą, kiedy to uratowała go z mroźnego krwawego mroku, nikt nigdy się nim nie opiekował. Współczucie... tak, to ona je wniosła w jego życie.

I jeszcze coś, czego wcześniej nie znał: śmiech.

Wpatrzony w księżyc, bijąc skrzydłami powietrze, myślał o jej nieustannym trajkotaniu i o iskierkach wesołości w jej oczach, które płonęły tam nawet wtedy, gdy Rephaim nie miał pojęcia, czym ją rozbawił. Niespodziewanie zachciało mu się śmiać.

Myśl o niej doprowadzała go do śmiechu!

Stevie Rae zdawała się nie zważać na fakt, że ma przed sobą potężnego syna niezniszczalnej nieśmiertelnej istoty. Rozkazywała mu, jakby był którymś

z jej podwładnych - zwykłym śmiertelnikiem zdolnym do miłości, śmiechu i odczuwania prawdziwych emocji.

A jednak... on także je odczuwał! Dzięki niej!

Czy od początku to planowała? Kiedy pomagała mu uciec z opactwa, mówiła, że Rephaim musi dokonać wyboru. Czy to właśnie miała na myśli - że może wybrać życie, w którym naprawdę istnieje śmiech, współczucie, a nawet miłość?

Co jednak z jego ojcem? Co będzie, jeśli Rephaim wybierze nowe życie, a Kalona powróci na ten świat?

Może powinien zostawić ten problem do późniejszego rozważenia? O ile okaże się to konieczne.

Nim się zorientował, co robi, zwolnił. Nie zdoła dotknąć księżyca: to równie niemożliwe jak miłość do kogoś takiego jak on. Zauważył nagle, że nie leci już na wschód, lecz skręcił i wraca do Tulsy.

Starł się uwolnić umysł od wszelkich myśli, czuć jedynie noc pod skrzydłami, rozkoszować się dotykiem słodkiego chłodnego powietrza.

Ona jednak znów pokrzyżowała mu plany.

Dosięgnął go jej smutek. Rephaim od razu się zorientował, że Stevie płacze. Miał wrażenie, że szloch wstrząsa jego własnym ciałem.

Przyspieszył. Co ją doprowadziło do takiego stanu? Czy znów chodziło o niego?

Bez chwili wahania minął Muzeum Gilcrease'a. Tam jej nie było. Musiała się znajdować gdzieś na południu.

Gdy jego skrzydła rozgarniały nocne powietrze, nastrój dziewczyny się zmienił - smutek ustąpił miejsca czemuś, co w pierwszej chwili wzbudziło w Rephaimie konsternację, a kiedy zrozumiał, z czym ma do czynienia, krew w nim zawrzała.

Pożądanie! Stevie Rae była w ramionach innego!

Nie zatrzymał się, by to przetrwać w swoim ni to ludzkim, ni zwierzęcym umyśle. Nie pamiętał, że zrodził się z gwałtu i w służbie drażonego nienawiścią ojca nie miał zaznać niczego prócz ciemności i przemocy. W ogóle nie myślał - tylko czuł. Jeśli Stevie odda się innemu, on, Rephaim, utraci ją na zawsze.

A jeśli to nastąpi, jego świat na powrót stanie się tym samym samotnym, pozbawionym radości miejscem, w którym kruk żył, nim poznał dziewczynę.

Nie zniósłby tego.

Nie wezwał ojcowskiej krwi, by go zaprowadziła do Stevie Rae. Wprost przeciwnie: z głębi własnego jestestwa wywołał obraz słodkiej czirokeskiej dziewczyny, która nie zasługiwała na męczeńską śmierć w kałuży krwi, i mając przed oczami tę dziewczynę, o której myślał jako o swojej matce, leciał wiedziony instynktem i sercem.

Serce przyprowadziło go na dworzec.

Widok tego miejsca wzbudził w nim mdłości - nie tylko z powodu wspomnienia tego, co się działo na dachu i jak bliska śmierci była wówczas

Stevie Rae. Wiedział, że gdzieś tam, pod ziemią, Stevie leży w ramionach innego.

Zerwał strzegącą wejścia kratę i bez wahania przemierzył piwnicę. Wciąż podążając za obecnym w jego krwi śladem dziewczyny, zszedł do znajomych tuneli. Oddychał coraz szybciej, coraz bardziej chrapliwie, a buzująca w żyłach krew napędzała jego furie i rozpacz.

Gdy w końcu ją znalazł, zobaczył leżącego na niej chłopaka pochłoniętego zaspokajaniem swojej chuci i obojętnego na wszystko inne na świecie. Co za dureń! Rephaim miał ochotę zrzucić go z dziewczyny. Powinien to zrobić. Żyjący w nim Kruk Prześmiewca miał ochotę uderzać adeptem o ścianę tak długo, aż jego zakrwawione, zmasakrowane ciało przestanie być zagrożeniem.

Żyjący w nim mężczyzna miał ochotę płakać.

Obezwładniony uczuciami, których nie potrafił ani zrozumieć, ani opanować, Rephaim zamarł, wpatrując się w tych dwoje z przerażeniem, nienawiścią, ale także pożądaniem i rozpaczą. Zobaczył, że Stevie Rae szykuje się do spijania krwi chłopaka, i natychmiast ze stuprocentową pewnością pojął dwie rzeczy: po pierwsze, że to zerwie ich Skojarzenie; po drugie, że on tego nie chce.

- Nie rób nam tego, Stevie Rae! - krzyknął instynktownie.

Chłopak zareagował szybciej niż ona. Zerwał się na równe nogi, zasłaniając Stevie swoim ciałem.

- Wypierdalaj stąd, poczwaro!

Widok adepta próbującego chronić Stevie, jego Stevie, sprawił Rephaima w szal zazdrości.

- Wynoś się, smarkaczu! Nie potrzebujemy cię tu! - Przykucnął i zbliżał się powoli do adepta.

- Co jest? - Stevie potrząsała głową, jakby próbowała rozjaśnić umysł. Podniosła z podłogi koszulę Dallasa i szybko ją włożyła, by się okryć.

- Nie ruszaj się stamtąd, Stevie. Nie dopuszczę go do ciebie.

Rephaim nacierał na chłopaka, który cofał się, popychając Stevie za sobą. W końcu dziewczyna wyjrzała mu przez ramię, dostrzegła kruka i zrobiła wielkie oczy.

- Nie! - krzyknęła. - Nie, ciebie nie powinno tu być!

Jej słowa przeszyły go jak sztylet.

- Ale tu jestem! - Jego furia sięgała zenitu. Chłopak wciąż się cofał, trzymając Stevie za sobą. Rephaim wszedł za nim do kuchni. Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch pod sufitem.

Kruk podniósł wzrok. Ciemność kłębiła się w przylegającej do stropu ohydnej czarnej kałuży.

Szybko przeniósł uwagę z powrotem na Stevie Rae. Nie mógł teraz myśleć o ciemności. Nie mógł nawet brać pod uwagę możliwości, że biały byk powrócił, by odebrać resztę długu.

- Nie zbliżaj się! - krzyknął chłopak i ku jego zdumieniu machnął ręką, jakby odpędzał ptaszka, który wpadł mu do domu.

- Odssuń się! Masz coś, co należy do mnie! - Rephaim nienawidził wydobywającego mu się z gardła zwierzęcego syku, lecz nie mógł na niego nic poradzić. Ten przekłety smarkacz całkowicie wyprowadził go z równowagi.

- Odejdź stąd, Rephaimie. Nic mi nie jest. Dallas nie robi mi krzywdy.

- Odejść? Zossstawić cię? - wybuchnął kruk. - Jakżebym mógł?

- Nie powinno cię tu być! - krzyknęła Stevie Rae. Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

- A niby gdzie mam być? Jak mogłaś sądzić, że nie będę wiedział, co tu robicie?

- Wynoś się stąd!

- Mam uciec? Tak jak ty uciekłaś ode mnie? Nie. Nie zrobię tego, Stevie Rae. Tak postanowiłem.

Chłopak dotarł do ściany. Zerkając to na Rephaima, to na Stevie, próbował wymacać za plecami wystające z dziury przewody.

- Wy naprawdę się znacie - powiedział.

- Jasssne, że się znamy, durniu! - syknął Rephaim, rozdrażniony sykiem obecnego w nim zwierzęcia, które wymknęło się spod kontroli.

- Skąd? - rzucił w kierunku dziewczyny adept.

- Wszystko ci wytłumaczę.

- Świetnie! - zawołał Rephaim, jakby powiedziała to do niego, a nie do chłopaka. - Chcę, żebyś mi wyjaśniła, co się dzisiaj stało.

- Rephaimie. - Stevie Rae spojrzała na niego zza Dallasa i potrząsnęła głową, jakby była potwornie sfrustrowana. - To zdecydowanie nie jest odpowiedni moment.

- Znacie się.

Kruk wcześniej niż Stevie zauważył zmianę w głosie chłopaka. Adept wypowiedział te słowa z zimną nienawiścią. Ciemność nad ich głowami zadrżała w rozkosznym wyczekiwaniu.

- Zgoda, znamy się. Ale mogę ci wszystko wyjaśnić. On...

- Cały czas z nim byłaś.

Zmarszczyła brwi.

- Cały czas? Nie. Po prostu znalazłam go, kiedy był poważnie ranny, i nie wiedziałam...

- Cały ten czas, gdy traktowałam cię jak jakąś królową czy coś w tym stylu. Jakbyś była prawdziwą najwyższą kapłanką- przerwał jej znowu chłopak.

Stevie wyglądała na wstrząśniętą i zranioną.

- Jestem prawdziwą najwyższą kapłanką. Ale jak już próbowałam ci powiedzieć, znalazłam Rephaima, gdy był ciężko ranny, i nie mogłam tak po prostu pozwolić mu umrzeć.

Wykorzystując to, że uwaga adepta była całkowicie skupiona na dziewczynie, Rephaim przysunął się bliżej.



Ciemność ponad nimi zgęstniała.

- Był częścią tego, co omal cię nie zabiło w kręgu!
- To on mnie wtedy uratował!!! - wrzasnęła Stevie.
- Gdyby się nie zjawił, biały byk wykrwawiłby mnie na śmierć!

Chłopak jakby tego nie słyszał.

- Trzymałaś tego... tego stwora w tajemnicy. Wszystkich okłamywałaś!
- Do cholery, Dallas, nie miałam pojęcia, co robić!
- Okłamałaś mnie, dziwko!
- Nie waż się tak do mnie mówić! - Uderzyła go z całej siły.

Zatoczył się o pół kroku w tył.

- Co on z tobą zrobił, do kurwy nędzy?
- Oprócz tego, że dwa razy uratował mi życie? Nic!!! - wrzasnęła.
- Namieszał ci we łbie!!! - ryknął Dallas. Ciemność spłynęła z sufitu,

jakby nagle znalazła słaby punkt w tamie, i otoczyła chłopaka, osiadając mu na głowie i ramionach, oplatając w pasie z obrzydliwą poufałością, która przywodziła Rephaimowi na myśl ostre jak brzytwa węże. Tyle że ciemność bynajmniej nie przecięła adepta - więcej: on jej w ogóle nie zauważył.

- Moja głowa należy do mnie. On nic mi nie zrobił - powiedziała Stevie i zrobiła wielkie oczy, dopiero teraz dostrzegając ciemność. Cofnęła się o krok, jakby nie chciała, żeby zbrukało ją to, co jego dotykało. - Dallas, posłuchaj mnie. Myśl. Znasz mnie. To nie to, o co mnie posądzasz.

Rephaim dostrzegał zachodzącą w adepcie zmianę. Odsunięcie się Stevie i ciemność, która nim zawładnęła, doprowadziły go do wrzenia.

- Zrobił z ciebie zasraną dziwkę i kłamczuchę! - wrzasnął chłopak. - Trzeba cię nauczyć rozumu, dziewczyno!

Uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć. Rephaim bez wahania skoczył na niego, odrzucił go od Stevie i stanął między nimi.

- Nie rób mu krzywdy! - powiedziała, chwytając go za ramię i powstrzymując przed ponownym uderzeniem Dallasa. - Po prostu mu odbiło. Nic by mi nie zrobił.

Kruk pozwolił się odciągnąć.

- Chyba go nie doceniasz - powiedział jednak.
- Zdecydowanie - burknął chłopak.

Rephaim nie wiedział, skąd wziął się ten ból. Był jak oślepiająco biały płomień. Jego ciało wiło się w męczarniach, plecy ugięły się pod krzyżem cierpienia. Niczym przez ciemniejący welon widział Dallasa z oczami płonącymi niewiarygodnie jaskrawym szkarłatem, trzymającego wystające ze ściany kable.

- Rephaim! - krzyknęła Stevie Rae.

Chciała go schwycić, ale niespodziewanie się cofnęła i ruszyła do chłopaka.

- Przestań! Puść go! - zawołała, ciągnąc go za rękę.

Prześwidrował ją krwistoczerwonymi oczyma.

- Usmażę go. A wtedy to coś, co cię opanowało, zniknie i będziemy mogli być razem. Jeśli tylko będziesz moja, nikomu nie powiem o tym, co się tu zdarzyło.

Z mglistym uczuciem zrozumienia Rephaim zauważył, że ciemność nie okleja już ciała chłopaka. Wniknęła w niego i całkowicie nim zawładnęła. Czymkolwiek Dallas go raził, ciemność jeszcze wzmagała jego siłę.

W Kruku zagościła pewność, że zginie.

- Ziemio, przybądź. Potrzebuję cię.

Słyszał głos Stevie Rae z zakłóceniami, jakby była płomykiem świecy usiłującym do niego dotrzeć poprzez huraganowy wiatr. Olbrzymim wysiłkiem woli skupił na niej wzrok. Ich spojrzenia się skrzyżowały i nagle usłyszał wyraźny, silny i pewny głos dziewczyny:

- Ochroń go przed Dallasem, bo Rephaim należy do mnie.

Zrobiła ruch w jego kierunku, jakby czymś ciskała - i w jego ciało uderzył zielony płomień, odrzucając go do tyłu i przerywając kontakt z tym, czym raził go Dallas. Kruk leżał bezwładnie na podłodze, ciężko oddychając i chłonąc coś, co stawało się już znajomym łagodnym dotykiem uzdrawiającej ziemi.

Dallas obrócił się do dziewczyny.

- Powiedziałaś, że ta istota należy do ciebie.

Jego głos brzmiał jak śmierć. Rephaim przyłgnał do ziemi, pragnąc, by w niego wniknęła i uleczyła go w stopniu, który by mu pozwolił dosięgnąć Stevie.

- Owszem. Należy. Trudno to wytłumaczyć i rozumiem, że jesteś wściekły. Ale Rephaim należy do mnie - powtórzyła, przenosząc wzrok na kruka. - I choć brzmi to dziwacznie, ja chyba też należę do niego.

- To nie jest dziwaczne. To jest kurewsko chore.

Nim Rephaim zdołał się podnieść, Dallas wycelował palcem w dziewczynę. Rozległ się ogłuszający huk i po chwili Stevie stała pośrodku świecącego zielonego kręgu, potrząsając głową i marszcząc brwi.

- Próbowałaś mnie porazić prądem? Naprawdę chciałaś mnie skrzywdzić, Dallas?

- Woliałaś tę pokrakę ode mnie!!! - wrzasnął chłopak.

- Robiłam to, co uważałam za słuszne!

- Wiesz co? Jeśli to jest słuszne, to ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Wolę przeciwieństwo!

Ledwie wypowiedział te słowa, krzyknął, upuścił ściskany w ręku kabel, osunął się na kolana, a potem opadł twarzą w dół.

- Dallas, nic ci nie jest? - Stevie zrobiła niepewny krok w jego stronę.

- Nie zbliżaj się do niego - wychrypiał Rephaim, podnosząc się z wielkim trudem.

Stevie zamarła, po czym zmieniła kierunek i zamiast do Dallasa podbiegła do kruka. Otoczyła go ramieniem.

- Nic ci nie jest? Wyglądasz na przypalonego.

- Przypalonego? - Mimo wszystko zachciało mu się śmiać. - Co to niby ma znaczyć?

- To. - Stevie dotknęła jednego z piór pokrywających pierś Rephaima. Ze zdumieniem spostrzegł, że istotnie jest osmalone. - Trochę ci się przypiekły brzegi.

- Dotykasz go! Pewnie się też pieprzycie, co? Niech to szlag, cieszę się, że mnie powstrzymał, zanim dokończyliśmy. Nie mam zamiaru spijać popłuczyn po jakimś maszkaronie!

- Dallas, co to za potworne... - Stevie Rae urwała, gdy tylko jej wzrok padł na chłopaka.

- Zgadza się. Nie jestem już jakimś durnym adeptem.

Jego twarz okalały nowiutkie tatuaże w kształcie uderzających biczów. Rephaim zauważył, że są niepokojąco podobne do macek, za pomocą których ciemność uwięziła w kręgu Stevie i jego. Oczy błyszczały Dallasowi jeszcze silniejszą niż przedtem czerwienią, a ciało zdawało się większe, jakby napuchło od nowo nabytej mocy.

- O matko! - jęknęła Stevie Rae. - Przeszedłeś Przemianę!

- I to niejedną.

- Dallas, musisz mnie wysłuchać. Pamiętasz ciemność? Widziałam, jak sięga po ciebie. Proszę, spróbuj się skupić. Nie pozwól, żeby cię opanowała.

- Ona mnie? Jak możesz to mówić, stojąc obok tej poczwary? Nie, kurwa! Nie będę dłużej słuchał twoich kłamstw! I postaram się, żeby nikt inny ich nie słuchał. - Warknął nienawistnie.

Gdy wstał i zaczął sięgać po kable, którymi wcześniej przesyłał prąd, Stevie wycofała się z kuchni, ciągnąc za sobą Rephaima. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, uniosła rękę i wzięła głęboki oddech.

- Ziemio, zamknij to wejście.

- Nie!!! - wrzasnął Dallas.

Rephaim zdążył zauważyć, jak chłopak chwytą kabel i celuje w nich, po czym z odgłosem, który przywodził na myśl szemranie jesiennego wiatru w gałęziach, ziemia osypała się za nimi, chroniąc ich przed gniewem ciemności.

- Możesz iść? - zapytała Stevie.

- Tak. Nie zranił mnie mocno. A jeśli nawet, to twoja ziemia już mnie uleczyła - powiedział, spoglądając w dół na otoczoną jego ramieniem drobną, lecz dumną i silną dziewczynę.

- Musimy się stąd wynosić - powiedziała, ruszając przodem ku wyjściu z tuneli. - Kuchnia ma drugie wyjście. Dallas raz-dwa się wydostanie.

- Dlaczego nie zamkniesz także tamtej drogi? - zapytał kruk, podążając za nią.

Spojrzała na niego z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Miałabym go zabić? Nic z tych rzeczy. On wcale nie jest taki zły, Rephaimie. Po prostu wpadł w szal, bo ciemność pomieszała mu w głowie, gdy dowiedział się o nas.

„O nas”...

Miał ochotę schwycić się kurczowo tych słów, które stanowiły most między nimi dwojgiem, lecz nie mógł. Nie było na to czasu. Potrząsnął głową.

- Nie, Stevie Rae. Ciemność nie pomieszała mu w głowie. On ją wybrał.

Myślał, że dziewczyna zaprotestuje, ale tylko zwiesiła ramiona.

- Tak - powiedziała, nie patrząc na niego. - Słyszałam.

W milczeniu wspięli się po drabinie. Gdy przechodzili przez piwnicę, zza wyrwanej kraty dobiegł ich jakiś dźwięk, który wydał się Rephaimowi znajomy.

- Zabiera garbusa! - krzyknęła Stevie Rae i ruszyła sprintem, a on popędził za nią.

Gdy dobiegli na parking, zdążyli jedynie zobaczyć, jak niebieski samochodzik go opuszcza.

- Mamy kłopoty - stwierdziła Stevie.

Rephaim zlustrował badawczym spojrzeniem horyzont na wschodzie. Niebo zaczynało już jaśnieć.

- Musisz zostać w tunelach - powiedział.

- Nie mogę. Jeśli nie wrócę przed świtem, Lenobia i pozostali zaraz tu będą.

- Odejdę - rzekł kruk. - Polecę z powrotem do Gilcrease'a. Możesz zostać pod ziemią, żeby cię znaleźli. Będziesz bezpieczna.

- A jeśli Dallas wróci do Domu Nocy i opowie im o nas?

Rephaim zawahał się tylko na moment.

- W takim razie rób, co musisz. Wiesz, gdzie będę.

Odwrócił się, by odejść.

- Weź mnie ze sobą!

Zamarł.

- Zbliża się świt - odparł, nie patrząc na nią.

- Jesteś już zdrowy, prawda?

- Tak.

- Masz dość sił, by lecieć i nieść mnie?

- Mam.

- Więc zanieś mnie do Gilcrease'a. Jestem pewna, że ten stary dom ma piwnicę.

- A co z twoimi przyjaciółmi, z pozostałymi czerwonymi adeptami? - zapytał.

- Zadzwońię do Kramishy i powiem jej, że Dallas zwariował i że jestem bezpieczna, ale nie w tunelach. I że wszystko wyjaśnię im jutro.

- Kiedy się o mnie dowiedzą, będą myśleli, że wybrałaś mnie zamiast nich.

- Na razie wybieram jedynie parę dni wolnego, by móc się zastanowić, co zrobić z tym całym fermentem, który sieje Dallas - odparła Stevie, po czym dodała znacznie łagodniejszym tonem: - Chyba że nie chcesz mnie zabrać ze sobą. Możesz po prostu stąd odlecieć i mieć spokój od tej afery.

- Jestem twoim partnerem czy nie? - zapytał, nim zdążył się powstrzymać.

- Tak. Jesteś.

Nie miał pojęcia, że wstrzymywał oddech, póki powietrze nie uszło z jego płuc w przeciągłym westchnieniu. Rozpostarł ramiona.

- W takim razie powinnaś pójść ze mną. Postaram się, żebyś za dnia spała spokojnie.

- Dziękuję - powiedziała najwyższa kapłanka Rephaima i pozwoliła, by trzymając ją w silnych ramionach, uniósł się w niebo.

Nie myliła się: w starym domostwie była piwnica. Miała gołe kamienne ściany i klepisko zamiast podłogi, ale była zaskakująco sucha i wygodna. Stevie Rae z westchnieniem ulgi usiadła po turecku pod ścianą i wyjęła komórkę. Rephaim nie bardzo wiedział, co robić, więc stał tam i słuchał, jak Stevie dzwoni do koleżanki o imieniu Kramisha i zaczyna się pospiesznie tłumaczyć z tego, że nie wróci do szkoły.

- Dallasowi kompletnie odbiło... chyba ten prąd coś mu poprzestawiał w mózgu... wyrzucił mnie z auta Zo w drodze do Domu Nocy... nie, nic mi nie jest... wrócę pewnie wieczorem...

Rephaim czuł się jak intruz. W końcu odszedł, by mogły porozmawiać bez świadków. Wrócił na strych i przechadzał się przed otwartymi drzwiami wnęki, w której zbudował sobie gniazdo.

Był zmęczony. Mimo całkowitego wyzdrowienia wyścig ze wschodem słońca ze Stevie Rae w ramionach doszczętnie go wyczerpał. Powinien ułożyć się we wnęce i odpoczywać do wieczora. Stevie nie wyjdzie z piwnicy do zmroku.

Stevie nie może stamtąd wyjść.

W świetle dziennym można ją skrzywdzić. Wprawdzie wszyscy czerwoni adepci mieli ten sam problem, więc Dallas nie mógł jej zagrozić przed zmrokiem, ale co będzie, jeśli przypadkowo natknie się na nią człowiek?

Rephaim powoli zebrał koce i zgromadzone wcześniej jedzenie, po czym zaczął przenosić to wszystko do piwnicy. Gdy schodził tam po raz ostatni, było już całkiem jasno. Dziewczyna zakończyła rozmowę i leżała skulona w kącie. Ledwie się poruszyła, gdy przykrył ją kocem. Potem umościł sobie posłanie obok niej, nie dość blisko, by się dotykali, lecz tak, by natychmiast po przebudzeniu mogła go zobaczyć. Wybrał miejsce pomiędzy nią a drzwiami: gdyby ktoś wszedł, musiałby najpierw minąć jego, aby dotrzeć do niej.

Ostatnią jego myślą przed zaśnięciem była ta, że wreszcie zrozumiał wieczne poczucie furii i wzburzenie towarzyszące jego ojcu. Gdyby Stevie Rae naprawdę go dziś odtrąciła, jego świat już zawsze byłby zbrukany jej stratą. Ta świadomość przeraziła go bardziej niż perspektywa ponownego spotkania z ciemnością.

„Nie chcę żyć w świecie, w którym jej nie będzie” - pomyślał kruk i doszczętnie wyczerpany uczuciami, które ledwie rozumiał, zasnął.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

### *Stark*

- Wiem, że wejście w Zaświaty może mnie zabić, ale nie chcę żyć na tym świecie bez niej. - Powstrzymał się od krzyku, choć nie zdołał zakamuflować kipiącej w nim frustracji. - Więc po prostu mi pokaż, co muszę zrobić, żeby dostać się tam, gdzie ona jest, i zabrać ją stamtąd!

- Dlaczego chcesz ją odzyskać? - zapytała Sgiach.

Stark przeczesał palcami włosy. Wyczerpanie związane ze światłem dziennym drażniło go i mąciło mu w głowie. W końcu wyrzucił z siebie jedyną odpowiedź, jaką jego umęczony umysł zdołał z siebie wykrzesać:

- Bo ją kocham.

Zamiast zareagować jakoś na to wyznanie, królowa przyglądała mu się w zamyśleniu.

- Czuję, że dotknęła cię ciemność.

- Tak - przyznał chłopak, choć nie całkiem wiedział, co ma na myśli Sgiach - ale kiedy postanowiłem być z Zoey, wybrałem światłość.

- A czy wybierałbyś ją nadal, gdyby to oznaczało utratę tego, co miłujesz najbardziej? - zapytał Seoras.

- Chwila. Przecież Stark właśnie po to chce się przenieść w Zaświaty, żeby chronić Zoey - zauważyła Afrodyta. - Żeby mogła poskładać do kupy swoją duszę i wrócić do ciała. Zgadza się?

- W istocie. Kiedy już scali swoją duszę, może zdecydować o powrocie - przytaknął wojownik.

- W takim razie nie rozumiem twojego pytania. Jeśli Zo wróci, to Stark jej nie straci - rzekła dziewczyna.

- Mój strażnik chce powiedzieć, że jeśli Zoey powróci z Zaświatów, będzie odmieniona - wyjaśniła Sgiach. - Co się stanie, jeśli w wyniku tej odmiany odsunie się od Starka?

- Jestem jej wojownikiem. To się nie zmieni. Będę musiał przy niej zostać.

- Właśnie, chłopcze. Będziesz musiał przy niej zostać jako wojownik, ale może nie jako jej wybranek - zauważył Seoras.

Stark miał wrażenie, że ktoś wbija mu sztylet w brzuch.

- Jestem gotów zginąć, by wróciła - rzekł jednak bez wahania. - Nic nie zmieni mojego postanowienia.

- Czasem nasze najgłębsze emocje różnią się jedynie dzięki temu, jacy jesteśmy w głębi duszy - rzekła królowa. - Pożądanie i empatia, poświęcenie i obsesja, miłość i nienawiść: te uczucia są sobie niezmiernie bliskie. Twierdzisz, że kochasz swoją królową tak bardzo, iż jesteś gotów dla niej umrzeć, ale jaką barwę przybrałby twój świat, gdyby ona przestała odwzajemniać tę miłość?

Ciemną. To słowo natychmiast zrodziło się w jego głowie, lecz wiedział, że nie powinien wypowiadać go na głos.

Na szczęście uratowała go niewyparzona gęba Afrodyty.

- Gdyby Zo nie chciała z nim być w takim sensie, w jakim dziewczyna jest z chłopakiem, Stark czułby się potwornie. To chyba jasne. Co jednak nie znaczy, że przeszedłby na ciemną stronę, a jestem pewna, że wiesz, co to znaczy, skoro twój facet ogląda *Star Treka*, który ani trochę nie różni się od tego drugiego debilnego filmu. A poza tym czy to, co Stark zrobiłby w hipotetycznej sytuacji, w której Zoey by go rzuciła, nie jest wyłącznie sprawą między Starkiem, Zoey i Nyks? Bogini wie, że nie chcę, by to zabrzmiało wrednie, ale ty w końcu jesteś królową, a nie boginią, więc w pewnych sprawach po prostu nie masz nic do powiedzenia.

Stark wstrzymał oddech, czekając, aż Sgiach za pomocą *Star Treka*, *Gwiezdnych wojen* czy innego badziewia roztrzaska Afrodytę na milion kawałków, tymczasem królowa parsknęła niespodziewanie młodzieńczym śmiechem.

- Cieszę się, że nie jestem boginią, młoda wieszczko. Ten niewielki kawałek świata, nad którym mam władzę, wystarcza mi aż nadto.

- Dlaczego więc tak cię interesuje, co może zrobić Stark? - zapytała Afrodyta, ignorując ostrzegawcze spojrzenia Dariusa.

Sgiach i jej strażnik wymienili długie spojrzenia, po czym wojownik skinął lekko głową, jakby coś wspólnie postanowili.

- Równowagę między światłością a ciemnością na świecie może naruszyć nawet jeden czyn. Postępowanie pojedynczego wojownika, takiego jak Stark, może mieć wpływ na wielu innych.

- A nie byłoby dobrze, gdyby kolejny potężny wojownik tego świata walczył po stronie ciemności - dodał strażnik.

- Wiem o tym. Nigdy więcej nie stanę po jej stronie - odparł ponuro Stark.  
- Widziałem, jak dusza Zoey roztrzaskuje się w wyniku jednego czynu, więc tę część też rozumiem.

- W takim razie działaj rozważnie - rzekła królowa. - Zarówno w Zaświatach, jak i na tym świecie. Pamiętaj też o tym, że o ile młodzi i naiwni wierzą, iż miłość jest najsilniejsza ze wszystkiego, o tyle ci, których cechuje większy... hm, realizm, wiedzą, że wola pojedynczej osoby, wzmocniona uczciwością i świadomością celu, może mieć większą moc niż działanie tuzina zakochanych romantyków.

- Będę o tym pamiętał. Obiecuję. - Stark ledwie słyszał własne słowa. Był gotów przysiąc, że utnie sobie rękę, gdyby o to właśnie poprosiła go Sgiach w zamian za rozpoczęcie procedury przenoszenia go w Zaświaty.

Królowa pokręciła smutno głową, jakby słyszała jego myśli.

- Dobrze zatem - powiedziała. - Rozpocznijmy misję. - Uniosła rękę. - Przywołuję Seol ne Gigh.

Rozległ się świst, a po nim seria stuknięć. Podłoga pomiędzy ciałem Zoey a podestem królowej otworzyła się, wyrzucając kamień w kolorze rdzy, sięgający Starkowi do pasa, szeroki i dostatecznie długi, by na jego płaskiej powierzchni mógł się położyć dorosły wampir. Na całej powierzchni kamienia widniały misternie wyryte wzory, a po obu stronach otaczającej go podłogi widniały rowki wygięte w łuk, grubsze na jednym końcu i ostro zakończone na drugim. Przyglądając im się, Stark nagle uświadomił sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze, rowki wyglądały jak olbrzymie rogi.

Po drugie, kamień wcale nie był rdzawy. Był to biały marmur, a rdzawa barwa pochodziła od plamy. Plamy krwi.

- To Seol ne Gigh, Siedlisko Ducha - wyjaśniła Sgiach. - Prastary święty kamień ofiarny. Od niepamiętnych czasów stanowi łącznik z ciemnością i światłością, z białym i czarnym bykiem, które razem wzięte stanowią podstawę mocy strażników.

- Ofiarny? - zapytała Afrodyta, zbliżając się do kamienia. - Jakie ofiary masz na myśli?

- To zależy od rodzaju misji, nieprawdaż? - zapytał Seoras.

- Twoja odpowiedź niczego nie wyjaśnia - prychnęła.

- Ależ oczywiście, że wyjaśnia, drogie dziewczę - odparł Seoras, uśmiechając się do niej ponuro. - I ty dobrze o tym wiesz, nawet jeśli nie masz ochoty tego przyznać.

- Nie mam nic przeciwko ofiarom - rzekł Stark, zmęczonym gestem pocierając brwi. - Tylko mi powiedz, co lub kogo - tu rzucił okiem na Afrodytę, nie troszcząc się o gniewne spojrzenie Dariusa - muszę poświęcić, i sprawa załatwiona.

- To ty masz zostać poświęcony, chłopcze - wyjaśnił Seoras.

- Jego osłabienie w godzinach dziennych powinno pomóc. Duchowi będzie łatwiej wymknąć się z ciała - zwróciła się do strażnika Sgiach, ignorując obecność Starka.

- Święta racja. Większość wojowników wzbrania się przed opuszczeniem ciała. Słabość może ułatwić przejście - przyznał Seoras.

- W takim razie co mam zrobić? Znaleźć dziewicę czy jak? - Stark nie spojrzawszy przy tym na Afrodytę, która zdecydowanie nie pasowała mu do tej kategorii.

- To twoja ofiara, wojowniku. Nie wystarczy przelać cudzą krew. Cała ta misja od początku do końca będzie twoja. Nadal jesteś gotów ją rozpocząć, Stark? - zapytała Sgiach.

- Tak - odparł bez wahania.

- W takim razie połóż się na Seol ne Gigh, młody strażniku MacUallisie. Twój wódz utoczy ci krwi i zabierze cię w miejsce znajdujące się pomiędzy życiem a śmiercią. Kamień przyjmie twoją ofiarę. Biały byk przemówił. Zostaniesz przyjęty. On zaprowadzi twego ducha do bramy Zaświatów. Od



ciebie zależy, czy dostaniesz się do środka. Niech bogini ma twą duszę w opiece - powiedziała królowa.

- W porządku. Świetnie. Miejmy to już za sobą - rzekł Stark, ale nie podszedł od razu do Seol ne Gigh. Zamiast tego ukląkł obok ciała Zoey i nie zważając na spojrzenia wszystkich obecnych, objął dłońmi jej twarz i łagodnie ucałował w usta, szepcząc: - Idę po ciebie. Tym razem cię nie zawiodę. - Potem wstał, wyprostował ramiona i podszedł do ogromnego kamiennego bloku.

Seoras stanął u szczytu kamienia. Spokojnie patrząc Starkowi w oczy, wyjął z zawieszanej u pasa skórzanej pochwy zabójczo ostry sztylet.

- Chwila, chwila! - Afrodyta w jej tylko znanym celu szperała w ogromnej torbie z nabłyszczanej skóry, którą przywlokła z Wenecji.

Stark miał jej serdecznie dość.

- Afrodyto, to nie jest właściwy moment.

- No wreszcie! Wiedziałałam, że nie mogłabym zgubić czegoś tak wielkiego i śmierdzącego. - Wyjęła z torby spory woreczek wypełniony brązowymi gałązkami i igiełkami, po czym dała znak jednemu ze stojących pod ścianą wojowników, pstrykając palcami i sprawiając bardziej arystokratyczne wrażenie, niż Stark mógłby głośno przyznać. Potężny mężczyzna dosłownie podbiegł, by wziąć woreczek z jej rąk. - Nim rozpoczniecie coś, co z pewnością będzie wyjątkowo nieatrakcyjnym upuszczeniem krwi, ktoś musi okadzić tym Starka.

- Co ty wymyślasz? - Stark potrząsnął głową, nie pierwszy raz zastanawiając się, czy tej dziewczynie nie brakuje piątej klepki.

Afrodyta przewróciła oczami.

- Babcia Redbird powiedziała Stevie Rae, a ona mnie, że palenie cedru działa w świecie duchów jak jakiś wielki czirokeski amulet.

- Cedru? - zdziwił się Stark.

- Tak. Wdychaj go i zabierz ze sobą w Zaświaty. A teraz proszę, zamknij usta i przygotuj się do upuszczenia krwi. - Przeniosła wzrok na Sgiach. - Myślę, że uznałabyś babcię Redbird za szamankę. Jest mądra i naprawdę należy do tych, którzy uważają, że ziemia posiada duszę. Twierdzi, że cedr pomoże Starkowi.

Wojownik, któremu podała woreczek, zerknął na Sgiach, która wzruszyła ramionami i skinęła głową.

- Nie zaszkodzi.

Gdy rozpalono w koksowniku, dodając parę igiełek, Afrodyta się uśmiechnęła i skłoniła lekko Seorasowi.

- Teraz możemy zacząć.

Stark omal nie wrzasnął na tę denerwującą idiotkę, ale wziął się w garść. Musiał się skoncentrować. Wdychał głęboko zapach cedrowego igliwia, ufając babci Redbird i pamiętając, że liczy się tylko to, by dotrzeć do Zoey i móc ją chronić. Przetarł dłonią czoło. Szkoda, że nie mógł zetrzeć z siebie tej mączącej umysł mgły, która osiadała na nim, gdy na zewnątrz świeciło słońce.

- Nie walcz z tym. To naturalne, że czujesz się trochę dziwnie, wyslizgując się z ciała. Wojownicy zwykle nie robią takich rzeczy. - Seoras wskazał sztyłem płaską powierzchnię kamienia. - Odkryj pierś i połóż się.

Chłopak zdjął bluzę i koszulkę, po czym położył się na kamieniu.

- Widzę, że zostałeś już naznaczony - zauważył strażnik, wskazując na lewej części jego klatki piersiowej różową bliznę po poparzeniu zlaną strzałą.

- Tak. Dla Zoey.

- W takim razie słuszne jest, byś dał się dla niej naznaczyć po raz drugi.

Stark leżał sztywno na splamionym krwią kamieniu, oczekując bólu. Spodziewał się, że powierzchnia będzie zimna i martwa, ale gdy tylko dotknął skórą marmuru, jego ciało poczęło się nagrzewać. Ciepło było rytmicznie z głębi Seol ne Gigh niczym uderzający puls.

- Czujesz go! - zauważył stary wojownik.

- Gorący - odparł Stark, spoglądając na niego.

- Dla tych z nas, którzy są strażnikami, kamień żyje. Ufasz mi, chłopcze?

Zaskoczony pytaniem Stark zamrugał, lecz odpowiedział bez wahania:

- Tak.

- Zabiorę cię przed oblicze śmierci. Żeby się tam dostać, musisz mi zaufać.

- Ufam ci - powtórzył chłopak, czując głębokie duchowe pokrewieństwo ze strażnikiem i wiedząc, że może mu zawierzyć.

- To nie będzie przyjemne dla żadnego z nas, ale jest konieczne. Ciało musi uwolnić ducha, by ten mógł swobodnie ulecieć. Można to osiągnąć jedynie poprzez ból i krew. Jesteś gotów?

Chłopak przytaknął, przycisnął dłonie do gorącej powierzchni kamienia i wciągnął głęboko w płuca zapach cedru.

- Zaraz! Zanim go zranisz, powiedz mu coś pomocnego. Nie pozwól, żeby jego dusza miotła się po Zaświatach bez ładu i składu. Jesteś szamanem, więc przekaż mu trochę tego szamaństwa! - nie wytrzymała znów Afrodyta.

Seoras spojrział na nią, po czym przeniósł wzrok na swoją królową. Stark nie widział twarzy Sgiach, dostrzegł jednak odbicie jej reakcji na twarzy strażnika, który delikatnie uniósł kąciki ust w namiastce uśmiechu, spoglądając znów na Afrodytę.

- Cóż, moja mała królowo, oto, co powiem twojemu przyjacielowi: najprawdziwsze, najczystsze dobro poznajemy wtedy, kiedy najpodlejsze cechy naszej natury ustępują miejsca pragnieniu miłości, spokoju i harmonii. Poddanie się im niesie ze sobą wielką moc.

- Dla mnie to zbyt poetyckie, ale Stark lubi czytać. Może będzie wiedział, o co ci chodzi - odparła dziewczyna.

- Afrodyto - odezwał się Stark - wyświadczysz mi przysługę?

- Kto wie?

- Racz. Się. Zamknąć - wycedził, po czym podniósł wzrok na Seorasa. - Dzięki za radę. Będę o tym pamiętał.

Seoras spojrział mu w oczy.

- Musisz sobie poradzić z bólem sam, chłopcze. Ja nie mogę cię nawet przytrzymać. Jeśli nie dasz rady tego zrobić, to znaczy, że i tak nie przeszedłbyś przez bramę, więc lepiej będzie to zakończyć, zanim jeszcze zaczniesz.

- Nie mam zamiaru się stąd ruszyć - odparł Stark.

- Bicie serca Seol ne Gigh zaprowadzi cię w Zaświaty. Drogę powrotną będziesz musiał odnaleźć sam.

Stark skinął głową i rozpostarł dłonie na powierzchni marmuru, grzejąc jego ciepłem zziębnięte nagle ciało.

Seoras uniósł sztylet i uderzył tak szybko, że chłopak ledwie zarejestrował ruch jego ręki. Pierwsza rana, którą poczuł jedynie jako falę gorąca, biegła od pasa po górną krawędź prawych żeber.

Druga była niemal identyczna, tyle że krwawa linia pojawiła się po lewej stronie.

Wtedy zaatakował prawdziwy ból. Stark miał wrażenie, że krew sącząca się z boków i zbierająca w kałużę na kamieniu pali niczym lawa. Ostry jak brzytwa dirk Seorasa ciął metodycznie to z jednej, to z drugiej strony ciała, aż wreszcie krew zebrała się na brzegu kamienia niczym w kącie oka jakiegoś olbrzyma, by po chwili wahania przelać się i spłynąć w dół, tocząc szkarłatne łyzy wzdłuż misternych żłobień, a na koniec ściekając do rynien w kształcie rogów.

Nigdy w życiu nie czuł takiego bólu. Nawet kiedy umierał.

Nawet kiedy zmartwychwstał i potrafił myśleć jedynie o pragnieniu i przemocy.

Nawet kiedy omal nie zginął od własnej strzały.

Ból zadawany mu przez strażnika nie był wyłącznie fizyczny. Palił mu ciało, ale także duszę. Męczarnie ciągnęły się nieprzerwaną falą, od której nie było wytchnienia. Stark czuł, że lada chwila utonie.

Walczył mimowolnie, wiedząc, że nie może się ruszyć, starając się jednak zachować świadomość. „Jeśli się poddam, umrę” - kołatało mu w głowie.

- Zaufaj mi, chłopcze. Pozwól jej odejść.

Seoras stał nad nim, raz za razem pochylając się i tnąc mu skórę, ale jego głos był dla Starka niczym odległa, ledwo dostrzegalna kotwica.

- Zaufaj mi.

Dokonał już wyboru. Teraz musiał jedynie przy nim wytrwać.

- Ufam - usłyszał własny szept. Potem świat stał się szary, następnie szkarłatny, wreszcie czarny. Stark nie był świadom niczego z wyjątkiem bólu i odpływającej z ciała krwi. Potem obie te rzeczy spłotły się w jedno i nagle znalazł się poza swoim ciałem, wsiąkał w kamień, spływał po jego żłobionych ścianach i wpadał do rynien.

Otoczony samym bólem i ciemnością, w pierwszej chwili zmagął się z paniką, która jednak zaraz ustąpiła miejsca otepiałej i w pewien sposób

pocieszającej akceptacji. Pomyślał, że ta ciemność nie jest wcale taka zła, a ból przechodzi... właściwie jest już niemal tylko wspomnieniem.

- Nie poddawaj się, debil! Zoey cię potrzebuje!

Afrodyta? Na boginię, jakież to denerwujące, że nawet po opuszczeniu ciała wciąż musi słuchać tej idiotki.

Po opuszczeniu ciała?... A więc udało mu się! Ogarnął go zachwyty, który po chwili zastąpiła konsternacja.

Był poza ciałem.

Nic nie widział. Niczego nie czuł ani nie słyszał. Otaczała go nieprzenikniona czerń.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Jego duch mijał się jak uwięziony ptak, uderzając o nicłość.

Co takiego powiedział mu Seoras? Jak brzmiała jego rada?

„Poddanie się niesie ze sobą wielką moc”.

Przestał walczyć i uspokoił się, a wówczas przez ciemność przedarło się mgliste wspomnienie jego duszy przelewającej się do dwóch rynien w kształcie rogów.

Rogów!

Skoncentrował się na jedynym uchwytnym pojęciu, jakie się zrodziło w jego umyśle, i wyobraził sobie, jak chwyta za owe rogi.

Z absolutnej ciemności wyłoniła się istota w innym odcieniu czerni, przypominającym niebo podczas nowiu albo głęboką nocną wodę i na wpół zapomniane sny.

- *Przyjmuję twoją ofiarę krwi, wojowniku. Staw mi czoło i przejdź dalej, jeśli masz odwagę.*

- Mam! - krzyknął Stark, przyjmując wyzwanie.

Byk natarł na niego. Chłopak zadziałał instynktownie: nie uciekał, nie odskoczył na bok, lecz rzucił się na zwierzę, krzycząc z wściekłości i strachu. Byk pochylił olbrzymi łeb, jakby chciał go ubość.

- Nie! - Stark skoczył na niego i chwycił za rogi niczym we śnie, a bestia w tym samym momencie gwałtownie uniosła głowę, wyrzucając go w górę. Miał wrażenie, że skacze do wody z niewiarygodnie wysokiej skarpy, koziołkując po drodze i słysząc gdzieś za sobą dobiegający z bezdusznej czerni głos byka, który powtarzał trzy słowa:

- *Dobra robota, strażniku.*

Po czym wokół nastąpiła eksplozja światła, a zaraz potem Stark uderzył o twardą ziemię. Podnosił się powoli, myśląc, jakie to dziwne, że choć jest tylko duchem, zachował kształt i czucie ciała. Rozejrzył się.

Przed nim znajdował się zagajnik identyczny jak ten w pobliżu zamku Sgiach. Nie zabrakło nawet drzewa ofiarnego obwieszonych niezliczonymi paskami materiału, który zmieniał się na jego oczach, przybierając różne barwy i długości, a przy tym połyskując jak choinkowa lameta.

Zaświaty! To musiały być wrota krainy Nyks. Nic innego nie mogło wyglądać tak czarodziejsko.

Nim ruszył naprzód, zerknął za siebie, myśląc, że dostanie się do środka nie może być takie proste i że czarny byk zapewne już się czai, by tym razem naprawdę go ubóść.

Zobaczył tylko czarną pustkę, z której tu przybył. Już to było dość straszne, a na domiar złego ziemia w miejscu, gdzie wylądował, była niewielkim półkolem czerwieni, które nieoczekiwanie przypomniało mu Oklahomę. Pośrodku półkola widniał wbity do połowy błyszczący miecz. Stark wyrwał go oburącz, a gdy ocierał ostrze o dzinsy, uświadomił sobie, że ta ziemia, podobnie jak Seol ne Gigh, została zroszona krwią.

Pospiesznie dokończył oczyszczanie, z jakiegoś powodu nie chcąc myśleć o krwi na ostrzu, po czym przeniósł uwagę na zagajnik. Wszystko - umysł, serce, duch - mówiło mu, że tam właśnie musi się udać.

- Zoey, jestem tu. Idę do ciebie - powiedział, ruszył naprzód i wpadł na niewidzialną, twardą jak kamień barierę. - Co jest, do diabła? - mruknął, cofając się i podnosząc wzrok na kamienny łuk, który ni stąd, ni zowąd się tam pojawił.

Nastąpiła eksplozja zimnego światła, która przywodziła na myśl koszmarny obraz otwierających się drzwi zamrażarki z martwym ciałem w środku. Stark zamrugał i opuścił wzrok. I zobaczył coś, co wstrząsnęło nim do głębi.

Wpatrywał się w siebie!

Najpierw pomyślał, że łuk jest lustrem, ale nie dostrzegł odbicia czerni za swoimi plecami, a do tego jego sobowtór uśmiechał się łobuzersko, czego zdecydowanie nie można było powiedzieć o samym Starku. Potem ten drugi przemówił, rozwiewając wszelkie podejrzenia o to, że jest odbiciem, i kładąc kres poszukiwaniu logicznej odpowiedzi.

- Tak, palancie, to ty. Jesteś mną. Żeby się dostać tutaj, będziesz musiał mnie zabić, co ci się nie uda, bo nie mam najmniejszej ochoty umierać. Mnie natomiast uda się zabić ciebie, tym razem na dobre.

Gdy Stark stał bez ruchu oniemiały, wpatrując się w siebie, jego drugie ja skoczyło naprzód i cięło go mieczem identycznym z tym, który sam trzymał. Po ramieniu chłopaka spłynęła strużka krwi.

- No widzisz? Wiedziałem, że będzie łatwo - rzekł sobowtór i zaatakował ponownie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

### *Afrodyta*

- Owszem, światło się pali, ale z całą pewnością nikogo nie ma w domu. - Machnęła ręką przed otwartymi, lecz niewidzącymi oczami Starka. Potem szybko cofnęła rękę, bo Seoras po raz kolejny ciał nożem w zakrwawiony bok chłopaka, nie zważając na to, że omal jej nie zranił. - Może wystarczy? I tak już przypomina hamburgera - zauważyła. To, że nie była wielbicielek Starka, nie znaczyło od razu, że ma ochotę patrzeć, jak kroją go na kawałki.

Seoras wyglądał, jakby jej nie słyszał. Całą jego uwagę pochłaniał leżący na kamieniu chłopak.

- Są złączeni tą misją - powiedziała Sgiach, która zeszła z tronu i stała obok Afrodyty.

- Twój strażnik jest jednak świadomy i przebywa we własnym ciele - rzekł Darius, obserwując Seorasa.

- Tak. Jest świadomy, ale tak zespolony z chłopcem, że słyszy bicie jego serca i czuje oddech. Dokładnie wie, jak bliski fizycznej śmierci jest Stark. Musi go utrzymać na granicy życia i śmierci. Jeśli nie dość się oddali, jego dusza wróci do ciała i chłopak się obudzi. Jeśli zaś odejdzie zbyt daleko, dusza nie powróci już nigdy.

- Skąd będzie wiedział, kiedy skończyć? - zapytała dziewczyna, mimowolnie się wzdrygając, gdy sztylet Seorasa znów przeciął ciało młodego wojownika.

- Stark albo się zbudzi, albo umrze. Tak czy inaczej zrobi to on, a nie mój strażnik. To, co robi Seoras, umożliwia chłopcu dokonywanie własnych wyborów. - Choć Sgiach mówiła do Afrodyty, nie spuszczała z oczu Seorasa. - Powinnaś robić to samo - dodała.

- Ciąg go? - Afrodyta zmarszczyła brwi, a królowa się uśmiechnęła, nie przestając obserwować strażnika.

- Mówiłaś, że jesteś wieszczką Nyks, prawda?

- Bo jestem!

- Rozważ zatem możliwość użyczenia temu chłopcu swojego daru.

- Zrobiłabym to, gdybym miała pojęcie jak.

- Afrodyto, może powinnaś... - zaczął Darius, chwytając ją za rękę i odciągając od Sgiach, najwyraźniej przestraszony, że jego dziewczyna nadużyła cierpliwości królowej.

- Nie. Nie musisz jej odciągać. Wojownik związany z silną kobietą przeważnie nie jest w stanie wydobyć jej z kłopotów, w które się pakuje. To jej słowa, więc i konsekwencje musi ponieść sama. - W końcu Sgiach spojrzała i na nią. - Wykorzystaj część tej siły, która sprawia, że twoje słowa są jak sztylety, i znajdź własne odpowiedzi. Prawdziwa wieszczka otrzymuje na tym świecie

bardzo niewiele wskazówek z wyjątkiem tych, które czerpie z posiadanego daru, ale siła okiełznana przez wiedzę i cierpliwość musi cię nauczyć, jak należy z niego korzystać. - Królowa uniosła rękę i wdzięcznie skinęła na jednego ze stojących w cieniu wampirów. - Zaprowadź wieszczkę i jej strażnika do ich komnaty. Niech się odświeżą i odpoczną w spokoju. - Nie mówiąc nic więcej, wróciła na tron i znów skupiła wzrok na Seorasie.

Afrodyta zacisnęła usta i ruszyła za kasztanowowłosym olbrzymem o tatuażach w formie filigranowych spiral, które wydawały się złożone z małych szafirowych plamek. Wrócili do podwójnych schodów, a następnie weszli po nich i znaleźli się w holu o ścianach ozdobionych przez wysadzone drogimi kamieniami meble, które połyskiwały w blasku pochodni. W końcu węższe, pojedyncze schody doprowadziły ich do łukowatych drewnianych drzwi. Wojownik otworzył je i dał gościom znak, by weszli.

- Czy ktoś mógłby mnie zawiadomić, jeśli tylko stan Starka się zmieni? - zapytała Afrodyta, nim tamten zamknął za nimi drzwi.

- Dobrze - odparł zaskakująco łagodnym głosem i odszedł, pozostawiając ich samych.

Obróciła się do Dariusa.

- Uważasz, że za dużo gadam i przez to mam kłopoty?

Uniósł brwi.

- Pewnie.

Skrzywiła się.

- Hej, ja nie żartuję!

- Ja też nie.

- Dlaczego? Dlatego, że mówię to, co myślę?

- Nie, moja piękna. Dlatego, że używasz słów jak sztyletu, a obnażony sztylet często przysparza kłopotów.

Prychnęła i usiadła na olbrzymim łożu z baldachimem.

- Skoro mówię jak sztylet, to niby dlaczego ci się podobam?

Usiadł obok i ujął ją za rękę.

- Zapomniałaś już, że sztylet to moja ulubiona broń?

Afrodyta spojrzała mu w oczy, mimo jego łagodnego tonu czując się nagle niebezpiecznie bezbronna.

- Mówię serio. Jestem wredna. Nie powinieneś mnie lubić. Myślę, że prawie nikt mnie nie lubi.

- Z wyjątkiem osób, które cię znają. Prawdziwą ciebie. Jeśli o mnie chodzi, to nie tylko cię lubię, Afrodyto. Kocham cię. Kocham twoją siłę, poczucie humoru, głęboką troskę o przyjaciół. I to, że coś, co w tobie pękło, powoli zaczyna się zrastać.

Wytrzymała jego wzrok, póki jej oczy nie wypełniły się łzami i nie musiała zacząć szybko mrugać, by się ich pozbyć.

- To wszystko razem wzięte robi ze mnie potworną francę.

- To wszystko razem wzięte tworzy prawdziwą ciebie. - Uniósł jej dłoń do ust, ucałował delikatnie i dodał: - I daję ci siłę, by obmyślić, jak pomóc Starkowi.

- Nie mam pojęcia jak!

- Wykorzystałaś swój dar, by wyczuć odejście Zoey i Kalony. Może tym samym sposobem zdołasz wybadać Starka?

- Przecież wiadomo już, że Stark opuścił ciało, więc sprawdzanie, czy tam jest, nic nie da.

- W takim razie zrób to bez dotykania go.

Westchnęła.

- Tym samym sposobem?

- Tak.

Spojrzała na niego i mocniej ścisnęła go za rękę.

- Naprawdę myślisz, że potrafię?

- Wierzę, że niewiele jest rzeczy, których nie potrafiłabyś zrobić, gdy już się zaważmiesz, moja piękna.

Skinęła głową i raz jeszcze ścisnęła jego dłoń, po czym ją puściła. Rozpięła czarne skórzane szpilki i zrzuciwszy je, ułożyła się na łóżku, opierając głowę na stercie poduszek z pierza.

- Przrzekasz czuwać, gdy mnie nie będzie? - zapytała swego wojownika.

- Zawsze - odparł.

Stanął obok łóżka, przy wodząc jej na myśl Seorasa stojącego obok tronu swojej królowej. Czerpiąc siłę ze świadomości, że jej serce i ciało zawsze będą bezpieczne przy Danusie, zamknęła oczy i starała się rozluźnić. Potem wzięła trzy głębokie oczyszczające oddechy i skoncentrowała myśli na bogini.

- *Nyks, to ja, Afrodyta. Twoja wieszczka.* - W ostatniej chwili powstrzymała się od dodania: „A przynajmniej tak mnie wszyscy nazywają”. Wzięła jeszcze jeden oddech i kontynuowała: - *Proszę cię o pomoc. Wiesz już, że nie mam pojęcia, na czym dokładnie polega to całe wieszczenie, więc raczej się nie zdziwisz, gdy dodam, że nie potrafię wykorzystać swego daru, by pomóc Starkowi, ale on potrzebuje mojej pomocy. W jednym świecie leży pocięty, a w drugim miota się, próbując użyć poezji i pokręconych słów pewnego staruszka, żeby uratować Zo. Między nami mówiąc, czasem myślę, że o ile jest nieźle zbudowany i ma naprawdę fajne włosy, to rozumu nie posiada za grosz. Zdecydowanie potrzebuje pomocy, a ja dla dobra Zoey chcę mu jej udzielić. Więc proszę, Nyks, pokaż mi, jak to zrobić.*

- *Oddaj się mnie, córko.*

Głos bogini w jej głowie był jak szemranie cieniutkiej jedwabnej firanki - przejrzystej, eterycznej i niewiarygodnie pięknej.

- *Tak!* - odpowiedziała natychmiast dziewczyna, otwierając przed Nyks serce, duszę i umysł.

Nagle stała się bryzą płynącą wzdłuż delikatnej linii głosu bogini, coraz wyżej i dalej.



- *Ujrzyj me królestwo.*

Duch Afrodyty leciał nad Zaświatami, które okazały się nieopisanie cudowne z niezliczonymi odcieniami zieleni, prześlicznymi kwiatami kołyszącymi się jakby w rytm muzyki i połyskującymi jeziorami. Przez chwilę zdawało jej się, że widzi pędzące mustangi, to znowu, że dostrzega wielobarwne pawie.

Całe królestwo było też pełne pojawiających się i umykających jej z drogi duchów - roztańczonych, roześmianych, rozkochanych.

- *To tu się trafia po śmierci?* - zapytała oczarowana.

- *Czasami.*

- *Jak to czasami? Chcesz powiedzieć: „jeśli jest się dobrym”?* - Afrodyta miała nieprzyjemne uczucie, że jeśli wejście do tej krainy zależy od dobroci, to ona pewnie nigdy tu nie trafi.

Śmiech Nyks brzmiał niczym magia.

- *Córko, jestem twoją boginią, a nie sędzią. Dobro ma wiele twarzy. Spójrz, oto jedna z nich.*

Duch Afrodyty zwolnił, a następnie zawisł nad zdumiewającym gajem. Zamrugła zdziwiona, uświadamiając sobie, że jest całkiem podobny do tego w pobliżu zamku Sgiach. W tym samym momencie łagodnie opadła poprzez gęste korony drzew i wylądowała na porastającym ziemię grubym dywanem mchu.

- *Wysłuchaj mnie, Zo! Potrafisz to zrobić.*

Na dźwięk głosu Heatha obróciła się gwałtownie i ujrzała ich oboje. Byli bladzi, niemal przejrzyści. Zoey wyglądała jak półtora nieszczęścia i chodziła w kółko, a Heath stał w miejscu, przyglądając się jej ze smutkiem.

- *Zoey! Wreszcie. Słuchaj, musisz się zebrać do kupy i wrócić do ciała* - usiłowała do niej przemówić Afrodyta.

Nie zwracając na nią najmniejszej uwagi i nie przestając chodzić, Zo wybuchnęła płaczem.

- *Nie mogę, Heath. To zbyt długo trwa. Nie potrafię scalić swojej duszy. Pamięć mnie zawodzi, nie umiem się skoncentrować, a jedyne, co wiem na pewno, to że na to zasłużyłam.*

- *Zoey, do kurwy nędzy! Przestań ryczeć i posłuchaj mnie!* - ponownie spróbowała zwrócić na siebie uwagę Afrodyta.

- *Nie zasłużyłaś na to!* - Heath podszedł do dziewczyny i objął ją za ramiona, zmuszając, aby się zatrzymała. - *I potrafisz to zrobić. Musisz, Zo. Jeśli się uda, możemy być razem.*

- *Świetnie. Jak w Opowieści wigilijnej* - parsknęła Afrodyta. - *Robię za duchy minionych, obecnych i cholera wie jakich jeszcze świąt. Nie słyszą ani jednego pieprzonego słowa, które wypowiadam!*

- *Może zatem to ty powinnaś zacząć słuchać, córko.*

Stłumiła westchnienie frustracji i postąpiła zgodnie z radą bogini, choć czuła się jak podglądaczka zerkająca w okno czyjejś sypialni.

- Naprawdę tak sądzisz, Heath? - Zoey gapiała się na chłopaka, przez moment bardziej przypominając siebie niż tego przerażającego ducha, który nie potrafił ustać w miejscu. - Chciałbyś tu zostać? - Uśmiechnęła się niepewnie, wciąż wierząc się niespokojnie pod jego rękami.

Ucałował ją.

- Kochanie, chcę być tam, gdzie ty jesteś. Zawsze.

Zoey wyrwała mu się z bolesnym jękiem

- Przepraszam! Przepraszam! - wołała, znów chodząc w kółko i płacząc. - Nie potrafię wytrzymać bez ruchu. Nie potrafię odpoczywać.

- Właśnie dlatego musisz przywołać do siebie wszystkie fragmenty duszy. Nie możesz być ze mną, jeśli tego nie zrobisz. Jeśli tego nie zrobisz, Zo, nie będziesz nikim i niczym. Będziesz jedynie chodzić w kółko, gubiąc kolejne fragmenty, aż całkowicie się rozpadniesz.

- To moja wina, że umarłeś! Moja wina, że się tu znalazłeś, choć nie powinienes. Jak możesz nadal mnie kochać? - Odgarnęła z twarzy skudłone włosy i zaczęła krążyć wokół niego, ani na moment nie przystając.

- Wcale nie twoja! To Kalona mnie zabił! Nie dorabiaj do tego ideologii. Zresztą co za różnica, gdzie jesteśmy, a nawet czy żyjemy, póki jesteśmy razem?

- Naprawdę tak myślisz?

- Kocham cię, Zoey. Kocham cię od naszego pierwszego spotkania i nigdy nie przestanę kochać. Przysięgam. Jeśli się pozbierasz, zawsze będziemy razem.

- Zawsze - szepnęła Zoey. - I naprawdę mi przebaczasz?

- Tu nie ma nic do przebaczenia, kochanie.

Zoey zatrzymała się z wyraźnym wysiłkiem.

- Więc spróbuję to zrobić dla ciebie - rzekła, rozpościerając ramiona i odrzucając do tyłu głowę. Jej blade ciało jęło świecić, najpierw emitując delikatną poświatę, a potem leciutkie, nieśmiałe światełko. Zaczęła wykrzykiwać imiona i...

Afrodytę wyrzuciło z gaju i uniosło w górę tak gwałtownie, że żołądek fiknął jej koziółka.

- Kurde! Co to za szarpanie? Zaraz się porzygam!

Przepłynął przez nią ciepły uspokajający wietrzyk. Gdy znów zaczęła płynąć, mdłości minęły, oszołomienie jednak pozostało.

- Nic z tego nie rozumiem. Zo chce się pozbierać, ale nie po to, żeby wrócić do ciała, tylko żeby zostać z Heathem?

- W tej wersji przyszłości tak.

Afrodyta się zawahała, po czym zapytała z ociąganiem:

- I będzie szczęśliwa?

- Tak. Zoey i Heath będą szczęśliwie żyć w Zaświatach po wsze czasy.

Poczuła, jak osiada na niej ciężki gęsty smutek, lecz musiała kontynuować rozmowę.

- *W takim razie może powinna tam zostać. Będziemy za nią tęsknić. Ja będę tęsknić.* - Zawahała się, tłumiąc wzbierający nieoczekiwanie w duszy płacz. - *Stark zdecydowanie nie będzie zadowolony, ale jeśli takie jest przeznaczenie Zoey, to niech zostanie.*

- *Przeznaczenie każdego zmienia się wraz z jego wyborami. To tylko jedna z wersji przyszłości Zoey, która podobnie jak wiele innych wyborów dokonywanych w Zaświatach pod pewnymi względami zmienia przyszłość ziemi. Jeśli Zoey postanowi zostać, spójrz, jak będzie wyglądała nowa przyszłość.*

Znalazła się w centrum aż nazbyt znajomej sceny. Stała pośrodku pola, które pamiętała ze swojej ostatniej wizji. Podobnie jak wówczas płonęła wraz z innymi - ze śmiertelnikami, wampirami i adeptami. Ponownie przeżywała zarówno ból wywoływany przez ogień, jak i abstrakcyjną udrękę. I tak samo jak wtedy, podniósłszy wzrok, ujrzała stojącego przed nimi Katanę, tyle że tym razem nie było Zoey, ani (jak w pierwszej części wizji) obściskującej się z nim, ani też (jak w części drugiej) mówiącej mu coś, co go zniszczyło. Zamiast niej pojawiła się Neferet, która przeszła obok Kalony wpatrzona w płonących ludzi i zaczęła kreślić w powietrzu złożone wzory. Wtedy wszędzie wokół niej wykwitła ciemność, która rozprzestrzeniła się na pole, gasząc ogień, ale nie likwidując bólu.

- Nie, nie zabiję ich! - Neferet kiwnęła palcem i ciało Kalony oplotła sieć macek. - Pomóż mi ich ujarzmić.

Kalona wchłonął ich w siebie. Afrodyta skoncentrowała się na jego osobie, a wówczas jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otaczające jego nieśmiertelne ciało macki stały się wyraziste: widać było, jak się wiją, a smagane przez nie ciało faluje i dygocze. Kalona krzyknął krótko - nie potrafiła ocenić, czy z rozkoszy czy z bólu - lecz uśmiechnął się ponuro do Neferet, szeroko rozkładając ramiona na przyjęcie ciemności.

- Jak sobie życzysz, moja bogini.

Cały pokryty mackami podszedł, stanął przed nią i padł na kolana, nadstawiając karku, a Neferet pochylila się, polizała jego skórę, po czym z dziką zachłannością zatopiła zęby w ciele nieśmiertelnego i poila się jego krwią. Macki ciemności drżały, pulsowały i rozmnażały się.

Kompletnie zdegustowana Afrodyta odwróciła wzrok i ujrzała wkraczającą na scenę Stevie Rae.

*A ta co tu robi?*

Podeszło do niej coś ciemnego - coś, co po chwili okazało się Krukiem Prześmiewcą. Był tak blisko, że wyglądali, jakby stanowili parę.

*Co to niby ma znaczyć?*

Kruk rozpostarł skrzydło i otoczył nim dziewczynę, jakby ją obejmował. Stevie Rae westchnęła i przywarła do niego, dając się całkowicie zamknąć w skrzydlatym uścisku. Wstrząśnięta tym widokiem Afrodyta nawet nie zauważyła, jak na scenę wkroczył indiański chłopak, który nagle stanął przed krukiem.

Mimo wywołanego wizją bólu i wstrząsu potrafiła docenić jego niesamowitą postać. Włosy miał długie, gęste i równie czarne jak wplecione w nie pióra kruka. Był wysoki i prawie nagi, więc nie dało się przeoczyć walorów jego kształtnego muskularnego ciała. Mówiąc krótko, był totalnym ciachem.

Ignorując Kruka Prześmiewcę, wyciągnął rękę do Stevie.

- Jeśli mnie przyjmiesz, on odejdzie - rzekł.

Stevie wysliznęła się z objęć kruka, ale nie ujęła dłoni chłopaka.

- To nie takie proste - powiedziała.

- Rephaimie! - krzyknął Kalona klęczący wciąż przed Neferet. - Nie zdradź mnie znowu, ukochany synu!

Słowa nieśmiertelnego podburzyły kruka, który zaatakował indiańskiego chłopaka. Gdy ci dwaj toczyli ze sobą brutalną walkę, Stevie Rae stała beczynn timer, zalewając się łzami.

- Nie opuszczaj mnie, Rephaimie - chlipała. - Błagam, błagam, nie opuszczaj mnie.

Na odległym horyzoncie za nimi Afrodyta dostrzegła coś, co w pierwszej chwili uznała za jaskrawe słońce, lecz zmrużywszy oczy, zorientowała się, że to olbrzymi biały byk wspinający się na ciało zarżniętego czarnego, który nie zdołał ocalić resztek tego, co niegdyś było współczesnym światem.

Wyrzuciło ją z wizji. Nyks głaskała jej drżącą duszę łagodną bryzą.

- *O bogini!* - szepnęła dziewczyna. - *Nie, błagam! Czy naprawdę wybór jednej nastolatki może zburzyć równowagę światła i ciemności w całym świecie? Jak to możliwe?*

- *Pomyśl o tym, że ty sama, wybierając dobro, otworzyłaś drogę dla całkowicie nowej rasy wampirów.*

- *Mówisz o czerwonych adeptach? Przecież oni istnieli, zanim cokolwiek zrobiłam!*

- *Owszem, lecz droga do odzyskania człowieczeństwa była dla nich zamknięta, póki nie otworzyła jej twoja ofiara. Twój wybór. A czy ty nie jesteś jedną zwykłą nastolatką?*

- *O rany. Cholera. Zoey musi wrócić.*

- *W takim razie Heath musi odejść z mojej części Zaświatów. Tylko wtedy Zoey może zadecydować o powrocie do ciała, jeśli uda jej się scalić duszę.*

- *Jak mam to osiągnąć?*

- *Możesz jedynie przekazać im wiedzę, córko. Wyboru dokonają Heath, Zoey i Stark.*

Szarpnęło nią i przebyła z powrotem całą drogę, by z cichym okrzykiem otworzyć oczy, mrugając poprzez ból i mgiełkę czerwonych łez, za którymi dostrzegła pochylonego nad sobą Dariusa.

- Wróciłaś do mnie?

Usiadła. W głowie jej się kręciło, a w skroniach czuła znajomy pulsujący ból. Odgarnęła włosy z twarzy zaskoczona silnym drżeniem własnej dłoni.

- Wypij to, moja piękna. Po duchowej podróży musisz się zakotwiczyć w tym świecie.

Podał jej puchar i pomógł przytrzymać go przy ustach. Afrodyta szybko wypila wino.

- Pomóż mi dotrzeć do Starka - powiedziała.

- Ale twoje oczy... Musisz odpocząć!

- Jeśli to zrobię, cały cholerny świat może pójść w diabły. W sensie dosłownym.

- W takim razie pomogę ci.

Oslabiona i wyczerpana Afrodyta wsparła się o swego wojownika i oboje wrócili do komnaty Fianny Foil, gdzie niewiele się zmieniło. Sgiach wciąż obserwowała swego strażnika, który powoli, metodycznie ranił Starka.

Nie trwoniąc czasu, Afrodyta podeszła prosto do królowej.

- Muszę porozmawiać ze Starkiem. Natychmiast.

Sgiach spojrzała na nią, zauważając drżące ciało i przekrwione oczy.

- Użyłaś swego daru?

- Tak. I muszę powiedzieć coś Starkowi, bo inaczej będzie źle. Bardzo źle. Dla wszystkich.

Królowa skinęła głową i dała jej znak, by podeszła za nią do Seol ne Gigh.

- Będiesz mieć na to tylko chwilę. Mów szybko i wyraźnie. Jeśli przetrzymasz go tu zbyt długo, nie zdoła ponownie odnaleźć ścieżki w Zaświaty, póki nie wydobrzeje po dzisiejszej podróży, a musisz pamiętać, że to potrwa wiele tygodni.

- Rozumiem. Mam tylko jedną szansę. Jestem gotowa - oznajmiła dziewczyna.

Sgiach dotknęła ręki strażnika. Było to zaledwie muśnięcie, a jednak całe jego ciało zadrzało i zamarło w połowie drogi do kolejnego ciosu.

Nie odwracając wzroku od Starka, zapytał chrzęszczącym głosem:

- *Mo bann ri?* Moja królowo?

- Przywołaj go z powrotem. Wieszcza musi z nim porozmawiać.

Seoras zamknął oczy, jakby jej słowa go zraniły, lecz po chwili je otworzył i niskim głosem mruknął tylko:

- Dobrze, kobieto... Jak sobie życzysz.

Potem położył wolną dłoń na czole Starka.

- Usłysz mnie, chłopcze. Musisz wrócić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

### *Stark*

Zatoczył się do tyłu, instynktownie unosząc własny miecz i raczej przypadkowo odpierając zabójczy cios drugiego Starka, który był, a jednocześnie nie był nim.

- Dlaczego to robisz?! - zawołał.

- Już ci mówiłem. Możesz tu wejść pod warunkiem, że mnie zabijesz, a ja nie zamierzam umrzeć.

Dwaj wojownicy okrążali się czujnie.

- O czym ty, kurwa, gadasz? Jesteś mną! Jak możesz umrzeć, jeśli tam wejdziesz?

- Jestem częścią ciebie. Tą niezbyt miłą. Albo to ty jesteś częścią mnie, tą dobrą, choć samo wymówienie tego słowa przychodzi mi z najwyższym trudem. Nie zgrywaj durnia i nie udawaj, że o mnie nie wiesz. Przypomnij sobie, co było, zanim się skurwiłeś i złożyłeś przysięgę tej słodkiej idiotce. W tamtych czasach znaliśmy się znacznie lepiej.

Stark gapił się na niego, dostrzegając złowrogi wyraz twarzy, która była jego własną, i czerwony odcień oczu. Tamten wciąż się uśmiechał, ale już nie zawadiacko, lecz okrutnie, dzięki czemu jego rysy były zarazem znajome i obce.

- Jesteś złem we mnie.

- Złem? To zależy, po której jesteś stronie. Z tej, po której w tej chwili się znajduję, wcale nie postrzegam siebie jako złego. - Roześmiał się. - Słowo „zły” w żadnej mierze nie odzwierciedla mojego potencjału. Zło to luksus. Mój świat wypełniają rzeczy, których nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Stark pokręcił głową, pragnąc zaprzeczyć tym słowom. Wykorzystując jego dekoncentrację, tamten zaatakował ponownie, żłobiąc głęboką bruzdę w jego prawym bicepsie.

Unosząc miecz obronnym gestem, Stark ze zdziwieniem stwierdził, że nie odczuwa bólu, a jedynie dziwny żar.

- Niezbyt boli, co? Na razie. To dlatego, że klinga jest ostra jak brzytwa. Zobacz, jak krwawisz. Jeszcze trochę i nie będziesz w stanie utrzymać tego miecza. Wtedy cię wykończę - kontynuował sobowtór. - Albo może zabawię się z tobą. Jak myślisz, czy powinienem odcinać z ciebie kawałek po kawałku, aż staniesz się zakrwawioną padliną leżącą u moich stóp?

Kątem oka Stark dostrzegł, że za odczuwany przez niego żar odpowiedzialna jest krew wypływająca równym strumieniem z obu ran. Sobowtór miał rację: jeszcze chwila i będzie po nim.

Musiał walczyć - i to natychmiast. Jeśli będzie się dalej wahał i ograniczał do obrony, umrze.

Wiedziony wyłącznie instynktem, rzucił się naprzód, uderzając w swoje lustrzane odbicie i we wszystko wokół - we wszystko, co mogło mu otworzyć drogę - ale czerwonoooka wersja niego bez trudu odpierała każdy cios, a potem kontratakowała niczym kobra, nie dając się zablokować, aż wycięła mu w udzie długą głęboką ranę.

- Nie zdołasz mnie pokonać. Znam wszystkie twoje ruchy. Jestem wszystkim tym, czym ty nie jesteś. Te brednie o dobroci zrobiły z ciebie offermę. Dlatego nie udało ci się ochronić Zoey. Miłość do niej cię osłabiła.

- Nie! Pokochanie jej było najlepszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem.

- I będzie ostatnią rzeczą, jaką zrobiłeś, bo...

Nagle szarpnięcie wyrwało go z gaju i wrzuciło z powrotem do ciała. Otworzył oczy i ujrzał stojącego nad nim Seorasa, który w jednej dłoni dzierżył sztylet, a drugą przyciskał do jego czoła.

- Nie! Muszę wracać! - krzyknął Stark, mając wrażenie, że jego ciało płonie. Boki paliły niemiłosiernie, pompując adrenalinę, która kazała mu uciekać stąd i wracać do walki.

- Nie, chłopcze. Pamiętaj, że nie możesz się ruszać - odparł Seoras.

Stark oddychał szybko i ciężko, zmuszając ciało do bezruchu.

- Wyślij mnie z powrotem - rzekł do strażnika. - Muszę tam wrócić!

- Posłuchaj mnie, Stark. - Nagle zamajaczyła nad nim twarz Afrodyty. - Kluczem jest Heath. Musisz dotrzeć do niego, zanim zobaczysz się z Zoey. Powiedz mu, że ma ruszyć dalej, a ją zostawić w Zaświatach, bo inaczej Zo nigdy tu nie wróci.

- Co?

Chwyliła go za ramię i zbliżyła twarz do jego twarzy. Dostrzegł jej przekrwione oczy i zrozumiał, że miała wizję.

- Zaufaj mi. Znajdź Heatha. Każ mu odejść. Jeśli tego nie zrobisz, nikt nie zdoła powstrzymać Neferet i Kalony, a wtedy będzie po nas.

- Jeśli ma wrócić, musi to zrobić teraz - wtrącił Seoras.

- Wyślij go z powrotem - poleciła mu Sgiach.

Jasność wokół Starka poczęła przygasać i coś znów pociągnęło go w dół.

- Czeka! - wyjąkał, opierając się tej sile. - Jak... jak mam walczyć ze sobą?

- Ależ to bardzo proste. Wojownik musi umrzeć, by mógł się narodzić szaman.

Nie wiedział, czy słyszy odpowiedź Seorasa, czy tylko przypomina sobie jego wcześniejsze słowa. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Wojownik błyskawicznie chwycił go za głowę, ściskając ją jak w imadle, i przesunął mu ostrzem po powiekach. Palący oślepiający blask wysłał Starka z powrotem przed bramę gaju. Stał naprzeciwko swego sobowtóra, jakby ani na chwilę się stamtąd nie ruszył. Mimo dezorientacji bólem wywołanym przez ostatni cios strażnika uświadomił sobie, że teraz jego ciało reaguje szybciej, niż umysł jest w stanie myśleć. Bez trudu odpierał ataki lustrzanego odbicia, jakby linia

ostatniego cięcia ujawniła mu geometrię uderzeń prowadzących do serca sobowtóra, której wcześniej nie znał, a skoro tak, to może nie znał jej także ten drugi. W takim wypadku Stark miał szansę, choć wciąż marną.

- Mogę się tak bawić cały dzień, ale ty nie. Daj spokój, przecież całkiem łatwo skopać mi dupę. - Czerwonooki roześmiał się arogancko.

Gdy tak rechotał, Stark natarł na niego, kierując się drogowskazem bólu, i drasnął przeciwnika w przedramię.

- W mordę! Zraniłeś mnie do krwi! Nie myślałem, że cię na to stać.

- Cóż, to jeden z twoich problemów: jesteś zbyt arogancki. - Stark ujrzał w oczach sobowtóra wahanie i w jego umyśle rozległ się szept zrozumienia. Podążył za tą myślą, wyraźnie dostrzegając wszystkie swoje rany. - Nie, to nie ty. To ja jestem arogancki.

Gdy sobowtór patrzył na niego zbity z tropu, Stark zrozumiał resztę.

- I samolubny - dodał. - Dlatego zginął mój mentor. Byłem zbyt samolubny, by pozwolić komukolwiek, żeby mnie pokonał.

- Nie! - wrzasnął czerwonooki. - To nie ty, to ja!

Stark zwietrzył swoją szansę i ciał ponownie, dźgając sobowtóra w bok.

- Mylisz się i wiesz o tym. Jesteś tym, co we mnie złe, ale wciąż jesteś mną. Wojownik nie zdołałby tego przyznać, ale szaman we mnie zaczyna rozumieć - mówił Stark, nieubłaganie atakując tamtego i zadając mu kolejne ciosy. - Jesteśmy arogancy. Jesteśmy samolubni. Bywamy podli. Mamy cholernie burzliwy temperament, a kiedy się wściekamy, to długo.

Jego słowa musiały uruchomić jakąś dźwignię w drugim Starku, bo zareagował z niewyobrażalną szybkością, atakując wściekle. *O bogini, nie! Nie pozwól, żebym znów coś chlapnął i stracił szansę.* Z trudem broniąc się przed wściekłymi atakami sobowtóra, Stark uświadomił sobie, że reaguje zbyt racjonalnie, zbyt przewidywalnie. Jedynym sposobem na pokonanie sobowtóra było zrobienie czegoś, czego tamten się nie spodziewał.

„Muszę się odsłonić, by spróbował zadać zabójczy cios”.

Gdy tamten rozdawał kolejne pchnięcia, Stark uświadomił sobie, że trafił w sedno. Udał, że się zagapia, i czerwonooki natychmiast rzucił się na niego, na moment odsłaniając się jeszcze bardziej. Stark ujrzał jak na dłoni linię właściwego ciosu i z siłą, o jaką nawet się nie podejrzewał, ciał ostrzem od góry w czaszkę.

Jego lustrzane odbicie opadło na kolana, spazmatycznie łapiąc oddech i z trudem utrzymując miecz w rękach.

- Więc teraz mnie zabijesz, pójdziesz w Zaświaty i wyprowadzisz stamtąd dziewczynę.

- Nie. Teraz cię zaakceptuję, bo choćbym się stał nie wiem jak mądry i dobry, zawsze będziesz żył we mnie.

Skrzyżowały się spojrzenia czerwonych i brązowych oczu. Sobowtór upuścił miecz i błyskawicznym ruchem rzucił się naprzód, nadziewając się na ostrze broni Starka i wbijając je w swoją pierś aż po rękojeść. W tej



niesamowicie intymnej chwili byli tak blisko siebie, że gdy czerwonooki wydał z siebie ostatni słodki oddech, Stark wciągnął go w płuca.

Ścisnęło go w żołądku. To był on. Zabił siebie! Przerażony potrząsnął głową.

- Nie! Ja... - Ale już gdy wykrzykiwał te słowa, czerwonooki uśmiechnął się wszechwiedząco i szepnął zakrwawionymi ustami:

- Zobaczymy się znów, wojowniku. Wcześniej, niż myślisz!

Stark wyjął ostrze z jego piersi, pozwalając konającemu opaść na ziemię u swoich stóp.

Czas stanął w miejscu. Boskie światło krainy Nyks połyskiwało na zakrwawionej, lecz wciąż pięknej klindze, oślepiając Starka, podobnie jak oślepił go ostatni cios Seorasa - i jakimś cudem chłopak ujrzał obok i siebie, i czerwonookiego starego strażnika. Wszyscy trzej wpatrywali się w miecz.

- Tak - rzekł Seoras, nie odrywając wzroku od ostrza - to będzie twój claymore, chłopcze. Miecz zahartowany w gorącej krwi, używany jedynie w obronie honoru przez człowieka, który wybrał służbę Asowi, *bann ri*, królowej. Jego brzeszczot jest tak ostry, że tnie bez bólu, a strażnik, który tego brzeszczotu używa, uderza bez litości, strachu czy łaski wszystkich, którzy plugawią nasz wielki ród.

Zahipnotyzowany chłopak obracał miecz w rękę, pozwalając klejnotom na rękojeści igrać ze światłem.

- Pięć kryształów umieszczonych w czterech rogach i pośrodku - kontynuował Seoras - nieustannie pulsuje rytmem zsynchronizowanym z biciem serca strażnika, o ile ten jest wybrańcem, który ceni honor ponad życie. - Seoras urwał, w końcu odwracając wzrok od miecza. - Czy ty nim jesteś, chłopcze? Czy będziesz prawdziwym strażnikiem?

- Chcę nim być - odparł Stark, starając się siłą woli zmusić miecz, by pulsował w rytm bicia jego serca.

- W takim razie musisz zawsze postępować honorowo i wysyłać tego, którego pokonałeś, w lepsze miejsce. Jeśli zdołasz to zrobić jako strażnik, a niejako chłopiec, jeśli twoja dusza jest czystej krwi, synu, odkryjesz, że najgorszą rzeczą jest dla ciebie łatwość, z jaką akceptujesz i wypełniasz ten wieczysty obowiązek. Wiedz jednak, że nie ma odwrotu bo takie jest prawo i przeznaczenie prawdziwego strażnika, a twoją nagrodą nie będzie żal, złośliwość, niechęć czy zemsta, lecz niezłomna wiara w honor. Nic ci nie zagwarantuje miłości, szczęścia ni zysku. Po nas nie ma już nic. - Stark dojrzał w oczach Seorasa ponadczasową rezygnację. - Musisz dźwigać to brzemie przez wieczność, bo któż miałby być strażnikiem strażnika? Teraz znasz całą prawdę. Decyduj synu.

Jego postać zniknęła i czas znów ruszył. Sobowtór klęczał przed Starkiem z oczyma wypełnionymi strachem i rezygnacją.

„Umrzeć z honorem” - pomyślał chłopak i rękojeść miecza rozgrzała się w jego dłoni, pulsując w rytm serca. Położył na niej także drugą, rozkoszując się tym uczuciem.

Wtedy miecz zmienił się w żywą siłę i wypełnił go koszmarnie cudowną mocą wiedzy. Pozbawiony wszelkich myśli i emocji Stark zaczerpnął moc z łuku półksiężycy, by zadać zabójczy cios, przeciągając ostrzem przez całe ciało sobowtóra i rozcinając go od głowy po krocze. Rozległo się długie westchnienie, po którym ciało zniknęło.

Dopiero wtedy do Starka dotarła cała brutalność tego czynu. Wypuścił miecz z rąk i opadł na kolana.

- Na boginię! Jak coś takiego może być honorowe?

Oszołomiony klęczał na ziemi, dysząc ciężko. Patrzył na własne ciało, spodziewając się ujrzeć głębokie rany i mnóstwo krwi.

Mylił się. Nie miał żadnych fizycznych obrażeń. Jedyną krwią, jaką dostrzegł, była ta, która dawno już wsiąkała w ubitą ziemię. A jedyną raną było wspomnienie własnego czynu sprzed chwili.

Jego dłoń niemal z własnej woli odnalazła rękojeść miecza. Drżała wprawdzie od wspomnień zabójczego ciosu, mimo to trzymała mocno, czując ciepło i echo uderzeń serca.

- Jestem strażnikiem - szepnął Stark, a wraz z tymi słowami przyszła prawdziwa akceptacja własnej osoby i ostateczne zrozumienie. Nie chodziło o zabicie zła w sobie, lecz o zapanowanie nad nim. To właśnie czynił prawdziwy strażnik. Nie negował brutalności, tylko wykorzystywał ją w sposób honorowy.

Pochylił głowę, opierając czoło na głównej rękojeści miecza.

- Zoey, mój Asie, moja *bann ri shi* moja królowo, ślubuję zaakceptować to wszystko i podążać ścieżką honoru. Tylko w ten sposób mogę zostać takim wojownikiem, jakiego potrzebujesz.

Jego przysięga jeszcze unosiła się w powietrzu, gdy łuk stanowiący granicę Zaświatów Nyks zniknął, zabierając ze sobą miecz i pozostawiając Starka samego i bezbronnego na klęczkach przed boskim gajem i eterycznie pięknym drzewem ofiarnym.

Podniósł się z wysiłkiem i machinalnie ruszył w stronę gaju, myśląc tylko o jednym - by odnaleźć swoją królową, swoją Zoey.

Im bardziej jednak się zbliżał, tym bardziej zwalniał, aż w końcu się zatrzymał.

Nie. Znów źle zaczyna.

Nie Zoey przecież miał odnaleźć, lecz Heatha. Niezależnie od tego jak upierdliwa była Afrodyta, jej wizje się sprawdzały. Próbował sobie przypomnieć, co dokładnie mówiła. Coś o tym, że Heath musi iść dalej, żeby Zoey mogła wrócić. Zastanowił się i choć trudno mu było to przyznać, zrozumiał, że wieszczka powiedziała prawdę: Zoey była związana z Heathem od dzieciństwa, a patrzenie na jego śmierć tak ją wstrząsnęło, że roztrzaskało jej duszę. Gdyby mogła ją scalić i pozostać tu z Heathem...

Rozejrzał się i podobnie jak wtedy gdy dotknął swojego cudownego miecza, odsłonił się przed nim cały obraz Zaświatów.

Były niewiarygodne. Wyczuwał rozległość obszarów leżących poza gajem i wiedział, że królestwo bogini jest znacznie, znacznie większe, ale mówiąc szczerze, sam gaj w zupełności mu wystarczał - zielony i kuszący niczym schronienie dla ducha. Po tym co przeżył, by się tu znaleźć, znając swoje obowiązki strażnika i rozumiejąc, że do końca misji jeszcze bardzo daleko, mimo wszystko miał wielką ochotę wejść w głąb gaju, oddychać pełną piersią i poddać się panującemu tam spokojowi. Gdyby dodać do tego obecność Zoey, byłby niezmiernie zadowolony, mogąc tam pozostać choćby przez ułamek wieczności.

Wracając do tematu: jeśli Heath zostanie tu z Zoey, ona nie będzie chciała się nigdzie ruszyć. Stark potarł ręką twarz, niechętnie i z rozdartym sercem przyznając, że Zoey kocha Heatha, być może nawet bardziej niż jego.

Otrząsnął się. Co ma do rzeczy jej miłość? Zoey musi wrócić i już. Nawet wizja Afrodyty to potwierdziła. Oczywiście gdyby nie obecność Heatha, Stark zapewne zdołałby ją przekonać do powrotu, bo przecież Zo troszczyła się o swoich przyjaciół bardziej niż o siebie.

Dlatego właśnie to Heath będzie musiał ją opuścić, a nie ona jego.

Trzeba go tylko namówić do porzucenia na zawsze jedynej dziewczyny, jaką kiedykolwiek kochał.

„Do cholery, to przecież niemożliwe!”

Równie niemożliwe powinno było jednak być pokonanie przez Starka samego siebie i akceptacja wszystkiego, co się z tym wiąże.

„Myśl, do licha! Myśl jak jej strażnik, zamiast reagować jak głupie dziecko”.

Potrafi ją odnaleźć. Udawało mu się to już w przeszłości. A kiedy do niej dotrze, znajdzie tam także Heatha.

Przeniósł wzrok na drzewo modlitewne. Było większe niż to na Skye, a przywiązane do jego olbrzymich konarów skrawki materiału wciąż zmieniały kolory i długość, kołysząc się lekko w ciepłym wietrzyku.

To było drzewo marzeń, życzeń i miłości.

A on kochał Zoey.

Zamknął oczy i myślał o niej - o tym, jak bardzo ją kocha i jak za nią tęskni.

Mijał czas... może minuty, a może godziny. I nic. Zupełnie nic, niech to szlag. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie może ją znaleźć. W ogóle jej nie wyczuwał.

„Nie możesz się poddawać. Myśl jak strażnik!”

Skoro miłość nie może go zaprowadzić do Zoey, to co może? Co jest silniejsze od miłości?

Zamrugał zdumiony. Znał odpowiedź! Otrzymał ją wraz z tytułem strażnika i mistycznym claymore'em.

- Dla strażnika ważniejszy od miłości jest honor - rzekł na głos.

Ledwo wypowiedział te słowa, nad jego głową pojawiła się na drzewie wąska złota wstążka. Połyskiwała metalicznie, przywodząc mu na myśl żółtozłotą bransoletę na ręce Seorasa. Kiedy się rozwiązała i uwolniła z gałęzi, by popłynąć w głąb gaju, Stark bez wahania ruszył za nią, wiedziony instynktem i odrobiną honoru, którą z siebie wykrzesał.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

### *Heath*

Stan Zoey wciąż się pogarszał. To było niesprawiedliwe: na domiar wszystkich ostatnich kłopotów teraz popekała jej dusza i dziewczyna stopniowo oddalała się od niego, od rzeczywistości. Początkowo postępowało to powoli, ale ostatnio zmieniło się w jakiś olbrzymi, katastrofalny rozpad. Im bardziej zagłębiali się w gaj, uciekając od jego skraju, za którym prawdopodobnie czał się Kalona, tym szybciej się zmieniała i nie wyglądało na to, żeby on mógł w tej sprawie cokolwiek zrobić. Nie słuchała go. Nie potrafił przemówić jej do rozsądku. Nie potrafiła nawet przez pół sekundy usiedzieć w miejscu.

Teraz widział ją przed sobą i choć niemal truchtał wzdłuż omszonego brzegu strumyka, nie był dla niej dość szybki. Szła przodem, czasem szepcząc coś w przestrzeń, czasem płacząc cicho, lecz nigdy, przenigdy się nie zatrzymując.

Niemal jakby wyparowywała.

Musiał coś zrobić. Wiedział, że to wszystko dzieje się z powodu rozpadu jej duszy. To miało sens. Próbował z nią o tym rozmawiać, nakłonić ją, by pozbierała wszystkie fragmenty, a potem wróciła do ciała. Nie bardzo rozumiał, jak funkcjonują Zaświaty, ale im dłużej w nich przebywał, tym więcej wiedział - prawdopodobnie dlatego, że był zimnym trupem.

Rany, jakie to dziwne myśleć o sobie jako o trupie. Nie przerażające - po prostu cholernie dziwaczne, bo wcale nie czuł się martwy. Czuł się zupełnie jak dawny on, tyle że przebywał w innym miejscu. Podrapał się po głowie. Do diabła, trudno to wszystko ogarnąć, lecz jednego był pewien: Zo nie jest trupem, więc nie powinna się tu znajdować.

Westchnął. Czasem miał wrażenie, że i on tu nie pasuje. Nie żeby to miejsce nie było fajne. Owszem, Zo znajdowała się w opłakanym stanie, a do tego nie mogli opuścić gaju, bo Kalona albo coś innego z pewnością by ich zaatakowało i pewnie zabiło go ponownie, o ile to możliwe. Poza tym jednak było tu całkiem nieźle.

Tylko nieźle.

Czuł się, jakby jego duch poszukiwał czegoś innego; czegoś, czego tu nie mógł odnaleźć.

- To dlatego, że umarłeś za wcześnie.

Podskoczył zdumiony. Przed nim stała Zoey, kołysząc się w przód i w tył, przestępując z nogi na nogę i wpatrując się w niego przepelnionymi smutkiem oczami.

- Zo, kochanie, to trochę straszne, gdy tak ni stąd, ni zowąd się przede mną pojawiaasz. - Zmusił się do śmiechu. - Zupełnie jakbyś to ty była duchem, a nie ja.

- Przepraszam... przepraszam... - wymamrotała i zaczęła go okrażać. - Powiedziały mi, że nie jesteś tu szczęśliwy, bo za wcześnie umarłeś.

Heath stał w miejscu, ale obracał się, by nie tracić jej z oczu.

- Kto ci powiedział?

Ruchem ręki wskazała cały gaj.

- Takie jak ja.

Podszedł do niej i szedł obok, towarzysząc jej w nieustannej wędrówce.

- Kochanie, nie pamiętasz, że o nich rozmawialiśmy? To fragmenty ciebie. Dlatego czujesz się teraz taka otumaniona. Gdy znowu się do ciebie odezwą, musisz je poprosić, żeby do ciebie wróciły. Wtedy będzie znacznie łatwiej.

Otworzyła szeroko zagubione oczy.

- Nie. Nie mogę.

- Dlaczego?

Zoey wybuchnęła płaczem.

- Nie mogę, Heath. To trwa już zbyt długo. Nie pamiętam tylu rzeczy, nie potrafię się skupić. Jedyne, co wiem na pewno, to że na to zasłużyłam.

- Nie zasłużyłaś na to! - Heath podszedł do niej i już unosił ręce, by je położyć na jej ramionach i w końcu zmusić ją do wysłuchania go, gdy nagle na skraju pola widzenia zamigotała mu złota wstążka, na moment odwracając jego uwagę.

Ten moment wystarczył, by niepokój Zoey wziął górę.

- Muszę iść! - krzyknęła rozpaczliwie. - Muszę wciąż chodzić, Heath! Tylko to mogę robić!

Nim zdążył ją powstrzymać, oddaliła się od niego specyficznym ruchem, niemal jakby frunęła, jakby porywisty wiatr niósł jej blade ciało niczym piórko szybko, chaotycznie, coraz głębiej w gąszcz.

- Cholera. To mi zdecydowanie nie odpowiada. - Ruszył za nią. Musiał jakoś doprowadzić do tego, by go wysłuchała. Musiał jej pomóc. Potem zawahał się i zwolnił, by wreszcie się zatrzymać. Problem polegał na tym, że Heath nie miał pojęcia, jak pomóc Zoey. - Nie wiem, co robić! - zawołał, uderzając pięścią w pień jednego z omszonych drzew. - Nie mam pojęcia, co robić! - Uderzył znowu, nie przejmując się bólem. - Co robić?! - wrzasnął, waląc w pień, aż poranił sobie kłykcie i wokół zaczął się unosić zapach jego krwi.

Wtedy słońce przysłonił jakiś cień. Heath wytarł o mech piekącą dłoń i uniósł wzrok.

Ciemność. Skrzydła. Odcięcie od boskiego światła.

Przykucnął z bijącym mocno sercem, zaciskając pięści, lecz atak nie nastąpił.

Zamiast niego przyszło objawienie w postaci szeptanych myśli, które zdawały się wypływać z cienia nad jego głową i poprzez zapach krwi wnikać w jego żyły.

- *Może tu z tobą zostać na zawsze, ale musi być cała.*

Zamrugnął zdziwiony.

- Kim jesteś?

- *Mysł, ty śmiertelne ścierwo!*

- Dobra, dobra - mruknął Heath, mrużąc oczy, by coś dostrzec w krążącym nad głową cieniu. Nie widział go dokładnie. Czyżby to jednak był Kalona?

- *Musisz ją nakłonić, by pozbięrała fragmenty swojej duszy, a wtedy będzie mogła spocząć wraz z tobą tu, w świętym gaju.*

- Tyle to ja wiem. Nie wiem jednak, jak ją do tego skłonić.

- *Odpowiedź leży w waszej więzi.*

- W naszej więzi? Nie wiem... - I wtedy uświadomił sobie, że jednak wie, jak wykorzystać tę więź. Musiał tylko zmusić Zoę, by go posłuchała, a to zawsze potrafił zrobić, nawet gdy zachowywał się jak kompletny palant, pijąc i rozrabiając w szkole, a ona próbowała go rzucić. Zawsze potrafił doprowadzić do zgody, utrzymać ich związek.

Uśmiechnął się od ucha do ucha. To jest to! Zapominając o skrzydlatej ciemności, pobiegł za Zoey, a światło bogini znów bez przeszkód świeciło w całym gaju. Ich więź była kluczem. Cokolwiek się działo w życiu każdego z nich, nigdy nie zdołało ich rozdzielić. Ta więź nadal istniała - to ona przywiodła Zoę do niego nawet po jego śmierci. Gdy Zoey zrozumie, że mogą być razem i że nie ma nic złego w jego obecności tutaj, scali swoją duszę, a wtedy będą zdolni stawić czoło wszystkiemu i zawsze. Do diabła, to nie powinno być zbyt trudne. Zoę potrafiła porządnie skopać niejednego tyłek.

Przepełniony nową determinacją biegł za nią, gdy nagle zatrzymał go jakiś szept.

- Heath!

- Co? Gdzie...

- Tu!

Odwrócił się i w miejscu, gdzie złota wstążka zaplątała się w gałęzie jarzębiny, ze zdumieniem spostrzegł wychodzącego zza drzewa chłopaka.

- Stark? Co ty tu...

- Ciii! Zoey nie może wiedzieć, że tu jestem.

Heath podszedł do drzewa.

- Co ty tu. kurde, robisz? - I nie dając tamtemu czasu na odpowiedź, kontynuował: - Cholera! Też umarłeś? Zoę nigdy sobie tego nie wybaczy!

- Cicho, do diabła! Nie umarłem. Przybyłem tu chronić Zoey, kiedy będzie scalać swoją duszę, żeby mogła wrócić do ciała. - Urwał, po chwili zaś dodał: - No bo ty wiesz, że nie żyjesz, prawda?

- Coś ty? Ja nie żyję? - zakpił Heath. - Cieszę się, że mnie oświeciłeś. Co ja bym bez ciebie zrobił?

- W takim razie idźmy dalej: wiesz, że dusza Zoey się roztrzaskała?

Nim zdążył odpowiedzieć, obaj zobaczyli Zoey. Stark uskoczył za drzewo i przykucnął w jego cieniu, a Heath szybko ruszył jej naprzeciw, zasłaniając wojownika.

- Nie przyszedłeś za mną. Zawsze przychodzisz. - Kołysała się w przód i w tył, usiłując ustać w jednym miejscu.

- Już idę, Zo. Wiesz, że nigdy cię nie opuszczę. Po prostu jesteś teraz szybsza ode mnie.

- Więc mnie nie zostawisz?

Dotknął jej policzka zrozpaczony, że stała się taka słaba i niepewna siebie - zupełnie niepodobna do dawnej Zoey.

- Nie. Nie zostawię cię. Idź przodem, a ja cię dogonię. - Gdy się zawahała i było jasne, że zaraz rozpocznie swoje wariackie krążenie wokół niego, zbliżając się niebezpiecznie do kryjówki Starka, dodał: - Słuchaj, może jeśli będziesz się poruszać naprawdę szybko, poczujesz się lepiej? Pobiegnij sobie, polataj czy co tam robisz, a potem tu wróć. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, postoję tu chwilę. Muszę trochę odpocząć.

- Wybacz... wybacz... Zapomniałam, że musisz odpoczywać... zapomniałam...

Zaczęła odpływać.

- Tylko się za bardzo nie oddalaj! - zawołał za nią. - I nie zapomnij tu wrócić!

- Nie zapomnę... Nie mogę cię zapomnieć - odparła i nie oglądając się na niego, znikła za drzewami.

Stark wyszedł zza drzewa.

- Cholera jasna! - wychrypiał wstrząśnięty. - Jest gorzej, niż myślałem.

Heath przytaknął ponuro.

- Tak, wiem. Przez tę rozbitą duszę jest w totalnej rozsypce. Nie może spocząć, nie potrafi myśleć i to robi z nią coś... coś potwornego.

- Najwyższa Rada to przewidziała - rzekł Stark. nadal spoglądając w ślad za Zoey. - Zo zmienia się w Caoinic Shi' Nie jest ani martwa, ani żywa i przebywa w krainie duchów, nie mając własnej duszy. Dlatego taka jest, a będzie jeszcze gorzej. Nigdy nie spocznie.

- W takim razie trzeba ją zmusić, żeby się pozbierała. Myślę, że mogę coś w tej sprawie zrobić. I nie obraż się, stary, ale nie sądzę, żebyś ty mógł mi w tym pomóc. Jeśli naprawdę chcesz być pomocny, idź i skop dupę temu stworowi, który nas tu więzi. Z tym sobie poradzisz, a ja zajmę się Zoey.

Heath ruszył przed siebie w stronę, w którą podążyła dziewczyna, lecz zatrzymały go słowa Starka.

- Jasne, możesz jej pomóc w scaleniu duszy, zapewniając, że tu z nią zostaniesz, ale jeśli to zrobisz, napytasz cholerniej biedy wszystkim, których Zoey kocha w prawdziwym świecie.

Heath odwrócił się przodem do Starka.



- Człowieku, nie bądź wredny. Pozwól jej odejść. Wiem, że ją kochasz i tak dalej, pomyśl jednak: znasz ją od niedawna, a ja jestem z nią od lat. Rozumiem, że za nią tęsknisz, ale tu, przy mnie, nic złego jej się nie stanie. I będzie szczęśliwa.

- Nie chodzi o miłość, lecz o właściwe postępowanie. Daję ci słowo strażnika, że mówię prawdę. Jeśli Zoey nie wróci do swego ciała, świat, który znała i który ty znalazłeś, ulegnie zniszczeniu.

- O co chodzi z tym słowem strażnika?

Stark wziął głęboki oddech.

- O honor.

Coś w jego głosie sprawiło, że Heath ujrzał go w innym niż dotąd świetle. Ten facet się zmienił. Wydawał się teraz wyższy, starszy i nie tak zawadiacki jak kiedyś. I smutny - bardzo smutny.

- Mówisz prawdę.

Stark skinął głową.

- Afrodyta miała wizję. Zobaczyła, jak nakłaniasz Zoey do scalenia duszy, obiecując, że tu z nią zostaniesz. Zo nie zmienia się w Caoinic Shi' Znów jest taka jak kiedyś i rzeczywiście zostaje tu z tobą, ale bez niej na ziemi nikt nie może powstrzymać Neferet i Kalony.

- Którzy przejmują władzę - dokończył za niego Heath.

- Którzy przejmują władzę - przytaknął Stark.

Heath spojrzał mu w oczy.

- Muszę opuścić Zoey.

- Nie pozwolę, by została sama - zapewnił go Stark. - Jestem jej wojownikiem i strażnikiem. Uroczyście ci przysięgam, że zawsze będą ją chronić.

Heath skinął głową, odwracając wzrok i starając się zapanować nad emocjami. Miał ochotę uciec, pobiec za Zoey i zrobić wszystko, by została z nim na zawsze, tu czy gdziekolwiek indziej. Gdy jednak przeniósł wzrok na Starka, zrozumiał z całym przekonaniem, że Zoey wpadnie w rozpacz, jeśli zginą jej przyjaciele. Jej wściekłość z tego powodu będzie silniejsza niż miłość do niego lub kogokolwiek innego. Jeśli więc naprawdę ją kocha, musi się z nią rozstać.

Choć miał wrażenie, że lada chwila się porzyga, ucieszyło go spokojne brzmienie własnego głosu.

- Jak chcesz ją doprowadzić do scalenia duszy, kiedy odejdę?

- A nie możesz jej powiedzieć, że zostajesz, pomóc jej się pozbierać, a potem odejść?

Heath prychnął w odpowiedzi.

- Stary, nie potraktuję cię zbyt ostro, bo jeszcze nie umarłeś i nie masz zielonego pojęcia o sprawach duchów, ale nie ma mowy, żebym za pomocą kłamstwa namówił Zo na pozбиерanie i wchłonięcie fragmentów siebie. Daj spokój, to się nie trzyma kupy.

- Fakt. Chyba masz rację. - Stark przeczeszał palcami włosy. - W takim razie nie wiem, jak to zrobię. Jakoś będę musiał. Jeśli ty masz wystarczające jaja, by ją opuścić, to ja mam wystarczające, by ją uratować.

- Zapamiętaj jedno: Zo nie lubi, jak faceci ją ratują. Lubi się sama o siebie troszczyć. Przeważnie będziesz musiał stać z boku i pozwalać jej robić wszystko samej.

Stark z powagą pokiwał głową.

- Będę o tym pamiętał.

- No dobra. W takim razie chodźmy do niej.

Ruszyli w kierunku części gaju, w której głąb szła Zoey, kiedy ją ostatnio widzieli.

- Zostawię was samych, żebyście mogli się pożegnać. Nie pokażę się jej, póki nie odejdiesz - rzekł wojownik.

Heath przytaknął w milczeniu, nie ufając swojemu głosowi.

- Wspomniałeś coś o jakiejś strasznej istocie, która was tu więzi. Co to jest?

Odkaszlnął.

- Początkowo sądziłem, że to Kalona, ale dziś stało się coś tak dziwnego, że zwątpiłem. To coś tak jakby pomagało mi wykombinować, jak uratować Zoey.

- A jednocześnie zostać tutaj?

- Tak. To chyba było sedno tej całej historii.

- Nie widzę nic dziwnego w tym, że Kalona nauczył cię, co robić, żeby Zoey nigdy nie opuściła Zaświatów - zauważył Stark.

- I niemal mu się udało! Pieprzony gnojek. Jakby nie wystarczyło mu, że mnie zabił! - Heath spojrział na Starka. - Więc to dlatego tu jesteś? Znaczący wiem, że musiałeś kazać mi się stąd wynieść, ale chodzi też o to, żeby skopać Kalonie tyłek, bo tylko wtedy zdołasz bezpiecznie sprowadzić Zoey do domu?

- Cóż, ten scenariusz wygląda coraz bardziej realnie.

- W takim razie powodzenia w walce z nieśmiertelnym, stary! - prychnął Heath.

- Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że wystarczy, jeśli nie będę dopuszczał go do Zoey dostatecznie długo, by zdołała się pozbierać. Wtedy może się stąd wynieść i wrócić do ciała, a tam Kalona nie będzie mógł jej skrzywdzić... przynajmniej na razie.

- Przykro mi, że krzyżuję ci szyki, ale gdyby to było takie proste, Zo nie potrzebowałaby ciebie do ochrony.

Stark spojrział na niego pytająco.

- W tym gaju - Heath zatoczył ręką wokół - Zo jest bezpieczna. Zło nie może tu przeniknąć. Gaj ma w sobie coś wyjątkowego. Tak jakby cała magia na ziemi pochodziła właśnie stąd. To taka lepsza ziemia, miejsce całkowitego spokoju. Nie czujesz?

- Owszem, „lepsza ziemia” to dość trafne określenie - przyznał Stark. - Spokój też czuję. Dlatego od początku wiedziałem, że znajdę tu Zoey.

- I dlatego Zo cię potrzebuje - dodał Heath. - Im dłużej przebywa w tym zaciszu, tym mniej jej pilno do powrotu. Raz jeszcze życzę ci powodzenia w ochronie jej przed Kaloną. Ten palant mnie zabił. Mam nadzieję, że tobie pójdzie z nim lepiej. Jeśli tak, to daj mu popalić w moim imieniu, a także w imieniu Zo.

- Nie ma sprawy. Słuchaj, Heath, chcę ci powiedzieć coś jeszcze - rzekł Stark. - Nie miałbym tyle siły co ty. Nie potrafiłbym od niej odejść.

Heath popatrzył na niego, a potem wzruszył ramionami.

- Cóż. Ja kocham ją bardziej niż ty.

- Postępujesz właściwie. Honorowo.

- Wiesz - mruknął Heath - w moim obecnym położeniu honor to puste słowo. Dla mnie i Zo liczy się miłość. Zawsze tak było i zawsze będzie.

Szli dalej w milczeniu, obaj pogrążeni w myślach. „Dla mnie i Zo liczy się miłość. Zawsze tak było i zawsze będzie” - dźwięczało Starkowi w głowie, aż wreszcie, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, zrozumiał to. Naprawdę zrozumiał. I choć nie ułatwiało mu to czekającego go zadania, przynajmniej czyniło je znośnym.

\* \* \* \*

Znaleźli ją na małej polance w głębi gaju. Krążyła nieustannie wokół wysokiego iglastego drzewa, które wyglądało imponująco, lecz dziwnie nie na miejscu pośród jarzębin, głogów i mchu. Powietrze wypełniał zapach igliwia. Stark i Heath podkradli się, schowani za krzakami. W końcu wojownik wskazał grupę omszonych skałek wielkości człowieka znajdującą się w pobliżu, ale poza zasięgiem wzroku dziewczyny. Heath przystanął tam razem z nim i wziął głęboki oddech.

- Dziwne - powiedział cichutko. - Zastanawiam się, co tu robi ten cedr.

- Cedr? - zapytał Stark. - To jest cedr?

- Tak. Między starym domem Zo a moim rósł jeden wielki, zupełnie podobny do tego. I zapach ma identyczny.

- Babcia Zoey kazała palić cedrowe igły, gdy będę przebywał w Zaświatach - wyjaśnił Stark. - Afrodyta przywiozła ich cały wór. Zapalili je wokół mnie, nim opuściłem ciało. - Spojrzał na Heatha. - To dobry znak. Drzewo oznacza, że wybraliśmy właściwą drogę.

Heath długo patrzył mu w oczy.

- Mam nadzieję, że dobry - odparł wreszcie - ale musisz w iedzieć, że nie jest mi z tego powodu ani trochę łatwiej.

- Rozumiem.

- Czyżby? Szykuję się do opuszczenia dla ciebie jedynej dziewczyny, którą kochałem, choć wiem, że bardzo mnie potrzebuje.

- Co chciałbyś ode mnie usłyszeć, Heath? Że chciałbym, abyś nie musiał tego robić? Owszem. Że chciałbym, abyś nie był martwy i aby dusza Zoey nie była rozbita, a jedynym, co by mi spędzało sen z powiek, byłaby zazdrość o tego idiotę Erika? Pewnie, że tak.

- Nie musisz być zazdrosny o Erika. Zo nigdy nie wytrzyma długo z żadnym zaborczym dupkiem. Nie stresuj się takimi facetami.

- Jeśli ją odzyskam całą i zdrową, nie pozwolę, by jeszcze kiedykolwiek zestresował mnie jakikolwiek facet - obiecał Stark.

- Kiedy - poprawił go z powagą Heath, a gdy Stark zmarszczył brwi. wyjaśnił: - K i e d y, a nie jeśli ją odzyskasz. Nie odejdę stąd, jeśli nie jesteś pewien, co robisz.

- Zgoda - przytaknął Stark. - Kiedy ją odzyskam. Jestem pewien, że postępuję właściwie. Że obaj postępujemy właściwie. Niestety, cokolwiek zrobimy, ona i tak będzie cierpiała.

- Wiem. Ale - ruchem brody wskazał dziewczynę - na pewno nie będzie to takie złe jak jej obecny stan. - Na moment opuścił głowę, a potem klepnął się po kolei w każde z ramion, jakby postukiwał w futbolowe naramienniki. Otrząsnął się, wziął kolejny głęboki oddech i uniósł głowę, by po raz ostatni spojrzeć Starkowi w oczy. - Zo musi wiedzieć, że nie chcę, aby się o mnie zamartwiała i smarkała z rozpacz. Przypomnij jej w moim imieniu, że kiedy to robi, jest wysoce nieatrakcyjna.

- Dobrze.

- A skoro o tym mowa, to lepiej niech ci wejdzie w nawyk noszenie w kieszeni chusteczek, bo ja wcale nie przesadzam. Gdy Zo ryczy, robi się obrzydliwie zasmarkana.

- W porządku.

Heath wyciągnął rękę do wojownika.

- Troszcz się o nią w moim imieniu.

Stark chwycił go za przedramię.

- Daję ci słowo wojownika.

- Świetnie, bo zamierzam cię z niego rozliczyć, jak się następnym razem spotkamy.

Heath puścił rękę Starka, zrobił ostatni głęboki wdech i wyszedł z kryjówek, starając się nie myśleć o tym, co się zaraz stanie.

Spojrzał na Zoey i zobaczył ją pod maską cienia, którym się stała. Pomyślał o dziewczynie, którą kochał od dzieciństwa. Oczyma duszy widział krzywą grzywkę, którą sama sobie obcięła w czwartej klasie. Uśmiechnął się, myśląc o jej łobuzerskim okresie w gimnazjum, gdy posiniaczone i pokryte strupami kolana nie goiły się całymi miesiącami. Potem było lato przed pierwszą klasą liceum, kiedy on wyjechał na miesięczne wakacje z rodziną, zostawiając ją chuderlawą i niezgrabną, by po powrocie zastać przemienioną w młodą boginię. Jego własną boginię.

- Cześć, Zo - powiedział, doganiając ją i przyłączając się do jej niespokojnego krążenia.

- Heath! Zastanawiałam się, gdzie jesteś. Zatrzymałam się tu, żebyś mógł mnie dogonić. Tęskniłam za tobą

- Jesteś szybka, Zo. Dogoniłem cię najszybciej, jak potrafiłem. – Otoczył ją ramieniem Miała przerażająco zimną skórę. - Jak się miewasz, kochanie?

- Nie wiem. Jakoś mi dziwnie. Czuję się zamroczone i ciężka. Wiesz, co ze mną jest, Heath?

- Tak. kochanie. Wiem. - Zatrzymał się, ale wciąż ją obejmował, więc i ona musiała przystanąć. - Twoja dusza się roztrzaskała, Zo. Jesteśmy w Zaświatach, pamiętasz?

Spojrzała na niego wielkimi ciemnymi oczami i przez chwilę wyglądała niemal jak dawna Zoey.

- Tak, teraz pamiętam, i muszę ci powiedzieć, że to strasznie zafajdana sytuacja.

Napływające mu do oczu łzy zniekształciły jej sylwetkę, lecz Heath powstrzymał je i uśmiechnął się,

- Święta racja. Na szczęście wiem, jak wszystko naprawić.

- Serio? To świetnie, ale... hm... czy nie mógłbyś tego naprawić, gdy ja będę chodzić, bo to całe stanie jakoś mi nie służy?

Zamiast ją puścić, położył dłonie na jej ramionach i trzymał mocno, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

- Musisz pozbierać fragmenty swojej duszy, a potem wrócić do ciała, które pozostało w prawdziwym świecie. Musisz to zrobić dla swoich przyjaciół, dla Starka, dla babci. Nawet dla mnie, Zo.

Jej ciało drżało; Heath widział jednak, że Zoey ze wszystkich sił stara się wytrwać w bezruchu.

- Nie wrócę bez ciebie. Nie mam zamiaru zostawiać cię tutaj. Heath.

- Wiem, kochanie - rzekł łagodnie. - Czasem jednak musimy robić rzeczy, których nie chcemy. Ja na przykład też nie chcę cię opuścić, ale przyszedł czas, bym ruszył dalej.

Jej oczy się rozszerzyły, uniosła ręce do ramion, by dotknąć jego dłoni.

- Nie możesz mnie opuścić. Heath! Umrę, jeśli to zrobisz!

- Nie, kochanie. Wręcz przeciwnie. Pozbierasz się i wrócisz do życia.

- Nie, nie, nie! Nie możesz mnie opuścić. - Rozplakała się. - Nie mogę tu zostać bez ciebie.

- Właśnie próbuję ci to wytłumaczyć, Zo. Jeśli mnie tu nie będzie, wrócisz tam, gdzie powinnaś przebywać, i przestaniesz być tym żalonym widmem, w które się zmieniasz.

- Daj spokój. Nie. Pozbieram się. obiecuję! Tylko tu zostań. Zostań ze mną. Sam zobaczysz, że się pozbieram. Obiecuję, Heath.

Spodziewał się, że Zoey powie coś w tym stylu, więc miał gotową odpowiedź, lecz udzielał jej ze złamanym sercem.

- Nie o ciebie tu chodzi, Zo. Chodzi o to, co jest dobre dla mnie. Czas, żebym się przeniósł do następnego świata.

- Co? Nic z tego nie rozumiem, Heath! - zaszlochała.

- Wiem, kochanie. Ja też niezupełnie to rozumiem, ale czuję, że tak właśnie jest - odparł szczerze. Kiedy mówił, do głowy przychodziły mu odpowiednie słowa, a duszę wypełnił spokój, kojąc ból serca i potwierdzając ponad wszelką wątpliwość, że obrał dobrą drogę. - To prawda, że umarłem za wcześnie. Chcę odzyskać swoje życie, Zo. Chcę mieć szansę.

- Prz...przykro mi, Heath. To moja wina, ale nie mogę zwrócić ci życia.

- Nikt nie może tego zrobić, Zo. Mogę jednak otrzymać drugą szansę. A jeśli tu pozostanę, ani ja, ani ty nie zaznamy już prawdziwego życia.

Zoey przestała szlochać, lecz łzy wciąż płynęły jej po policzkach i kapały z twarzy, jakby stała na dworze w deszczowy letni dzień.

- Nie mogę. Nie mogę odejść bez ciebie.

Heath potrząsnął nią leciutko i zmusił się do uśmiechu.

- Owszem, możesz. Jeśli ja potrafię to zrobić, to ty też. Dobrze wiesz, że jesteś bystrzejsza i silniejsza niż ja, Zo. Zawsze byłaś.

- Nie, Heath - szepnęła.

- Chcę, żebyś coś zapamiętała, Zo. To ważne, a kiedy już posklejasz swoją duszę, lepiej to zrozumiesz. Odejdę stąd i dostanę nowe życie. Ty będziesz wielką wampirską kapłanką, a to oznacza, że będziesz żyła jakiś milion lat. Odnajdę cię. Nawet jeśli zajmie mi to całe stulecie, obiecuję ci, Zoey Redbird, że znów będziemy razem. - Objął ją i pocałował, starając się poprzez dotyk dać jej do zrozumienia, że jego miłość nigdy nie wygaśnie. Gdy w końcu zmusił się, by ją puścić, wydało mu się, że widzi w jej przestraszonych, wstrząśniętych oczach zrozumienie. - Zawsze będę cię kochał, Zo.

Potem odwrócił się i odszedł od swojej prawdziwej miłości. Powietrze przed nim rozstało się niczym kurtyna, a on przeszedł do następnego królestwa, całkowicie znikając z poprzedniego.

Kompletnie zdruzgotana Zoey dowlokła się do cedru i milcząca jak grób. ze łzami płynącymi po twarzy nieprzerwanym strumieniem, podjęła swoją bezcelową wędrówkę.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

## *Kalona*

Nie wiedział, jak długo już przebywa w krainie Nyks.

Początkowo wyrwanie z ciała przez ciemność, którą władała Neferet, było dla niego takim wstrząsem, że utracił świadomość wszystkiego z wyjątkiem oczarowania i trwogi wywołanych ponownym przebywaniem w świecie bogini.

Wciąż pamiętał i doceniał - być może bardziej niż ktokolwiek inny - szczególnie urok i magię Zaświatów.

Kiedy tu mieszkał, nie był tą samą osobą. Służył wówczas światłości i chronił Nyks przed wszystkim, co mogła wyrzesać z siebie ciemność w próbie przechylenia szali zwycięstwa na stronę zła, bólu, egoizmu i rozpacz, którymi się karmiła.

Przez niezliczone wieki Kalona chronił swoją boginię przed wszystkim z wyjątkiem siebie.

Jak na ironię, właśnie jego miłość była bronią, którą pokonała go ciemność.

Jeszcze bardziej ironiczny okazał się fakt, że po jego upadku światłość posłużyła się tą samą bronią, by go uwięzić.

Przez chwilę się zastanawiał, czy miłość może zgotować mu gorsze piekło, niż zgotowała do tej pory, i czy w ogóle jest jeszcze zdolny do tego uczucia.

Z całą pewnością nie kochał Neferet. Wykorzystał ją, by się wydostać z podziemnej niewoli, a potem ona wykorzystała go do własnych celów.

A Zoey?

Nie chciał doprowadzić do jej rozpadu, ale poczucie winy to nie to samo co miłość. Ani ono, ani żal nie były dość silne, by wzbudzić w nim chęć poświęcenia wolności własnego ciała dla ratowania dziewczyny.

Podążając przez krainę bogini, upadły nieśmiertelny odłożył na bok wszystkie rozważania na temat miłości i jej bolesnych pułapek, aby się skupić wyłącznie na obecnym zadaniu.

Pierwszym etapem było odnalezienie Zoey.

Drugim - postaranie się o to, by nie mogła powrócić na ziemię, co pozwoli mu odzyskać ciało i spełnić złożoną Neferet obietnicę.

Odnalezienie dziewczyny nie nastęczyło trudności. Musiał jedynie skoncentrować na niej swoją wolę, a jego duch natychmiast poszybował na fali ciemności tam, gdzie znalazły schronienie fragmenty jej roztrzaskanej duszy.

Towarzyszył jej - a raczej tej jej części, która miała najwięcej wspólnego z aktualną Zoey - zabity przez Kalonę ludzki chłopak. Dziwnie było patrzeć, jak ją pociesza, a potem instynktownie prowadzi do świętego gaju bogini, miejsca

tak przepojonego kwintesencją Nyks, że póki na świecie panowała równowaga między światłem a ciemnością, nie mogło się tam wedrzeć żadne zło.

Kalona doskonale pamiętał to miejsce. To tam po raz pierwszy uświadomił sobie swoją miłość do Nyks. W tym strasznym czasie przed podjęciem decyzji o porzuceniu jej tylko tam znajdował odrobinę spokoju.

Próbował znów przekroczyć granicę gaju, odnaleźć Zoey i Heatha i zrzucić z siebie brzemię nałożone przez machinacje Neferet, ale nie zdołał przeniknąć do środka, a w dodatku sama próba niezwykle go osłabiła, aż nazbyt dobrze przypominając mu o czasach uwięzienia w głębi ziemi.

Tym razem spokój i magia boskiej krainy nie uwięziły go, lecz odrzuciły.

Zbyt wiele ciemności nosił w sobie, by móc wstąpić do boskiego gaju.

Oczekiwał niemal, że sama Nyks lada chwila objawi się przed nim, oskarży go - i całkiem słusznie! - o wtargnięcie bez zezwolenia do jej krainy i wygna go po raz wtóry. Nie doczekał się jednak. Wyglądało na to, że Neferet miała rację, mówiąc, że Nyks wygnała tylko jego ciało, bo gdyby zakaz dotyczył także duszy, sam Ereb na prośbę bogini stawiałby mu czoło i z pomocą wszystkich boskich sił wygnałby jego duszę z Zaświatów.

Nieśmiertelny otrzymał jednak swobodę, przeklętą możliwość powrotu i rzucenia okiem na to, czego najbardziej w świecie pragnął, ale nie mógł mieć.

W jego duszy płonął znajomy bezpieczny gniew.

Kalona obserwował Zoey i chłopaka. Wkrótce zdołał się zorientować, że wystarczy po prostu zmuszać ich do pozostania w gaju, by ostatecznie dopiąć swego.

Zoey ulegała dalszemu rozpadowi. Zmieniała się w niespokojną Caoininc Shi', a w tej postaci nigdy nie będzie mogła wrócić do ciała.

Myśl o Zoey przeobrażającą się w istotę, która nie jest ani żywa, ani umarła, zrodziła w Kalonie osobliwy ból.

Znowu te uczucia! Czy kiedykolwiek na dobre się ich pozbędzie? Tak, musi istnieć na to jakiś sposób. Być może Neferet i w tej kwestii miała rację: może wystarczy się pozbyć Zoey, by wraz z nią odeszło poczucie winy, pożądania i straty, które w nim budziła.

Natychmiast jednak uświadomił sobie, że nie uwolni się od niej, pozostawiając ją tu, by stała się widmem, cieniem dawnej siebie. Myśl o tym prześladowałaby go po wiek wieków.

Analizował sytuację, obserwując spoza gaju, jak Heath nie odstępował Zoey, nieustannie próbując jej nieść nieosiągalne pocieszenie.

On ją kocha! A ona kocha jego! Ze zdumieniem spostrzegł, że ta myśl nie zrodziła w nim gniewu ani zazdrości. Była zwykłą konstatacją. Gdyby świat Zoey nie przewrócił się do góry nogami, mogłaby spędzić z tym ludzkim chłopakiem niewinne, zwyczajne szczęśliwe życie.

I nagle Kalona pojął z całkowitą jasnością, jak może się pozbyć Zoey i zrealizować daną Neferet przysięgę.



Zoey będzie szczęśliwa, mogąc pozostać tu z Heathem, a jej zadowolenie wystarczy, by ukoić wyrzuty sumienia, które nieśmiertelny odczuwał w związku z zabiciem chłopca. Oboje zostaną tu, w boskim gaju, on zaś powróci na ziemię uwolniony od jej uroku. „Pozostanie tu wyjdzie jej na dobre - wmawiał sobie. - Nigdy więcej nie zazna ziemskich trosk ani bólu”. Takie rozwiązanie wydawało się zadowalające.

Wyparł ze świadomości myśl o tym, jak by to było żyć bez jedynej osoby, która w dwóch różnych wcieleniach przypominała mu utraconą boginię i wzbudzała w nim prawdziwe uczucia.

Zamiast tego skoncentrował się na chłopaku. To on był kluczem. To jego śmierć wywołała rozpad duszy Zoey, a związane z nią poczucie winy nie pozwalało dziewczynie jej pozbierać. Durny śmiertelnik! Czyżby nie rozumiał, że jedynie on może ukoić jej sumienie i stworzyć warunki do uzdrowienia duszy?

Jasne, że nie. Był tylko ludzkim chłopcem, w dodatku niezbyt roztropnym. Trzeba mu podpowiedzieć, co ma robić.

Chłopak znajdował się jednak w gaju, do którego Kalona nie miał wstępu. Krążył więc w górze i obserwował sytuację, a kiedy wściekłość chłopaka wykipiła i doprowadziła do aktu samookaleczenia, wykorzystał ten okrucieństwo pierwotnej emocji, by szeptem wskazać mu drogę.

Niemal zadowolony Kalona wycofał się na skraj gaju i czekał, aż chłopak pomoże Zoey naprawić duszę, a ona pozostanie z nim, nie chcąc opuścić swego uzdrowiciela. Wówczas śmierć jej odłączonego od duszy ciała będzie już tylko kwestią czasu.

Gdy to nastąpi, nieśmiertelny będzie mógł powrócić do własnej cielesnej powłoki, spełniwszy złożoną Neferet przysięgę. „A wówczas - pomyślał ponuro - Tsi Sgili nigdy więcej mną nie zawładnie”.

Zadowolony ze swoich knoń i drobnych oszustw pod własnym adresem nie zauważył, jak do gaju wkracza Stark, i nie był świadkiem ponownej rewolucji w życiu Zoey.

## ***Stark***

Patrzył, jak Heath przechodzi przez kurtynę rozdzielającą dwa królestwa. Przez chwilę nie potrafił się ruszyć nawet po to, by podejść do Zoey.

Miał rację. Heath był silniejszy od niego.

- Bądź przy nim, Nyks, i pozwól mu odnaleźć Zoey ponownie jeszcze w tym wcieleniu - szepnął, pochyliwszy głowę. - Nawet jeśli cholernie skomplikuje mi to życie - dodał z lekkim uśmiechem.

Potem podniósł głowę, otarł oczy i wyszedł zza skałki, by szybko i cicho podejść do Zoey.

Wyglądała potwornie. Splątane włosy powiewały na dziwnym wietrze, który zdawał się do niej szeptać i nadawać rytm jej nieustannemu krążeniu. Gdy uniosła rękę, by odgarnąć z twarzy kosmyki, które do niej przywarły, Stark zauważył przejrzystość jej ciała.

Ona naprawdę blakła!

- Cześć, Zoey!

Dźwięk jego głosu podziałał na nią jak elektrowstrząs. Wzdrygnęła się i obróciła gwałtownie w jego stronę.

- Heath!

- Nie, to ja, Stark. Prz...przykro mi w związku z Heathem - wybąkała, czując się głupio, lecz nie wiedząc, co innego mógłby powiedzieć.

- Odszedł. - Wbiła zgaszony wzrok w miejsce, gdzie Heath stał bezpośrednio przed swoim zniknięciem, po czym znów zaczęła maszerować w kółko, przenosząc udreżone spojrzenie na twarz Starka.

Wiedział, w którym momencie go rozpoznała, bo zatoczyła się i przystanąła, oplatając się rękoma jakby w obronie przed ciosem.

- Stark! - Kręciła głową. - Nie, tylko nie ty!

Od razu zrozumiał, co sobie pomyślała. Podbiegł do niej, otoczył ramionami jej sztywne zimne ciało i przygarnął ją do siebie.

- Nie umarłem - powiedział powoli i wyraźnie, patrząc jej w oczy. - Rozumiesz, Zoey? Jestem tu, ale mojemu ciału nic się nie stało. Znajduje się w prawdziwym świecie razem z twoim. Żadne z nas nie jest martwe.

Zoey niemal się uśmiechnęła i przez chwilę naprawdę pozwoliła mu się obejmować.

- Strasznie za tobą tęskniłem - szepnął.

Odsunęła się i wbiła baczny wzrok w jego twarz.

- Jesteś moim wojownikiem.

- Tak. Jestem nim i zawsze będę.

Zoey westchnęła leciutko i znów ruszyła w swoją okrężną wędrówkę.

- „Zawsze” już się skończyło.

Szedł krok w krok z nią, nie wiedząc, jak dotrzeć do tej dziwnej widmowej wersji Zoey. Pamiętał, że Heath rozmawiał z dziewczyną mniej więcej zwyczajnie, więc nie zwracając uwagi na jej niezrozumiałe słowa i nieustanną wędrówką ujął ją za rękę, jak gdyby po prostu spacerowali sobie po lesie.

- Fajnie tu.

- Rzekomo ma tu panować spokój.

- Moim zdaniem tak jest.

- Nie. Nie dla mnie. Ja już nigdy nie odnajdę spokoju. Utraciłam tę część siebie.

Uścisnął jej dłoń.

- Po to tu przyszedłem. Będę cię chronił, żebyś mogła pozbierać fragmenty swojej duszy, a potem wrócimy do domu.

Nawet na niego nie spojrzała.

- Nie mogę. Wracaj beze mnie. Ja muszę tu zostać i czekać na Heatha.

- Zoey, Heath tu nie wróci! Poszedł po nowe życie. Odrodzi się. W prawdziwym świecie.

- Nie może tam wrócić. Nie żyje.

- Słuchaj, niewiele wiem na temat funkcjonowania Zaświatów, ale o ile zrozumiałem, Heath odszedł stąd, by narodzić się ponownie i przeżyć kolejne życie. Wtedy się z tobą spotka, Zo.

Przystanąła i wpatrywała się w niego matowym wzrokiem, po czym pokręciła głową i znów ruszyła.

Stark zacisnął mocno zęby, by nie wyrzucić z siebie słów, które rozdzierały go od środka: że Zoey wzięłaby się w garść dla Heatha, lecz nie dla niego. Bo jego nie kocha tak bardzo.

Otrząsnął się. Tu chodziło nie tylko o miłość. Zrozumiał to już wtedy, gdy Seoras zapytał go, czy jest gotów zaryzykować życie dla Zoey, nawet jeśli miałby ją stracić. „Będę musiał przy niej zostać” - odparł wówczas Stark, a Seoras rzekł: „Będziesz musiał przy niej zostać jako wojownik, ale może nie jako jej wybranek”.

Może niejako jej wybranek.

Spojrzał na Zoey i zobaczył ją taką, jaka naprawdę była: zdruzgotaną, pozbawioną tatuaży, z poćwiartowaną duszą. Rozpadała się, a mimo to zachowała dobroć i siłę, które czyniły ją atrakcyjną. Nie była tym, kim była kiedyś i kim być mogła, jednakże nawet w tym stanie była jego Asem, jego *bann ri shi*. Jego królową.

„Wiedz, że nie ma odwrotu, bo takie jest prawo i przeznaczenie prawdziwego strażnika, a twoją nagrodą nie będzie żal, złośliwość, niechęć czy zemsta, lecz niezłomna wiara w honor. Nic ci nie zagwarantuje miłości, szczęścia ni zysku”.

Cokolwiek się stanie, on musi pozostać jej strażnikiem. Jest z nią związany czymś potężniejszym od miłości: honorem.

- Zoey, musisz wrócić. Nie z powodu tego, co wiąże cię z Heathem, ani nawet z powodu tego, co wiąże cię ze mną. Musisz wrócić, bo tak nakazuje honor.

- Nie mogę. Zbyt mało mnie zostało.

- W tym momencie na scenę wkraczam ja, twój strażnik. Po to mnie masz.

- Uniósł do ust jej dłoń, ucałował i uśmiechnął się, coś sobie przypominając. - Afrodyta kazała mi nauczyć się dla ciebie pewnego wiersza. Ona i Stevie Rae sądzą, że to coś w rodzaju mapy, która poprowadzi cię do scalenia duszy.

- Afrodyta... Kramisha... Stevie Rae... - szeptała niepewnie Zoey, jakby na nowo uczyła się tych słów. - To moje przyjaciółki!

- Owszem. - Stark jeszcze raz ścisnął jej dłoń. - Posłuchaj wiersza - kontynuował, uznawszy, że coś do niej dociera. - Oto on:

*Obosieczny miecz  
Jedna strona zniszczenie  
Druga wolność  
Jestem twym węzłem gordyjskim  
Uwolnisz mnie czy zniszczysz?  
Idź za prawdą, a wtedy  
Znajdziesz mnie na wodzie  
Oczyścisz przez ogień  
Nigdy już nie zamknie mnie ziemia  
A powietrze wyszepcze ci to  
Co duch już wie:  
Ze nawet po rozpadzie  
Możliwe jest wszystko  
Jeśli wierzysz  
Oboje będziemy wolni.*

Kiedy skończył, Zoey zatrzymała się na dość długo, by spojrzeć mu w oczy.

- To nic nie znaczy - powiedziała.

I znów ruszyła, ale on mocno trzymał ją za rękę.

- Owszem, znaczy. Chodzi o ciebie i Kalonę. Ma to coś wspólnego z twoim uwolnieniem się stąd. - Stark umilkł na moment, po czym dodał: - Pamiętasz, że coś was łączy, prawda?

- Już nie - odparła szybko. - Zerwał tę więź, kiedy skręcił Heathowi kark. „Mam wielką nadzieję” - pomyślał chłopak.

- Mimo to część przepowiedni już się spełniła - rzekł jednak. - Podążyłaś za tym, co uważałaś za prawdę o nim, i znalazłaś go na wodzie. W następnej linijce jest mowa o oczyszczeniu przez ogień. Jak myślisz, co to może oznaczać?

- Nie wiem! - krzyknęła Zoey. Była coraz bardziej zdenerwowana, lecz Stark i tak się cieszył, że jej pozbawiona dotąd wyrazu twarz zaczyna się ożywiać. - Kalony tu nie ma. Ognia też nie. Więc o co może chodzić?

Stark czekał, aż Zoey się uspokoi, wciąż trzymając ją za rękę.

- On tu jest - rzekł. - Przybył tu za tobą. Tylko że nie może się dostać do gaju. - A potem bez namysłu wypowiedział słowa płynące prosto z serca, nie z umysłu: - A mnie przyprowadził tu ogień czy też coś, co go przypominało.

Zoey zerknęła na niego i całkiem rzeczowym tonem zauważyła coś, co miało diametralnie odmienić życie Starka.

- W takim razie wygląda na to, że wiersz dotyczy Kalony i ciebie, a nie Kalony i mnie.

Jej słowa oplotły go niczym drucziana siatka.

- Jak to Kalony i mnie?

- Pojechałeś ze mną do Wenecji, dobrze wiedząc, jakim potworem jest Kalona, zanim ja się tego dowiedziałam. Przywiódł cię tu ogień. Jeśli zastanowisz się dobrze nad resztą, pewnie też odkryjesz w niej dla siebie jakieś znaczenie.

- Obosieczny miecz... - mruknął cicho Stark.

Claymore był obosieczny, a jego ciosy niosły i zniszczenie, i wyzwolenie. Wojownik znał prawdę o tym, jak niebezpieczny jest Kalona, gdy wraz z Zoey udawał się w ślad za nim do Wenecji... Ognisty ból zadawanych przez Seorasa ran przywiódł go tutaj, do miejsca przypominającego mu ziemię, choć znajdującego się w Zaświatach. A Zoey była tu uwięziona i czekała na oswobodzenie. Stark zaś, by doprowadzić swą misję do końca, musiał kierować się tym, co jego duch wiedział o honorze.

- Cholera! - Spojrzał na krążącą u jego boku Zoey i fragmenty układanki wskoczyły na właściwe miejsca. - Masz rację. Ten wiersz jest przeznaczony dla mnie.

- Świetnie. W takim razie dzięki niemu możesz się uwolnić - odparła.

- Nie, Zo. Dzięki niemu obaj możemy się uwolnić - powiedział Stark. - Kalona i ja.

W jej niespokojnych oczach na moment zapaliły się ogniki, lecz szybko odwróciła wzrok.

- Miałbyś uwolnić Kalonę? Nic z tego nie rozumiem.

- A ja tak - odparł ponuro, przypominając sobie zabójczy cios, który uwolnił jego sobowtóra. - Uwolnienie ma wiele różnych form. - Pociągnął ją za rękę, zmuszając, by zwolniła i spojrzała mu w oczy. - Wierzę w ciebie, Zoey. Choć twoja dusza jest rozbita, moja przysięga pozostaje w mocy. Będę cię chronił, a jeśli tylko będę pamiętał, co to honor, i nie sprawię ci kolejnego zawodu, wszystko jest możliwe. O to właśnie chodzi w pełnieniu roli twojego strażnika: o honor.

Uniósł jej dłoń i znów ucałował, po czym porzucając chodzenie w kółko, ruszył prosto ku skrajowi gaju.

- Nie, nie! Nie możemy tam iść - zaproponowała Zoey.

- Musimy, Zo. Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi. - Nadal szedł w kierunku rozszerzających się jasnych plam pomiędzy drzewami.

- Zaufać? Nie. To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. Stark, nie możemy opuścić tego miejsca. Nigdy. Tam na zewnątrz czyha zło. Tam jest on! - Mocno ciągnęła go za rękę, starając się zmusić do zmiany kierunku.

- Zoey, powiem ci teraz parę rzeczy bardzo szybko. Wiem, że masz problemy z koncentracją, ale musisz mnie wysłuchać. - Nieubłaganie zmierzał ku skrajowi gaju, niemal wlokąc ją za sobą. - Nie jestem już tylko twoim wojownikiem. Jestem twoim strażnikiem. A to oznacza spore zmiany dla nas obojga. Największą z nich jest ta, że obecnie wiąże mnie z tobą przede

wszystkim honor, a dopiero potem miłość. Nigdy więcej cię nie zawiodę. Nie mogę ci powiedzieć, jaka zmiana zajdzie w twoim przypadku. - Przed nimi zamigotał skraj gaju. Stark przystanął i pod wpływem impulsu przykląkł na jedno kolano przed swoją zdruzgotaną królową. - Mam jednak stuprocentową pewność, że sobie z nią poradzisz. Zoey, jesteś moim Asem, *mo bann n*, moją królową, i musisz się pozbierać, bo inaczej żadne z nas nie zdoła stąd wyjść.

- Przerażasz mnie, Stark.

Podniósł się, po czym ucałował ją w obie dłonie, a na koniec w czoło.

- W takim razie przygotuj się na ciąg dalszy, bo dopiero zacząłem. - Posłał jej swój stary łobuzerski uśmiezek. - Cokolwiek nas czeka, przynajmniej udało mi się tu dotrzeć. Jeśli wrócimy, będziemy mogli zaśmiać się w twarz tej zarozumiałej Najwyższej Radzie.

Po tych słowach odsunął gałązki dwóch jarzębin i przekroczył kamienistą granicę gaju. Zoey pozostała w środku, lecz trzymała gałęzie, by nie tracić wojownika z oczu, i kołysała się w przód i w tył, sprawiając, że liście szeleściły niczym pomrukująca widownia.

- Stark, wracaj!

- Nie mogę, Zo. Mam sprawy do załatwienia.

- Co? Jakie sprawy?

- Muszę skopać tyłek pewnemu nieśmiertelnemu. Za ciebie, za mnie i za Heatha.

- To niemożliwe! Nie pokonasz Kalony.

- Pewnie masz rację. Ja nie zdołam tego zrobić, ale ty tak. - Rozpostarł ramiona i krzyknął w boskie niebo: - Chodź tu, Kalono! Wiem, że tam jesteś. Przyjdź do mnie. Tylko tak możesz zapobiec powrotowi Zoey na ziemię, bo póki ja żyję, będę walczył o jej ocalenie!

Nieskazitelnie niebieski firmament zafalował i począł szarzeć. Macki ciemności rozprzestrzeniały się niczym smużki dymu z toksycznego ognia, gęstniały i nabierały kształtów. Najpierw zobaczyli jego skrzydła - masywne, czarne, rozpięte i blokujące boskie światło. W ślad za nimi zjawiono się ciała Kalony - większe, silniejsze i groźniej wyglądające, niż je Stark zapamiętał.

Nieśmiertelny uśmiechnął się, krążąc nad ich głowami.

- A więc to ty, chłopcze. Poświęciłeś się, by tu przybyć. W takim razie wykonałem zadanie. Twoja śmierć uwieczniła ją tu trwalej niż wszelkie moje próby.

- Mylisz się, debilu. Nie umarłem. Żyję i nie mam zamiaru tego zmieniać. Podobnie jak Zoey.

Kalona zmrużył oczy.

- Zoey nie opuści Zaświatów.

- Cóż, jestem tu po to, by po raz kolejny udowodnić ci, jak bardzo się mylisz.

- Stark, wracaj! - krzyknęła z gaju Zoey.

Kalona spojrzał na nią.

- Byłoby jej łatwiej - powiedział smutnym, niemal zgnębionym głosem - gdybyś pozwolił ludzkiemu chłopakowi wykonać moje polecenie.

- To właśnie jest twój problem, Kalono. Masz kompleks boga, choć może raczej powinienem powiedzieć: bogini. Widzisz, twoja nieśmiertelność bynajmniej nie zapewnia ci władzy. W twoim przypadku sprawia jedynie, że od bardzo, bardzo dawna żyjesz w świecie ułudy.

Kalona powoli przeniósł wzrok na Starka. Jego bursztynowe oczy były teraz pozbawione wszelkich emocji z wyjątkiem lodowatego gniewu.

- Popełniasz błąd, chłopcze.

- Nie jestem już chłopcem - odparł tym samym tonem Stark.

- Dla mnie zawsze nim będziesz. Małym, słabym śmiertelnikiem.

- To znaczy, że pomyliłeś się trzy razy z rzędu. Śmiertelny to nie to samo co słaby. Sfruń tu i pozwól mi tego dowieść.

- Doskonale, chłopcze. Niech ból Zoey obciąży twoje, a nie moje sumienie.

- Świetnie. Byłbym naprawdę zły, gdybyś nagle wziął na siebie pieprzoną odpowiedzialność za wszystkie swoje świństwa.

Zgodnie z jego przewidywaniami nieśmiertelny zawrzał.

- Nie waż się wspominać o mojej przeszłości! - ryknął i wyciągnął rękę, a wówczas z kotłującej się wokół niego ciemności wyłoniła się włócznia z połyskującym groźnie metalowym grotem, czarnym jak bezksiężycowe niebo. Potem Kalona sfrunął z nieba.

Zamiast wylądować przed Starkiem, krążył wokół niego, uderzając skrzydłami w ziemię, która zatrzęsała się, a potem zaczęła osuwać, tworząc dziurę pod stopami wojownika.

Spadł w przepaść i uderzył o podłoże z taką siłą, że zaparło mu dech, a w oczach pociemniało. Usiłował wstać, słysząc wokół siebie wibrujący chichot.

- Mały słaby chłopiec usiłuje ze mną igrać. To nawet nie jest zabawne - zadrwił Kalona.

„Jest jeszcze bardziej arogancki, niż ja kiedykolwiek byłem” - pomyślał Stark.

Myśl o tym, kim był i kogo już pokonał, dodała mu sił. Zdołał odetchnąć i odzyskał wzrok na tyle, że dostrzegł jaskrawy błysk przesywający dzielącą go od Kalony ciemność. W następnej sekundzie claymore strażnika tkwił wbity w ziemię obok niego.

Stark chwycił mocno rękojeść i natychmiast poczuł ciepło i pulsowanie miecza zsynchronizowane z biciem jego serca.

Spojrzał na Kalonę i ujrzał zdumienie w jego bursztynowych oczach.

- Mówiłem ci, że nie jestem już chłopcem. - Bez wahania ruszył przed siebie, dzierżąc miecz oburącz, całkowicie skoncentrowany na regularnych liniach obrysowujących ciało nieśmiertelnego.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

### *Zoey*

Kiedy Kalona zmaterializował się ponad Starkiem, przeżyłam ogromny wstrząs. Jego widok przypomniiał mi o wszystkim, co się wydarzyło w ostatnich chwilach ostatniego dnia, zanim śmierć, rozpacz i poczucie winy zgruchotały mój świat. Gdy już całkowicie wyłonił się z ciemności, spojrzał na mnie swoimi bursztynowymi oczyma, a ja zamarłam na widok malującego się w nich smutku, wspominając moment, w którym zdawało mi się, że dostrzegam w spojrzeniu nieśmiertelnego człowieczeństwo, życzliwość, a nawet miłość.

Jakże się myliłam.

W wyniku mojej pomyłki zginął Heath.

Stark tak długo podjudzał Kalonę, aż w końcu skrzydlaty przeniósł na niego wzrok.

- O bogini, nie! ^jęknęłam. - Proszę, każ mu się uciszyć. Każ mu przybiec z powrotem do mnie.

Stark jednak najwyraźniej dobrze się bawił. Nie miał zamiaru się zamknąć ani uciekać. Z przerażeniem patrzyłam, jak nieśmiertelny przywołuje z nieba włócznie i wyrzyna skrzydłami dziurę w ziemi, a Stark wpada w nią i znika w czeluści.

Wtedy uświadomiłam sobie, że i on zaraz zginie z mojego powodu.

„Nie!” - wyrwał się z moich trzewi bezgłośny krzyk. Czułam się pusta i pozbawiona wszelkiej nadziei. Nie potrafiłam ustać w miejscu - musiałam biec, być w ruchu, uciekać przed tym, co się tu działo.

Nie mogłam tego znieść. Zostało mnie zbyt mało, bym mogła stawić temu czoło.

Wiedziałam jednak, że jeśli nic nie zrobię, Stark zginie.

- Nie. - Tym razem nie był to milczący widmowy krzyk, lecz mój głos zupełnie odmienny od okropnego skomlenia, które ostatnio z siebie wydawałam. - Stark nie może zginąć. - Rozkoszując się swojskim smakiem tych ust na języku i ich brzmieniem w uszach, wyszłam z gaju i podeszłam do czarnej dziury, w której zniknął mój wojownik.

Kiedy nad nią stanęłam, ujrzałam Starka i Kalonę stojących twarzami do siebie pośrodku rozpadliny. Stark trzymał w obu dłoniach lśniący miecz, a Kalona dzierżył swoją czarną włócznie.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że to nie żadna rozpadlina, tylko arena. Nieśmiertelny stworzył plac walki otoczony wysokimi śliskimi murami, na które nie można było się wdrapać.

Uwięził Starka. Teraz wojownik nie mógł już uciec, nawet gdyby postanowił mnie posłuchać. Równie niemożliwe wydawało się jego zwycięstwo.



A Kalona z pewnością o niczym nie marzył bardziej niż o pokonaniu Starka. A konkretnie o jego zabiciu.

Znów ogarnęła mnie nerwowa ruchliwość, której nie potrafiłam się oprzeć. Zmuszałam się jednak do chodzenia wokół areny, by nie tracić walczących z oczu. Ku mojemu niedowierzaniu to Stark zaatakował pierwszy.

Kalona z okrutnym śmiechem machnął włócznią, parując cios miecza, a potem ruchem tak szybkim, że Stark nie miał szans zareagować, z pełną szyderczej pogardy furią uderzył go otwartą dłonią w twarz. Wojownik nie zdołał wyhamować i siłą własnego ciosu zatoczył się do przodu, mijając nieśmiertelnego i padając na ziemię obok niego z rękami na uszach, jakby chciał w ten sposób uciszyć ból głowy.

- Claymore strażnika! Rozśmieszyłeś mnie. Naprawdę uważasz, że możesz im dorównać? - zapytał Kalona, gdy chłopak wstał i ponownie odwrócił się ku niemu z mieczem w dłoniach.

Krew ciekła mu z uszu, nosa i ust, tworząc na brodzie i szyi szkarłatne strużki.

- Nie uważam się za strażnika, lecz jestem nim.

- To niemożliwe. Znam twoją przeszłość, chłopcze. Widziałem, jak się bratasz z ciemnością. Powiedz im o tym, a zobaczymy, czy nadal będą cię chcieli.

- Jediną osobą, która może mianować mnie strażnikiem lub odebrać mi to miano, jest moja królowa, która doskonale zna mnie i moją przeszłość.

Patrzyłam, jak Stark ponownie naciera, a Kalona z drwiącym rechem blokuje ostrze włócznią. Tym razem uderzył mojego wojownika pięścią, łamiąc mu nos i zakrwawionego przewracając na plecy.

Wstrzymałam oddech, bezradnie czekając na ostateczny cios.

Nieśmiertelny jednak tylko patrzył ze śmiechem, jak Stark z trudem podnosi się z ziemi.

- Zoey nie jest żadną królową. Nie jest na to dość silna. To tylko słaba dziewczyna, która dała się zdruzgotać śmierci jednego ludzkiego chłopaka.

- Mylisz się. Nie jest słaba, lecz wrażliwa. A ten ludzki chłopak? Między innymi ze względu na niego tu przybyłem. Muszę odebrać dług, który zaciągnąłeś, zabijając go.

- Durniu! Jedyne Zoey mogłaby go odebrać.

I wtedy, jakby Kalona wziął włócznię i przeszył nią mgiełkę winy otaczającą mnie od chwili, kiedy na moich oczach skręcił Heathowi kark, wszystko wokół stało się dla mnie bardzo wyraźne.

Być może nie uważałam siebie za królową, a czasem zdawałam się sobie po prostu nikim, ale Stark we mnie wierzył. Podobnie jak Heath i Stevie Rae. A nawet Afrodyta.

Kalona zaś, jak by to powiedziała Stevie, był jednym wielkim głupim cymem.

Troska o innych nie czyniła mnie słabą. Wszystko zależało od wyborów, których dokonywałam w wyniku tej troski.

Raz pozwoliłam, by miłość mnie zdruzgotała. Teraz - patrząc, jak Kalona bawi się moim wojownikiem, moim strażnikiem - postanowiłam, że uzdrowi mnie honor.

Podjęłam ostateczną decyzję.

Odwrociłam się plecami do areny i szybko podeszłam do brzegu boskiego gaju. Tłumiąc potrzebę chodzenia, która zmuszała mnie do ciągłego, lecz bezcelowego ruchu, zatrzymałam się, rozpostarłam ramiona i skoncentrowałam się w pierwszej kolejności na ostatnim z duchów, które ze mną rozmawiały.

- Brigid! Chcę odzyskać swoją siłę!

Przedemną zmaterializowała się ruda piękność. Wyglądała niczym sama bogini, ognista i wysoka, przepełniona mocą i pewnością, której mnie brakowało.

- Nie - poprawiłam się na głos. - To moja moc i moja pewność. Po prostu na pewien czas je utraciłam.

- Gotowa, by je przyjąć z powrotem? - zapytała, spoglądając na mnie znajomymi oczami.

- Gotowa.

- Czas najwyższy. - Podeszła i otoczyła mnie ramionami, biorąc w silne, a zarazem czułe objęcia. Odwzajemniłam uścisk, akceptując ją, a wówczas ona rozplynęła się, wypełniając mnie ogniem siły. Siły w czystej postaci.

- Jedną z głowy - mruknęłam. - Czas na kolejną.

Znow rozłożyłam ręce. Tym razem stałam mocno na ziemi, a pragnienie poruszania się, szukania i ucieczki przechodziło przeze mnie i odpływało w dal niegroźne jak letni deszczyk.

- Chcę odzyskać radość!

Dziewięcioletnia Zoey nie zmaterializowała się w powietrzu, lecz przybiegła z głębi gaju i rozchichotana rzuciła mi się w ramiona. Schwyciłam ją, a ona zawołała „Juhuuuu!” i rozplynęła się w mojej duszy.

Ze śmiechem rozpostarłam ramiona po raz trzeci. Radość i siła pozwoliły mi przysparzyć ostatni fragment zgruchotanej duszy - współczucie.

- A-yo, ciebie też potrzebuję! - zawołałam w gąszcz.

Czirokeska dziewczyna z wdziękiem wyłoniła się zza rzędu drzew.

- *A-de-lv*, siostrze, cieszę się, że wołasz mnie po imieniu.

- Cóż, mogę szczerze powiedzieć, że się cieszę, iż możesz być częścią mnie. Akceptuję cię, A-yo. Całkowicie. Wrócisz do mnie?

- Cały czas tu byłam. Wystarczyło poprosić.

Podeszłyśmy do siebie. Przytuliłam ją mocno, wchłaniając w siebie, a jednocześnie odzyskując swoje dawne ja.

- No to teraz zobaczymy, kto tu jest słabą dziewczynką - mruknęłam, wracając pospiesznie na brzeg areny.

Spojrzałam w dół. Na widok klęczącego Starka ścisnęło mi się serce. Wyglądał potwornie. Wargi miał spuchnięte i popękane w kilku miejscach, nos roztrzaskany, wykrzywiony i zakrwawiony; lewe ramię było zwichnięte i zmasakrowane, a ręka zwisała bezwładnie. Cudowny miecz leżał na ziemi poza jego zasięgiem. Kości stopy i rzepka jednej nogi były strzaskane, ale wojownik wciąż się nie poddawał, bezskutecznie usiłując się doczołgać do miecza.

Kalona balansował włócznią, przyglądając się Starkowi.

- Połamany strażnik potrzaskanej dziewczyny. Teraz bardziej do siebie pasujecie - powiedział.

Strasznie mnie to rozdrażniło.

- Nie masz pojęcia, jak mnie zmęczyły twoje brednie, Kalono - odezwałam się.

Obaj gwałtownie podnieśli głowy. Nie odwróciłam wzroku od nieśmiertelnego, ale czułam, że Stark się uśmiecha.

- Wracaj do gaju, Zoey - rzekł Kalona. - Tam ci będzie lepiej.

- Wiesz, czego naprawdę nienawidzę? Facetów, którzy próbują mi mówić, co mam robić.

- Tak właśnie mówił Heath, moja królowo - przytaknął Stark tak wesoło, że w końcu musiałam na niego spojrzeć.

W jego udręczonych oczach ujrzałam taką dumę ze mnie, że do oczu napływały mi łzy.

- Mój wojowniku... - szepnęłam.

Ten jeden moment, ten drobny błąd wystarczył Kalonie.

- Powinnaś była tam wrócić - rzekł nieśmiertelny.

Zobaczyłam, że Starkowi rozszerzają się oczy. Natychmiast przeniosłam wzrok na Kalonę i ujrzałam, jak obraca się z ręką uniesioną niczym starożytny bóg wojny. Wyrzucił włócznię z taką prędkością i siłą, że niemożliwe było...

- Nie! - wrzasnęłam. - Powietrze, do mnie!

Zeskoczyłam na arenę, ufając, że żywioł mnie ochroni, ale gdy poczułam jego dotyk, wiedziałam, że jest za późno.

Włócznia ugodziła Starka w sam środek klatki piersiowej i przeszła na wylot, wbiła się w żebra aż po kolce w trzonku i odrzuciła chłopaka do tyłu z taką siłą, że przyszpiliła go do tylnej ściany areny.

Wylądowałam i podbiegłam do niego. Spojrzałam mu w oczy. Wciąż żył!

- Nie umieraj! Nie umieraj! Wyleczę cię. Muszę cię wyleczyć.

Ku mojemu zdumieniu uśmiechnął się.

- Pewnie. Moja królowa nie pozwoli, żeby coś znowu ją zniszczyło. Wyegzekwuj dług i wracamy do domu.

Zamknął oczy i z uśmiechem na zmasakrowanych ustach zadrżał, po czym znieruchomiał z krwawą pianą wokół tkwiącego w piersi drzewca. To koniec. Straciłam wojownika.

Tym razem, stawiając czoło zabójcy kolejnej ukochanej osoby, nie pozwoliłam, by zawładnęły mną przerażenie i ból. Trzymałam ducha przy sobie

i zamiast ciskać nim w Kalonę, czerpałam z niego wiedzę i pozwalałam się prowadzić intuicji, a nie rozpaczy i wyrzutom sumienia.

Nieśmiertelny pokręcił głową.

- Wolałbym, żeby to mogło się skończyć inaczej. Gdybyś mnie posłuchała i zaakceptowała, tak by się stało - rzekł.

- Miło, że się ze mną zgadzasz, bo to się skończy inaczej - oznajmiłam. Nim ruszyłam w jego kierunku, podniosłam miecz Starka. Był cięższy, niż się spodziewałam, ale wciąż rozgrzany i właśnie jego ciepło pomogło mi znaleźć w sobie siłę, by go podnieść.

Kalona uśmiechnął się niemal życzliwie.

- Nie będę z tobą walczył. Potraktuj to jako prezent. - Rozpostarł majestatyczne skrzydła. - Żegnaj, Zoey. Będę za tobą tęsknił i często wracał do ciebie myślami.

- Powietrze, nie wypuszczaj go. - Rzuciłam w niego żywołem, który bez trudu pochwycił ogromne skrzydła i potężnym podmuchem przygwoździł nieśmiertelnego do ściany areny niczym odbicie Starka w krzywym zwierciadle.

Podeszłam do niego i bez wahania wbiłam mu miecz w pierś.

- To za Starka. Wiem, że cię nie zabije, ale mam z tego cholerną przyjemność - powiedziałam. - I wiem, że on to doceni.

Oczy zabłyśły mu złowrogo.

- Nie możesz mnie tu trzymać wiecznie. A kiedy w końcu mnie wypuścisz, zemszczę się.

- Ależ mylisz się. Po raz kolejny. W Zaświatach panują inne prawa, więc prawdopodobnie mogłabym cię tu trzymać wiecznie, gdybym chciała zostać i zmienić się w szalonego anioła zemsty, ale ponieważ niedawno byłam bliska szaleństwa, nie mam najmniejszej ochoty tego powtarzać. Poza tym chcę już wrócić do domu. Powiem ci więc, co zrobimy. Ty spłacisz dług zaciągnięty w chwili zabicia mojego partnera, Heatha Lucka, oddając mi Starka. Potem oboje, Stark i ja, wrócimy do domu. Nawiasem mówiąc, nie interesuje mnie, dokąd ty się udasz.

- Odbiło ci. Nie potrafię ożywić trupa.

- W tym przypadku chyba potrafisz. Ciało Starka jest bezpieczne w prawdziwym świecie, podobnie jak moje. Znajdujemy się w Zaświatach, czyli w świecie duchów, a ty jesteś nieśmiertelny, co oznacza, że także składasz się głównie z ducha. Podzielisz się więc jego odrobiną z moim strażnikiem i oddasz mi go. Teraz. Bo jesteś mi to winien. Zrozumiano? Żądam natychmiastowej spłaty długu.

- Nie masz mocy, która mogłaby mnie do tego zmusić - rzekł Kalona.

- *Ona nie, ale ja tak.*

Na arenie osiadły wypowiedziane przez niewidzialną istotę słowa. Natychmiast rozpoznałam głos Nyks i rozglądałam się wyczekująco, lecz to on pierwszy ją zobaczył. Gapił się przez moje ramię z zupełnie zmienioną twarzą. Chwilę zajęło mi rozpoznanie malujących się na niej uczuć: było tam pożądanie,

zaborczość, a nawet to, co on nazywał miłością. Przez chwilę sądziłam, że patrzy w ten sposób na mnie, myliłam się jednak. Nie mnie kochał Kalona, tylko boginię Nyks.

Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam ją obok ciała Starka. Jedną rękę położyła łagodnie na głowie wojownika.

- Nyks! - zdławionym, a zarazem zdumiewająco młodzieńczym głosem wykrzyknął Kalona. - Moja bogini!

Nyks uniosła wzrok znad ciała Starka. Nie spojrzała jednak na nieśmiertelnego. Spojrzała na mnie. I uśmiechnęła się, wypełniając mnie niewysłowioną radością.

- Bądź pozdrowiona, Zoey.

Pokłoniłam jej się z szerokim uśmiechem.

- Bądź pozdrowiona, Nyks.

- Dobrze się spisałaś, córko. Znow jestem z ciebie dumna.

- Zbyt długo to trwało - odparłam. - Przepraszam.

Jej spojrzenie wciąż promieniało życzliwością.

- Podobnie jak wiele spośród moich najsilniejszych córek, to ty sama powinnaś sobie wybaczyć. Nie musisz prosić o to mnie.

- A co ze mną? - zapytał Kalona. - Czy kiedykolwiek mi przebaczysz?

Bogini spojrzała na niego. Oczy miała smutne, lecz usta srogie.

- Jeśli kiedykolwiek zasłużysz na przebaczenie - powiedziała wyzutym z emocji głosem - możesz mnie o nie poprosić. Nie wcześniej jednak. - Uniosła dłoń z głowy Starka i pstryknęła palcami na Kalonę. Claymore zniknął z jego piersi, wiatr osłabł i nieśmiertelny odpadł od ściany. - Spłacisz mojej córce zaciągnięty wobec niej dług, a potem wrócisz do świata i czekających cię tam konsekwencji, wiedząc, mój upadły wojownik, że zarówno twoje ciało, jak i dusza nie mają wstępu do mego królestwa. - Nie zaszczycając go kolejnym spojrzeniem, bogini odwróciła się doń plecami i pochyliła nad Starkiem, by lekko ucałować go w usta. Wówczas powietrze wokół niej zafalowało, zamigotało i Nyks zniknęła.

Kiedy Kalona wstał, cofnęłam się szybko, unosząc ręce, by znow porazić go powietrzem. Gdy jednak nasze oczy się spotkały, zauważyłam, że nieśmiertelny łka cicho.

- Wypełnię jej wolę. Z wyjątkiem jednego jedyne go razu zawsze robiłem to, czego sobie życzyła - powiedział.

Ruszyłam za nim w stronę ciała Starka.

- Oddaję ci ostatni słodki oddech życia. Ożyj i przyjmij ten drobny okruch mojej nieśmiertelności w zamian za ludzkie życie, które odebrałem. - Po czym, ku mojemu nieskończonemu zdumieniu, Kalona pochylił się i naśladując boginię, ucałował Starka.

Wojownik wzdrygnął się, stęknął i wciągnął długi oddech.

Nim zdołałam go powstrzymać, Kalona położył mu jedną rękę na ramieniu, a drugą wyrwał z ciała włócznie. Stark krzyknął rozdzierająco i osunął się na ziemię.

- Ty idioto! - Podbiegłam do niego, przyklekłam i położyłam jego głowę na swoich kolanach. Oddychał ciężko, chrapliwie. Ale oddychał. Podniosłam wzrok na Kalonę.

- Nic dziwnego, że bogini nie chce ci przebaczyć. Jesteś okrutny, bezduszny i po prostu zły.

- Kiedy wrócisz do świata, trzymaj się ode mnie z dala. Tam Nyks nie przybiegnie ci na pomoc, bo będziesz poza jej zasięgiem - rzekł nieśmiertelny.

- Im dalej od ciebie, tym lepiej.

Rozpostarł skrzydła, lecz nim zdążył się wznieść w niebo, z czarnych ścian areny i równie czarnej ziemi pod jego stopami wystrzeliły kleiste ostre macki ciemności, smagając go i odcinając fragment po fragmencie, aż w końcu pozostała jedynie szarpiąca się czerń, krew i bursztynowe oczy. Wtedy macki sięgnęły tych oczu i wbiły się w nie. Krzyknęłam z przerażenia, patrząc, jak wrywają ze środka coś tak jasnego i lśniącego, że musiałam zacisnąć powieki, by mnie nie oślepiło. Gdy je otworzyłam, nie było już ani jego ciała, ani areny, a Stark i ja znajdowaliśmy się w gaju.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

### *Zoey*

- Zoey? Co... co się stało? - Stark usiłował jakoś poskładać swoje zmaltretowane ciało.

- Ciii, wszystko w porządku. Kalony już nie ma. Jesteśmy bezpieczni.

Odnalazł mnie wzrokiem i natychmiast mu ulżyło. Osunął się w moje ramiona i pozwolił mi tulić swoją głowę.

- To znowu ty. Nie jesteś już rozbita.

- Tak. To ja. - Dotknęłam jego policzka w jednym z nielicznych miejsc, które nie były zakrwawione, połamane ani posiniaczone. - Tym razem to ty wyglądasz na lekko potrzaskanego.

- Nie, Zo. Skoro ty jesteś zdrowa, to i mnie nic nie będzie. - Zakaszłał, a z otwartej rany w jego piersi popłynęła krew. Zamknął oczy, wykrzywiając twarz z bólu.

„O bogini! - pomyślałam - jak on strasznie cierpi”.

- Świetnie - oznajmiłam, starając się, by zabrzmiało to jakby nigdy nic - ale nie wyglądasz za dobrze. Może byśmy tak wrócili do swoich ciał? Oba na nas czekają, prawda?

Wstrząsnęła nim kolejna konwulsja. Oddychał płytko i z trudem, lecz rozwarł powieki i spojrzał mi w oczy.

- Ty wróć. Ja trochę odpocznę, a potem cię dogonię.

Ogarnęła mnie panika.

- Daj spokój. Nie zostawię cię tu. Po prostu daj mi znać, gdy będziesz gotowy.

Zamrugał kilkakrotnie, po czym wykrzywił usta w namiastce łobuzerskiego uśmiešku.

- Nie za bardzo wiem, jak wrócić.

- Stark, bądź poważny! Jak możesz nie wiedzieć?

- Poważnie. Nie wiem.

- A jak się tu dostałeś?

Znów wykrzywił wargi.

- Przez ból.

Prychnęłam.

- W takim razie powrót powinien być łatwy, bo teraz też trochę cię boli.

- Owszem, ale na ziemi miałem strażnika, którzy utrzymywał mnie na granicy życia i śmierci. Nie mam pojęcia, jak mu przekazać, że czas mnie obudzić. A ty jak zamierzasz wrócić?

Nawet nie musiałam się nad tym zastanawiać. Odpowiedź przyszła mi równie naturalnie jak oddychanie.

- Podążę za swoim duchem do ciała. Moje miejsce jest tam, w prawdziwym świecie.

- Zrób to. - Musiał urwać, bo zalała go kolejna fala bólu. - Ja pójdę za tobą, jak trochę odpocznę.

- Nie. Nie masz daru komunikacji z duchem. Nie uda ci się samemu.

- Cieszę się, że zachowałeś swoje żywy. Kiedy zniknęły twoje tatuaże, zastanawiałem się, czy i mocy nie utraciłeś.

- Zniknęły? - Obejrzałam ze wszystkich stron swoją dłoń i rzeczywiście, nie znalazłam ani śladu filigranowych szafirowych wzorów. Potem zerknęłam na klatkę piersiową. Długa różowa blizna wciąż tam była, ale tatuaży ani śladu. - Wszystkie? Te na twarzy też?

- Został tylko półksiężyc - odparł Stark i znów skrzywił się z bólu. Wyczerpany do granic, zamknął oczy. - Idź za duchem. Ja coś wykombinuję, gdy będę mniej zmęczony. Nie bój się, nie opuszczę cię.

- Nie ma mowy. Nie zamierzam stracić kolejnego chłopaka, który obiecuje wrócić w jakiejś abstrakcyjnej przyszłości. Nigdy więcej nie dam się w to wrobić.

Otworzył oczy.

- W takim razie powiedz mi, co robić, moja królowo, a ja cię posłucham.

Zignorowałam te brednie o królowej. Owszem, już wcześniej mnie tak nazwał, również w rozmowie z Kaloną. Zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie stało się po tym, jak nieśmiertelny przywalił mu w głowę. Teraz ważniejsze było poinstruowanie go, co ma robić... No właśnie, co?

Spojrzałam na niego. Był w strasznym stanie - w gorszym nawet niż wtedy, gdy przyjął na pierś przeznaczoną dla mnie strzałę, która tak go poparzyła, że omal nie zginął.

Wtedy jednak doszedł do siebie właściwie sam. Musiał, bo ja byłam zbyt słaba, by komukolwiek pomagać.

Wzięłam głęboki oddech, przypominając sobie kazanie, które palnął mi Darius, gdy chciałam napić Starka własną krwią, by szybciej doszedł do siebie. Mówił, że między wojownikiem a jego kapłanką istnieje tak silna więź, iż niekiedy wojownicy wyczuwają emocje kapłanek. Spojrzałam na posiniaczoną twarz Starka. On bez wątplenia to potrafił. W takich chwilach strażnik mógł przyjmować od kapłanki coś więcej niż krew: energię.

I właśnie tego potrzebował teraz Stark: energii, by wyzdrowieć i powrócić do ciała.

Tym razem nie mógł dojść do siebie o własnych siłach, lecz ja, dzięki bogini, byłam już cała i w pełni władz umysłowych.

- Hej - powiedziałam - wiem, co masz robić!

Otworzył oczy. Nie mogłam znieść malującego się w nich bólu.

- Mów. Jeśli tylko zdołam, zrobię to.

Uśmiechnęłam się.

- Ugryź mnie.



Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, a potem Stark mimo oczywistego bólu uśmiechnął się kpiarsko.

- Teraz mi to proponujesz? Kiedy jestem kompletnie zmasakrowany? Super.

- Nie zgrywaj amanta. Proponuję ci właśnie dlatego, że jesteś zmasakrowany.

- Już ja bym cię nakłonił do zmiany zdania, gdybym był w lepszym stanie. Pokręciłam głową i przewróciłam oczami.

- Gdybyś był w lepszym stanie, dostałbyś w pysk. - Po tych słowach z najwyższą ostrożnością zsunęłam go z moich kolan. Usiłował stłumić jęk. - Przepraszam! Tak mi przykro, że sprawiam ci ból. - Położyłam się obok niego i objęłam go, by poprzez dotyk wziąć na siebie jak najwięcej jego udręki.

- Nie ma sprawy - wydyszał. - Pomóż mi tylko przewrócić się na dobrą stronę.

„Na dobrą stronę”? Nie wiedziałam, czy mam się roześmiać, czy rozplakać. Pomogłam mu przewrócić się na bok po stronie zdrowego ramienia i położyłam się twarzą do niego. Potem przysunęłam się bliżej. Pomyślałam, że chyba powinnam zranić się w ramię, żeby mógł łatwiej pić, nie musząc wykonywać dodatkowych ruchów.

- Nie. - Usiłował wyciągnąć do mnie rękę. - Nie tak. Zbliź się, Zo. Ból nie ma znaczenia. - Umilkł, po chwili zaś dodał: - Chyba że nie możesz się zbliżyć ze względu na moją krew. Budzi w tobie pragnienie?

- Krew? - Gdy zrozumiałam sens jego słów, aż zamrugałam ze zdumienia. - Nawet jej nie zauważyłam. Znacząco zauważyłam, że jesteś cały zakrwawiony - kontynuowałam na widok politowania na jego twarzy. - Ale nie poczułam zapachu. - W zamyśleniu dotknęłam krwi koniuszkiem palca. - Moja żądza krwi wcale się nie włącza.

- To pewnie dlatego, że są tu tylko nasze duchy - rzekł Stark.

- W takim razie zastanawiam się, czy to zadziała... Mam na myśli wzmocnienie cię moją krwią.

Spojrzał mi w oczy.

- Zadziała. Łączy nas coś więcej niż fizyczne przyciąganie. Jesteśmy złączeni duchem.

- No dobrze. Miejmy taką nadzieję - mruknęłam z nagłym zdenerwowaniem. Dotychczas jedynym facetem, którego połam swoją krwią, był Heath. Mój Heath. Szybko uciekłam od myśli o nim i od porównań między nim a Starkiem, ale nie zdołałam zaprzeczyć, że picie przez mężczyznę mojej krwi posiada wymiar seksualny. To było przyjemne. Bardzo przyjemne. Obdarzono nas taką zdolnością i nie było w tym nic zdrożnego.

Tyle że na myśl o tym rozboleł mnie żołądek.

- Hej, nie przejmuj się, po prostu przybliź tu szyję.

Zlustrowałam wzrokiem pokiereszowaną twarz i pogruchotane ciało Starka.

- Przecież widzę, że się denerwujesz. Owszem, jestem trochę potrząskany, ale co z tego? - Spoważniał. - A może to nie tylko nerwy? Czyżbyś się rozmyśliła?

- Nie - odparłam szybko. - Nigdy się nie rozmyślę, jeśli chodzi o ciebie, Stark.

Z najwyższą ostrożnością przysunęłam się do niego, przyłożyłam szyję do jego ust, odgarnęłam włosy i przywarłam do niego, napinając mięśnie w oczekiwaniu na ugryzienie.

Stark jednak mnie zaskoczył. Zamiast ugryźć, łagodnie ucałował mnie w szyję.

- Rozluźnij się, moja królowo.

Jego oddech wzbudził we mnie dreszcz. Ile to już czasu minęło, odkąd Stark ostatnio mnie dotykał? W prawdziwym świecie musiało upłynąć zaledwie kilka dni, ale tu, w Zaświatach, miałam wrażenie, że przez całe wieki pozostawałam nietknięta i nietykalna.

Znów mnie pocałował. Przesunął czubkiem języka po mojej szyi i jęknął - tym razem chyba nie z bólu. Nie wahając się dłużej, leciutko przegryzł skórę. Poczułam szczypanie, lecz gdy tylko wargi wojownika przyłgnęły do niewielkiej ranki, ból zastąpiła tak wielka rozkosz, że teraz to z moich ust wyrwał się jęk.

Miałam ochotę go objąć i przywrzeć do niego z całych sił, zmuszałam się jednak do bezruchu, by nie sprawiać mu bólu.

Zbyt szybko oderwał wargi.

- Wiesz - powiedział silniejszym już głosem - kiedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że należę do ciebie?

Jego ciepły oddech po raz kolejny przyprawił mnie o dreszcz.

- Kiedy? - wydyszałam.

- Pamiętasz, jak na mnie naskoczyłaś w szpitalu Domu Nocy przed moją Przemianą?

- Pamiętam. - Jak mogłabym zapomnieć? Byłam wtedy naga i osłaniałam przed nim Dariusa, grożąc, że przywołam żywioły, żeby skopały mu tyłek.

Znów poczułam na skórze dotyk jego warg.

- Wyglądałaś jak wojownicza królowa przepełniona gniewem bogini. Chyba właśnie wtedy zrozumiałem, że zawsze będę twój, bo zdołałaś do mnie dotrzeć mimo tej całej ciemności.

- Stark - szepnęłam oszołomiona własnymi uczuciami do niego - tym razem to ty do mnie dotarłeś. Dziękuję. Dziękuję, że po mnie przyszedłeś.

Jego usta bez słowa zamknęły się na mojej szyi. Tym razem wgrzyzł się głębiej i zaczął naprawdę pić.

Rozkosz znów zastąpiła początkowy ból. Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na cudownym żarze ogarniającym moje ciało. Nie potrafiłam się już powstrzymać przed dotykiem Starka - objęłam go w

pasie, by czuć pod palcami napięte mięśnie tuż pod skórą pleców. Chciałam być bliżej niego. Chciałam więcej.

Odsunął wargi od mojej szyi i jakoś zdołał się podźwignąć. Oczy płonęły mu namiętnością. Dyszał ciężko.

- Zoey, czy dasz mi coś więcej niż tylko swoją krew? Czy chcesz, abym był twoim strażnikiem?

Przyjrzałam mu się dokładniej i zobaczyłam w jego oczach coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. Zazdrosny i wściekły chłopak, który opuścił mnie w Wenecji, zniknął, ustępując miejsca mężczyźnie będącemu kimś więcej niż wampirem czy nawet wojownikiem. Choć leżał zmasakrowany w moich ramionach, czułam w nim siłę, honor i odpowiedzialność.

- Strażnikiem? - zapytałam w zamyśleniu, dotykając jego twarzy. - To w niego się przemieniłeś?

Ani na moment nie odwrócił wzroku.

- Tak, o ile akceptujesz mnie w tej roli. Bez zgody swojej królowej strażnik nie istnieje.

- Przecież ja nie jestem żadną królową.

Na jego popękanych wargach zagościł uśmiezek.

- Jesteś moją królową i niech szlag trafi każdego, kto twierdzi inaczej.

Uśmiechnęłam się.

- Przyjęłam już twoje ślubowanie wojownika.

Natychmiast spoważniał.

- To coś innego, Zoey. Coś więcej. To może zmienić nasz związek.

Raz jeszcze dotknęłam jego twarzy. Nie bardzo rozumiałam, o co prosi, ale wiedziałam, że potrzebuje ode mnie czegoś więcej i że to, co teraz powiem lub zrobię, będzie miało wpływ na nasze dalsze życie. *Bogini, podpowiedz mi właściwe słowa* - pomodliłam się w duchu.

- Jamesie Stark, od tej pory akceptuję cię jako swego strażnika wraz ze wszystkim, co się z tym wiąże.

Odwrócił głowę i ucałował wewnątrz mojej dłoni.

- W takim razie oddaję w twoje ręce swój honor i życie. Na zawsze, Zoey, mój Asie, *mo bann ri*, moja królowo.

Jego przysięga fizycznie mną wstrząsnęła. Miał rację: to było coś innego niż ślubowanie wojownika. Tym razem odniosłam wrażenie, że Stark podarował mi część siebie, i wiedziałam, że beze mnie nigdy nie będzie cały. Związana z tym odpowiedzialność przestraszyła mnie niemal tak bardzo, jak wzmocniła. Ponownie przyciągnęłam jego usta do swojej szyi.

- Weź więcej, Stark. Pozwól mi cię wyleczyć.

Jęknął i przywarł do mojej skóry, gryząc mocniej - i wtedy stało się coś niewiarygodnego. Najpierw przepłynęła przeze mnie specyficzna moc powietrza, która następnie przeniknęła do ciała mojego strażnika, aż zadrżał z rozkoszy wypełniony skłębioną energią żywiołu. W tym samym momencie poczułam na czole i policzkach znajomy słodki ból, a pod powiekami

zamkniętych oczu przemknął mi obraz wiwatującego Damiena. Krzyknęłam zdumiona. Nie musiałam pytać. Nie potrzebowałam lustra. Wiedziałam, że powracają moje tatuaże.

W ślad za powietrzem pojawił się ogień. Rozgrzał mnie i wypełnił Starka, dodając mu sił do tego stopnia, że strażnik zdołał unieść rękę i przyciągnąć mnie bliżej, by pić jeszcze bardziej łapczywie. Palący ból pleców oznajmił mi powrót kolejnego tatuażu i ujrzałam roześmianą, wykonującą swój dziki taniec radości Shaunee.

Potem obmyła nas woda. Przełała się przez nas, popychając dalej ku pełnemu kręgowi, a ja bez otwierania oczu rozkoszowałam się cudem, który oboje przeżywaliśmy, i drżałam z zachwytu, czując, jak pojawia się tatuaż wokół talii, a za nim rozbrzmiewa śmiech i krzyk Erin:

- Hurrra!!! Zo wraca!

Dalej była ziemia. Miałam wrażenie, że staliśmy się częścią gaju. Poczuliśmy żyzność jego gleby, moc drzemiącą w korzeniach, podłożu i mchu. Stark nagle znalazł się nade mną i przygarnął mnie mocno, a ja wiedziałam, że rany już go nie bolą. Czułam to co on, dzieliłam jego radość, rozkosz i zachwyty. Dotyk bogini palił mi dłonie, przywracając czwarty tatuaż. Co ciekawe, nie zobaczyłam Stevie Rae, poczułam tylko jej radość docierającą z bardzo daleka, jakby ktoś odsunął ją poza mój zasięg.

Na końcu zelektryzował nas duch. Tym razem nie tyle czułam to co Stark, ile zjednoczyłam się z nim - nie cieleśnie, lecz duchowo. Wraz z powrotem ostatniego tatuażu nasze dusze promieniały światłem jaśniejszym od wszelkiej fizycznej namiętności.

Stark z okrzykiem oderwał wargi od mojej skóry i przytulił do niej twarz. Drżał na całym ciele i dyszał ciężko, jakby właśnie przebiegł maraton. Dotknął językiem rany na mojej szyi, pragnąc ją zamknąć i zaleczyć. Uniosłam rękę, by pogłaskać go po włosach, i ze zdumieniem spostrzegłam, że pot i krew całkowicie zniknęły.

Wtedy mój strażnik się podniósł i walcząc o uspokojenie oddechu, spojrzał na mnie z góry.

Na boginię! Wyglądał olśniewająco. Jeszcze przed chwilą był śmiertelnie ranny, połamany, pokrwawiony i tak słaby, że z trudem się poruszał. Teraz promieniał energią, zdrowiem i siłą.

- To była najbardziej niesamowita rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła - rzekł, po czym zrobił wielkie oczy. - Twoje tatuaże! - Z namaszczeniem dotknął mojej twarzy, a ja obróciłam głowę, by mógł prześledzić filigranowe znaki na ramionach i plecach. Potem uniosłam dłoń, by mógł przytknąć swoją do szafirowych symboli w jej wnętrzu.

- Wróciły - powiedziałam. - Żywiły je przyniosły.

Kręcił głową zdumiony.

- Czułem to. Nie wiedziałem, co się dzieje, ale czułem to z tobą. - Znów wziął mnie w ramiona. - Czułem wszystko to co ty, moja królowo.

- Jestem teraz częścią ciebie, mój strażniku - odparłam i pocałowałam go.

Długo się całowaliśmy. Później Stark trzymał mnie w ramionach, dotykając łagodnie, jakby się upewniał, że nie wyparuję.

Nie puścił mnie, gdy płakałam po utracie Heatha. Powtarzał mi, że Heath podjął decyzję, by iść dalej, i że był bardzo dzielny.

Tego ostatniego wcale nie musiał mówić. Wiedziałam, jak dzielny jest Heath, i byłam pewna, że dzięki tej dzielności - a także dzięki miłości do mnie - rozpoznam go, jeśli nasze drogi znów się skrzyżują.

Gdy już się wyplakałam i wyzaliłam, otarłam oczy, a Stark pomógł mi wstać.

- Gotów na powrót do domu? - zapytałam.

- O, tak. „Dom” brzmi świetnie. Ale jak mam tam wrócić, Zo?

Wyszczrzyłam się do niego.

- Ufając mi.

- Ha! W takim razie to będzie fraszka, jak mniemam.

- „Fraszka”? „Jak mniemam”? Skąd ty wytrzasnąłeś tę staroirlandzką gadkę?

- Irlandzką? Nie bądź ignorantką, kobieto! - burknął, a ja zmarszczyłam brwi. Potem Stark roześmiał się dźwięcznie i przytulił mnie. - To szkocki, nie irlandzki. Wkrótce się dowiesz, gdzie się go nauczyłem.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

## *Stevie Rae*

O zachodzie słońca otworzyła oczy i przez moment była kompletnie zdezorientowana. Nie z powodu ciemności - ta była przyjemna. Stevie czuła obecność ziemi, która ją otaczała, kołysała i osłaniała. Obok coś się poruszyło. Spojrzała w tamtym kierunku i dzięki doskonałej zdolności widzenia w mroku zdołała odróżnić jedną czerń od drugiej, dostrzegając zarys ogromnego skrzydła, a następnie ciała.

Ciała kruka.

W mgnieniu oka wszystko wróciło: czerwoni adepci, Dallas i Rephaim. Zawsze Rephaim.

- Zostałeś ze mną na dole?

Otworzył oczy. Ze zdumieniem spostrzegła, że ich jaskrawy szkarłat przeszedł w spokojny rdzawy odcień bliższy barwie bursztynu niż czerwieni.

- Tak. Za dnia jesteś bezbronna.

Jego głos wydał jej się niespokojny, niemal przepraszający, więc odpowiedziała szerokim uśmiechem.

- Dzięki, chociaż to trochę krępujące, że obserwowałeś mnie podczas snu.

- Wcale cię nie obserwowałem!

Powiedział to tak szybko, że ani przez chwilę mu nie wierzyła. Otwierała właśnie usta, by go zapewnić, że nie musi ciągle jej pilnować, choć jest jej bardzo miło, że tym razem to robił, zwłaszcza po tak wyczerpującym dla niej dniu - i właśnie ten moment wybrał jej telefon, by zapisać sygnałem poczty głosowej.

- Strasznie hałasował - poinformował ją Rephaim.

- Cholerka. Mam taki mocny sen, że nic nie słyszę. - Westchnęła i niechętnie podniosła leżący obok niej iPhone.

- Lepiej od razu mieć to z głowy. - Otworzyła komórkę, zauważyła, że bateria jest niemal wyczerpana, i znów westchnęła. Weszła do archiwum połączeń. - Oż kurde. Sześć nieodebranych. Jedno od Lenobii i pięć od Afrodyty. - Z bijącym szybko sercem odsłuchiwała najpierw wiadomość od Lenobii, włączając przedtem głośnik. - Lepiej, żebyś i ty to usłyszał. Pewnie będzie mówić o tobie.

Lenobia jednak nie powiedziała nic w stylu: „Ty taka owaka, spiknęłaś się z Krukiem Prześmiewcą! Zaraz tam przyjdę i złożę ci tyłek!”. Jej głos brzmiał całkiem zwyczajnie.

„Stevie Rae, zadzwoń do mnie, gdy tylko się zbudzisz. Kramisha mówi, że nie wie, gdzie jesteś, ale że jesteś bezpieczna mimo ucieczki Dallasa. Przyjadę po ciebie. - Zawahała się, ściszyła głos i dodała: - Opowiedziała mi też,

co się stało z pozostałymi czerwonymi adeptami. Pomodliłam się do Nyks za ich dusze. Bądź błogosławiona, Stevie Rae”.

Stevie uśmiechnęła się do Rephaima.

- O rany. To miło z jej strony.

- Dallas jeszcze jej nic nie powiedział.

- Najwyraźniej - odparła, poważniejąc, po czym znów przeniosła wzrok na telefon. - Afrodyta dzwoniła pięć razy, ale zostawiła tylko jedną wiadomość. Mam nadzieję, że to nie będzie nic bardzo złego.

Wcisnęła przycisk „play”. Głos Afrodyty był metaliczny i odległy, lecz ani trochę mniej wredny, niż gdyby siedziała obok.

„Ja pierdołę, odbierz wreszcie ten cholerny telefon! Odpoczywasz w swojej trumience czy co? O bogini, oszaleję przez te strefy czasowe. W każdym razie donoszę, że Zo nadal jest roślinką, a Stark daje się kroić na kawałki. To te dobre wieści. Gorsza jest ta, że w mojej najnowszej wizji pojawia się ty, a wraz z tobą ekstraindiański chłopak i najczarniejszy charakter wśród Kruków Prześmiewców, Rephaim. Musimy pogadać, bo mam w tej sprawie bardzo złe przeczucia. Więc weź się, kurwa, w garść, i zadzwoń do mnie! Jak będę spać, wyświadczę ci tę uprzejmość i obudzę się!”

- Czemu mnie nie dziwi, że wyłączyła się, nie mówiąc „cześć” ani nawet „pocałuj mnie w dupę”? - mruknęła Stevie, po czym jakby nie chciała dłużej przebywać w pomieszczeniu, w którym unosiło się echo słów „najczarniejszy charakter wśród Kruków Prześmiewców, Rephaim”, szybko włożyła komórkę do kieszeni i ruszyła po schodach ku wyjściu z piwnicy. Nie musiała się oglądać, żeby wiedzieć, że kruk idzie za nią.

Noc była chłodna, lecz nie lodowata, na granicy mrozu i odwilży. Stevie Rae żałowała wszystkich tych ludzi gnieźdzących się w domach otaczających muzeum i z radością zauważyła, że część z nich ma wreszcie prąd. Jednocześnie poczuła się obserwowana i z wahaniem przystanęła w progu.

- Nikogo tu nie ma. Na razie zajęli się przywracaniem światła w budynkach mieszkalnych, więc na pewno nie przyjdą tutaj, szczególnie w nocy.

Skinęła głową i z ulgą zeszła z werandy, po czym bez konkretnego powodu podeszła do stojącej pośrodku dziedzińca nieczynnej fontanny.

- Twoi ludzie się o mnie dowiedzą- rzekł Rephaim.

- Niektórzy już wiedzą. - Dotknęła czubka fontanny, oderwała sopel lodu i wrzuciła go do basenu.

- Co zrobisz? - Rephaim stanął obok niej i oboje wpatrywali się w tafle wody, jakby chcieli odnaleźć tam odpowiedź.

- Czy nie powinniśmy sobie raczej zadać pytania, co ty zrobisz? - odrzekła w końcu Stevie.

- A co twoim zdaniem powinienem zrobić?

- Rephaimie, nie odpowiadaj pytaniem na pytanie!

Prychnął drwiąco.

- Ty właśnie tak zrobiłaś.

- Daj spokój. Powiedz mi, co zamierzasz zrobić w sprawie... hm... w sprawie nas.

Wpatrywała się w jego zmienione oczy, żałując, że niewiele potrafi z nich wyczytać. Tak długo zwlekała z odpowiedzią, że sądziła, iż w ogóle się jej nie doczeka, i wprost kipiała z frustracji. Musiała wrócić do Domu Nocy. Musiała odkręcić pewne sprawy, zanim Dallas wszystko spieprzy.

- Zamierzam z tobą zostać.

Jego proste, szczere i wypowiedziane jednym ciągiem słowa w pierwszej chwili do niej nie dotarły. Patrzyła na niego pytająco, nie w pełni pojmując, co miał na myśli. A gdy wreszcie to pojęła, poczuła niespodziewany i niechciany przypływ radości.

- Będzie źle - odparła. - Ale ja też chcę, żebyś ze mną został.

- Będą chcieli mnie zabić. Musisz to wiedzieć.

- Nie pozwolę im! - Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Wolno, bardzo wolno ich palce się splotły. Rephaim pociągnął ją lekko ku sobie. - Nie pozwolę im - powtórzyła, nie patrząc na niego. Trzymała go za rękę, ciesząc się chwilą i starając się nie myśleć zbyt wiele, nie kwestionować. Wpatrywała się w ciemną nieruchomą tafłę wody. Przysłaniająca księżyc chmura odpłynęła i w fontannie odbiły się ich sylwetki. „Jestem dziewczyną, która w jakiś sposób związała się z człowieczeństwem obecnym w facecie będącym zwierzęciem” - pomyślała. - Jestem do ciebie przywiązana, Rephaimie - powiedziała.

- A ja do ciebie, Stevie Rae - odparł bez wahania.

Gdy to powiedział, woda zafalowała, jak gdyby dmuchnęła na nią Nyks, i ich odbicia się zmieniły. Teraz tafla ukazywała Stevie Rae trzymającą za rękę wysokiego muskularnego Indianina o długich gęstych włosach, równie czarnych jak wplecione w nie krucze pióra. Miał odkrytą pierś i był przystojny jak jasny gwint.

Stevie stała bez ruchu, bojąc się, że jeśli cokolwiek zrobi, obraz się zmieni. Nie zdołała jednak powstrzymać uśmiechu.

- Kurczę - powiedziała - jesteś naprawdę ładny.

Odbicie chłopaka zamrugało kilkakrotnie, jakby nie było pewne, czy dobrze widzi, a potem odezwało się głosem Rephaima:

- Ale nie mam skrzydeł.

Stevie poczuła ucisk w żołądku i trzepotanie serca. Chciała powiedzieć coś głębokiego i inteligentnego, a przynajmniej romantycznego, lecz zamiast tego usłyszała własny głos mówiący:

- Fakt. Za to jesteś wysoki i masz wplecione we włosy takie fajne pióra.

Chłopak uniósł wolną rękę i dotknął włosów.

- Niewiele są warte w porównaniu ze skrzydłami - rzekł i uśmiechnął się do niej.

- Cóż. Z pewnością ułatwiają wkładanie koszuli.

Roześmiał się i wyraźnie oczarowany dotknął swojej twarzy.

- Miękką - mruknął. - Ludzie mają takie miękkie twarze...



- Fakt - przyznała Stevie zahipnotyzowana tym, co widziała w odbiciu.

Równie powoli, jak przedtem splotły się ich palce, Rephaim przeniósł dłoń z własnej twarzy na twarz dziewczyny, leciutko dotykając jej skóry, głaszcząc łagodnie policzek, muskając wargi, lecz nie odrywając wzroku od tafli wody. Stevie się uśmiechnęła, a potem z gardła wyrwał jej się niepohamowany chichot.

- Aleś ty ładny!

Ludzki obraz Rephaima także się uśmiechnął.

- To ty jesteś ładna - rzekł tak cicho, że ledwie go usłyszała.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytała z bijącym dziko sercem.

- Naprawdę. Po prostu nie potrafię ci tego powiedzieć. Nie mogę odsłonić przed tobą swoich prawdziwych uczuć.

- Teraz to robisz.

- Wiem. Pierwszy raz czuję...

Urwał w połowie zdania. Wizerunek chłopaka zafalował i znikł. Zamiast niego z nieruchomej wody uniosła się ciemność, która przybrała kształt kruczych skrzydeł przymocowanych do ciała potężnego nieśmiertelnego.

- Ojczy!

Nie musiał wykrzykiwać tego słowa, bo i bez niego Stevie od razu wiedziała, co ich rozdzieliło. Wyrwała dłoń z uścisku kruka. Opierał się zaledwie przez ułamek sekundy. Potem ją puścił, obrócił się twarzą do niej i uniósł jedno skrzydło, by zasłonić jej widok odbicia w fontannie.

- Wrócił do swego ciała. Czuję to.

Stevie milczała, nie ufając swemu głosowi. Potrafiła tylko skinąć głową.

- Tu jednak go nie ma. Jest bardzo daleko ode mnie. Pewnie we Włoszech - mówił szybko Rephaim. Stevie zrobiła krok w tył, wciąż nie mogąc wydobyć z siebie głosu. - Wydaje się odmieniony. Coś się stało. - W końcu, jakby dogoniły go własne myśli, spojrzał dziewczynie w oczy. - Stevie Rae, co my zro...

Stevie krzyknęła. Ziemia zakotłowała się wokół, wypełniając jej zmysły radosnym tańcem powitania. Zimny krajobraz Tulsy zamigotał i przeobraził się, otaczając ją niesamowitymi zielonymi drzewami o lśniącym listowiu, pod nogami kładąc gruby dywan miękkiego mchu. Potem obraz się wyostrzył i ukazał jej oczom roześmianą i uleczoną Zoey w ramionach Starka.

- Zoey! - krzyknęła, lecz obraz już zniknął, pozostawiając po sobie jedynie radość i pewność, że jej najlepsza przyjaciółka znów żyje i ma się dobrze. Uradowana Stevie podeszła do Rephaima i zarzuciła mu ręce na szyję. - Zoey żyje!

Objął ją mocno, ale trwało to jedynie moment, póki oboje nie przypomnieli sobie prawdy i nie odskoczyli od siebie.

- Ojciec wraca.

- Zoey też.

- To oznacza, że nie możemy być razem - rzekł Rephaim.

Stevie poczuła się chora i smutna. Potrząsnęła głową.

- Nie, Rephaimie. Tak będzie jedynie wtedy, gdy na to pozwolisz.  
- Spójrz na mnie! - krzyknął. - Nie jestem chłopcem z odbicia w wodzie!  
Jestem zwierzęciem. Nie pasuję do ciebie.  
- Twoje serce sądzi inaczej! - odkrzyknęła.  
Opuścił ramiona i odwrócił wzrok.  
- Stevie Rae, moje serce nigdy nie miało nic do powiedzenia.  
Podeszła do niego, a on instynktownie odwrócił się do niej. Gdy spojrzeli na siebie, Stevie z potworną rozpaczą ujrzała płonący znów w jego oczach szkarłat.  
- Świetnie. Kiedy dojdiesz do wniosku, że twoje serce znaczy dla ciebie tyle ile dla mnie, przyjdź po mnie. Nie powinno być trudno mnie odnaleźć. Po prostu idź za głosem serca. - Po tych słowach bez wahania objęła go i przygarnęła mocno, ignorując to, że kruk nie odwzajemnia uścisku. - Będę za tobą tęsknić - szepnęła, nim go puściła.  
Gdy ruszyła wzdłuż Gilcrease Road, nocny wiatr przyniósł jej szept Rephaima: „Ja też...”.

## *Zoey*

- Naprawdę piękne - powiedziałam, patrząc na drzewo obwieszane niezliczonymi paskami kolorowych tkanin. - Powtórz, jak się nazywa?  
- Obwieszka - rzekł Stark.  
- Mało romantyczna nazwa jak na tak fajne drzewo.  
- Z początku też tak myślałem, ale się przyzwyczailem.  
- O, spójrz na tę wstążkę! Jaka błyszcząca! - Wskazałam złoty paseczek, który dopiero co się pojawił i w odróżnieniu od pozostałych nie był związany z żadnym innym, lecz spływał w dół, aż znalazł się bezpośrednio nad naszymi głowami.  
Stark wyciągnął rękę i schwycił go, po czym podał mi, żebym mogła dotknąć jego gładkiej faktury.  
- To ona poprowadziła mnie do ciebie.  
- Serio? Przypomina złotą nitkę.  
- Tak, mnie też skojarzyła się ze złotem.  
- I znalazłeś mnie, idąc za nią?  
- Tak.  
- Cóż, w takim razie sprawdźmy, czy znów zadziała - powiedziałam.  
- Mów mi tylko, co robić. Jestem na twoje rozkazy. - Stark skłonił mi się z wesołym błyskiem w oku.  
- Przestań się wygłupiać. To poważna sprawa.

- Ojej, Zo, nie rozumiesz? Ja wcale nie uważam, że to niepoważne. Po prostu w pełni ci ufam. Wiem, że przeprowadzisz mnie z powrotem. Wierzę w ciebie, *mo bann ri*.

- Kiedy mnie nie było, nauczyłeś się jakichś dziwnych słówek.

Wyszczerzył zęby.

- To dopiero wstęp. Poczekaj, a zobaczysz, co będzie dalej.

- Wiesz co, chłopcze? Mam już dość czekania. - Jeden koniec złotej wstążki owinęłam mu na nadgarstku, a drugi mocno trzymałam w zaciśniętej pięści. - Zamknij oczy - poleciłam. Usłuchał bez szemrania. Podeszłam na palcach i pocałowałam go. - Widzimy się wkrótce, strażniku.

Potem odwróciłam się od drzewa życzeń, zagajnika i wszystkich cudownych tajemnic świata Nyks. Stałam przed ziejącą czarną dziurą, która zdawała się rozciągać w nieskończoność, i rozłożyłam ręce.

- Duchu, przyjdź do mnie.

Ostatni z pięciu żywiołów, ten, z którym zawsze najbardziej się utożsamiałam, wypełnił moją uzdrowioną duszę radością, współczuciem, siłą i - w końcu! - nadzieją.

- Zabierz mnie do domu! - powiedziałam i pobiegłam przed siebie, po czym bez najmniejszych obaw skoczyłam w mrok.

Myślałam, że to będzie jak skakanie z urwiska do wody, ale się myliłam. Było znacznie łagodniejsze, jak zjeżdżanie windą z najwyższego piętra drapacza chmur. Po chwili poczułam hamowanie i wiedziałam, że wróciłam do domu.

Nie od razu otworzyłam oczy. Najpierw chciałam się skoncentrować, by móc się rozkoszować każdym doznaniem. Leżałam na czymś twardym i chłodnym. Wzięłam głęboki oddech i ku swemu zdumieniu rozpoznałam zapach cedrowego drzewa, które rosło na rogu naszej ulicy w Broken Arrow. Początkowo słyszałam tylko ciche pomruki i szepty, ale po paru oddechach wszystko zmienił okrzyk Afrodyty:

- Otwórz wreszcie te oczy, do cholery! Wiem, że tam jesteś!

Więc otworzyłam.

- Jezu, w taborze się chowałaś czy co? Musisz tak wrzeszczeć?

- W czym? Zdawało mi się, że nie używasz brzydkich słów, a słowo „tabor” zdecydowanie się do takich zalicza - odparła Afrodyta, po czym uśmiechnęła się, wybuchnęła śmiechem i przytuliła mnie tak mocno, że byłam pewna, iż w przyszłości się tego wyprze. - Naprawdę wróciłaś? I nie jesteś odmóżdżona ani nic z tych rzeczy?

- Wróciłam! - Roześmiałam się. - Ani trochę bardziej odmóżdżona niż przed odejściem.

Ponad jej ramieniem ujrzałam Dariusa, który z podejrzanymi błyszczącymi oczami skłonił mi się, przykładając pięść do serca.

- Witaj w domu, najwyższa kapłanko.

- Dzięki, Dariusie. - Uśmiechnęłam się szeroko i wyciągnęłam rękę, by pomógł mi wstać. Trzymałam się go mocno, bo nogi miałam jak z galarety i pokój wirował mi przed oczami.

- Trzeba ją nakarmić i напоić - odezwał się władczy kobiecy głos.

- Tak jest, wasza wysokość - zabrzmiała natychmiastowa odpowiedź.

W końcu zawroty głowy ustąpiły i zaczęłam widzieć w miarę normalnie.

- O kurczę, tron! Prawdziwy?

Siedząca na żłobionym marmurowym tronie piękna kobieta uśmiechnęła się do mnie.

- Witamy w domu, młoda królowo - rzekła.

- „Młoda królowo”... - odpowiedziałam półzartem, ale gdy się rozejrzałam, śmiech zamarł mi na ustach, a tron, piękny wystrój sali i perspektywa królowania natychmiast wywietrzały mi z głowy.

Zobaczyłam Starka. Leżał na ogromnym kamiennym bloku, a przy jego głowie stał wampirski wojownik, trzymający nad zakrwawioną i pociętą pierś chłopaka ostry jak brzytwa sztylet.

- Nie, przestań! - krzyknęłam, wrywając się Dariusowi i biegnąc w stronę wojownika.

Królowa błyskawicznie znalazła się pomiędzy nami i położyła mi dłoń na ramieniu.

- Co ci powiedział Stark? - zapytała łagodnie.

Usiłowałam wziąć się w garść i myśleć jasno, nie zważając na krwawą scenę z udziałem mojego wojownika, mojego strażnika.

Strażnika...

Spojrzałam na królową.

- Więc w ten sposób dostał się w Zaświaty. Ten wojownik tak naprawdę mu pomaga.

- Mój strażnik - poprawiła mnie. - Tak, pomaga Starkowi. Teraz jednak, gdy jego misja dobiegła końca, twoim obowiązkiem jako jego królowej jest sprowadzić go z powrotem.

Otworzyłam usta, by ją zapytać, jak mam to zrobić, ale natychmiast je zamknęłam. Wiedziałam. I musiałam to zrobić sama.

Królowa chyba wyczytała to z moich oczu, bo pochyliła lekko głowę i odsunęła się na bok.

Podeszłam do mężczyzny, którego nazwała swoim strażnikiem. Na jego muskularnej piersi lśnił pot. Cała uwaga wojownika skoncentrowana była na Starku, jakby nie widział ani nie słyszał nikogo innego. Gdy uniósł nóż, najwyraźniej szykując się do zadania kolejnego ciosu, światło pochodni zabłysło na oplatającej mu nadgarstek złotej bransolecie. Wówczas pojęłam, skąd wzięła się złota wstęga, która zaprowadziła Starka do mnie, i poczułam przypływ sympatii dla strażnika królowej. Łagodnie dotknęłam jego ręki przy bransolecie.

- Strażniku - powiedziałam - możesz już przestać. Czas, by Stark wrócił do domu.

Ręka od razu się zatrzymała, a ciało strażnika przeszył dreszcz. Gdy mężczyzna przeniósł na mnie wzrok, zauważyłam, że źrenice jego niebieskich oczu są niezwykle rozszerzone.

- Możesz już przestać - powtórzyłam łagodnie. - Dziękuję, że pomogłeś mi do mnie dotrzeć.

Zamrugał i przeniósł na mnie wzrok. Jego oczy wyglądały już bardziej normalnie. Miał chropawy głos i niemal się uśmiechnęłam, rozpoznając szkocki akcent, który naśladował dla mnie Stark.

- Jak sobie życzysz, kobieto. - Zatoczył się do tyłu. Wiedziałam, że królowa pochwyciła go w ramiona, i słyszałam, jak mruczy coś do niego uspokajająco. Zauważyłam obecność w sali innych wojowników. Czułam też, że Afrodyta i Dariusz mnie obserwują. Nie zwracałam jednak uwagi na nikogo.

Dla mnie liczył się tylko Stark.

Podeszłam do kamienia, na którym leżał w kałuży krwi. Tym razem do moich nozdrzy doleciał jej zapach, słodki i gęsty. Ślinka natychmiast napłynęła mi do ust, ale musiałam się powstrzymać. To nie był dobry moment na zwracanie sobie głowy krwią Starka i pragnieniem, jakie we mnie rodziła.

Podniosłam rękę.

- Wodo, przyjdź do mnie. - Kiedy otoczyła mnie łagodna wilgoć żywiołu, wskazałam ciało wojownika. - Obmyj go. - Żywioł usłuchał, zraszając go łagodnym deszczem. Patrzyłam, jak krew spływa z piersi i dalej misternymi żłobieniami w ogromnym kamieniu, wypełniając dwa zagłębienia w podłodze po obu jego stronach. „Rogi - uświadomiłam sobie. - To wygląda jak ogromne rogi!”

Ku mojemu zdziwieniu, gdy już cała krew odpłynęła, zauważyłam, że w odróżnieniu od reszty podłogi rogi nie są białe, lecz połyskują piękną tajemną czernią przywodzącą na myśl nocne niebo.

Nie trwoniłam jednak czasu na zachwyty nad magią, którą w nich wyczuwałam. Podeszłam do obmytego z krwi Starka. Rany były już zasklepione, ale wciąż czerwone i nabrziałe. I nagle uświadomiłam sobie, na co patrzę. Wzięłam głęboki oddech. Po obu stronach klatki piersiowej mojego strażnika widniały wyżłobione w skórze kształty strzał zakończonych z jednej strony lotkami, a z drugiej ostrymi trójkątnymi grotami, idealnie współgrające z wypaloną nad sercem złamaną strzałą.

Położyłam rękę na bliźnie pochodzącej z czasów, kiedy po raz pierwszy uratował mi życie. Ze zdumieniem zauważyłam, że wciąż ściskam w dłoni złotą wstążkę. Łagodnie uniosłam rękę Starka i owinęłam mu ją w przegubie. Jedwabisty materiał stwardniał, zawinął się i zamknął, bardzo teraz przypominając bransoletę starego wojownika, jeśli nie liczyć tego, że na obręczy Starka dostrzegłam wyżłobione wizerunki trzech strzał, w tym jednej złamanej.

- Dziękuję ci, bogini - szepnęłam. - Dziękuję za wszystko.

Potem położyłam dłoń na sercu Starka i pochyliłam się.

- Wróć do swojej królowej, strażniku. Już po wszystkim - powiedziałam, nim przytknęłam wargi do jego ust.

Ucałowałam go, a gdy jego powieki zatrzepotały i uniosły się, głowę wypełnił mi melodyjny śmiech Nyks.

- *Nie, córko, nie jest po wszystkim* - usłyszałam jej głos. - *To dopiero początek...*